

Q.A.J. QUINNELL

Fascynująca intryga,
zdumiewająca operacja
szpiegowska i rewelacyjny finał.
Frederick Forsyth



MAHDI

MAHDI

The Mahdi

Przełożył Władysław Masiulanis

Wydanie oryginalne: 1999

Wydanie polskie: 2000

Wyznawcom islamu

Oby naiwni żarliwością swej wiary nie zapomnieli

o grożących im niebezpieczeństwach

Według tradycji muzułmańskiej

Mahomet zapowiedział

przybycie swego następcy,

Wysłannika Bożego,

który przyjdzie szerzyć pokój i sprawiedliwość;

a imię jego będzie

Al-Mahdi.

Może te opowieści niewiele mają wspólnego z historią, która zwykle mówi o tym, że pewien król posłał pewnego generała na pewną wojnę, i że tego a tego dnia wydano bitwę albo zawarto pokój, że zwyciężyła jedna albo druga strona, a potem zwycięzcy ruszyli swoją drogą... Ja piszę tylko o tym, co godne jest upamiętnienia.

TARIK BAJHAKI, VI w. n. e.

KSIĘGA PIERWSZA

Odbywał tę podróż niczym pielgrzym wiedziony potrzebą duszy.

Z szosy Kuala Lumpur - Penang zjechał na gruntową drogę, wiodącą w głąb dżungli.

„Musi pan dojechać do Klang River, a potem skrócić w lewo. Nie można przegapić tego miejsca”. Zastanawiał się, czy nie powinien wysłać zawiadomienia o swoim przyjeździe - na przykład przez gońca w przepasce na biodrach, dzierżącego rozdwojony na końcu kij z zatkniętym nań jego listem, ale człowiek z placówki w Kuala Lumpur uśmiechnął się, słysząc tę sugestię i pokręcił głową.

- Będzie wiedział, że pan nadjeżdża. I proszą zabrać smoking. On zawsze przebiera się do kolacji.

W blasku reflektorów droga, wijąca się między wysokimi, posępными drzewami, wydawała się coraz węższa. Co chwila przemykały przez nią jakieś drobne zwierzęta.

Pojawiały się w chwiejnej, bladej smudze jasności i ginęły w mroku. A w jego głowie poczęły się rodzić pierwsze wątpliwości. Czy skręcił we właściwym momencie? A w ogóle, co on tu robi, w samym środku malajskiej dżungli? W gruncie rzeczy powinien był złapać popołudniowy samolot do Tokio, a rano wyruszyć w drogę powrotną do Waszyngtonu, do domu i Julii.

Tymczasem, jakby przyciągany jakąś magnetyczną siłą, zmierzał do celu - miał oto spotkać się z człowiekiem, który był legendą jego profesji. I złożyć mu wyrazy uszanowania.

Niemniej, raz obudzone wątpliwości nie opuszczały go aż do chwili, gdy za kolejnym zakrętem w światłach samochodu niespodziewanie pojawiły się dwie doryckie kolumny, a między nimi potężna, ciemna brama z kutego żelaza.. Przyhamował łagodnie i zatrzymał

pojazd. Należało jednak wysłać zawiadomienie - brama była zamknięta na głucho. Przez chwilę siedział bez ruchu, próbując zebrać myśli i właśnie zamierzał wysiąść, celem dokonania bliższych oględzin przeszkody, kiedy brama jęła rozchyłać się powoli. Za kratą dostrzegł niskiego mężczyznę odzianego w sarong. Ruszył ostrożnie, a wtedy tamten skłonił

się nisko i pełnym gracji ruchem dłoni nakazał wjeżdżać.

Dalej dżungla traciła swój dziki charakter; przypominała raczej park. Drzewa i krzewy przeredzono. Leśny trakt zmienił się w utwardzoną drogę, wiodącą łukiem ku rzece. Znow musiał zahamować, bo oto wyrosła przed nim niezwykła budowla. Nie dom, nie willa, nawet nie pałac, ale coś pośredniego. Łagodny blask ukrytych lamp dobywał z cienia rząd kolumn, znow w doryckim stylu. Całość wzniesiono tuż nad brzegiem szerokiej, leniwie płynącej rzeki. Budowla z daleka przypominała biało lukrowaną, świąteczną babkę. A przecież, choć rażąco obcy swemu naturalnemu otoczeniu, budynek nie pozbawiony był dziwnego, wyzywającego wdzięku.

Uruchomił silnik, czując, jak ciekawość zaczyna brać w nim górę nad niepewnością.

Minął podjazd i zatrzymał się u stóp szerokich schodów, wznoszących się ku masywnym drzwiom z

tekowego drewna. Uchyliły się, kiedy wysiadł z wozu, i ukazał się kolejny Malaj w sarongu. Zszedł po schodach, a na jego twarzy wykrzywionej grzecznym uśmiechem próżno byłoby szukać śladów zdziwienia.

- Nazywam się Hawke. Morton Hawke. Być może powinienem zawiadomić o swoim przyjeździe...

- Ma pan jakiś bagaż, tuan? - z ukłonem spytał Malaj.

Hawke kiwnął głową i zaczął mamrotać coś o niesprawianiu kłopotów, ale tamten bez słowa wyjął z samochodu jego niewielką walizkę i, wciąż uśmiechnięty, ruszył w górę schodów. Hawke wzruszył ramionami i podążył za nim.

Nieco później stał pod staroświeckim prysznicem w strumieniach gorącej wody, zmywającej zeń kurz drogi i próbował odzyskać nieco zachwiane poczucie rzeczywistości.

Malajski służący zaprowadził go do obszernego pokoju gościnnego na piętrze. Nie brakowało tam niczego, był nawet bar z kubelkiem pełnym lodu. Hawke obejrzał pokój, rzucił okiem na zalany księżycową poświatą krajobraz za oknem, a tymczasem Malaj położył walizkę na olbrzymim, zwieńczonym baldachimem łożu, podszedł do baru, do wysokiej szklanki wlał na trzy palce whisky Canadian Club, dodał dwie kostki lodu i odrobinę wody sodowej i wręczył

naczynie zaskoczonemu Amerykaninowi ze słowami:

- Kolacja będzie o dziewiątej, na frontowym tarasie, tuan. Rozpakuję teraz i wyprasuję pański smoking. Będę z powrotem za pół godziny.

Tak więc Hawke wypił whisky, a potem wziął prysznic, cały czas zastanawiając się, skąd „mistrz” wiedział nie tylko, że nadjeżdża, ale jaki jest jego ulubiony trunek.

- Informacja jest źródłem władzy. - Pritchard otarł usta śnieżnobiałą serwetką i z dobrodusznym uśmiechem spojrzał na swego gościa ponad zastawionym stołem. - A ja, mój drogi Hawke, kocham władzę. Podobnie jak pan, bo inaczej nie pracowałby pan w swoim zawodzie.

Hawke przełknął ostatni kęs kurczaka i skinął głową. Niewiele odzywał się podczas posiłku. Raz, że był głodny, a jedzenie okazało się wyśmienite; dwa - nie miał nic przeciwko temu, by Pritchard nadawał ton rozmowie. Starego najwyraźniej cieszyły te jego wspominki zabarwione mieszaniną ironii i cynizmu.

Dwójka mężczyzn siedzących samotnie na tarasie stanowiła wytworny, choć nieco absurdalny widok. Czerń ich smokingów kontrastowała z bielą obrusa z irlandzkiego lnu.

Kryształowe kieliszki iskrzyły się w świetle księżyca. Pritchard był już starym człowiekiem.

Spod krzaczastych, niemal białych brwi spoglądały głęboko osadzone, czarne oczy. Jednak dominującym elementem jego fizjonomii był nos - duży i zakrzywiony; nadawał mu dziwnie ptasi wygląd. Długa, cienka szyja wystająca ze staromodnego, wysokiego kołnierzyka i smoking o szerokich klapach zwisający z jego przygarbionej, kanciastej sylwetki dopełniały obrazu. Hawke

uznał, że przypomina ptaka, jakiegoś padlinożercę - sępa. Sępa, wybrednego na starość, jeśli chodzi o rodzaj konsumowanych odpadków. Było to nawet zabawne, że Hawke tak go sobie wyobrażał, on sam bowiem wyglądem doskonale pasował do swego nazwiska.

Był pozbawionym kompleksów mężczyzną w średnim wieku, swoją energią i sposobem bycia manifestującym lekceważenie upływu czasu. Rysy twarzy miał ostre, oczy przenikliwe, zwykle przymrużone, włosy, wciąż jeszcze bez śladu siwizny, wbrew obowiązującej modzie nosił krótko obcięte. Jeśli Pritchard był ścierwojadem, Hawke sprawiał

wrażenie drapieżnika - silny, masywny, o długich rękach i palcach. Odłożył widelec i natychmiast z cienia wyłonił się służący, by sprzątnąć ze stołu naczynia. Zapadła cisza, ale nie zwykła cisza, lecz nasycona odgłosami tropikalnej nocy, pełna cykania świerszczy, pohukiwania nocnych ptaków i nerwowych nawoływań leśnych zwierząt. Pritchard skinął

dłonią i na tarasie pojawiła się dziewczyna, pchając przed sobą niewielki stolik na kółkach.

Na jej widok Hawke'owi zaparło dech w piersiach. Nie miała więcej niż sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Ubrana była jedynie w ściągnięty paskiem sarong. W przyćmionym świetle jej ciemna skóra połyskiwała miedzianym blaskiem. Piersi miała drobne, wysokie i nieskończenie kształtne. Ale to widok jej twarzy sprawił, że Hawke dosłownie zamarł w bezruchu. Obraz ten głęboko wrył się w umysł Amerykanina i jeszcze przez wiele miesięcy miał pojawiać się w jego marzeniach. Była to twarz bardzo młodej dziewczyny, doskonale proporcjonalna i bez jednego nawet ostrego kąta - same łuki, łagodnie przechodzące jeden w drugi. Duże, lekko skośne oczy, których spojrzenie zabarwione było nieuchwytnym odcieniem ironii i pełne, kształtne usta. Granatowo-czarne, proste włosy spływały aż do pasa dziewczyny.

- Koniak? Cygaro?

Hawke niechętnie, jakby z wysiłkiem, obrócił wzrok na Pritcharda i skinął głową.

Dziewczyna zapaliła niewielką oliwną lampkę i nad płomieniem ogrzała, jeden po drugim, trzy pękate kieliszki. Jej dłonie poruszały się z zawodowym wdziękiem. Wzięła ze stolika ciemną, pozbawioną etykiety, ale najwyraźniej bardzo starą butelkę i do każdego z kieliszków nalała po miarce bursztynowego płynu. Dwa kieliszki postawiła przed mężczyznami, trzeci pozostał na stoliku. Hawke nie spuszczał z niej oczu, gdy otwierała mahoniowe pudełko i dobywała zeń duże cygaro marki Carlos y Carlos, by następnie zbliżywszy dłoń do ucha obrócić je między palcami. Próba najwidoczniej wypadła pomyślnie, bo dziewczyna sięgnęła po małą, srebrną gilotynkę, przycięła koniec cygara i zaczęła ogrzewać je nad lampą, miarowo obracając w szczupłych palcach. Hawke uniósł wzrok na jej twarz i stwierdził, że przygląda mu się z odrobiną figlarnym wyrazem migdałowych oczu. To, co robiła - jej palce, powoli ugniatające cygaro - wydało mu się nagle naładowane głębokim erotyzmem. Zawsze był dumny ze swej umiejętności kontrolowania własnych reakcji bez względu na okoliczności, ale w tej chwili mógł jedynie gapić się niczym sztubak, jak dziewczyna pochyla się i ujmuje wargami koniec cygara, drugim końcem poruszając w płomieniu lampki. Jej włosy spłynęły do przodu, okalając twarz ramą czerni. Hawke wstrzymał oddech. Nad stołem uniosła się woń kubańskiego tytoniu. Dziewczyna wyprostowała się, sięgnęła po trzeci kieliszek i zanurzwszy koniuszek cygara w koniaku podała je Amerykaninowi. Po raz pierwszy na

jej twarzy pojawił się uśmiech. Hawke był jak sparaliżowany. Chciał podnieść rękę, ale mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Dziewczyna z uśmiechem przysunęła cygaro do ust Amerykanina, a jej palce delikatnie musnęły jego policzek. Zapach perfum przytłumił

na chwilę aromat tytoniu.

- Przypuszczam, że lubi pan muzykę.

Hawke skierował wzrok na Pritcharda. Stary człowiek przyglądał mu się wyraźnie ubawiony.

- Tak... ee, owszem... czemu nie.

Pritchard uśmiechnął się.

- Jak sądzę, Beethoven jest pańskim ulubieńcem.

Znów skinął dłonią i chwilę później Hawke doznał kolejnego wstrząsu. Gdzieś spoza rzeki, ponad jej ciemnymi wodami, napłynęły pierwsze tony Piątej Symfonii. Brzmiały zadziwiająco czysto, naturalnie, głęboko. Mieszkańcy dżungli oniemieli - musieli zamilknąć, poddać się majestatowi muzyki.

Hawke z niedowierzaniem pokręcił głową i spojrzał pytająco na Pritcharda. Ten przyjął cygaro z rąk dziewczyny i zamaszystym gestem wskazał rzekę.

- W dżungli po tamtej stronie mam osiem stuwatowych głośników. Zrobionych na zamówienie w Lansing. - Uśmiechnął się. - Po obiedzie dobrze mi robi chwila rozrywki.

Muzyka pomogła Hawke'owi wziąć się w garść. Nie minęło dwadzieścia minut, a poczuł, że odzyskuje panowanie nad sobą. I to pomimo faktu, że dziewczyna siedziała teraz obok Pritcharda, obejmując go w pasie, z głową złożoną na jego ramieniu. Był już w stanie patrzeć na nią, zachowując pewną dozę, obojętności. Doszedł do wniosku, że była pół-

Malajką, pół-Chinką i nie miała więcej jak piętnaście, szesnaście lat. Wiedział jednak z własnego doświadczenia, jak trudno określić wiek Azjatek. W każdym razie nawet kiedy wstała, aby dolać koniaku do jego kieliszka, zachował zimną krew - podziękował skinieniem głowy i z przymkniętymi oczami pogrążył się w kontemplowaniu muzyki. Miał sobie trochę za złe wcześniejsze zachowanie, jako że zamierzał zrobić na Pritchardzie wrażenie człowieka o nieprzeniknionym obliczu pokerzysty.

Pritchard budził w nim sprzeczne uczucia. Będąc doskonale wyszkolonym, działającym nowoczesnymi metodami specjalistą w dziedzinie wywiadu, Amerykanin powinien widzieć w starym człowieku jedynie malowniczy anachronizm. Ot, ludzki antyk, podziwiany z nieco wymuszoną skwapliwością. A jednak, mimo wieku i tej pseudo-kolonialnej siedziby, Pritchard robił wrażenie człowieka niezwykle otwartego.

W poszukiwaniu jakiegoś konkretnego, który przywróciłby trzeźwość jego myślenia, Hawke dokonał przeglądu własnej sytuacji. Jako dyrektor Wydziału Operacyjnego CIA mógł

być uważany za pierwszego szpiega wolnego świata. Zdobył tę pozycję poświęcił

trzydzieści lat rzetelnej, pełnej poświęcenia służby. Pomógł mu w tym wrodzony dar czy może umiejętność, przetrwania, ujawniająca się zarówno w terenie, podczas wykonywania tajnych misji, jak i w labiryntach wewnętrznej polityki Firmy. Udało mu się przetrwać bez schlebienia zwierzchnikom. Zachował przy tym niebezpieczne przywiązanie do intelektualnej niezależności. Zostało w nim coś z wolnego ducha, tylko przez przypadek zbłąkanego w bardziej ugrzecznione towarzystwo.

To właśnie ta skłonność do niezależności przywiodła go na spotkanie z Pritchardem.

Zakończył właśnie długą podróż, bardzo zadowolony z jej rezultatów. Scenę polityczną w Waszyngtonie zdominowali na powrót konserwatyści. Zdecydowano uwolnić CIA z kagańca nałożonego przez poprzednie ekipy. Agencję przestano traktować jak wrzód na zdrowym ciele narodu amerykańskiego. Na Kongres i Biały Dom spłynęło olśnienie - nie można ugasić pożaru lasu manierką ciepłej wody. Z dnia na dzień porozwizywano różne komisje nadzorcze zajmujące się obszczekiwaniem wszelkich posunięć Firmy, zniesiono krępujące ją ustawy Kongresu i uchwalono przydział pokaźnych funduszy. Doszło do tego, że nazwisko dyrektora CIA znów zaczęło pojawiać się na listach gości co bardziej liczących się waszyngtońskich salonów.

Dla Hawke'a oznaczało to okres wzmożonej aktywności. Dyrektor obijał się po przyjęciach, a Hawke udał się w podróż po Azji z zadaniem kontroli tamtejszych placówek.

Należało raz jeszcze obudzić śpiącego olbrzyma - uruchomić długo odkładane projekty, zmobilizować zmęczonych i rozczarowanych agentów, zmierzyć siły ostatnio zbyt pewnego siebie przeciwnika.

Malezja była ostatnim etapem tej podróży. I tam właśnie, dwa dni temu, podczas kolacji w "Merlin Hotel", miejscowy agent wymienił nazwisko Pritcharda, pytając Hawke'a, czy zna tego człowieka.

Hawke nigdy nie spotkał Pritcharda, chociaż wiedział o nim bardzo dużo, jak zresztą każdy wyższy rangą funkcjonariusz wywiadu na świecie. Pritchard był postacią legendarną.

Co więcej - i to było najbardziej fascynujące - wciąż stanowił zagadkę.

Był Anglikiem, a przynajmniej za Anglika powszechnie go uważano. Po raz pierwszy wypłynął w latach trzydziestych na Bliskim Wschodzie, pracując dla bliżej nieokreślonego wydziału brytyjskiego Ministerstwa Obrony. Mocarstwa europejskie wszelkimi sposobami: matactwem i pochlebstwem, dążyły do zdobycia wpływów na tym terenie. Przypominało to grę w szachy, a na szachownicy często pojawiała się postać Pritcharda. Zawsze był w pobliżu, gdy któraś z głównych figur wykonywała ruch lub wypadła z gry. Gdy dochodziło do mata -

ulatniał się.

Z wybuchem wojny Pritchard zniknął. Krążyły pogłoski, że stracił zaufanie władz brytyjskich w Kairze. Mówiono nawet, że popełnił niewybaczalny, według ówczesnych norm, błąd i ożenił się z

Arabką, która urodziła mu syna. To było nie do przyjęcia. Asymilacja -

owszem, ale wszystko ma swoje granice. Tak więc popadł w niełaskę i jego cień nie pojawił

się więcej w portalach "Shepherd's Hotel" czy "British Club". Tymczasem w 1944 roku rząd turecki otrzymał niespodziewanie listę wszystkich agentów niemieckich działających w tym kraju. Skala penetracji okazała się tak wielka, że niezdecydowani dotąd Turcy zrezygnowali z przyłączenia się do Osi. Wyglądało na to, że Pritchard nie pogrążył się w beczynności. Po wojnie przeniósł się dalej na wschód i to był początek najbardziej tajemniczego rozdziału jego życia. Kiedy siatka wsławionego wieloma sukcesami wywiadu brytyjskiego zaczęła rozłazić się w szwach, wszelkie podejrzenia skupiły się stopniowo na Pritchardzie. Okazało się, że w Oxfordzie ukończył nie ten college, co trzeba, że miał niewłaściwych wykładowców, a do tego przyjaźnił się z podejrzanymi ludźmi znanymi z lewicowych poglądów. Możliwe, że gdyby odkryto najsłabsze chociaż dowody jego homoseksualnych skłonności lub wyżej ceniono jego intelekt - zostałyby cichcem sprzątnięty przez spanikowane MI-6. A tak, zrobiono go rezydentem w Sajgonie, gdzie z miejsca zaczął pracować na boku dla Francuzów. Hawke pamiętał pochodzące z tamtego okresu powiedzenie, przypisywane Pritchardowi: "Mimo wszystko, Francuzi to jeszcze nie Rosjanie, a poza tym - funt nie jest już tyle wart co kiedyś".

Ostatecznie Pritcharda przeniesiono do Indii Wschodnich, wówczas jeszcze holenderskich, gdzie pozostał do końca wojny z powstańcami Sukarno, aż do powstania niepodległej Indonezji. Podejrzewano, że z jego usług obok Brytyjczyków korzystali także Holendrzy, ale dwa fakty zdają się świadczyć o czymś zgoła przeciwnym. Po pierwsze, powstańcy zwyciężyli; po drugie, nowo mianowany prezydent Sukarno podarował

Pritchardowi niewielką, lecz dochodową plantację kauczuku na południu Sumatry.

Wszystko to nie miało wpływu na stosunek władz brytyjskich do Pritcharda. Nie rezygnowali z niego, widocznie dysponował informacjami, o których inni nie mieli pojęcia.

Pritchard przenosił się z miejsca na miejsce: Japonia, Filipiny, kilka lat na Tajwanie -

cały czas jako pracownik MI-6. Nikt nie wiedział, co stało się z jego arabską żoną i dzieckiem. Prowadził życie nieco rozkapryszonego starego kawalera.

Właśnie podczas jego pobytu na Tajwanie CIA po raz pierwszy powzięła podejrzenie, że może on także figurować na liście płac KGB. Organizacja ta była bardzo aktywna na terenie Tajwanu, niezbyt skutecznie starając się psuć krew Chińczykom, z którymi Rosja miała na pieńku od czasów "rewolucji kulturalnej". Hawke czytał kilka raportów informujących o kontaktach Pritcharda ze znanymi agentami KGB. CIA zaczęła naciskać na MI-6, ale to tylko zagmatwało sytuację. Początkowo Brytyjczycy odmawiali wszelkich dyskusji na temat Pritcharda, ale kiedy naciski się wzmożyły, sięgając najwyższych szczebli władzy - ustąpili. Do Langley przybył wysoki urzędnik MI-6 z walizką pełną dokumentów.

Hawke był jednym z trzech funkcjonariuszy CIA, którym pozwolono zgłębić owe dokumenty

- oczywiście pod okiem odzianego w prążkowany garnitur Anglika, obserwującego ich niczym detektyw włóczęgę w sklepie z biżuterią.

Walizka zawierała raporty nadsyłane przez Pritcharda od wielu lat. Ich treść przechodziła wszelkie pojęcie. Pritchard nie tylko pracował jako podwójny agent dla Francuzów, Holendrów, Japończyków, Rosjan i Bóg wie, ilu jeszcze rządów, ale jednocześnie dla różnych organizacji owe rządy zwalczających. Jedyne, czego te raporty nie mogły dowieść, to jego niezachwianej lojalności wobec Anglii.

Hawke zadał wtedy dwa pytania. Dlaczego Brytyjczycy tolerują tak niesłychaną dwulicowość? I - jak to się stało, że Pritchard żyje tak długo? Anglik w eleganckim garniturze wzruszył ramionami i odparł, że wszystkie raporty Pritcharda okazały się bardzo dokładne i użyteczne; a co do tego, że żyje tak długo - może jego raporty dla innych rządów oceniono podobnie?

Tak więc Pritchard okazał się kimś jedynym w swoim rodzaju: mistrzem szpiegowskiej profesji, swobodnie poruszającym się w gąszczu międzynarodowych intryg, chronionym przez swoją wiedzę i rozliczne powiązania.

Hawke, trochę wbrew własnym przekonaniom, czuł się zmuszony zasugerować dyrektorowi, by miast ukrócić działalność Pritcharda, CIA przyłączyła się do grona odbiorców jego korespondencji. Sugestia ta została przyjęta i przez długie lata raporty Pritcharda cieszyły się uznaniem najwyższych urzędników CIA, pełnych podziwu dla wnikliwości jego analiz. Hawke nigdy nie zetknął się z nim osobiście, gdyż wkrótce potem mianowano go szefem oddziału do spraw Afryki Południowej: następne sześć lat spędził w Kapsztadzie i Pretorii na próbach podtrzymania zniechęconego reżimu. Kiedy wrócił do Waszyngtonu w związku z powołaniem go na stanowisko dyrektora Wydziału Operacyjnego, jego głównym zadaniem stało się przeciwdziałanie opozycji we własnym kraju, ochrona Firmy przed atakami cierpiących na nadwrażliwość sumienia liberałów. W tym czasie Pritchard zakończył już swą działalność i zaszły się w dżunglach Malezji - legenda i mistrz swego fachu, a przy tym człowiek wielce majątny.

Słuchając ostatniej części symfonii, Hawke zastanawiał się nad raportem, jaki wkrótce złoży dyrektorowi. Jego podróż dowiodła, że skuteczność działań Firmy w południowo-wschodniej Azji może być wydatnie podniesiona. Jedyne dwóch szefów placówek należało przenieść do pracy biurowej. Dobrych zastępców na ich stanowiska Hawke mógł

zapropnować w każdej chwili. Wystarczy rok, by w Laosie, Wietnamie i Kambodży powstały załączki aktywnych komórek. Była to bardzo zachęcająca perspektywa. W dalszej kolejności powinien skoncentrować się na Bliskim Wschodzie. Znaczną część budżetu Firmy pochłaniały działania na tym obszarze, a rezultaty osiągnięte przy tak wielkim nakładzie środków, nie były zachwycające.

Pogrążył się w rozważaniu swoich kolejnych, mniej czy bardziej podstępnych posunięć, kiedy zabrzmiały majestatyczne akordy finału symfonii i zapadła cisza. Stopniowo wypełniły ją zwykłe odgłosy dżungli.

- Wielkie dzięki - odezwał się Hawke. - Kolacja z panem była nie tylko przyjemna, ale i bardzo interesująca.

Pritchard skinął głową.

- Cieszę się. Stary człowiek na emeryturze zawsze jest wdzięczny za miłe towarzystwo. Wypije pan strzemiennego? - Nie czekając na odpowiedź, poklepał dziewczynę po ramieniu. Wstała, dołała koniaku do kieliszków. Pritchard wymówił kilka słów po malajsku, na co uśmiechnęła się i z trzecim kieliszkiem w dłoni wróciła na swoje miejsce obok niego. Popijała trunka, beznamiętnym wzrokiem spoglądając na Hawke'a znad krawędzi koniakówki.

- Jak udała się pańska podróż?

Amerikanin z pewnym trudem oderwał oczy od dziewczyny.

- Świetnie. Będziemy musieli odrobić nieco zaległości. Wie pan, jaka jest sytuacja.

Pritchard skinął głową.

- Oczywiście. Teraz, nareszcie, nadszedł wasz czas; wszystko zależy od was - zmrużył

oczy, przybierając zamyślony wyraz twarzy. - To nie będzie takie trudne. Naturalnie musicie znaleźć kogoś do Dżakarty na miejsce Bradena. - Uśmiechnął się. - No i Raborn. Niestety, uległ demonowi opilstwa. Też musi odejść. Szkoda. Swego czasu był wartościowym człowiekiem.

Hawke nie zareagował na uśmiech Pritcharda.

- Od jak dawna jest pan na emeryturze? - spytał nieco poirytowanym tonem.

Pritchard wzruszył ramionami.

- Och, już pięć lat. Ale człowiek zachowuje swoje kontakty. Od czasu do czasu przyjeżdżają tu jacyś ludzie, oglądają stare dziwadło, jakim się stałem. Podobnie jak pan.

Hawke poczuł, że jego irytacja ulatnia się.

- Niewątpliwie są to bardzo różni ludzie.

Stary człowiek uśmiechnął się szeroko.

- A owszem, owszem. Na przykład w zeszłym tygodniu miałem przyjemność gościć na kolacji Kozłowa. Przy okazji, gdyby miał go pan kiedyś podejmować u siebie, proszę pamiętać, że ma wielką słabość do Szopena.

Hawke nie mógł się nie uśmiechnąć. Jurij Kozłow był szefem wszystkich operacji KGB w południowo-wschodniej Azji.

- Tak więc, nawet na emeryturze nie zamierza pan palić za sobą żadnych mostów.

Pritchard jakby spoważniał, ale w jego oczach zapaliły się szelmowskie błyski.

- Panie Hawke. Zdradzę panu pewien sekret. Jestem pewien, że potrafi pan dochować tajemnicy. - Tak, w ciemnych oczach starego wyraźnie dało się zauważyć coś szelmowskiego.

- Otóż - ciągnął - tak naprawdę, to nigdy nie pracowałem dla Rosjan. Owszem, zdarzyło mi się wziąć od nich jakąś zaliczkę, ale to było coś na kształt zadatku wpłaconego adwokatowi, z którego usług nigdy się nie skorzystało.

- Nigdy?

Pritchard pokręcił głową.

- Prawdopodobnie już wiedzieli wszystko, co mógłbym im powiedzieć.

- Niemniej szpieg właściwie nigdy nie jest na emeryturze - zauważył Hawke. Była to zamierzona złośliwość.

Stary zniósł przytyk z uśmiechem.

- Kozłów przyjechał najeść się i posłuchać Szopena, nic więcej. Może słyszał o moim systemie nagłaśniającym.

Hawke zastanawiał się nad usłyszczanymi rewelacjami, a tymczasem Pritchard delikatnie posadził sobie dziewczynę na kolanach i nieco machinalnie pieścił dłonią jej lewą pierś. Pochwyciwszy spojrzenie Amerykanina, wyjaśnił, nieco zażenowany.

- Niestety, w moim wieku takie niewinne pieszczoty to wszystko, co mi zostało.

Proszę mi powiedzieć, a co z Bliskim Wschodem?

Nagła zmiana tematu znów zbiła Hawke'a z tropu. Myśląc później o tym spotkaniu, doszedł do wniosku, że "mistrz" celowo wytrącał go nieustannie z równowagi. Przez moment wydawało mu się, że stary szpieg musi być telepatą,

- Dlaczego pan pyta?

- Cóż, teraz, kiedy zakończył pan swoją inspekcję tutaj, problem Bliskiego Wschodu pewnie nie daje panu spokoju.

Hawke skinął głową.

- Nikomu nie daje spokoju. W Waszyngtonie sprawy tego regionu są przypuszczalnie częściej przyczyną bezsennych nocy niż wszystkie miejscowe call girls.

Pritchard uniósł brew z udawanym zdziwieniem.

- Sądząc po tym, co wiem o ludziach z Waszyngtonu, można to uznać za swego rodzaju postęp. I co pan zamierza z tym zrobić? - Stary uśmiechnął się. - Mam na myśli Bliski Wschód.

Hawke podniósł się z fotela i z kieliszkiem w dłoni podszedł do krawędzi tarasu. Przez chwilę stał tak, zapatrzony w rzekę. Odszedł od stołu częściowo dlatego, że nie mógł już znieść odstręczającego widoku kościstych palców Pritcharda na dziewczęcej piersi Malajki.

Musiał także pozbierać myśli. Zaczynał mieć niejasne przekonanie, że powody, dla których się tu znalazł, były głębsze, niż początkowo sądził. Czy nie kryła się za tym wszystkim podświadoma chęć skorzystania z odrobiny niezmiernego doświadczenia starego? Hawke zdawał sobie sprawę, że w nadchodzących miesiącach jego najważniejszym, najbardziej pracowitym zadaniem będzie umocnienie pozycji Amerykanów na Bliskim Wschodzie.

Pozycji niemal rozpaczliwej, w efekcie nakładających się na siebie od wielu lat błędów politycznych, niekompetencji i braku zdecydowania. Odwrócił się stroną stołu.

- Na pewno będziemy intensyfikować swoje działania na tym obszarze - oznajmił.

Pritchard oderwał dłoń od piersi dziewczyny i ilustrował swoje słowa obrazowymi gestami.

- Czyli zamiast tysiąca agentów, gorliwie, lecz bez celu i bez rezultatów kręcących się po Bliskim Wschodzie, wyślecie cztery czy pięć tysięcy, żeby robili to samo.

Hawke zrozumiał przymówkę.

- I tak będzie nas tam niewielu w porównaniu z Rosjanami.

- To prawda - zgodził się Pritchard - ale Rosjanie mieli ostatnio jakieś sukcesy.

Przynajmniej jeśli chodzi o ich zasadniczy cel, to znaczy destabilizację.

To już nie była przymówka, lecz jawna złośliwość. Hawke czuł, że stary zmusza go do tłumaczenia się.

- Rosjanie nigdy nie mieli takich utrudnień jak my. Przez cztery długie lata działaliśmy ze związanymi rękami. Teraz to wszystko się zmieni. KGB i cała reszta niebawem dowiedzą się, że Firma wraca do interesu.

Pritchard uśmiechnął się sarkastycznie.

- To wspaniała wiadomość, drogi kolego. Ale powtarzam: wasze usiłowania, jakkolwiek chwalebne, nie wystarczą.

- A pewnie, pewnie. Pan natomiast dysponuje prostym rozwiązaniem naszych problemów.

- Mógłbym coś zasugerować. - Pritchard wskazał puste krzesło. - Dlaczego nie miałby pan usiąść i posłuchać? - uśmiechnął się niezwykle, jak na niego, czarującym uśmiechem. -

Byłoby szkoda, gdyby wywiózł pan stąd tylko pełen żołądek i wspomnienie Piątej Symfonii.

Po chwili wahania Hawke wrócił na swoje miejsce przy stole. Dziewczyna wstała z kolan Pritcharda, żeby zająć się butelką. Napełniła kieliszki i usiadła tam gdzie poprzednio.

Nieodgadnione spojrzenie utkwiała w Amerykaninie.

- Religia.

- To znaczy... ? - Hawke znów poczuł się zupełnie zbity z tropu.

Pritchard pochylił się i rzekł bardzo poważnie:

- Religia, panie Hawke, stanowi proste rozwiązanie waszych podstawowych problemów.

- Rozumiem. Uważa pan, że powinniśmy zacząć się modlić, żeby nasze kłopoty same rozplynęły się w powietrzu.

Po raz pierwszy na twarzy Pritcharda pojawił się wyraz irytacji.

- Jest pan inteligentnym człowiekiem, Hawke. Wiem o tym. Wiem też, że cieszy się pan wielkim szacunkiem swoich co rozsądniejszych współpracowników i przedstawicieli nowej administracji. Prosi mnie pan o radę i zamierzam jej panu udzielić. Proszę mi wyświadczyć uprzejmość i z powagą wysłuchać słów człowieka, który bynajmniej nie jest jeszcze dziecięciem staruszkim.

Hawke zawstydział się. Nic nie odpowiedział, ale skinął głową na znak, że rozumiał i zaakceptował wymówkę.

- Religia stanowi klucz - ciągnął Pritchard. - Mam na myśli islam, we wszystkich jego formach i odmianach. - Stary człowiek zmrużył oczy, jakby próbował skoncentrować się, jego głos opadł prawie do szeptu i Hawke musiał się pochylić, aby nie uronić żadnego słowa.

- Większość analityków niesłusznie uważa, że rozłam wewnątrz islamu jest czynnikiem korzystnym dla wielkich mocarstw zachodu. Sądzą, że służy to izolacji poszczególnych państw islamskich i że dzieje się dobrze. Przykładem jest wojna między Iranem a Irakiem, napięcie w stosunkach Egiptu z Libią, Jordanią z Syrią i tak dalej. -

Pritchard pokręcił głową. - Ale ci analitycy się mylą. Nie potrafią zrozumieć, że islam różni się od innych religii. Od chrześcijaństwa, judaizmu czy buddyzmu. A istotą tej różnicy stanowi fakt, iż jest to religia, która od swych wyznawców żąda krańcowego posłuszeństwa.

Podporządkowania się nie tylko zasadom wiary, ale i regułom, które rządzą postępowaniem muzułmanina, nawet gdy śpi. Islam to religia agresywna, młoda i ekspansywna, jedyna z głównych religii świata, której można przypisać tego rodzaju określenia. Jednym słowem, islam oznacza uległość.

Hawke poczuł się zmuszony przerwać wywód Pritcharda.

- Wszystko to uważam za oczywiste. Rozumiem to i dlatego nie wyobrażam sobie nic bardziej

przerażającego niż zjednoczony islam. Byłaby to potworna siła.

Pritchard uniósł dłonie.

- Proszę mi nie przerywać. Owszem, byłaby to olbrzymia siła, ale tę siłę można by kontrolować.

- Kto miałby to robić? - zdziwił się Hawke.

- Wy. Zachód. Proszę się nie śmiać. Pytał pan o proste rozwiązanie i oto ono.

Hawke stłumił uśmiech i spytał ostrożnie:

- A więc pańskim zdaniem najpierw mamy doprowadzić do zjednoczenia wszystkich odłamów islamu w jedną religię, tak? Będzie to nieskończenie trudniejsze niż pogodzenie, powiedzmy, katolików i protestantów. Potem zaś, mamy przejąć kontrolę nad już zjednoczonym islamem.

- Właśnie tak.

- W jaki sposób?

- Przez podważenie jego fundamentów.

- Jednoczymy zatem muzułmanów, podważamy fundamenty ich religii i tym sposobem zyskujemy skuteczną kontrolę nad miliardem ludzi zamieszkujących czterdzieści pięć państw islamskich. - W głosie Hawke' a pobrzmiewała ironia. Czuł, że ta rozmowa zaczyna go drażnić. Może Pritchard istotnie zdziecinniał na starość? - No cóż, panie Pritchard, to wspaniały pomysł. I oczywiście prosty. Pozostaje odpowiedzieć na jedno łatwe pytanko: jak mamy to wszystko zrobić?

Pritchard puścił mimo uszu sarkazm Hawke' a. Wypił łyk koniaku.

- Potrzebny wam cud - odparł.

Hawke wybuchnął śmiechem.

- Cud? Doprawdy, tego właśnie wymagałoby to przedsięwzięcie.

Pritchard ponownie uniósł dłonie, gasząc śmiech Amerykanina.

- Chce pan powiedzieć, że kraj, który skonstruował bombę atomową, który wysłał

człowieka na Księżyc... - stary uśmiechnął się nieznacznie - ... który zbudował Disneyland...

że taki kraj nie jest w stanie wyprodukować porządnego, stereo i w kolorze, pierwszej jakości, gwarantowanego cudu?

Hawke z trudem zachował powagę.

- Powiedzmy, że byłoby to możliwe. Ale po co?

Pritchard rozsiadł się wygodniej i ponownie położył dłoń na piersi dziewczyny.

- Taki cud - rzekł - uwiarygodniłby ponad wszelką wątpliwość przybycie nowego Mahdiego. - Stary człowiek patrzył teraz w oczy Hawke'a. - Myślę, że muszę panu powiedzieć, kto to jest Mahdi.

Hawke podstawił głowę pod strumień gorącej wody i stopniowo przykręcał kurek, aż zrobiła się całkiem zimna. Dopiero wtedy wyszedł spod prysznic i owinał się w obszerny ręcznik. Kąpiel dobrze mu zrobiła. Potrzebował jej z kilku powodów. Raz, że noc była gorąca i parna, dwa - wypił tego wieczoru nieco za dużo; przede wszystkim jednak, po rozmowie z Pritchardem miał w głowie zupełny mętlik. Przeszedł na bosaka do sypialni, zrobił sobie szklankę wody z lodem i po raz kolejny zapatrzył się na ciemną rzekę za oknem.

Minęło kilka godzin od chwili, gdy Pritchard rzucił w rozmowie słowo "religia". Przez ten czas Hawke mówił niewiele. Wyrwało mu się kilka pytań, ale poza tym słuchał z rosnącym zainteresowaniem, pełen podziwu dla wiedzy starego i jego wręcz wizjonerskiej wyobraźni.

Pritchard wszystko dokładnie przemyślał. To, co planował, mogło się stać, jak stwierdził nieco nieskromnie, wywiadowczym hitem wszechczasów. I Hawke nie mógł się z nim nie zgodzić.

- To tak, jak zwerbować papieża na płatnego informatora - zauważył.

- Więcej - zapalił się Pritchard - bo Mahdi dysponowałby władzą absolutną. Każda władza w państwie islamskim musiałaby uznać jego zwierzchność pod groźbą powszechnej rebelii.

Pritchard zapuścił się w wyjaśnianie teologicznych źródeł kultu Mahdiego, przyczyn, dla których każdy muzułmanin wierzy w nadejście nowego proroka i modli się o nie. Od śmierci Mahometa miały miejsce dziesiątki fałszywych alarmów.

Brytyjczycy w dniach swojej imperialnej świetności pokonali i zabili dwóch takich pretendentów. Niedawno król Arabii Saudyjskiej skazał na śmierć pewnego młodego fanatyka oraz większość jego zwolenników za to, że ośmielili się uważać tego ostatniego za godnego świętego posłannictwa.

Hawke, coraz bardziej zaintrygowany, przypomniał, że nawet ajatollah Chomeini został przez wielu okrzyknięty Mahdim. Pritchard skinął głową, uśmiechnął się i zacytował

innego ajatollaha, który stwierdził, iż istotnie, pewnego dnia Mahdi zstąpi na ziemię, ale nie na pokładzie jumbo jeta Air France.

Następnie Pritchard przedstawił zarys aktualnej kondycji islamu, jego młodość i żywotność. Pięćdziesiąt lat temu istniały na świecie tylko cztery państwa islamskie. Obecnie było ich czterdzieści pięć. Do końca stulecia ponad połowę ludności czarnej Afryki będą stanowili muzułmanie. Południowe i wschodnie rejony Rosji zamieszkiwać wówczas będzie ponad sześćdziesiąt milionów wyznawców Proroka. Nawet komunizm nie mógł powstrzymać ekspansji islamu. Coraz większa część światowych zasobów naturalnych przechodzi pod kontrolę muzułmanów. Dotyczy to w szczególności ropy naftowej. Osiemdziesiąt procent złóż tego surowca znajduje się na terytorium państw islamskich.

W swojej analizie Pritchard starał się uwypuklić groźbę, jaką dla Zachodu stanowiło powstanie

wielkiego Państwa Islamu. Pozwolił sobie na przenośnię: “słoń w składzie porcelany” - olbrzymie, niezdarne, niesforne dziecko, rozrastające się niepowstrzymanie.

Długo oczekiwane przybycie Mahdiego mogło całkowicie odmienić sytuację. Dawało szansę zapanowania nad chaosem.

- Możliwe nawet - z uśmiechem powiedział Pritchard - że Mahdi uznałby dzisiejsze ceny ropy naftowej za paskarskie. A Koran jest bardzo surowy dla paskarzy. Proszę posłuchać, sura IX: “A tym, którzy zbierają złoto i srebro, a nie rozdają ich na drodze Boga -

obwieść karę bolesną! W dniu, kiedy te metale będą rozpalone w ogniu Gehenny i będą napiętnowane nimi ich czoła, ich boki i grzbiety. Oto co zebraliście dla siebie. Zakosztujcie więc tego, co zebraliście!”

Hawke słuchał z wytężoną uwagą. Nie był człowiekiem z natury skłonny do popuszczania wodzy wyobraźni. Niemniej wiedział z doświadczenia wynikającego z jego zawodu, że w gruncie rzeczy nic nie jest niemożliwe, jeśli chodzi o wprowadzenie w błąd dowolnie dużej liczby ludzi. Starał się jednak myśleć praktycznie. Chciał konkretnej odpowiedzi na pytanie, jak? W porządku, może uda się zaaranżować “cud” i dzięki temu doprowadzić do ustanowienia nowego Mahdiego. Ale co ze szczegółami? Jak go wybrać?

Czego nauczyć? I przede wszystkim, jak kontrolować? Czy Pritchard wszystko to przemyślał?

Okazało się, że Pritchard opracował wszelkie aspekty swego planu, od rozpowszechnienia w społeczności muzułmańskiej pierwszych pogłosek o przybyciu proroka, po wybór właściwego człowieka, uwzględniający jego życiorys i zdolność oddziaływania na otoczenie. Największym problemem, zauważył, będzie sprawowanie bezwzględnej kontroli nad Mahdim, kiedy już zostanie przedstawiony światu. To było coś, co musiał zorganizować Hawke i jego eksperci. Dla takiej organizacji jak CIA znalezienie odpowiedniej osoby i kierowanie nią w trakcie wykonywania najdelikatniejszej nawet operacji, nie powinno stanowić trudności nie do pokonania. Dalej Pritchard opisał, jakie w przybliżeniu rezultaty mogą zostać osiągnięte dzięki udanej akcji. Jak, krok po kroku, można będzie zapanować nad polityką państw islamskich, a nawet spowodować upadek rządów nieprzychylnych Zachodowi. W ostatnich latach miał miejsce gwałtowny nawrót idei fundamentalizmu islamskiego i nawet totalitarne rządy takich państw jak Syria, Libia czy Arabia Saudyjska musiały przeciwdziałać wpływowi organizacji w rodzaju Bractwa Muzułmańskiego, których jedynym celem był powrót do surowego prawa koranicznego jako zasady organizacji społeczeństwa. Iran był tu pierwszym i najbardziej wymownym przykładem. Pritchard uważał

jednak, że poprzez Mahdiego nawet Iran można będzie zmusić do podporządkowania się woli większości.

Słuchając w skupionym milczeniu, Hawke w pewnym momencie dał dowód nabytej wieloletnią praktyką zawodową ostrożności. Pritchard spostrzegł, że Amerykanin zerka niespokojnie na dziewczynę, milczącą i senną, siedzącą na jego kolanach. Uśmiechnął się i stwierdził, że nie ma powodu do obaw. Dziewczyna mówi tylko po malajsku, a poza tym nie jest muzułmanką.

- Jest dziewczcą - wyjaśnił, ponownie się uśmiechając - co samo w sobie stanowi pewną mistyczną religię.

Stojąc przy ciemnym oknie swojej sypialni, Hawke popijał wodę, a jego umysł zajęty był rozważaniem najróżniejszych wątpliwości, wynikających z pomysłu Pritcharda. Stary człowiek naszkicował zarys całej operacji. Hawke mógł go sobie wyobrazić siedzącego tu, w swojej pustelni nad rzeką, i noc po nocy planującego podstępna i wyrafinowaną kampanię przeciw najbardziej żywotnej i agresywnej religii świata. Chodziło o wykorzystanie słabości islamu, o wyodrębnienie tych jego cech, które były najbardziej podatne na działanie nowoczesnych metod, z zastosowaniem najnowszej technologii. Pritchard twierdził, że islam jako światopogląd odstręczał od myślenia innowacyjnego, a więc od nauki. Pod tym względem osiągnął stan porównywalny z hiszpańską inkwizycją. Fundamentalisci obawiali się wszelkich odstępstw od ustalonych norm. Dlatego islam nakierowany jest w głąb, ku sobie, wraca do swych źródeł, poszukuje teologicznej czystości, a wystrzega się zmian.

To właśnie, w połączeniu z mistycznym żarem tej religii i powszechną wiarą w nadejście nowego proroka, Mahdiego, stanowiło istotę strategii Pritcharda.

Hawke nie przegapił kryjących się w tym wszystkich pułapek.

- A co, jeśli ten plan zostanie ujawniony? - zapytał.

Reakcja krajów Bliskiego Wschodu byłaby druzgocąca. Dostawy arabskiej ropy zniknęłyby szybciej niż znika uśmiech z twarzy dziwki, kiedy poczuje w ręku zapłatę.

Pritchard uśmiechał się, kiwał głową i krytycznie przyglądał się swemu gościowi. Na koniec zapytał, jak brzmi pierwsza zasada, którą musi sobie przyswoić każdy agent wywiadu.

Hawke zastanowił się, przebiegając myślą dwadzieścia lat swych zawodowych doświadczeń, aż Pritchard sam, zniecierpliwiony, odpowiedział na swoje pytanie:

- Zawsze starać się, by kto inny firmował nasze akcje. Jeśli sprawy przybierają zły obrót - wypieramy się wszelkiej odpowiedzialności i znikamy, czekając aż ucichnie wrzawa.

Hawke skinął głową. Zgoda, a więc kto w tym przypadku miałby być ewentualnym kozłem ofiarnym?

W tym momencie uśmiech Pritcharda przybrał wyraźnie sardoniczne zabarwienie.

- Istnieje dwóch kandydatów - rzekł. - Izraelczycy i Brytyjczycy.

Bardzo skrupulatnie rozważył całą sprawę i ostatecznie wypadło na Brytyjczyków.

Jego argumentacja brzmiała bardzo logicznie. Po pierwsze, Mosad, wywiad izraelski, słynął z przebiegłości oraz, nie da się ukryć, cynizmu. Nie ma mowy, żeby pozwolili się wykorzystać.

Jeśli operacja zakończy się sukcesem, mogą nawet odstąpić od wszelkich zobowiązań i ewentualne korzyści zagarnąć dla siebie. Brytyjczycy natomiast idealnie nadawali się na wykonawców tego

rodzaju przedsięwzięcia. Przypisywali sobie wyjątkową znajomość

“Arabii”. Żywili romantyczne iluzje co do własnej roli w historii Bliskiego Wschodu. Bez końca powoływali się na zasługi Lawrence’a i Burtona. To dziwne, zauważył Pritchard, jak mieszkańców kraju o tak wstrętnym, wilgotnym klimacie ożywiała tęsknota za pustyniami Arabii. Istotne jest również to, że w przypadku ujawnienia całej intrygi, państwa islamskie niewiele mogły zrobić Brytyjczykom. Mieli przecież swoje złoża ropy na Morzu Północnym, które powinny im wystarczyć na co najmniej dwadzieścia lat. I wreszcie współpraca z nimi umożliwiała Amerykanom sprawowanie nadzoru nad całością operacji.

Tu Hawke wysunął pewne obiekcje. Jak większość funkcjonariuszy wywiadu amerykańskiego, był bardzo podejrzliwy w stosunku do swych brytyjskich sojuszników.

Owszem, mieli sukcesy podczas wojny i wkrótce po niej, ale obecnie ich tajne służby znajdowały się w opłakanym stanie. Obcy agenci czuli się u nich równie pewnie jak na korytarzach ambasady sowieckiej. “Philby, Burgess, MacLean, Yassall, Blunt - wyliczał na palcach Hawke - i tylko Bóg i KGB wiedzą, ilu jeszcze dotąd nie wykrytych”.

Pritchard był innego zdania. Uważał, że zwłaszcza MI-6, wywiad brytyjski działający poza granicami kraju, był stosunkowo pewny, po czystce dokonanej w latach siedemdziesiątych. Będą chcieli poprawić swoją pozycję w oczach sojuszników i konkurentów z całego świata i gorliwie skorzystają z okazji włączenia się do tak prestiżowej akcji. Ich pozycja była ostatnio silniejsza dzięki stanowczej polityce brytyjskiej pani premier.

Pritchard ujął to dość dosadnie, mówiąc, że Żelazna Dama ma dość jaj, żeby poprzeć każdy plan mający na celu zwiększenie bezpieczeństwa Wielkiej Brytanii - nieważne jak ryzykowny.

Hawke nie czuł się przekonany, ale ostatecznie była to kwestia czysto akademicka.

Nie wyobrażał sobie, jak cały ten projekt, choć niezwykle przemawiający do wyobraźni, mógłby przedstawić dyrektorowi, a co dopiero prezydentowi.

Miał także wątpliwości co do lojalności starego szpiega. Po zastanowieniu, przypomniał sobie wszystko, co wiedział o Pritchardzie, doszedł do wniosku, że można liczyć jedynie na jego lojalność wobec samego siebie i niemal artystyczne zamiłowanie do uprawnianego zawodu. Sam fakt, że po przejściu na emeryturę, Pritchard skrył się na tym odludziu, budując własny, kręcący się wokół niego światek, zdawał się świadczyć o zerwaniu wszelkich więzów z przeszłością. Dawne emocje przeminęły, pozostał cynizm i upodobanie do intelektualnie wyrafinowanych spekulacji.

Pritchard popijał koniak, nie przerywając milczenia. Hawke też milczał, zadumany, próbując wyobrazić sobie, jak brzmiałby hipotetyczny raport, który mógłby przedstawić dyrektorowi. W myśli odpierał oczywiste, łatwe do przewidzenia obiekcje. Zastanawiał się nawet nad konsekwencjami, jakie dla jego własnej kariery mogło mieć powodzenie - lub klęska - tego planu. Pritchard pogrążył się we własnych myślach i, wpatrując się w rzekę, machinalnie głaskał ramię sennej Malajki.

Hawke pierwszy się otrząsnął. Odsunął krzesło i wstał, dziękując gospodarzowi za niezapomniany

wieczór. Pritchard nie odpowiedział; skinął jedynie głową, a Hawke rzuciwszy krótkie “dobranoc” skierował się ku siatkowym drzwiom wiodącym w głąb domu.

W ostatniej chwili zatrzymał go głos starego.

- Jeśli miałby pan przekazać moje sugestie dalej, musi pan wiedzieć, że istnieje pewien człowiek, który mógłby tego dokonać.

Hawke cofnął się o krok, wracając w krąg światła wokół stołu. Był to znaczący ruch - górę wzięło pragnienie uczynienia fantazji mniej nierealną.

- Nazywa się Gemmel - rzekł Pritchard. - Peter Gemmel. Jest zastępcą naczelnika wydziału operacyjnego MI-6, arabistą. Zna go pan może?

Hawke zaprzeczył ruchem głowy.

- Może to i lepiej - ciągnął Pritchard. - To jeden z nowych ludzi, jeszcze nie zepsutych. Taka nowa rasa - stary człowiek uśmiechnął się. - Nie studiował nawet w Oxford czy Cambridge. Ale jest bystry i twardy, spodobałby się panu.

- A jego ojciec? - spytał Hawke. - Czy też był arabistą?

Pritchard wybuchnął śmiechem. Stłumionym, piskliwym śmiechem oznaczającym akceptację. Jego gość po raz pierwszy okazał dowcip i refleks. Dziewczyna otworzyła oczy i zachichotała, bezmyślnie wtórując staremu szpiegowi.

Pritchard umilkł i wolno pokręcił głową.

- Nawet pan, panie Hawke, nie winiłby ojca za grzechy jego syna. Ale jeśli to pana uspokoi, ojciec Gemmela był, o ile wiem, górnikiem. Mówiłem, że to nowa rasa.

Hawke skinął głową, odwrócił się i wszedł do domu.

Opróżnił szklanę, a następnie przygotował sobie nową porcję wody z lodem.

Wspomnienie ostatniej wymiany zdań z Pritchardem mile połechtало jego próżność. Końcowa uwaga na temat ojca Gemmela miała dowieść Pritchardowi, że nie był ignorantem ani w sprawach arabskich, ani w tym, co dotyczyło wywiadu brytyjskiego. Pritchard wspomniął o Philbym. Kim Philby był najbardziej chyba kłopotliwym zdrajcą w historii brytyjskich tajnych służb, “śpiochem” pracującym dla KGB, który zburzył całą konstrukcję powojennego MI-6. Tak się złożyło, że ojciec Philby’ego, St. John Philby, był znanym uczonym, autorytetem w dziedzinie kultury arabskiej. Niemniej, zamyślił się Hawke, Pritchard miał

rację - za grzechy syna nie można winić jego zmarłego ojca.

Jakiś ledwo uchwytny szmer sprawił, że Hawke odwrócił się od okna. Drzwi do pokoju uchyliły się

powoli. W półmroku pojawiła się w nich postać dziewczyny. Weszła do środka i wtedy Hawke zauważył, że niesie przed sobą małą, srebrną tacę. Na niej leżał ciasno zwinięty, biały ręcznik. Dziewczyna postawiła tacę na stole, strzepnęła ręcznik i zbliżywszy się do stojącego bez ruchu Amerykanina zaczęła delikatnie wycierać jego twarz. Ręcznik był

wilgotny i lodowato zimny. Dziewczyna przetarła nim oczy i płatki uszu mężczyzny, a potem zsunęła dłonie na jego obnażoną pierś. Po chwili, łagodnie uśmiechnięta, odłożyła ręcznik na tacę i podeszła do łóżka. Ściągnęła nakrochmalone prześcieradło, rozluźniła swój sarong i pozwoliła mu spłynąć do stóp. Jej niewyraźna sylwetka, złocista, nieruchoma, niczym zjawa majaczyła w mroku. Po raz kolejny tego wieczoru Hawke poczuł, iż traci poczucie rzeczywistości. Odstawił szklanę i zbliżył się ku dziewczynie.

Wiele miesięcy później - całe życie później - Hawke przypomniał sobie, że stary szpieg go oszukał; nie była dziewczyną.

Julia Hawke była kobietą impulsywną i nieco lekkomyślną, a przy tym nadmiernie energiczną, co czyniło z niej osobę niełatwą we współżyciu. Na jej plus trzeba zapisać fakt, że była świadoma swych wad i choć niezdolna nad nimi zapanować, bardzo starała się znaleźć dla nich jakąś przeciwwagę. Właśnie po raz kolejny przemierzała salon swego eleganckiego domu na przedmieściach Waszyngtonu, co chwila spoglądając na zegarek. Zdażyła już zadzwonić na lotnisko i wiedziała, że samolot jej męża wylądował pół godziny temu.

Załatwienie formalności paszportowych i przejazd czekającym nań samochodem Agencji nie potrwa długo - lada moment mąż powinien zjawić się w domu. Nigdy nie jeździła po niego na lotnisko ani też nie odprowadzała przed wyjazdem, ponieważ bardzo to przeżywała, a wiedziała, że wprawiało go to w zakłopotanie. Był człowiekiem niesłychanie skrytym i nie lubił okazywać swych uczuć nawet w obecności najbliższych przyjaciół.

Czekała więc z narastającym drżeniem, miała bowiem pewność, że z chwilą, gdy Morton przekroczy próg mieszkania - rozpęta się burza. Cały problem był dość złożony i w pewien sposób wiązał się z osobą jej ojca, bardzo bogatego przedsiębiorcy budowlanego z Houston w Teksasie. Julia była jedynaczką, toteż ojciec świata poza nianie widział i niczego jej nie odmawiał. W rezultacie, wstępując do college'u była bardzo zepsutą pannicą. Zarazem jednak była wysoką blondynką, piękną i pełną życia, i Morton Hawke, student trzeciego roku nauk politycznych, musiał w pocie czoła przez osiem miesięcy zabiegać o jej rękę.

Ostatecznie zgodziła się zostać jego żoną. Byli dobrym małżeństwem; po dwóch latach urodziła mu syna, rok później drugiego. Obaj wyrosli na inteligentnych, przystojnych i nietuzinkowych młodych ludzi.

Jedynym źródłem zgrzytów w tym tak dobranym stadle był jej ojciec, który w zięciu widział nie syna, lecz jedynie tło dla ukochanej córki. Morton Hawke wywodził się z dość pospolitego środowiska. Jego dziadek był blacharzem w jednej z fabryk w Detroit; ojciec pracował w tym samym zakładzie, gdzie dochrapał się stanowiska kierownika linii produkcyjnej. W ich domu nigdy nie brakowało pieniędzy, ale też nie było ich w nadmiarze, toteż Morton od dziecka przyzwyczajony był do oszczędności. Do college'u dostał się dzięki stypendium sportowemu. Po pierwszym roku tak dalece zasmakował w życiu akademickim, że niemal wyłącznie skoncentrował się na studiach. Aż do chwili poznania Julii. Wychowanie uczyniło zeń człowieka cokolwiek surowych zasad i po tym, jak Julia przyjęła jego oświadczenia, nie omieszkał zaznaczyć, że po ślubie zamierza sam utrzymywać rodzinę, będą więc musieli żyć na miarę swych możliwości. Bardzo zakochana i kompletnie nieświadoma znaczenia słowa "oszczędność" Julia z entuzjazmem zaakceptowała tę sytuację. Jej ojciec, oczywiście nie. Bardzo przy tym polubił Mortona Hawke'a i mimo nienadzwyczajnego pochodzenia zięcia, błogosławił młodą parę.

Kłopoty zaczęły się od ślubnego prezentu - niewielkiego, lecz pięknie umeblowanego domku w jednej z lepszych podmiejskich dzielnic Houston. Kiedy Julia z drżeniem serca opowiedziała o tym Mortonowi, ten tylko zazgrzytał zębami i pobiegł do jej ojca, by w burzliwej dyskusji wyłożyć mu swoje zasady. Stary, kuty na cztery nogi Teksaszczyk ostatecznie ustąpił, przekonany, że chodzi o

przelotny kaprys młodego, nadmiernie ambitnego człowieka. Tak więc Morton i Julia wprowadzili się do maleńkiego mieszkania na czwartym piętrze pozbawionego windy budynku w jednej z mniej sympatycznych dzielnic Houston.

Morton osobiście wykończył mieszkanie i urządził niewielką kuchnię. Lubił prace domowe.

Odpoczywał, malując ściany czy zajmując się drobną stolarką i lubił oglądać rezultaty swoich wysiłków. Julia uznała ich gniazdko za miłutkie i szybko nauczyła się gotować, obsługiwać staroświecką pralkę i prasować koszule męża. Nawet jeśli od czasu do czasu dokuczała jej ciasnota mieszkania i nieciekawi sąsiedzi, fascynacja nowym doświadczeniem bycia mężatką oraz szczerą miłość, jaką żywili do siebie, podtrzymywały ją na duchu. Optymizm podpowiadał jej, że wkrótce Morton ukończy studia, znajdzie dobrze płatną pracę i będą mogli prowadzić życie, do jakiego przywykła. Wierzyła także, że z czasem Morton zrobi się mniej zasadniczy i będzie skłonny skorzystać z pomocy teścia.

Niestety, teść nie był człowiekiem cierpliwym. W trzy miesiące po ślubie Morton, wróciwszy z zajęć, zastał przed domem grupę dzieciaków z sąsiedztwa podziwiających nowiutkiego, jasnozielonego, sportowego MG- prezent taty dla jego małej dziewczynki. Nie obyło się bez łez, kiedy samochód został odesłany, ale Morton był nieugięty i takim pozostał

przez wszystkie późniejsze lata. Prosto z college'u został zwerbowany do CIA, ale w okresie szkolenia pracownicy Agencji nie zarabiali zbyt dużo. Przez następne sześć lat młodzi małżonkowie, a niebawem także rodzice, przeprowadzali się z miasta do miasta, żyjąc w niezmiennie skromnych warunkach, a tymczasem ojciec Julii nie ustawał w wysiłkach, by doprowadzić do zmiany sytuacji. Ze zdziwieniem przyjął odmowę Mortona podjęcia wysoko płatnej pracy w jego firmie, chociaż posiadanie zięcia-szpiega dodawało mu pewnego splendoru w gronie klubowych przyjaciół. Problem nie zniknął nawet wtedy, gdy Morton zaczął awansować i jego zarobki poprawiły się. Ojciec Julii uważał, że nawet pensja dyrektora Agencji to nie dość, by zapewnić jego małej dziewczynce warunki, na jakie zasłużyła. Tymczasem matka Julii rozumiała i aprobowała nastawienie Mortona i robiła, co mogła, by łagodzić gniew męża w sytuacji, gdy nawet kosztowne prezenty dla wnuków bywały zwracane. "Nie więcej niż pięćdziesiąt dolarów", zastrzegł Morton, na co teść z pełnym oburzenia zdziwieniem zagrział:

- Pięćdziesiąt dolarów? To nie wystarczy nawet na jeden wieczór w Lubbock w Teksasie!

Mężowskie przywiązanie do zasad stanowiło jedną z dwu chmur na skądinąd czystym niebie rodzinnego życia Julii. Na szczęście Morton zaczął po pewnym czasie odnosić sukcesy w pracy, dobił się najwyższych stanowisk w Agencji i mógł sobie pozwolić na kupowanie jej droższych ubrań czy - nie za często - jakiejś biżuterii. Drugą chmurą był jego nieposkromiony zapał do majsterkowania. Przepadał za drobnymi robotami domowymi, sam wszystko naprawiał, i co dwa lata osobiście odnawiał i urządzał całe mieszkanie. Problem polegał na tym, że wbrew najlepszym chęciom Mortona, cała ta jego robota była najzwyklejszą amatorszczyzną. Zapał i wiara we własne siły wystarczały, gdy chodziło o maleńkie mieszkancko młodożeńców, ale nie w przypadku apartamentu o czterech sypialniach w Waszyngtonie. Przyjaciele Julii pokpiwali z niej, sugerując na przykład, że jej mąż powinien porzucić szpiegowski fach i zostać dekoratorem wnętrz. Na koniec Julia zbuntowała się i kiedy Morton wyjechał w podróż służbową po południowo-wschodniej Azji,

wezwała jednego z najlepszych projektantów wewnątrz w Waszyngtonie i przemeblowała mieszkanie od góry do dołu. Od nowych zasłon, dywanów i żyrandola w jadalni, po kafelki w łazience i całkowicie nowe urządzenie kuchni. W połowie dzieła, przerażoną w chaosie gorączkowych prac Julię, zaczęły nękać niedobre przeczucia, zwłaszcza że dokonane przez projektanta wstępne wyliczenie kosztów okazało się zdecydowanie zbyt optymistyczne. Jej starszy syn, wróciwszy do domu z uczelni, pokręcił tylko głową i powiedział:

- Mamo, staruszek wyjdzie z siebie, jak to wszystko zobaczy.

Było to powiedziane z uśmiechem, ale Julia wiedziała, że syn ma rację. Jeśli miała jeszcze jakieś wątpliwości, to wyzbyła się ich, kiedy przedstawiono jej końcowy rachunek.

Na domiar złego przypomniała sobie, że przed wyjazdem Morton z ogniem w oczach zawiadomił ją, iż pierwsze, co zrobi po powrocie, to weźmie się za remont mieszkania.

Na podjeździe przed domem zachrząściły opony samochodu. Julia gwałtownym ruchem otworzyła drzwi i wyszła na ganek. Kierowca Agencji otwierał właśnie tylne drzwi wozu i po chwili z ciemnego wnętrza wygramolił się Morton z walizką w dłoni. Uśmiechnął

się do niej i pomachał ręką. Zamienił jeszcze kilka słów z kierowcą i już wbiegał po schodach, by objąć ją i ucałować gorąco. Zdecydowała, że nic mu na razie nie powie.

Zaczeka, aż sam wszystko zobaczy. Objęci w pół, weszli razem do domu.

- Jak podróż, kochanie?

- W porządku, ale cieszę się, że jestem już w domu.

- Zmęczony?

Przycisnął ją mocniej do swego boku.

- O, tak. Ale przez tę zmianę czasu i tak pewnie nie będę mógł spać - mrugnięcie - o ile nie zmęczysz mnie jeszcze bardziej.

Minęli hol i przez szerokie drzwi weszli do salonu. Światło połyskiwało w kryształowych ozdobach nowego żyrandola.

- Przygotuję ci drinka. - Julia pośpieszyła do barku, nalała do szklanki ulubionej mężowskiej Canadian Club i odrobinę wody sodowej. Przyjął od niej szklankę i pociągnął

solidny łyk alkoholu.

- Jak sobie radziłaś? - zapytał. - Dużo miałaś roboty?

- Ee... tak, miałam trochę zająć. - Julia nie bardzo wiedziała, co się dzieje. Chodził po nowym, puszystym dywanie, mijał nowe, obite aksamitem meble, przed sobą miał ulubiony barek, który

kazała wyłożyć prawdziwym fornirem i, mimo że był człowiekiem niesłychanie spostrzegawczym, najwyraźniej niczego nie zauważył! Po chwili jednak zwrócił uwagę na zakłopotany, zaskoczony wyraz jej twarzy.

- Czy coś się stało? Z chłopcami wszystko w porządku?

- Tak, tak, nic im nie jest - odparła odruchowo. - Musisz być bardzo zmęczony, Mortonie. Czy niczego nie zauważyłeś?

A kiedy zamiast rozejrzeć się, jął uważnie wpatrywać się w jej twarz, wypaliła niecierpliwie:

- Pokój, rozejrzyj się po pokoju!

Niespiesznie rozejrzał się dookoła, a potem w milczeniu wypił kolejny potężny łyk whisky. Powolutku pokiwał głową.

- Myślałam, że może będziesz zbyt zajęty - zaczęła pośpiesznie. - Mówiłeś przecież, że mogą cię wkrótce wysłać na Bliski Wschód. - Przyglądała mu się z obawą, by na koniec zaśmiać się z ulgą, widząc jak na jego twarzy pojawia się nieco wymuszony uśmiech.

- Nie gniewasz się? - zawołała. - Naprawdę się nie gniewasz?

- Gniewam się jak diabli - odparł, kręcąc z niedowierzaniem głową - ale co ja teraz mogę zrobić? - W tym momencie w jego umyśle zrodziło się pewne pytanie. - Ile to kosztowało?

Chwyciła szklankę i wlała do niej kolejną porcję Canadian Club.

- Ile?

Wręczyła mu szklankę, nie zwracając sobie głowy dolewaniem wody sodowej.

- No wiesz, to była generalna przebudowa wewnątrz, nawet piętro i łazienki... i kuchnia...

- Ile!?

- Dwadzieścia trzy tysiące - wyszeptała.

Morton wziął głęboki oddech, ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć, otworzyły się drzwi salonu i weszli chłopcy. Ciepło, choć bez wylewności przywitali się z ojcem i zasypali go pytaniami na temat jego podróży. Musiał zaspokoić ich nienasyconą ciekawość, choć z oczywistych względów nie mógł mówić o wszystkim.

Po kolacji, w której przygotowanie Julia starała się włożyć maksimum uczucia, przeszli do sypialni i zanim Morton zdążył poruszyć drażliwy temat, został rozebrany i wciągnięty do łóżka. Przez następną godzinę Julia mogła mieć pewność, że nie kłótnie mu w głowie.

Tymczasem cała jej przebiegła strategia była właściwie zbędna. Od wyjazdu z Malezji Hawke był

całkowicie pochłonięty jedną sprawą. Jego wysiłki, by przestać myśleć o kolacji z Pritchardem, spełzły na niczym. Podczas długiego lotu z Tokio obejrzał dwa filmy, a w przerwie wdał się w interesującą rozmowę z pasażerem z sąsiedniego fotela, emerytowanym admirałem, którego zdecydowane poglądy na sprawy polityki obronnej najzupełniej zgadzały się z osądem Mortona. Wszystko na próżno; wciąż miał przed oczami tamten dom niczym świąteczna babka, ciemne rozlewisko rzeki, siebie, zasłuchanego w majestatyczne tony symfonii Beethovena i tego cynicznego starca o śnieżnobiałych włosach z jego porywającą wyobraźnią. Myśl o planie Pritcharda tłukła mu się po głowie, obijała się po zakamarkach umysłu niby piłka tenisowa podczas drugiej wymiany na korcie. Próbował sam siebie przekonać, że wszystko to bzdury, ale chwilę później łapał się na rozważaniu ewentualnych konsekwencji przyjęcia tego planu. I jawiły mu się jako coś niebywałego. Już wcześniej doszedł do wniosku, że Pritchardem powodowała wyłącznie pycha i potrzeba zawodowego sukcesu takiej miary, by mógł stać się ukoronowaniem pracy całego jego życia. Niemal wbrew własnej woli, jakby w wyniku osmozy, Hawke zaczynał przyswajać sobie motywację Pritcharda, traktować ją jak własną. Niemniej w dalszym ciągu myśl o przedstawieniu tego rodzaju projektu swemu pragmatycznemu dyrektorowi, budziła w nim zbyt wiele obaw.

Jutro po południu winien złożyć dyrektorowi raport z odbytej podróży służbowej; jak tylko sekretarka przepisze na maszynie rękopis znajdujący się w jego walizce. Niechże więc ten mecz tenisowy w jego głowie toczy się bez przeszkód jeszcze przez kilka dni. Później zdecyduje, co z tym fantem zrobić.

Na chwilę powrócił myślą do dziewczyny o migdałowych oczach i zrodziło się w nim poczucie winy. Z natury nie był uwodzicielem ani rozpustnikiem. Był jednak prawdziwym mężczyzną, a co za tym idzie, był czuły i wrażliwy na wdzięki niewieście. Jednocześnie był

człowiekiem głęboko lojalnym i to sprzeniewierzenie się własnym zasadom stało się źródłem owego poczucia winy, co w konsekwencji złagodziło jego reakcję na dokonane przez Julię zmiany w urzędzeniu domu. Morton szczerze kochał swoją żonę, choć faktem było, iż nieustannie wyprowadzała go z równowagi. Swoje dotychczasowe zdrady, a nie było ich wiele, okupił ciężkimi wyrzutami sumienia. Teraz, leżąc w łóżku z głową Julii na ramieniu, mimo jej czułych zabiegów zupełnie rozbudzony, czuł się zdecydowanie podle.

Julia, zwinięta w kłębek u boku męża, była zarazem szczęśliwa i zdziwiona. Z ulgą przyjęła spokojną reakcję Mortona na niespodziankę, jaką mu sprawiła. Wyczuła jednak, że jest czymś zaabsorbowany, wręcz nieobecny i zastanawiała się nad przyczyną jego stanu.

Podczas kolacji prawie nie mówił o swojej podróży. Ograniczył się do stwierdzenia, że w sumie była to udana wycieczka i zaczął wspominać znajomych, których poznała wiele lat temu. Doszła do wniosku, że trapi go coś innego i przelotnie błysnęła jej myśl o innej kobiecie. Szybko jednak ją odrzuciła. Uważała, że po dwudziestu dwóch latach małżeństwa dobrze zna swego męża. Nie dbała o jego grzeszki, dopóki o nich nie wiedziała. A zdawała sobie sprawę, że z jego powściągliwością i zasadami Morton nigdy nie dopuści do tego, by cokolwiek do niej dotarło. W tych sprawach, jak uważała Julia, im mniej się wie, tym lepiej.

Tymczasem jednak coś gryzło jej męża i miała nadzieję, że zechce z nią o tym później porozmawiać. Powoli Julia odpłynęła w sen.

Obudziła się o trzeciej nad ranem. Lampka na szafce nocnej była zapalona, a Morton odwrócony do niej plecami, siedział na krawędzi łóżka. Na szafce stały zwykle dwa telefony.

Jeden zwyczajny, do domowego użytku, i drugi- duży, zielony - mający bezpośrednie połączenie z Agencją. I przez ten aparat Morton właśnie rozmawiał. Słyszała, jak wydaje komuś polecenie, by rano, natychmiast po pojawieniu się dyrektora, przekazano wiadomość, że Morton Hawke chciałby spotkać się z nim w cztery oczy w bardzo pilnej sprawie. Należy poprosić dyrektora, by odwołał wszystkie inne spotkania aż do lunchu i by przed przybyciem Hawke'a akta Jamesa Vernona Pritcharda znalazły się na biurku szefa. Odłożył słuchawkę i wrócił do łóżka.

- Nie spałeś? - spytała Julia.

- Nie mogę zasnąć. Moja głowa pracuje jeszcze według czasu wschodnioazjatyckiego.

- Coś ci podać? Może weźmiesz coś na sen?

- Nie ma mowy - zaprzeczył zdecydowanie - rano muszę mieć zupełnie jasny umysł.

- Kłopoty?

Uśmiechnął się niewesoło.

- Nie, właściwie to nie kłopoty. Powiedzmy, że zaserwowałem i mam nadzieję, że nie będę musiał zejść z kortu.

Takie enigmatyczne sentencje Julia słyszała z ust męża wiele razy, tak więc poprawiła sobie poduszkę i najspokojniej w świecie zasnęła.

Przez czterdzieści minut dyrektor słuchał monologu Mortona, nie przerywając i nie zmieniając wyrazu twarzy. Kiedy ten umilkł, otworzył leżącą przed nim teczkę z aktami i przez kolejne dwadzieścia minut studiował je w milczeniu. Na koniec podniósł głowę i rzekł:

- Kieruję Agencją od sześciu miesięcy i przez ten czas słyszałem o różnych niedorzecznych pomysłach, ale żaden nie umywał się do tego. Szczerze mówiąc, Mort, gdyby ktoś inny przyszedł do mnie z czymś takim, to albo bym go wyśmiał, albo wysłał do naszego psychiatry.

Hawke poczuł rozdrażnienie. Nie z powodu wzmianki o psychiatrze, ani dlatego, że jego projekt nazwano niedorzecznym. Mówił dyrektorowi, że nie znosi, kiedy ktoś zwraca się do niego "Mort". Tymczasem dyrektor albo zapomniał, albo doszedł do wniosku, że jego pozycja pozwala mu nazywać każdego, jak mu się żywnie podoba. Wolny duch w Mortonie zaczynał stawać dęba.

- Ano, Dan - rzekł - jestem pewien, że w ciągu tych sześciu miesięcy miałeś okazję przekonać się, że prowadzenie agencji wywiadowczej to niezupełnie to samo, co kierowanie bankiem.

Daniel Brand był do niedawna prezesem jednego z największych banków w kraju i wiernym poplecznikiem aktualnego prezydenta. W nagrodę za swe poparcie otrzymał intratną posadę dyrektora CIA. Wysłuchał teraz uwagi swego najbliższego współpracownika - ale także, było nie było,

podwładnego - przez chwilę wpatrywał się weń nieruchomym wzrokiem, wreszcie uśmiechnął się.

- Pierwsze, czego się tu dowiedziałem, Mort, to, że jest z ciebie kawał wrednego sukinsyna. - Dyrektor robił wrażenie szczerze rozbawionego. - Prawdopodobnie dlatego cię lubię i chyba dlatego wysłuchałem tego zwariowanego pomysłu.

- Nie jest taki zwariowany, jak się może wydawać. Moja pierwsza reakcja była podobna, ale przez ostatnie siedemdziesiąt dwie godziny o niczym innym nie myślałem.

- Masz dwudziestoletnie doświadczenie w pracy wywiadowczej. Czy możesz powiedzieć, z pełnym przekonaniem, że to jest wykonalne?

- Tego nie jestem pewny - odparł Hawke. - Jeszcze na to za wcześnie. Ale uważam, że warto zająć się tą sprawą. Choćby na próbę.

Brand ponownie spojrzął na leżącą na biurku teczkę z aktami i postukał w nią palcem.

- Tu są akta tego faceta - powiedział. - Tego tak zwanego szpiega nad szpiegami, który siedzi gdzieś w dżungli otoczony służącymi i gigantofonami, prawdopodobnie zapija się dżinem i miewa halucynacje. Ale ponieważ przyszedłeś z tym do mnie i najwyraźniej nie żartujesz, musisz to wiedzieć inaczej. Albo może jesteś zbyt sentymentalny i masz słabość do szacownego weterana swojej profesji?

- Nie jestem sentymentalny, a Pritchard nie miewa halucynacji. I tak się składa, że nie pije dżinu tylko słodową whisky.

- A co z jego lojalnością? Co nim kieruje? Chodzi mi o jego osobistą motywację.

Hawke wzruszył ramionami.

- Na te pytania niełatwo odpowiedzieć. Sam się nad tym ciągle zastanawiam. Sądzę, że Pritchard jest lojalny wyłącznie wobec siebie i własnych zasad. Dowodzi tego całe jego życie. Wszystko, co dotąd robił. A co do motywu, może być nim duma. Facet wpadł na niezwykle pomysł, a należy do ludzi, którzy lubią widzieć, jak ich pomysły zmieniają się w rzeczywistość.

Brand nie wyglądał na przekonanego.

- Coś w rodzaju ukoronowania własnej kariery?

- Właśnie. Prawdę mówiąc, Dan, na podstawie tych akt nie da się wyrobić właściwego pojęcia o Pritchardzie. Trzeba go poznać, porozmawiać z nim. On ma bardzo oryginalne spojrzenie na wiele spraw. Myśli w taki sposób, jakby był naukowcem, na przykład matematykiem, któremu sprawia przyjemność rozwiązywanie skomplikowanych równań.

- Mógłbym się zgodzić z takim podejściem - powiedział Brand. - Wierz mi, nie mam nic przeciwko odrobinie spekulacji w naszym interesie. Pytanie brzmi: jeśli Pritchard jest lojalny tylko wobec siebie, dlaczego przyszedł z tym pomysłem do nas? Dlaczego nie do Brytyjczyków albo nawet

Rosjan? Sam mówiłeś, że niedawno widział się z Kozłowym.

- Owszem - przyznał Hawke. - To samo pytanie zadałem Pritchardowi. Odpowiedział, że Rosjanie spartaczyliby całą robotę i zanadto rzucaliby się w oczy. Poza tym, wszystko odbędzie się prawdopodobnie na terytorium Arabii Saudyjskiej, a tam my mamy o wiele lepszą pozycję niż oni. Co do Brytyjczyków, to po prostu nie mają pieniędzy.

- Ale padła propozycja użycia ich jako wykonawców i, jeśli sprawy przybiorą zły obrót, kozła ofiarnego. Jak Anglik mógł coś takiego zaproponować?

- Nie ma w tym nic dziwnego. - Hawke pokręcił głową. - Jak powiedziałem, Pritchard poczuwa się do lojalności jedynie wobec własnych przekonań. Pracował dla Brytyjczyków, bo mu to odpowiadało. Kiedy indziej pracował dla innych, bo akurat tam widział swój interes.

On wie, co robi. Jeśli damy się przyłapać ze spuszczoneymi portkami, reperkusje będą niesamowite.

- I myślisz, że Brytyjczycy na to pójdą? A jeśli nawet, to czy to będzie bezpieczne?

Ich wywiad jest nafaszerowany obcymi agentami. Co drugi to sowiecki śpioch.

Hawke czuł, że dyrektor zaczyna się przekonywać do jego projektu. W każdym razie zainteresował się mechanizmem jego realizacji.

- Tak, myślę, że Brytyjczycy pójdą na to - w głosie Mortona dało się wyczuć rzadki u niego entuzjazm. - W tej chwili rządzą u nich rozsądni ludzie. A jeśli chodzi o MI-6, mamy do nich całkowite zaufanie. W ciągu minionych dziesięciu lat przeprowadzili u siebie gruntowną czystkę. Sowiecka infiltracja dotyczyła głównie ich kontrwywiadu, MI-5, a ci w żaden sposób nie będą wciągnięci w tę sprawę. Pritchard wspominał o facecie nazwiskiem Gemmel. To zastępca naczelnika wydziału operacyjnego MI-6. Dziś rano zażądałem jego akt.

Wygląda na odpowiedniego człowieka. Jest przy tym arabistą i nie ma żadnych powiązań z brytyjskim establishmentem.

Dyrektor zerwał się ze swego krzesła i jał przemierzać tam i z powrotem rozległy gabinet.

- Spróbujmy porównać ryzyko związane z podjęciem tej operacji z jej ewentualnymi rezultatami. Jeśli owo ryzyko uda się zminimalizować, pozwalając, by to Brytyjczycy nadstawiali karku, sprawa wydaje się oczywista, bo przewidywane korzyści mogą być ogromne. Widziałeś nasze ostatnie opracowanie dotyczące źródeł energii, które przedstawiliśmy prezydentowi? Saudyjczycy są zdecydowanie przeciwni naszym posunięciom oszczędnościowym i gromadzeniu rezerw ropy. Nasz program konwersji paliwowej zmierzający do zastąpienia ropy węglem czy próby wydobywania ropy ze złóż bitumicznych - to wszystko czysta fantazja. Arabowie mają nas w garści i zanim znajdziemy jakieś rozwiązanie, może być bardzo źle. Nie godzą się na nasze bazy wojskowe w rejonie Zatoki, a jeśli, chodzi o Arabię Saudyjską... Prawda jest taka, że jeśli u nich coś pójdzie nie tak i będą musieli przerwać eksport ropy, to USA grozi krach, przy którym nasz Wielki Kryzys wyda się ekonomicznym boomem. - Dyrektor zatrzymał się i spojrzał na Hawke'a. -

Tak więc, choć ten pomysł wydaje się niedorzeczny, w przypadku powodzenia, daje nam szansę zachowania wpływów na tym obszarze.

Hawke milczał. Wiedział już, że dyrektor gotów jest ruszyć we wskazanym przezeń kierunku.

Brand znów zaczął spacerować po pokoju.

- Pozostaje kwestia przekonania prezydenta, a potem, utrzymania Kongresu z dala od tej sprawy. - Brand mówił teraz jakby do siebie. - Przede wszystkim muszę na swoją stronę przeciągnąć Cline'a. Prawdopodobnie mógłbym namówić prezydenta, ale on liczy się ze zdaniem Cline'a nie mniej niż z moim, może nawet bardziej. Jeśli Cline będzie przeciw, prezydent pójdzie za jego radą.

Słowa dyrektora dotyczyły Gary'ego Cline'a, doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, człowieka znanego ze swego cynizmu, przebiegłości i krwiożerczej bezwzględności w dążeniu do własnych celów. Brand ponownie poruszył temat stosunków z Kongresem.

- Chyba nie ma co liczyć na formalną zgodę komisji kontroli wywiadu. Trzeba to będzie załatwić nieoficjalnie, może z Samem Doole'm. Ostatnio lekko popuścili nam cugli, ale w jego komisji są ludzie, którzy podnieśliby straszny raban, gdyby dowiedzieli się, że CIA jest zamieszana w próbę obalenia religii.

W tym miejscu wtrącił się Hawke.

- Przynajmniej moglibyśmy liczyć na moralne poparcie większości narodu.

- To na pewno. - Brand uśmiechnął się nieco szyderczo. - Nie mieliby nic przeciwko temu, żeby obrzucić atomówkami wszystkie po kolei kraje islamskie na Ziemi. Niemniej problemem jest nadal opinia Kongresu. I zwłaszcza Cline'a.

- Czy mam złożyć pisemny raport w sprawie projektu Pritcharda? - zapytał Hawke.

- Do diabła! Nie! - Brand gwałtownie potrząsnął głową. - Niczego na piśmie.

Absolutnie niczego. Spróbujemy wy badać sytuację, ostrożnie i powoli, a jeśli zobaczymy zielone światło, pojedziesz do Londynu porozmawiać z przedstawicielami MI-6. Ale nikt, powtarzam, nikt, nie może usłyszeć słowa na temat tego projektu. - Spojrzał na zegarek. -

Zorganizuję spotkanie z Cline'em i najpierw zbadam jego reakcję. Wtedy będziemy wiedzieli, jak daleko możemy się posunąć.

Hawke podniósł się i ruszył do wyjścia. Prawie w drzwiach odwrócił się i spojrzał na szefa.

- A co z moją podróżą na Bliski Wschód? Mam tam jechać w najbliższych tygodniach.

Brand stał na środku swego gabinetu i kołysał się na obcasach.

- Jutro o tej porze będę znał odpowiedź Cline'a, wtedy zobaczymy.

Hawke odwrócił się i już miał wyjść, kiedy dyrektor odezwał się raz jeszcze.

- A przy okazji, to w sumie niezły pomysł. Cieszę się, że nie zwlekałeś i przyszedłeś z tym do mnie. Dobra robota, Morton.

Na twarzy maszerującego do swojego biura Hawke'a pojawił się szeroki uśmiech.

Wicher nadciągnął z północy. Przeleciał ponad szczytami Pirenejów i, wciąż nabierając mocy, wtargnął nad Morze Śródziemne. W pobliżu Majorki osiągał już w porywach prędkość pięćdziesięciu węzłów. I ten właśnie wiatr sprawił, że Xavier Sansó czuł

się bardzo nieszczęśliwy.

Siedział w zatłoczonym barze “Club de Mar” w Palma de Mallorca i popijając brandy Soberano, dokonywał w myślach przeglądu resztek swojej załogi.

Xavier miał w życiu wiele pasji - rozległe interesy, żonę i dzieci, ogromne piwnice win, liczne przyjaciółki - ale ponad wszystko kochał regaty jachtów.

Nieopodal, u jednej z przystani klubu, szarpał się niecierpliwie na uwięzi słup “Sirah IV”, jego duma i miłość - szesnaście metrów wcielonego pędu. Zaprojektowany przez najlepszych specjalistów, “Sirah IV” zbudowany został w Barcelonie pod osobistym, krytycznym nadzorem Xaviera Sansó. Wyścigi jachtów to sport dla fanatyków - bogatych fanatyków - a Xavier lubił wygrywać. Jutro miał się odbyć start Pepe Tomas Trophy, wyścigu, którego trasa wiodła wokół wysp Tagomago i Cabrera i z powrotem do Palma. W

normalnych warunkach silny, porywisty wiatr cieszyłby Xaviera, “Sirah IV” uchodził

bowiem za jeden z najdzielniejszych jachtów w całej flocie. Xavier Sansó miał jednak kłopoty z załogą. Zwykł startować z dwunastoosobową obsadą; w tym co najmniej połowa silnych, młodych mężczyzn, którzy nie musieli mieć zbyt wiele oleju w głowie, ale zdolni byli ciągnąć liny i zmieniać żagle w każdych warunkach. On sam nie przemęczał się zbyt, a to z powodu wagi sięgającej stu czterdziestu kilogramów. “Jestem zarówno kapitanem, jak i balastem”, mawiał o sobie.

Tymczasem załoga była w rozsypce. Dwaj z jego młodych siłaczy pokłócili się i w bójce potłukli na tyle poważnie, że musieli spędzić kilka dni na lądzie. Następny wymknął się z domu bez wiedzy żony, aktualnie w ósmym miesiącu ciąży. I oto nie dalej niż godzinę temu w drzwiach baru pojawiła się brzuchata sylwetka i niesforny załogant został odholowany w rodzinne pielesze. Xavierowi zostało dziewięciu ludzi - ośmiu mężczyzn i dziewczyna; śliczna, o smutnych oczach, całkiem dobrze radziła sobie z wciągarką. Xavier lubił mieć przynajmniej jedną dziewczynę w załodze, kogoś, na kogo można popatrzeć w czasie flauty.

W tej chwili jednak przyglądanie się dziewczynie nie mogło rozwiązać problemu. Jeśli chciał zwyciężyć w najważniejszych regatach sezonu, musiał mieć na pokładzie kilku silnych mężczyzn.

Posępny wzrokiem spoglądał na rozbawiony tłum, wypełniający bar. Jeśli byli w nim jacyś żeglarze, to już dawno zamustrowali się na inne jachty. Reszta to zwykłe obiboki, niezdolne odróżnić knagi od topenanty. Xavier doszedł do wniosku, że o ile do rana siła wiatru nie spadnie do jedynki lub dwójki - nie ma dla niego nadziei. Westchnął i skinął na kelnera, aby podał kolejne Soberano.

Kac nie polepszy jutro jego sytuacji, ale też nic już nie mogło mu zaszkodzić.

Kelner stawiał właśnie przed nim kieliszek, kiedy Xavier spostrzegł mężczyznę w eleganckim, granatowym garniturze, wchodzącego do baru od strony jadalni. Nieznajomy bez trudu przecisnął się przez zbity tłum barwnych gości i stanął przed jego stolikiem.

- Senor Sansó?

Xavier skinął głową.

- Rozmawiałem właśnie z kelnerem na dole. Powiedział, że brakuje panu ludzi na jutrzejszy wyścig.

Głos obcego brzmiał niezwykle spokojnie. W sposób typowy dla Anglików połykał

końcówki, ale mimo zgiełku panującego w pomieszczeniu, każde jego słowo docierało do uszu słuchającego. Xavier ponownie skinął głową.

- Jestem tu na wakacjach - podjął Anglik - i trochę się nudzę. - Przerwał. - Jeśli potrzebny panu ktoś do załogi...

Xavier wyprostował się w krześle, wpierając brzuch w krawędź stolika. Reszta załogi przyglądała się ciekawie. Dziewczyna o smutnych oczach uniosła kieliszek i obrzuciła przybysza kpiącym spojrzeniem.

- To nie będzie przejażdżka dla przyjemności. - Xavier był brutalnie szczery. - Ścigam się, żeby wygrać, a prognoza przewiduje wiatr o sile pięciu do sześciu stopni.

Obcy wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

- Ma pan jakieś doświadczenie? - spytał Xavier.

- Jakie takie - odparł Anglik. - Dwa razy Sydney - Hobart, raz regaty na Morzu Południowo-Chińskim i jakieś przypadkowe wyścigi tu i tam.

Nieznajomy robił wrażenie całkiem niezmięsanego badawczym spojrzeniem ośmiu mężczyzn i dziewczyny. Stał swobodnie, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z twarzy Xaviera.

- Ile ma pan lat? - Ostрым tonem rzucone pytanie pochodziło od muskularnego młodzieńca siedzącego obok dziewczyny.

- Czterdzieści cztery.

- Szlag by trafił! - Młodzieniec uniósł wzrok do sufitu; potem zwrócił się do Xaviera. -

Potrzebujemy człowieka do pracy na pokładzie. Musi mieć dość krzepy, żeby przez dwadzieścia cztery godziny, mokry i zmęczony uwijał się przy żaglach. Po co nam pasażer?

- Jaime! - strofującym tonem ozwała się dziewczyna, ale Jaime nie zwracał na nią uwagi.

- Potrzebny nam facet z krzepą! - powtórzył z naciskiem.

Xavier zaczął coś mówić, ale spojrzawszy na stojącego przed nim mężczyznę -

zamilkł. Obcy przyglądał się Jaime'emu. Było to dziwne spojrzenie; nie - groźne, gniewne, czy obraźliwe. Niemal beznamiętne, ale jakby odrobinę protekcyjne.

- Uważa się pan za silniejszego ode mnie? - Anglik mówił bardzo spokojnie, cicho i bardzo wyraźnie.

Jaime odchylił się na oparcie krzesła i krytycznie przyjrzał się sylwetce nieznajomego.

Miał przed sobą niewysokiego, niemal szczupłego mężczyznę w dobrze skrojonym garniturze, o krótkich, ciemnych włosach i wyrazistej, opalonej twarzy - oczy szare, wąskie, mocno zarysowane usta i podbródek naznaczony dołeczkiem.

Oczy Jaime przesunęły się na dłonie Anglika. Były również szczupłe, o długich palcach i starannie obciętych paznokciach. Jaime uśmiechnął się.

- Tak, myślę, że jestem silniejszy - rzekł pewnym siebie tonem.

- Udowodnij to.

Jaime wyprostował się, bo oto w pozbawionym dotąd wyrazu głósie obcego zabrzmiała groźba. Spojrzał na Xaviera, ale ten tylko wzruszył ramionami, zaś z wyrazu jego twarzy widać było, że zaczyna się dobrze bawić.

Jaime wyszczerzył zęby w uśmiechu i wskazał stolik przed sobą, opierając na nim łokieć prawej ręki.

- Spróbujemy się na ręce - rzekł. - U nas na Majorce to ulubiona rozrywka.

Siedzący naprzeciwko Jaime'ego jego kolega z załogi wstał i z szyderczym ukłonem zaoferował obcemu swoje krzesło. Po barze rozniósł się pomruk zaciekawienia i wokół

stolika ustawił się krąg gapiów. Nieznajomy usiadł i oparł łokieć na blacie. Dłonie zawodników złączyły się. Przez chwilę przebierali palcami, walcząc o pewniejszy chwyt.

- Jazda - rzucił wciąż uśmiechnięty Jaime; jego usta zacisnęły się, kiedy naparł na ramię przeciwnika. Wyraz twarzy obcego nie uległ najmniejszej zmianie. Jedyne jego oczy, wpatrzone prosto w twarz Jaime'ego, zwęziły się jeszcze bardziej.

Przez pełną minutę nic się nie działo.

Dwie dłonie, dwa ramiona, skamieniały w całkowitym bezruchu. Stopniowo żyły na szyi Jaime

zaczęły nabrzmiwać, w miarę jak wzrastał nacisk na dłoń Anglika; już parł z całej siły. Ręce na stoliku wciąż pozostawały w bezruchu.

- Jesteś gotowy?

Głos obcego zabrzmiał dziwnie chłodno, nie słychać w nim było ani śladu wysiłku.

Jaime powoli uniósł wzrok i spojrzał w szare oczy nieznajomego, a na jego twarzy pojawiło się zdumienie. Gdzieś obok zadudnił śmiech Xaviera. Szczupłe palce coraz mocniej zaciskały się na dłoni Jaime'ego. Twarz młodego mężczyzny wykrzywił grymas bólu, a jego ramię zadygotało z wysiłku. Rozległo się wyraźnie słyszalne chrupnięcie, a potem ostry trzask, kiedy wierzch dłoni Jaime'ego uderzył w blat stolika. Xavier odrzucił do tyłu głowę i zaniósł

się grzmiącym śmiechem. W barze zapanowała cisza, w której po chwili zabrzmiał chichot dziewczyny.

Jaime wolnym ruchem przyciągnął do piersi prawą rękę. Dotknął wykrzywionych, jakby porażonych palców, zamrugał i odwrócił się do Xaviera.

- Będziesz go potrzebował - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Zdaje się, że ten cano złamał mi rękę.

Z otchłani potężnego cielska Xaviera znowu wyrwał się ryk śmiechu.

- Jak się nazywasz? - spytał obcego.

- Gemmel - padła odpowiedź. - Peter Gemmel.

O świcie "Sirah IV" okrążył pomocny cypel Cabrery. Od wschodu, od strony czerwono wschodzącego słońca, wiał z wolna słabnący wiatr.

- Spinaker! - zachrypiał Xavier od koła sterowego. Obsługa foka, wszyscy okutani w ceratowe płaszcze, czepiając się uchwytów powlokła się na przód łodzi. Mieli za sobą koszmarną noc, wyjątkowo zimną, jak na tę porę roku: przez dziesięć godzin, od chwili opłynięcia Tagomago, wiał wiatr o sile siedmiu stopni, do tego był porywisty, powodujący nierówne, urywane fale. W porze psiej wachty kolejny z siłaczy Xaviera uległ wypadkowi.

Pośliznął się na wierzgającym niczym narowisty koń pokładzie i złamał rękę, uderzywszy w podporę pokładu. Xavier ani przez chwilę nie zamierzał wycofać się z wyścigu. Dziewczyna o smutnych oczach zabrała rannego pod pokład i tam, używając jako łubków listewek do usztywniania żagli, unieruchomiła złamaną kość i pomogła chłopakowi ułożyć się w koi po zawietrznej stronie kadłuba.

- Na nawietrzną go - warknął Xavier, spojrzawszy w głąb luku. - To do cholery wyścig; jeśli nie może utrzymać się na nogach, niech chociaż pracuje jako balast.

Tak więc młody człowiek przeniósł się na drugą stronę, gdzie leżał jęcząc, miotany przechyłami, podczas gdy przedzierali się na północ, płynąc baksztagiem, a potem, o świcie, zawrócili w drogę

powrotną. Reszta załogi zmieniła się w zmarznięte, przemoczone, żywe trupy i wtedy właśnie Xavier zarządził zmianę żagli. Od dwóch godzin wiatr stopniowo słabł i Xavier, zdecydowany wycisnąć co się da ze swojej łodzi, kazał podnieść wszystkie możliwe płótna.

Był nie tylko specem od wykorzystywania siły wiatru, ale i znawcą ludzi. Wiedział, że ich wytrzymałość ma swoje granice, i obserwując, jak mocują się ze spinakerem, zdawał

sobie sprawą, że jest to już ostatnia zmiana. Modlił się, aby wiatr się utrzymał i zaniósł ich do Palma Bay i linii mety.

Jedynie Anglik zachował jeszcze jakieś zasoby energii i reszta załogi, pochłonięta rutynowymi czynnościami poprzedzającymi stawianie żagli, podporządkowała mu się podświadomie i w milczeniu przyjmowała jego rozkazy. Zwinięty spinaker zwisał już z topu masztu. Dziewczyna klęknęła przy wciągarkie i zakręciła korbą. Drzewce wygięło się i z przeciągłym trzaskiem kolorowy żagiel wypełnił się wiatrem. "Sirah IV" ze zdwojoną szybkością gnał do mety.

Dziewczyna nie odchodziła od wciągarki, zajęta trymowaniem olbrzymiego balonu spinakera. Tylko Gemmel i Xavier byli w stanie przyglądać się jej pracy. Pozostali siedzieli bezwładnie na pokładzie z głowami zwieszonymi między kolanami. Xavier wyciągnął rękę, położył olbrzymią dłoń na ramieniu Gemmela i ścisnął je krótko - był to niezwykle u niego gest oznaczający podziękowanie. Dziewczyna uniosła wzrok i po raz pierwszy ujrzała uśmiech Gemmela. Całkowicie zmieniło to wyraz jego oczu i ust, rozjaśniając bladą ze zmęczenia twarz. Podskoki łodzi ustały, stosunkowo spokojnie płynęli teraz gnani pełnym wiatrem. Ucichły nawet jęki dochodzące spod pokładu. Xavier odwrócił się i spojrzał na rufę.

Zobaczył jedynie odległy zarys wyspy. Żadnych żagli. Uśmiechnął się do dziewczyny i powiedział:

- Jeśli uda mi się wygrać ten wyścig z połową załogi, nie będę trzeźwiał przez tydzień!

- Nie byłoby to nic nowego - zakpiła.

Gemmel podniósł głowę, słuchając jej głosu. Już wcześniej zwrócił uwagę na ten akcent.

- Jesteś Holenderką? - spytał.

Skinęła głową.

- Xavier miał rację - powiedziała. - Nie była to przejażdżka dla przyjemności. Po co my to robimy?

Odpowiedział jej Xavier.

- To tak jak z tym facetem, co nosił zawsze buty o dwa numery za małe. - Zaczekał, aż Gemmel spojrzał nań pytająco i ciągnął: - Kiedy zdejmował je na noc, były to jedyne przyjemne chwile w jego życiu.

Gemmel zaśmiał się.

- Nie masz innych przyjemności? - zapytał.

- Mnóstwo, przyjacielu, mnóstwo. - Xavier z zadowoleniem poklepał się po potężnym brzuchu. -
Dobre żarcie, dobre wino, piękne kobiety. Ale ja jestem żeglarzem. Nie muszę nosić ciasnych butów.

- A ty? - Dziewczyna spojrzała na Gemmela. - Czy też masz inne przyjemności?

- Owszem, kilka.

- Czym się zajmujesz, tam w Anglii? Pracujesz?

- Prowadzę badania dla dość nieciekawej instytucji państwowej.

- I dlatego pływasz? - wypytywała dziewczyna. - Żeby odreagować nudę pracy?

- Możliwe - odpowiedź Gemmela zabrzmiała lakonicznie, niemal szorstko, tak jakby chciał uniknąć dalszych pytań. Ale dziewczyna była ciekawa.

- Czy to wszystko, czym się zajmujesz? Praca i żeglowanie? Masz własną łódź?

Gemmel pokręcił głową.

- Nie. I nie żegluję zbyt często. W naszym klimacie przez większą część roku nie należy to do przyjemności. - Zawahał się i dodał: - Lubię balet. To coś w rodzaju mojego hobby.

- Tańczysz? Ty? - Xavier był szczerze zdumiony.

- Nie. Patrzę i słucham. To mnie odpręża i inspiruje.

Dziewczyna kręciła korbką wciągarki, pilnując, by wiatr dokładnie wypełniał brzuch spinakera. Po chwili ponownie odwróciła się i zapytała:

- Widziałeś kiedyś balet hiszpański?

- Jeszcze nie, ale mam zamiar zobaczyć. Słyszałem, że w środę występuje w Palma Antonio ze swoją trupą. Załatwiłem sobie bilet. - Przerwał. - Ty też się wybierasz?

- Właściwie nie planowałam tego - dziewczyna zawahała się i dodała: - ale chętnie bym poszła.

Gemmel spojrzał na Xaviera, który w odpowiedzi zerknął na zegarek i ponownie za rufę.

- Jeśli ten cholerny "Thodaheza" nie pojawi się zza Cabrery w ciągu dwóch minut, to, uwzględniając wyrównanie, jesteśmy pierwsi i do tego zgarniemy wszystkie honory na mecie.

- Spojrzał na Gemmela i uśmiechnął się z wyraźną satysfakcją. - Tak więc ja będę pił przez tydzień, a ty możesz zabrać dziewczynę na balet. Co mi tam, kupię wam nawet bilety!

Steward z "Club de Mar" przyglądał się z dala, jak "Sirah IV" przybija do brzegu.

Widział, jak sprowadzano z łodzi rannego mężczyznę i umieszczano w wezwanym przez radio ambulansie. Dostrzegł wyczerpanie niewielkiej załogi, widoczne w ich ruchach, kiedy zabrali się do klarowania pokładu. Daleko na morzu dostrzegł barwny spinaker "Thodaesa".

Wziął depezę przeznaczoną dla jednego z żeglarzy z "Siraha" i rzucił pod adresem barmana:

- Lepiej przynieś z piwnicy jeszcze jedną skrzynkę Soberano. Za jakieś dziesięć minut Xavier Sansó zechce się w nim wykąpać.

Następnie steward udał się do przystani. Załoga "Sirah IV" schodziła właśnie na ląd.

Worki z rzeczami żeglarzy ciskano na beton nabrzeża. Steward odszukał Anglika i wręczył mu depezę.

- Mr. Gemmel, to przyszło do pańskiego hotelu wczoraj w nocy; dziś rano przesłali to do nas.

Gemmel rozdarł kopertę i przebiegł wzrokiem tekst depezy. Dziewczyna przyglądała mu się w milczeniu.

- O której jest najbliższy lot do Londynu?

- O pierwszej czterdzieści pięć, sir.

Gemmel zwrócił się teraz ku dziewczynie.

- Przykro mi - powiedział - ale muszę polecieć tym samolotem.

Kąciki jej ślicznych ust opadły.

- Kłopoty?

- Nie. - Gemmel pokręcił głową. - To tylko mój szef. Pilnie potrzebuje mnie w Londynie.

Wolno pokiwała głową.

- Chodzi o te badania?

- Mniej więcej - odparł cicho.

Chwilę później pożegnał się z Xavierem i resztą załogi.

- Kiedy zechcesz, możesz przyjeżdżać i pływać z nami - oświadczył Xavier. - Kiedy tylko zechcesz. - Klepnął Anglika po ramieniu i ruszył w stronę baru.

Steward wezwał taksówkę i Gemmel odjechał, odprowadzany smutnym spojrzeniem dziewczyny.

Miał to być dyskretny lunch w jednej z najbardziej dyskretnych waszyngtońskich restauracji; przy tym

jednej z niewielu restauracji na świecie systematycznie sprawdzanych przez specjalistów od podsłuchu.

Miejscowy maitre d'hotel przechwalał się głośno, że karaluchy w jego kuchni zostały lepiej prześwietlone przez Tajną Służbę niż pchły z dywanów Białego Domu.

Trójka mężczyzn zasiadła przy odosobnionym stoliku w kącie sali. Ubrani byli w spokojne, klasyczne w kroju garnitury biznesmenów z krawatami o stonowanych barwach.

Pili Martini z lodem.

- To oczywiście całkiem nieoficjalne spotkanie - odezwał się jeden z mężczyzn.

- Oczywiście - potwierdził siedzący naprzeciw.

Trzeci popijał swoje Martini i tylko akceptująco skinął głową.

- Chodzi mi po prostu o wytyczenie kierunków dalszego postępowania - ciągnął

pierwszy rozmówca. Był niemłodym już mężczyzną, niezwykle precyzyjnym w sposobie wysławiania się. Po każdym łyku z kieliszka, skrupulatnie ocierał usta serwetką.

- Więc wytyczajmy! - rzekł ów siedzący naprzeciw niego. Mniej więcej w tym samym wieku, był jednak człowiekiem całkiem odmiennego typu. Tęgi, rumiany, posapywał lekko w przegrzanym pomieszczeniu. Otarł twarz granatową chusteczką i pociągnął solidny haust Martini.

Trzeci z obecnych był najmłodszy. Łysina na czubku głowy i krótka grzywka czyniły jego uczesanie podobnym do mnisiej tonsury. Spod skąpych brwi bystro spoglądały myślące oczy. Jego ręce były w nieustannym ruchu: przekładał sztucce na stole, obracał stale tkwiącego między palcami papierosa, strzepywał popiół z klap marynarki. Robił wrażenie człowieka, który lubi mówić i już sam fakt, że kogoś słucha, w jego przypadku stanowił

komplement. W tej chwili właśnie słuchał.

- To, co powiem, ma charakter całkowicie nieoficjalny.

- Na litość boską, Dan! - wykrzyknął rumiany mężczyzna. - Gdyby to było spotkanie oficjalne, siedziałbyś u mnie w Izbie albo ja w Langley. Chciałeś ubić interes bez rozgłosu, a więc zaprosiłeś mnie na ten lunch. Proszę bardzo, zaczynaj. Mam słabość do dobrego zarcia.

Skrupulatny uśmiechnął się i odparł:

- Sam, czasy się zmieniają. Poprzedni dyrektor nie mógłby nawet pomachać ci ręką przez ulicę, nie ryzykując wezwania na przesłuchanie przed komisją Izby Reprezentantów, transmitowane przez telewizję.

Rumiany zaśmiał się beztrosko.

- Nie jesteś politykiem - rzekł. - Musisz rozumieć ukryte przyczyny pewnych zjawisk.

Jeden z przywódców rewolucji francuskiej powiedział kiedyś: "Muszę wiedzieć, dokąd zmierza mój lud, bym mógł go tam zaprowadzić". Otóż jeśli chodzi o nas, Senat Stanów Zjednoczonych, wiemy od dawna, dokąd zmierza nasz lud. Ludzie głosują. Odrzucają porządną fację, a wybierają łajdaków. - Rumiany uśmiechnął się rozbrajająco. - A ponieważ chcą łajdaków, tacy się właśnie stajemy. No, a teraz wytyczajmy te twoje kierunki.

W przeciwnym kącie restauracji siedziały dwie starsze panie. Bardzo zadowolone w tej chwili panie. Obracały się na peryferiach waszyngtońskiego towarzystwa i często jadały właśnie w tej restauracji w nadziei spotkania jakiejś aktualnie "ważnej" osobistości, której nazwisko mogłyby - mimochodem - wymienić na jednym ze swych peryferyjnych przyjęć. I oto ich wytrwałość została szczerze nagrodzona, ponieważ trzech mężczyzn, o których mowa, byli to Daniel Brand, Sam Doole i Gary Cline; kolejno: dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, przewodniczący Senackiej Podkomisji do spraw Wywiadu i doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. Obie panie pławiły się w blasku bijącym od tych znakomitości.

- Nie spodoba ci się to, co usłyszysz - rzekł dyrektor.

- Dobrze, zobaczymy - odrzekł senator.

- Chcemy carte blanche.

- Będziesz mnie musiał cholernie długo do tego przekonywać.

Dyrektor wzruszył ramionami i spojrzał na Cline'a, oczekując poparcia. Nie zawiódł się.

- Ja jestem przekonany. - W tonie Cline'a, kiedy mówił do senatora, dało się wyczuć głęboki szacunek. - I przekonałem prezydenta, że nie tylko powinien dać dyrektorowi wolną rękę, ale także, by z czystej przeczności zaniechał wnikania w szczegóły.

Twarz senatora przybrała wyraz najwyższego zdumienia.

- Wiecie, co na to prezydent? - ciągnął Cline. - Otóż powiedział: "Nie chcę jakiejś nowej afery U-2". Zauważyłem, że jedyne, co zaszkodziło Ike'owi, to to, że musiał się przyznać, iż wiedział o całej sprawie. Prezydentowi to się spodobało. Zdecydował się na udzielenie odpowiednich pełnomocnictw.

Senator był pod wrażeniem i nie zamierzał tego ukrywać.

- Ano - rzekł - jeśli nie chcecie mieć na karku mojej Komisji, muszę wiedzieć o wiele więcej.

Brand i Cline wymienili porozumiewawcze spojrzenia: zanosilo się na łatwą transakcję. Doole, dopuszczony do poufnych informacji dających mu osobistą przewagę, będzie trzymał resztę swojej Komisji w błogiej nieświadomości.

- Otóż, sprawa wygląda mniej więcej tak... - zaczął Brand. Głowy mężczyźni pochyliły się nad stolikiem.

Starsze panie po raz trzeci zamówiły kawę. Nie zamierzały ruszyć się z miejsca, dopóki spotkanie w przeciwległym końcu sali nie dobiegnie końca. Najwyraźniej miała tam miejsce poważna dyskusja. Ilekroć do stolika zbliżał się kelner - rozmowa cichła, by po chwili niecierpliwego milczenia rozpocząć się na nowo, w momencie kiedy odchodził.

Dyrektor mówił najwięcej; ściszym, monotonnym głosem. Tylko raz starszym paniom wydało się, że rozróżniły jakieś słowo w szmerze dochodzącym od grupy mężczyzn. Było to w chwili, gdy senator odchylił się nagle w krześle i powiedział coś, co zabrzmiało jak "O

jasny gwint". Panie uznały, iż musiały się przesłyszeć.

Na koniec trzech mężczyźni wstali z miejsc i udali się do wyjścia, odprowadzani przez niezwykle uniżonego maître d'hotel. Minęli stolik pań, które uśmiechnęły się skwapliwie i jak na komendę kiwnęły głowami. Jedynie Sam Doole, jak przystało na polityka, odpowiedział

grzecznym ukłonem, dopełniając tym samym szczęścia, jakiego doznały w trakcie lunchu.

Na zewnątrz mężczyźni przystanęli pod pasiastą markizą. Do krawężnika podjechały trzy czarne limuzyny.

- Sądysz, że Angole to kupią? - zapytał Doole.

Dyrektor uśmiechnął się.

- My za to płacimy, więc chyba tak. Poza tym myślę, że ten pomysł przemówi do ich krętańskich umysłów. Perryman powiedział mi kiedyś, że przedkładają działania bazujące na pracy intelektu, nad babraniem się we krwi i flakach, do czego my mamy skłonność. Zdaje mi się, że było to trochę obraźliwe.

- Kto to jest Perryman?

Dyrektor ponownie musiał się uśmiechnąć.

- To aktualny szef MI-6; Brytyjczycy lubią trzymać takie rzeczy w tajemnicy. Tak czy inaczej, niedługo wszystkiego się dowiemy. Dziś w nocy Hawke leci na spotkanie z Perrymanem.

Przy każdej z limuzyn stał już umundurowany szofer, przytrzymując otwarte tylne drzwi. Doole pośpieszył w stronę swojego samochodu. Zatrzymał się, słysząc głos Cline'a.

- Jest pan teraz jednym z czterech, senatorze.

- Jakich czterech?

- Czterech ludzi, którzy znają jakiegokolwiek szczegóły całej operacji. My trzech i Hawke.

Doole był wyraźnie zadowolony z faktu znalezienia się w tak ekskluzywnym gronie.

Uroczyście skinął głową i zwrócił się do Branda.

- Muszę się zdeklarować, co? Nie martw się Dan, będę trzymał gębę na kłódkę. Dzięki za lunch. Informuj mnie o wszystkim na bieżąco, dobrze?

Brand przytaknął i Doole zniknął we wnętrzu swojej limuzyny. Odjechał, odprowadzany wzrokiem pozostałych dwóch mężczyzn.

- Przedsięwziąłeś odpowiednie środki bezpieczeństwa?

- Oczywiście - odparł Brand. - Nafaszerowaliśmy pluskwami telefony w jego biurze, mieszkaniu, mieszkaniu jego przyjaciółki, kurwidołku, gdzie bywa w każdy piątkowy wieczór, i trzech barach, gdzie zwykł pijać.

Cline uśmiechnął się.

- To musi być przyjemne - rzekł - kiedy człowiekowi zdejmą wreszcie krępujące go łańcuchy.

- O tak! - odpowiedział Brand z uniesieniem. - Nawet nie wiesz jak!

Idąc do swego samochodu, Cline odezwał się jeszcze przez ramię:

- Zawiadom mnie, kiedy Hawke złoży swój raport. Prezydent będzie chciał wiedzieć, czy mamy poparcie naszych sojuszników. - Już z wnętrza wozu, nim szofer zatrzasnął

drzwiczki, Cline dodał:- I to ostatnia rzecz, o jakiej będzie chciał wiedzieć, dopóki wszystko się nie skończy.

W niewykończonym budynku stacji benzynowej na przedmieściach Medyny bawiła się grupa chłopców. Puste otwory okienne i brak drzwi wprost zapraszały do gonitwy po pustych pomieszczeniach. Za godzinę pojawią się robotnicy i zabawa się skończy, ale na razie był wczesny ranek. Na całym świecie dzieci lubią bawić się na budowach i ci malcy nie stanowili wyjątku. Bawiono się w berka.

Najmłodszy z uczestników zabawy nazywał się Bahira, co znaczy "mnich", ale ruchliwość chłopca i zapał w psoceniu zdawały się przeczyć jego imieniu. Miał osiem lat i dopiero od niedawna wolno mu było bawić się ze starszymi braćmi i ich przyjaciółmi. Kulił

się teraz za stosem betonowych bloków, czujnie nadstawiając uszu, ponieważ najstarszy z jego braci został właśnie berkiem, a dać się złapać własnemu bratu byłoby jakoś głupio.

Wciąż nasłuchując, spojrzął na piaszczystą drogę wiodącą ku miastu, widoczne w oddali drzewa i krzaki, będące radością i dumą mieszkańców oazy. Uwagę chłopca przyciągnęła sylwetka mężczyzny - zbliżał się krocząc w jakiś szczególny sposób: wolno, lecz zdecydowanie, jakby wyruszył właśnie w długą podróż. Bahira nie miał pojęcia, dokąd można było iść drogą wiodącą do odległej o trzysta kilometrów Mekki. Mimo młodego wieku wiedział, że między Mekką a Medyną nie ma nic; tylko pustynia. Postać mężczyzny była coraz bliżej i zainteresowanie chłopca wzrosło. Nieznajomy wyglądał na mniej więcej czterdzieści lat; średniego wzrostu, miał na sobie tradycyjny arabski strój i skórzane sandały.

Niósł jedynie bukłak z koziej skóry, przerzucony przez ramię. Mocno zbudowany, cerę miał

gładką, duże, czarne oczy, zakrzywiony nos i szerokie, mięsiste usta. Otaczająca go aura jakby filozoficznej obojętności i ten chód miarowy, ciężki, tak zafascynowały Bahirę, że zaalarmował go dopiero chrzęst kawałka betonu przesuwanego dłońmi brata. Z piskiem wyprysnął spoza stosu bloków, oglądając się w biegu przez ramię. Goniący był tuż-tuż. W

tym momencie stopa Bahiry natrafiła na obluzowany kamień, noga, skręcona w kostce, nie wytrzymała i chłopiec z okrzykiem bólu runął na ziemię. Nieznajomy stanął nad nim.

Bahira rozplakał się; wyglądało na to, że zwichnięcie jest poważne, do tego padając, poobcierał sobie kolana na twardej nawierzchni drogi. Bracia i reszta chłopców tłoczyli się wokół, niepewni co począć. Tymczasem nieznajomy przyklęknął, wsunął rękę pod łopatki leżącego chłopca i posadził go na ziemi. Jego głęboki, łagodny głos sprawił, że mały przestał

plakać. Dotyk dłoni mężczyzny był dziwnie kojący i nawet podczas badania skręconej kostki Bahira zdołał powstrzymać się od płaczu.

- Zapamiętaj na przyszłość - odezwał się nieznajomy - owca, która ogląda się za siebie, skończy w brzuchu pustynnego wilka. - Uśmiechnął się, spoglądając z góry na chłopca. - Albo w najlepszym razie skręci kostkę i nie będzie mogła biegać przez kilka dni.

Zaciekawieni chłopcy przysunęli się bliżej, a nieznajomy zdjął bukłak z ramienia, wyciągnął zatyczkę i spryskał chłodną wodą otarcia na kolanach Bahiry.

- Matka będzie musiała oczyścić ci to, dokładniej. Jak się nazywasz, chłopcze, i gdzie mieszkasz?

Najstarszy z braci Bahiry odpowiedział za niego.

- To mój brat, Bahira, a mieszkamy tam - wskazał podbródkiem niewielki, skromny dom na skraju miasta.

Mężczyzna zatkał bukłak, wziął Bahirę na rękę, uniósł go bez wysiłku i z gromadą chłopców deptając mu po piętach, poniósł ostrożnie ku domowi.

- Nazywa się Abu Kadir - rzekł ojciec Bahiry, odpowiadając na pytanie syna, który przyglądał się nieznajomemu, wyruszającemu właśnie w dalszą drogę. Kostka chłopca została obandażowana, zadrapania na kolanach dokładnie oczyszczone. Mężczyzna napełnił przy studni swój bukłak i żegnając się, życzył chłopcu szczęścia.

- A dokąd idziesz? - spytał Bahira.

Mężczyzna uśmiechnął się i odparł:

- Tam, gdzie będę mógł słyszeć ciszę i znaleźć samego siebie.

I odszedł.

- Dokąd idzie? - Bahira powtórzył pytanie, tym razem zwracając się do ojca.

- Do jaskiń w El Hafa.

- Czy to daleko?

- Dwa dni marszu.

Chłopiec popatrzył za oddalającą się postacią.

- Ale on nie wziął nic do jedzenia - powiedział.

- Nie - potwierdził ojciec - i będzie tam trzy lub cztery dni, a potem będzie jeszcze musiał wrócić.

- Bez jedzenia?

- Bez. Ma tylko wodę.

- Ale po co?

Ojciec westchnął.

- Ponieważ tego właśnie pragnie.

Niełatwo jest odpowiedzieć na pytania ośmiolatka, zwłaszcza gdy dotyczą takiego człowieka jak Abu Kadir, tajemniczego, otoczonego mistyczną aurą. Większość miejscowych znała go lub chociaż o nim słyszała i traktowała z dobroduszną wyrozumiałością. Mówiono, że urodził się w Medynie w dobrym, haszemickim domu, i że jego ojciec był drobnym kupcem. Abu Kadir był jeszcze dzieckiem, kiedy jego rodzina przeniosła się do Rijadu, a potem do Kairu i jeszcze dalej. Wrócił do Medyny osiem lat temu. Powiedział, że jego rodzice i młodszy bracia zginęli podczas trzęsienia ziemi w Algierii. Jego jedyną żyjącą krewną była stara, schorowana ciotka, która ledwo pamiętała chłopca, nie widzianego od tylu lat.

Mieszkała w małym zrujnowanym domu i utrzymała się przy życiu dzięki miłosierdziu meczetu. Abu Kadir zamieszkał z ciotką, wyremontował dom i opiekował się nią aż do jej śmierci, która nastąpiła pięć lat później. Był człowiekiem niezwykle małomównym, a jeśli już otwierał usta, mówił słowami Koranu - albo nawiązywał do nich - jako że był także bardzo religijny. Niektórzy uważali go za półgłówka, który paple niczym wyuczona papuga, bo nic innego nie potrafi powiedzieć. Ale miejscowy imam zganił takie gadanie i oznajmił, że zrozumienie Koranu dowodzi łaski Allacha; bowiem życie zgodne z jego naukami zapewnia człowiekowi wejście do raju.

Abu Kadir niewiele potrzebował od życia. Od przypadku do przypadku najmował się do różnych prac, najczęściej jako pastuch lub cieśla. Dobra materialnie nic dla niego nie znaczyły, hodowcy z Medyny i ludzie poszukujący dobrych rzemieślników ufali mu.

Pracował kiedy chciał, a mając wiele wolnego czasu, spędzał go albo w jaskiniach El Hafa, albo w meczecie. Często wędrował do grobu Mahometa. Nie dlatego, aby się modlić, po prostu siedział przy nim w cichej kontemplacji. Strażnicy tego miejsca, najświętszego ze świętych, znali go dobrze i nigdy nie bronili mu, jak innym, podchodzić blisko grobu. Wielu miało go za ograniczonego prostaka; niemniej był tolerowany.

Tydzień później, wieczorem, stojąc na skraju drogi, Bahira przyglądał się nadchodzącej postaci. Poznawał już ten zdecydowany ciężki chód. Kiedy mężczyzna zbliżył

się, chłopiec stwierdził, że jego twarz szara jest ze zmęczenia, a bukłak płaski i pusty.

Podbiegł i szedł obok niego. Abu Kadir spojrzał na nogę chłopca.

- Kostka w porządku? - zapytał.

- Tak - powiedział Bahira.

- Jak było w jaskiniach?

- Jak zawsze - odparł mężczyzna. - Jak zawsze.

W Londynie mimo słonecznej pogody było chłodno, toteż Hawke i Gemmel, przechadzający się po Hyde Parku, mieli na sobie płaszcze.

Wolnym krokiem szli w stronę stawu, popatrując na tłum przechodniów w koszulach z krótkimi rękawami, udających, że pływają się w letnim upale.

- To niesamowite - odezwał się Hawke.

- Co takiego?

- Ten wasz styl pracy. - Nie było to powiedziane w sposób grubiański, raczej z łagodnym zdziwieniem.

- W jakim sensie?

Hawke uśmiechnął się, pragnąc złagodzić to, co miał do powiedzenia.

- Jest w tym coś z amatorszczyzny.

Na jego uśmiech Gemmel odpowiedział uśmiechem i ruszył alejką wzdłuż stawu.

Amerykanin przyspieszył kroku.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć.

- Nie, nie - odrzekł Gemmel - wiem, że to tak wygląda, ale przecież współpracował

już pan z naszym wywiadem, prawda?

Hawke pokręcił głową.

- Nigdy bezpośrednio i nigdy na tak wysokim szczeblu.

Zbliżyli się do ławki. Gemmel wskazał ją gestem; siedli, zwróceniu twarzami do wody.

Po chwili milczenia Gemmel powiedział:

- Ja z wami także nigdy nie pracowałem, więc proszę mi powiedzieć, czym się różnimy.

- To kwestia podejścia. Przypuśćmy, że nasze role się odwróciły i to pan przybywa do Waszyngtonu z propozycją podobną do tej, jaką ja tu przywiozłem. - Gemmel kiwnął głową.

Hawke ciągnął: - Otóż przede wszystkim powołalibyśmy zespół analityczny do zbadania pańskiego planu. W jego skład weszliby specjaliści obdarzeni zdolnością przewidywania wszystkich możliwych rozwiązań oraz ich ubocznych konsekwencji.

Na twarzy Gemmela pojawił się ślad rozbawienia. Hawke uniósł dłoń, uprzedzając jego uwagę.

- W porządku. Darujmy sobie ten żargon. Chodzi o to, że w rezultacie mój dyrektor otrzymałby kilka gruntownie uzasadnionych analiz, kilka różnych propozycji ujęcia całej sprawy, pomocnych w podjęciu decyzji.

- I co z tego? - zapytał Gemmel.

- A to - oświadczył Hawke - że miałby więcej niż pięćdziesiąt procent szansy na dokonanie właściwego wyboru.

Gemmel pokiwał głową i rzekł:

- Zgadza się.

- Zgadza się pan?

- Oczywiście.

Hawke był zbity z tropu, co wyraźnie odmalowało się na jego twarzy.

- Sądzi pan, że jestem nielojalny? - zapytał Gemmel, a potem, uprzedzając odpowiedź

Amerykanina, dodał pośpiesznie: - Chwileczkę, zanim pan odpowie, proszę mnie uświadomić, jak my przyjęliśmy pańską propozycję.

Hawke rozłożył ręce i zaśmiał się nieśmiało.

- Perryman był bardzo uprzejmy. Poczęstował mnie kieliszkiem swojego najlepszego sherry, wysłuchał cierpliwie, a potem zaprosił na kolację do domu.

- Współczuję. Uraczył pana zupą z soczewicy?

- Skąd pan wie?

- Proszę się nie przejmować. - Gemmel poklepał Amerykanina po ramieniu. - Częstoje nią wszystkich gości zza oceanu. Był kiedyś na kolacji na Downing Street 10, kiedy podejmowano tam prezydenta Johnsona. W menu znalazła się zupa z soczewicy, którą Johnson ogromnie sobie upodobał. Od tego czasu Perryman uważa, że przepadają za nią wszyscy Amerykanie. Ale proszę mówić dalej.

Hawke znów się zaśmiał.

- Nie chciałbym być źle zrozumiany. Wasz szef był bardzo miły i gościnnie.

- Ale? - wtrącił Gemmel.

- Ale to wszystko. Przez cały wieczór ani słowa na temat operacji. Nawet o niej nie wspomniał.

- To byłaby nieuprzejmość z jego strony - z wyrzutem odparł Gemmel. - Dżentelmen nigdy nie miesza interesów z przyjemnością. Nawet z zupą z soczewicy.

- Niech będzie - zgodził się Hawke - ale ja oczekiwałem jakiejś reakcji. Muszę coś przekazać swoim zwierzchnikom. Tymczasem kiedy wychodziłem, powiedział mi, że spotka się pan ze mną, żeby

porozmawiać o tej sprawie, a on spróbuje się nad nią zastanowić.

- No tak - powiedział Gemmel. - I to nazywa pan amatorszczyzną?

- My to załatwiamy inaczej.

- Będziemy chyba wracać. - Gemmel energicznie podniósł się z ławki. Hawke wzruszył ramionami, wstał i po chwili znów maszerowali alejką.

- Ile czasu - zapytał Gemmel - zajęłoby waszemu dyrektorowi zebranie tych wszystkich propozycji ujęcia i informacji odnośnie ubocznych konsekwencji?

- Tydzień; najwyżej dziesięć dni.

- Dobrze - rzekł Gemmel - będę niedyskretny, lecz może to, co powiem, rozwieje pańskie obawy. Po raz pierwszy spotkał się pan z Perrymanem w środę o piętnastej. O

siedemnastej tego samego dnia odbyło się zebranie, w którym uczestniczyło sześciu ludzi: ja, specjalista z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, przedstawiciel Gabinetu Premiera, pewien profesor z Instytutu Badania Problemów Wschodu i Afryki w Londynie, nasz zastępca naczelnika Wydziału Operacyjnego do spraw Bliskiego Wschodu - Gemmel przerwał i uśmiechnął się rozbrajająco - oraz nasz ekspert od tajnych operacji CIA.

Hawke nie odezwał się ani słowem. Gemmel ujął go pod rękę i poprowadził aleją.

- Wzmiankowane zebranie - ciągnął - trwało do jedenastej wieczorem, kiedy to telefonicznie przekazaliśmy nasze wnioski i zalecenia Perrymanowi. Przypuszczam, że pan właśnie wyszedł z jego domu. O ósmej rano następnego dnia zwołano kolejne zebranie, któremu osobiście przewodniczył Perryman. Nie mogę, choćbym chciał, powiedzieć panu, kto był na nim obecny. O jedenastej Perryman był na Downing Street celem przedstawienia końcowych wniosków pani premier. Sądzę, że byli przy tym minister spraw zagranicznych i minister do spraw energetyki. Nie mogę powiedzieć jak Perryman sformułował swoje wnioski ani jakie decyzje podjęła pani premier. Mogę natomiast powiedzieć, iż jestem tu, żeby mógł

pan bezpośrednio poznać człowieka, z którym przyjdzie panu pracować, o ile zdecydujemy się współdziałać w realizacji pańskiego planu.

Hawke przystanął.

- Nie wiedziałem, że tak to wygląda - powiedział tonem usprawiedliwienia - to znaczy... nic na to nie wskazywało.

- Cóż, istotnie działamy inaczej - odparł Gemmel i zerknąwszy na zegarek pociągnął za sobą Amerykanina w głąb alejki.

- Mam podrzucić pana do Petworth House na spotkanie z Perrymanem o czwartej.

Tam dowie się pan, jakie zapadły decyzje. - Gemmel uśmiechnął się i bez cienia złośliwości dodał: - Dokładnie w czterdzieści dziewięć godzin po złożeniu swojej propozycji. - Jego głos stwardniał. - Amatorszczyzna, panie Hawke?

- Wyglupiłem się, przyznaję, ale dlaczego zbywano mnie niczym, dlaczego nie informowano mnie, co się dzieje?

- To bardzo proste - odparł Gemmel. - Traktujecie nas z podejrzliwością i pewnie macie po temu słuszne powody. Owszem, mieliśmy swoje problemy, ale proszę mi wierzyć, to już przeszłość. Niemniej wasi ludzie przywykli patrzeć na nas z góry. Perryman nie mógł

zająć stanowiska w sprawie pańskiej propozycji, dopóki nie została ona dogłębnie zbadana i dopóki nie uzyskała akceptacji pani premier; zwłaszcza że jeśli sprawy przyjmą zły obrót, to my, nie kto inny, zostaniemy z ręką w nocniku.

Hawke ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Podoba mi się takie podejście - rzekł. - I jeśli wystartujemy, czuję, że praca z panem może być dla mnie przyjemnością.

Gemmel uśmiechnął się.

- Świetnie. Ale pod warunkiem że nie będzie pan do mnie mówił Pete. Nawet najgorsi wrogowie tak się do mnie nie zwracają.

- Pete? A cóż złego jest w tym zdrobnieniu?

- Jest taki stary świński wierszyk, przypisywany Rupertowi Brooke. To o dwóch typach znad Rio Grande, którzy spotykają osławioną Eskimo Nell.

- No i... ?

- Otóż wiersz ma czterdzieści dwie zwrotki, a ci dwaj osobnicy określani są jako:

“Dick - strzelec udały, ze swym dzielnym kindybałem” i “Pete, z orężem w garści”.

- A więc?

- Więc wolałbym być Dickiem.

Hawke zaniósł się donośnym śmiechem.

- W porządku, Peter, ale w zamian nie nazywaj mnie nigdy Mort. A wtedy na pewno jakoś się dogadamy.

Gary Cline odebrał telefon na korcie tenisowym Białego Domu, gdzie grał z sekretarzem biura prasowego prezydenta, bezskutecznie walcząc o zachowanie linii.

Posapując wysłuchał słów dyrektora CIA. - Dobrze odrzekł na koniec. - Zawiadomię prezydenta. Jakie są ogólne wrażenia Hawke'a?

- W sumie był bardzo zbudowany. Powiedział mi, że potrafią podejmować decyzje i mają poczucie humoru.

- Będzie im potrzebne, jeśli coś pójdzie nie tak - powiedział Cline i odłożył słuchawkę.

W pewnym zacisznym londyńskim klubie spotkali się na kolacji Gemmel z Perrymanem. Perryman był starszym mężczyzną, nosił się tradycyjnie i także tego popołudnia miał na sobie garnitur w jodełkę, typowy dla wyższych urzędników państwowych. Siedzieli przy stoliku w kącie sali, gawędząc nieobowiązuco aż do chwili, kiedy podano kawę.

Zaczął Perryman.

- Muszę przyznać, że Hawke był bardzo chętny do współpracy.

- Doprawdy? - zdziwił się grzecznie Gemmel.

- Tak. I bardzo pochlebnie wyrażał się o tobie. Oświadczył, że nadałbyś się do jego ekipy. - Perryman uśmiechnął się nieco złośliwie. - Rozumiem, że miał to być komplement.

- Sądzę, że nie powinniśmy nie doceniać Hawke'a - poważnie odpowiedział Gemmel.

- Ma duże doświadczenie i spore sukcesy na swoim koncie; i jest twardy.

- Podobno.

Perryman skinął na kelnera i zamówił dwa koniaki.

- W każdym razie - rzekł - oni pokrywają wszystkie wydatki związane z tą operacją i bez względu na jej rezultat będziemy mieli szansę naciągnąć ich na taką forszę, że wystarczy nam na utrzymanie się w interesie przez dziesięć lat.

- Nie są durniami - ostrzegł Gemmel. - Lepiej na to nie stawiać.

- Zgadzam się - odparł Perryman. - Rzecz w tym, że po prostu nie muszą liczyć się z wydatkami.

Umilkli, bo kelner przyniósł zamówiony trunek. Po chwili Gemmel zapytał:

- Czy to ma być wszystko? To nasz jedyny cel?

- Jasne, że nie. - Perryman wypił łyk koniaku i zrobił zadowoloną minę. - Potrzebny ci dobry zespół. Kogo chcesz wziąć?

- Na swojego bezpośredniego zastępcę chciałbym Alana Boyda - po rozważnym namyśle odpowiedział Gemmel. - Jest doświadczony i dobrze mówi po arabsku.

Perryman uniósł brew.

- Nikogo więcej?

Gemmel wzruszył ramionami.

- No, jak zwykle potrzebni będą ludzie do bieżących zadań i kompletowania informacji oraz system łączności. Może zażądam od czasu do czasu jakiegoś specjalisty, ale oni dowiedzą się tylko tyle, ile będzie konieczne. Boyd musi być wprowadzony w całość sytuacji.

- Jak sobie życzysz - odrzekł Perryman. - Masz wolną rękę. A tak przy okazji, chciałbym, żebyś pofatygował się do Ministerstwa Obrony i spotkał z niejakim Clementsem.

Edkiem Clementsem.

- I?

- Ten Clements to taki uczony mądrala, specjalizujący się w broni najnowszej generacji i systemach naprowadzania.

- Tak?

Dłonią dzierzącą szklanę, Perryman wykonał nad stolikiem zamaszysty gest.

- Więc jeśli Amerykanie zamierzają wyskoczyć z jakimś wielkim, spektakularnym cudem, możliwe, że uda ci się ich namówić do użycia któregoś z ich nowych urządzeń.

- I co?

- Nie udawaj tępaka, Peter. Nie do twarzy ci z tym. Będziemy mieli okazję nauczyć się czegoś nowego. Pogadaj z Clementsem, a nuż ma jakieś pomysły.

- W porządku - zgodził się Gemmel - ale nie życzę sobie żadnych nacisków z tej strony. I jeszcze coś. Potrzebny mi będzie Cheetham; i to z licencją na działanie bez żadnych ograniczeń.

Perryman spochmumiał.

- Myślisz, że sprawy mogą zajść tak daleko?

- Tak, tak myślę. Może wiele razy. Operacja tego rodzaju nie jest niczym przyjemnym.

Perryman westchnął.

- No dobrze. Będzie do twojej dyspozycji.

Zapanowało milczenie. Przerwał je Perryman.

- Chciałbym, żebyś wziął Beechera. - Uniósł dłoń, aby zażegnać przewidywany protest. - Oczywiście tylko do pomocy i bez dostępu do żadnych szczegółów.

Gemmel odchylił się na oparcie krzesła i zamyślił głęboko.

- A więc ostatecznie postanowiłeś, że go wykorzystamy?

- Istotnie. A ta operacja idealnie się do tego nadaje.

Niespodziewanie Perryman zmienił temat.

- Jak spędziłeś te swoje krótkie wakacje?

- Było zimno, mokro i musiałem ciężko pracować.

Perryman z uśmiechem oparł się o stolik.

- Opowiedz mi o tym. Wychodzi na to, że wezwałem cię w najbardziej odpowiednim momencie.

Szatniarz pomagał im właśnie włożyć płaszcze, kiedy Perrymanowi przyszło do głowy, że Hawke z dość niezwykłym entuzjazmem wyrażał się o efektywności pracy Wydziału.

- Powiedziałem mu, że utworzyliśmy zespół analityczny - wyjaśnił Gemmel.

- A co to takiego?

- Coś, co dostarcza wariantów rozwiązań z ich ubocznymi konsekwencjami i dzięki czemu może pan odpowiednio wyważyć wnioski i zalecenia przedstawiane pani premier.

Perryman uśmiechnął się, odbierając od szatniarza swój parasol.

- Jesteśmy na tym etapie - rzekł - że gdyby nasza dobra pani premier powzięła choćby najlżejsze podejrzenie, co się tu kluje, powiesiłaby mnie na swoim pasie od podwiązek.

- Sir - z wyrazem zadowolenia na twarzy odparł Gemmel - jako szef MI-6 powinien pan być dopuszczony przynajmniej do tego sekretu.

Perryman zdziwiony uniósł brew, a Gemmel dokończył:

- Ona od siedmiu lat nosi rajstopy.

Wyszli i po chwili zniknęli w deszczu.

- No dobrze, a teraz do rzeczy.

Dwaj mężczyźni siedzący naprzeciw biurka umilkli i z szacunkiem podnieśli wzrok na Hawke'a.

Piętnaście minut wcześniej zostali wprowadzeni w szczegóły akcji oznaczonej obecnie kryptonimem MIRAŻ. Początkowo byli oszołomieni. Potem ogarnęła ich niespodziewana wesołość; nie byli specjalnie religijni. Hawke skrupulatnie upewnił się o tym wcześniej. Tak więc pozwolił im paplać przez kilka minut, obserwując ich reakcje.

Po jego lewej stronie siedział Leo Falk. Był pracownikiem Biura Badań Strategicznych należącego do Agencji. Specjalizował się w problemach Bliskiego Wschodu i był doktorem semitystyki w Cornell University. Po sześćdziesiątce, krótko ostrzyżony blondyn, o czerstwej cerze. Czyste, niebieskie oczy skrywał za okularami bez oprawek. Jako jedyny z grupy posiadał wojenne doświadczenie wyniesione z OSS. Wśród młodszych i co bardziej bezceremonialnych agentów Falk znany był jako "Maska", podczas gdy Hawke był

"Sztyletem".

Po prawej stronie biurka zajmował miejsce Silas Meade, osobisty asystent Hawke'a.

Trzydziestopięciolatek, najmłodszy w zespole. Miał okrągłą twarz gorliwca i czarne, proste włosy. Od świtu do nocy ćmił odpalane jeden od drugiego Kenty.

- A więc tak - zagaił Hawke chęć, żebyście wyczyścili swoje biurka, przekazując wszystkie sprawy zastępcom.

- Mój jest chory - zauważył Falk.

Hawke rzucił mu groźne spojrzenie.

- Do diabła, Leo, zrób co chcesz, ale od godziny ósmej zero-zero w czwartek jesteście obaj w pełnym wymiarze czasu przydzieleni do operacji MIRAŻ. To rozkaz dyrektora.

Falk pochylił się w krzesło, zaglądając w oczy zwierzchnika.

- Czegoś tu nie rozumiem, Morton. Owszem, to ważna operacja. Jedna z ważniejszych... nie, powiedziałbym: najważniejsza w historii Agencji. Lecz jeśli w gruncie rzeczy mają ją prowadzić Anglicy, czy potrzebne jest wiązanie z nią na wiele miesięcy dwóch naszych ludzi z tak wysokiego szczebla?

Hawke podniósł ołówek leżący na blacie biurka i zaczął go obracać w palcach.

Uważnie zmierzył wzrokiem obu swych współpracowników i cicho, lecz z wielkim naciskiem powiedział:

- To dlatego, że nie zamierzam pozwolić Brytyjczykom spieprzyć tej sprawy. Jest zbyt poważna. Zamierzam śledzić każdy ich krok. Każdy. Dajemy pieniądze i środki techniczne, i nie pozwolę, żeby ta operacja został skopana.

- A przy okazji twoja dupa. - Falk uśmiechnął się szeroko.

Hawke skwitował jego uwagę podobnym grymasem, ale kryła się w nim ukryta groźba.

- Twoja też, Leo. Jeśli to się nie uda, wszyscy będziemy zaczynać czytanie gazety od rubryki ogłoszeniowej "potrzebni robotnicy rolni".

- Przypomniałem sobie - powiedział Falk - że spotkałem już tego Gemmela.

- Czyżby?

- A tak. Facet zna się na rzeczy. Był oficerem łącznikowym grupy doradców NATO

podczas rozmów w Camp David. Większość z nich marnowała tam tylko czas, ale Gemmel poczynił kilka użytecznych spostrzeżeń. Znał się na sprawach Bliskiego Wschodu. - Falk uśmiechnął się do swych wspomnień. - Przewidział, że z chwilą podpisania umowy, Izraelczycy zaczną budować osiedla na Zachodnim Brzegu Jordanu w tempie nie gorszym niż pan Bóg, kiedy tworzył świat. Tyle że oni i siódmego dnia nie spoczną.

Hawke pokiwał głową.

- Spodobał mi się. Jest inny niż te pedałowate typki, jakich pełno w MI-6. Przekonał

mnie, że jego wydział zaczyna pracować naprawdę efektywnie. Zawsze mówiłem, że im wcześniej zaczniesz stosować nowoczesne metody, tym lepiej. - Hawke przysunął krzesło bliżej biurka. - A teraz słuchajcie. Nie mamy wiele czasu, a jest mnóstwo do zrobienia.

Następną godzinę Hawke poświęcił szczegółowemu instruktażowi i formułowaniu zadań poszczególnych członków zespołu. Meade notował.

Za dziesięć dni spotkają się z grupą brytyjską. Na miejsce kontaktu wybrano Lizbonę.

Uznano, że obecność Brytyjczyków w Ameryce lub Amerykanów w Anglii byłaby niewskazana. W ciągu tych dziesięciu dni oba zespoły mają opracować szczegółowe propozycje sposobów uruchomienia operacji. Powinny zawierać określenie typu człowieka, którego wykreuje się na Mahdiego. Jak go znaleźć, jak zwerbować i, przede wszystkim, jak kontrolować. To był główny problem. Dalej kwestia samego "cudu". Jakiego rodzaju to ma być cud? Jak go wywołać? Gdzie i kiedy powinien mieć miejsce, aby efekt był optymalny.

Kolejna sprawa: lokalizacja centrum dowodzenia operacją. Powinno to być gdzieś na Bliskim Wschodzie. Na koniec Hawke poruszył kwestie proceduralne, zwłaszcza dotyczące sposobów komunikowania się: zespół miał być bezzwłocznie odizolowany od reszty Firmy.

Niezbędnym wymogiem było zachowanie absolutnej dyskrecji. Jeśli konieczne będzie skorzystanie z usług jakiegoś specjalisty z zewnątrz - a będzie - takiego kontaktu należy dokonać w sposób uniemożliwiający inwigilację i dekonspirację zespołu operacyjnego.

Hawke znał swoje rzemiosło. Falk z wyraźnym uznaniem słuchał jego instrukcji.

Meade nie odrywał się od swojego notatnika. Wreszcie Hawke poprawił się na krześle i rzucił:

- Jakież uwagi?

- Sprawa kontroli - odezwał się Falk, głęboko zamyślony. - Kontroli samego człowieka. Na dobrą sprawę zamierzamy stworzyć żywego boga. Kiedy już nim zostanie, jak nad nim panować? Co ma być tym wędzidłem?

- To jest sedno tej sprawy - zgodził się Hawke. - Musi to być coś prostego, skutecznego i absolutnie niezawodnego. A przede wszystkim, to my musimy trzymać lejce, nie Brytyjczycy.

- Dziesięć dni to niewiele - zauważył Falk, wciąż nie mogąc otrząsnąć się z zamyślenia. - Mamy twarde orzech do zgryzienia.

- To już twoja dziedzina - odparł Hawke. - Znalazłeś się w tym zespole właśnie po to, żeby poszukać odpowiedzi na to pytanie. Możesz być pewien, że Brytyjczycy będą mieli swoje pomysły. - Hawke zwrócił się teraz do Meade'a. - A ty Silas, co o tym sądzisz?

- Myślałem o tym cudzie - odparł Meade. - Musi to być coś bardzo widowiskowego i zarazem zrozumiałego dla olbrzymiej liczby ludzi. - Pokręcił głową z powątpiewaniem. - Nie wiem, z jakiego rodzaju happeningiem moglibyśmy wystąpić.

Falk parsknął, rozbawiony.

- Nie przejmuj się, Silas. Jeśli w tym kraju można było wybrać na prezydenta aktora filmowego, to znaczy, że wszystko jest możliwe. Wyprodukujemy cud jak się patrzy.

- Amen - mruknął Meade i zakręcił skuwkę swego pióra.

W wypełnionej po brzegi sali London Coliseum Royal Ballet wystawiał "Giselle".

Publiczność była zachwycona. Wszyscy - z wyjątkiem Petera Gemmela, siedzącego w dziesiątym rzędzie na parterze. Mimo niebiańskiej muzyki, wdzięku i technicznego kunsztu balerin, jego zaprzętały zupełnie inne sprawy.

"Dziesięć dni! - tłukło mu się po głowie. - A dalibóg, musimy być naprawdę dobrze przygotowani!"

Tego popołudnia on także odbył pewne spotkanie i teraz wspominał jego przebieg.

Spotkał się z Alanem Boydem, celem wprowadzenia go w tajniki planowanej operacji.

Podobnie jak Hawke, upewnił się najpierw, że Boyd nie żywi głębszych uczuć religijnych.

Okazało się, że jest ateistą. Na słowa Gemmela zareagował niedowierzaniem, potem powściągliwie wyraźnym rozbawieniem. Pomysł wydawał się tak absurdalny, że początkowo nie był w stanie potraktować go poważnie. Dysponował jednak dużą znajomością islamu i po chwili spoważniał, kiedy zaczął sobie uświadamiać konsekwencje przyjęcia planu Pritcharda i możliwości, jakie się

przed nimi otwierały.

- Rany boskie! - w jego głosie zabrzmiał prawdziwy szacunek. - Cóż to by był za numer!

Jako człowiek rzeczowy, natychmiast przeszedł do praktycznych aspektów przedsięwzięcia. Zwrócił uwagę na cynizm Amerykanów, szykujących MI-6 na wykonawców zadania. Ryzykowali niewiele, zgarniając cały zysk.

- Będziemy kozłem ofiarnym - powiedział. - Tak oni to nazywają: kozioł ofiarny.

Gemmel pokręcił głową.

- Niekoniecznie - odparł. - Są pewne możliwości. Moglibyśmy wyjść na tym całkiem nieźle. Istnieją obszary, na których i my moglibyśmy coś skorzystać.

Raz jeszcze, podobnie jak Hawke, naszkicował plan działania, podkreślając, że najistotniejszą sprawą jest kontrola przyszłego Mahdiego i konieczność zupełnej wiarygodności "cudu". Na spotkaniu w Lizbonie obie strony wystąpią ze swoimi propozycjami i tam zostanie uzgodniony ostateczny projekt operacji.

- Plan gry - wtrącił Boyd.

Gemmel podniósł na niego zdziwione spojrzenie.

- Oni tak mówią. Plan gry. To jest wzięte z futbolu amerykańskiego. Przed meczem planują każde swoje posunięcie. Jak w szachach.

- Lepiej, w każdym razie, żebyśmy byli przygotowani na wszystko - rzekł Gemmel. -

Ostatnio próbowałem przekonać Hawke'a, że MI-6 jest wzorem aktywności i efektywności, więc dobrze by było, gdybyśmy w ciągu tych dziesięciu dni wysmażyli naprawdę solidny

"plan gry".

Pierwszy akt zbliżał się do finału: na scenie pojawił się cały zespół, towarzysząc Giselle, wykonującej swoje przepiękne, melancholijne solo. Gemmel jednak nie był w stanie skupić uwagi na tym, co działo się przed jego oczami. Myślał o Boydzie, który w nadchodzących miesiącach miał być jego najbliższym współpracownikiem. Nietrudno było mu go zrozumieć, choćby dlatego, że obaj wywodzili się z podobnego środowiska. Boyd był

czterdziestokilkuletnim, silnym mężczyzną o imponującej posturze. Sam wywalczył sobie stypendium umożliwiające mu ukończenie szkoły średniej w Manchesterze. Jako stypendysta państwowy studiował następnie na tamtejszym uniwersytecie. Był sportowcem, a zarazem uczonym. W drużynie uniwersyteckiej grał w krykieta i rugby. Miał genialne poczucie humoru. Jego ulubionym trunkiem było prawdziwe, beczkowe ale. Żywił do niego prawdziwą słabość. Pozornie prostoduszny wygląd maskował bystry i bezlitosny umysł. Gemmel wysoko cenił jego praktyczny sposób myślenia. Ostatnim większym zadaniem Boyda była akcja w Omanie, gdzie odegrał znaczącą rolę w

zwycięstwie nad powstańcami popieranymi przez Jemen Południowy. Gemmel wybrał go na swego pomocnika, wiedząc, że bez względu na to, w jak fantastyczne rejony zaprowadzi ich realizacja tego projektu, Boyd zawsze zdoła sprowadzić go na ziemię.

Zapadła kurtyna na koniec pierwszego aktu i dopiero wówczas Gemmel wrócił do rzeczywistości. Był nieco zły na siebie, że zmarnował okazję nacieszenia się pięknem tańca.

Przeciskając się do baru, postanowił w spokoju obejrzeć resztę przedstawienia i nie myśleć więcej o pracy.

Toteż nie myślał. Przy barze, zatłoczonym nad miarę, musiał wdać się w dyskusję nie mającą wiele wspólnego z jego zawodem, a wciągnęli go w nią ludzie związani z londyńskim Kołem Miłośników Baletu. Gemmel był członkiem zarządu owego koła, którego członkowie, fani baletu, poświęcali wiele swego wolnego czasu promocji sztuki tańca w Wielkiej Brytanii.

Dyskusja dotyczyła przerażającej sytuacji panującej za kulisami Coliseum. Garderoby gwiazd niewiele różniły się wielkością od przeciętnej szafy, a zwykłe baletnice skazane były na warunki, które uznano by za hańbę dla najcięższego więzienia. Koło Miłośników Baletu uruchomiło akcję zbierania funduszy w celu dokonania koniecznych ulepszeń, ale część członków zarządu była zdecydowana wykorzystać lwią część zebranych pieniędzy na sfinansowanie tournée Royal Ballet po Ameryce Południowej. Gemmela złowił właśnie sir Patrick Fane, przewodniczący zarządu. Wypatrzył go w tłumie i wcisnąwszy w dłoń szklanekę whisky z wodą sodową, pociągnął na stronę.

- Peter, stary koniu - zwrócił się doń ze skwapliwą wylewnością - przepłucz sobie gardziółko i słuchaj.

Gemmel popijał whisky i słuchał tokowania Fane'a, który wyraźnie próbował urobić go sobie przed najbliższym głosowaniem zarządu. Przyszło mu do głowy, że Fane jest tego typu człowiekiem, iż zebrania zarządu dostarczają mu więcej przyjemności niż sam balet.

Niemniej problem istniał. Za kilka miesięcy miał występować w Coliseum - balet Teatru Małego z Leningradu. W planie było wystawienie pełnej wersji "La Bayadere" - dużego przedstawienia z pięćdziesięcioosobową obsadą. Pytanie Fane'a brzmiało: jak, na miłość boską, pomieścić tylu tancerzy w tej owczarni za kulisami?

Gemmel pokiwał głową ze zrozumieniem. Istotnie, jak? Nie powiedział - choć miał to na końcu języka - że rosyjskie tancerki były przyzwyczajone do traktowania jak bydło. Jeśli któraś zaczynała narzekać, szybko żegnała się z baletem.

Petera uratował dzwonek na drugi akt. Wymknął się z baru, obiecując rozważyć sprawę z najgłębszą uwagą.

- A tak przy okazji... - rzucił Fane'owi, odstawiając pustą szklanekę - pijam zwykle wódkę z tonikiem.

Sir Patrick odprowadzał wzrokiem wychodzącego Gemmela najzupełniej przekonany, że oto utracił jeden głos.

Hadzi Mastan mógłby sprzedawać używane samochody w dowolnym miejscu na świecie. Nie dlatego, że wyglądał na sprzedawcę używanych pojazdów. Przeciwnie, swoją posturą przywołał na myśl łagodne, ociężałe zwierzę - zadowoloną, brązową krowę. Jego tłuście, wesole oblicze doskonale harmonizowało z okrągłą sylwetką. Dopiero spojrzenie w te brązowe oczy uświadamiało przypadkowemu rozmówcy, że ma do czynienia z człowiekiem obdarzonym nieprzeciętnie ruchliwym, bystrym umysłem. Mówił powoli i zawsze był bardzo uprzejmy. Łagodnie gestykułował, hipnotyzując słuchacza ruchami swych pulchnych palców, ale nigdy nie tracił nad sobą panowania. Hadzi Mastan nie sprzedawał używanych samochodów, za to handlował zużytymi, na nowo bieżnikowanymi oponami, w Dżuddzie nad Morzem Czerwonym. Olbrzymie dochody z saudyjskiej ropy naftowej stały się siłą napędową postępu w tym rejonie świata. Symbolem zaś owego postępu był samochód - duży, kosztowny, luksusowy samochód. Cały przemysł wyrósł wokół tej nowej metody przemieszczania się z miejsca na miejsce. Mówiono, że dziad i ojciec Hadżiego Mastana handlowali wielbłądami, nikt jednak nie był tego pewien, jako że urodził się on w Iraku, a do Dżuddy przybył przed piętnastu laty, przy okazji pielgrzymki do Mekki. Wtedy też zmienił dawne imię na Hadzi, co znaczy "ten, który odbył pielgrzymkę". Mówiono też, że kiedy władzę w Iraku objęła partia Baas, jego rodzina popadła w niełaskę i rozsypała się po całym Bliskim Wschodzie. Ojciec Hadżiego Mastana był człowiekiem przewidującym i wysłał swoich czterech synów do czterech różnych miast, każdemu zapewniając kapitał umożliwiający założenie niewielkiego interesu. Któryś z nich, rozumował stary Mastan, może się dorobi, stając się podporą reszty rodziny.

Po przybyciu do Dżuddy, Hadzi szybko się zadomowił. Zainwestował swój kapitalik w sprzęt niezbędny do bieżnikowania opon, kupił lokal w dzielnicy Al Kandara, zatrudnił

dwóch pracowników i wysłał ich na przeszkolenie do Kairu. Jego mieszkający w Egipcie brat, który z kolei postanowił zostać restauratorem, nadzorował to szkolenie, gwarantując zarazem, że młodzi ludzie wrócą do Dżuddy, by wywiązać się ze swych zobowiązań. Tak więc Hadzi prowadził interesy, jego dwaj wyszkoleni pracownicy uwijali się przy robocie i firma kwitła w spokoju. Początkowo były pewne trudności, gdyż większość Saudyjczyków, kupując samochód, nie myślała o tym, że opony mogą się zedrzeć. Kiedy zaś do tego dochodziło -

kupowali nowe. Opony albo auto. Samochody jednak mają to do siebie, że się starzeją i z czasem powstał rynek używanych pojazdów, którego klienci rekrutowali się z mniej zamożnych warstw społeczeństwa. Wkrótce odkryli oni, że na trudnych, pustynnych drogach opony niszczą się bardzo szybko, nowe zaś są zbyt kosztowne. Tak więc interes Hadżiego kwitł, zwłaszcza kiedy udało mu się zdobyć kontrakt na bieżnikowanie opon wszelkich pojazdów jednego z oddziałów Aramco Oil Company, wielkiej spółki saudyjsko-amerykańskiej eksploatującej złoża ropy naftowej tego pustynnego królestwa.

Nowy kontrakt oznaczał rozwój firmy, co wymagało nowych maszyn i zatrudnienia nowych ludzi.

Hadzi Mastan uchodził za człowieka głęboko religijnego. Chwalił Allacha za jego łaskę, a na uwagi przyjaciół odpowiadał skromnie, że smykałka do interesów nic nie znaczy w osiągnięciu sukcesu, bo czyż nie jest tak, że wszystko zależy od woli Najwyższego?

Na przyjaciółach Hadżiego robiło to, i owszem, pewne wrażenie, jako że już wcześniej zauważyli jego wierność pięciu zasadom stanowiącym filary islamu: bezustannie głosił

chwałę swej wiary; płacił żaka, to jest jałmużnę, w wysokości jednej piątej swego dochodu, a nieraz i więcej; pięciokrotnie w ciągu dnia modlił się żarliwie; w ramadanie pościł od świtu do zmroku, co, zważywszy jego umiłowanie dobrego jedzenia, było prawdziwym poświęceniem. Odbywał wreszcie coroczną pielgrzymkę do Mekki - hadżdż. To już nie wiązało się z wielkimi wyrzeczeniami, gdyż z Dżuddy do Mekki jest nie więcej niż pięćdziesiąt kilometrów, a Hadżi podróżował komfortowo klimatyzowanym Mercedese.

Takim był Hadżi Mastan - typowy arabski biznesmen, który odniósł sukces, godząc wymogi rynku z zasadami Koranu. Żył skromnie, choć wygodnie, z żoną i dwiema córkami, pełen wiary w szczęśliwą przyszłość.

Hawke czuł się zażenowany i trochę zły. No dobrze Pritchard wpadł na pewien genialny pomysł, a on, Hawke, sprzedał go dyrektorowi, który z kolei sprzedał go doradcy do spraw bezpieczeństwa, a ten prezydentowi. Ale Pritchard pominął jeden niezwykle istotny element. Mianowicie: jak kontrolować Mahdiego? Jak nim kierować? O tym Pritchard nie wspomniał ani słowem. "Muszą być jakieś sposoby - powiedział lekko - człowiekiem zawsze można pokierować, to tylko kwestia wyboru metody".

Hawke kiwał wtedy głową, robiąc mądrą minę - brzmiało to nad wyraz przekonująco -

ale oto teraz, po dziesięciu dniach wytężonej pracy umysłowej, nikt z jego zespołu ani żaden z pracujących dlań ekspertów nie potrafił znaleźć tej metody i opracować naprawdę niezawodnego planu.

Tak więc Hawke przechadzał się po swoim apartamencie w lizbońskim hotelu "Ritz"

zły i zbity z tropu. Za piętnaście minut miał poprowadzić swoich ludzi na spotkanie z Brytyjczykami, lecz ciągle nie dysponował żadną sensowną propozycją. Anglicy, w najlepszym wypadku, zareagują na to skrywanym pod maską uprzejmości lekceważeniem.

Ze swego miejsca w fotelu Falk wlepił oczy w krążącego po pokoju szefa. Meade siedział na kanapie z notatnikiem na kolanach, papierosem w jednym ręku, a zaostrzonym ołówkiem - w drugiej.

- Dysponujesz dobrym pół tuzinem możliwych rozwiązań - z urazą w głosie odezwał się Falk.

- Rozwiązań! - Hawke cisnął mu wściekłe spojrzenie. - Dysponuję pół tuzinem zwariowanych pomysłów, od zatrudnienia bezrobotnych aktorów, po upicie jakiegoś imama. -

Uniósł ręce, gestem wyrażającym irytację. - Słyszałem o środkach psychotropowych, wymuszeniu, szantażu i patriotyzmie. Czy nikt nie rozumie, że planujemy stworzenie żywego proroka? Człowieka, który będzie miał władzę nad życiem miliarda ludzi? Kiedy to się stanie, kiedy zostanie obwołany, co może mu przeszkodzić w pokazaniu nam figi? Mamy polegać na narkotykach czy szantażu? Jak się, do

diabła, szantażuje proroka?

Falk pochylił się w fotelu i rzekł:

- Wierz mi, Morton. Siła, alkohol, szantaż, przymus to jedyne sposoby. Prowadziłem w życiu tysiące agentów. Wiem, jak jest.

Hawke zatrzymał się w pół kroku i wbił wzrok w Falka.

- Leo, czy prowadziłeś kiedyś proroka? Co? No powiedz. Czy kiedykolwiek kontrolowałeś bożego wysłannika na ziemi?

Falk wzruszył ramionami.

- To tylko człowiek, Morton. I to my dajemy mu tę władzę. W cokolwiek wierzyliby jego wyznawcy, pozostanie tylko człowiekiem.

Hawke sapnął ze złości, ale Falk nie ustępował.

- Słuchaj Morton, co się stanie, jak ściśniesz w garści dwa małe, zielone jajeczka?

Hawke spojrzał z rozpaczliwą ironią na Meade'a i wznosił oczy ku niebu.

- No powiedz, Leo. Co się stanie?

- Będziesz miał pewność całkowitego posłuszeństwa krasnoludka - wypalił Falk i ryknął ochryłym śmiechem. Poza nim nikt jednak nie wyglądał na rozbawionego, toteż powoli opanował się.

- Siła, władza, przymus; to jedyny sposób. - Spojrzał na Meade'a, szukając poparcia, ale ten wzruszył tylko ramionami i odparł:

- Wolę myśleć, że potrafimy być bardziej wyrafinowani.

- Ja też - oświadczył Hawke z naciskiem - ale jak dotąd, nie mamy oszałamiających rezultatów.

- Dziesięć dni to niedużo - powiedział Falk tonem usprawiedliwienia. - Może przynajmniej Brytyjczycy mają jakieś pomysły. Jak chcesz to rozegrać?

- Ostrożnie. Pozwolę im pierwszym przedstawić swoje propozycje i jeśli okaże się, że doszli do jakichś wspaniałych, subtelných rozwiązań, stanę się łaskawy i wspaniałomyślny. -

Hawke spojrzał na zegarek.

- Idziemy.

Wstając z fotela, Falk powiedział jeszcze:

- W każdym razie mamy cały wachlarz pomysłów, jeśli chodzi o cud.

- Jasne - ironicznie mruknął Hawke. - Wszystko, poczynając od rozstąpienia się Morza Czerwonego, a na przydaniu Jaserowi Arafatowi różowej aureolki kończąc. Idziemy.

Hotel "Ritz" w Lizbonie to jeden z największych tego typu obiektów na świecie. Jego mniejsza sala konferencyjna, urządzona gustownie i funkcjonalnie, była świadectwem dawnych, lepszych i spokojniejszych czasów. Środek pomieszczenia zajmował długi, polerowany stół, obstawiony krzesłami w stylu Ludwika XIV. Na ścianach wisiały gobeliny.

Stopy gości tonęły w puszystym, miękkim dywanie. W kącie pokoju ustawiono niewielki bar, przy którym stali właśnie Gemmel z Boydem, popijając i dowcipkując. Po pokoju kręcili się dwaj mężczyźni, uzbrojeni w kilka niewielkich przyrządów. Jedne szczękały, inne buczały.

Otworzyły się drzwi i wszedł Hawke; za nim Falk i Meade. Stojący przy barze zwrócili się ku przybyłym. Zapadła cisza, którą przerwały dopiero słowa jednego z objuczonych sprzętem mężczyzn.

- Pokój jest czysty, sir - powiedział w stronę Gemmela.

- W porządku, Morton - rzekł drugi.

Chwilę później Hawke ruszył przed siebie, uśmiechnięty i z wyciągniętą dłonią.

- Miło cię widzieć, Peter - powiedział. Podali sobie z Gemmelem ręce. Nastąpiła seria prezentacji, uścisków dłoni, w nowych szklankach zagrzechotały kostki lodu.

Gemmel uśmiechnął się do Falka.

- Cieszę się, że znów pana widzę. I że jest pan z nami.

- I wzajemnie - odparł Falk; a na pytanie Boyda: - Whisky z wodą sodową. Dzięki.

Gemmel wręczył Mortonowi szklankę Canadian Club z odrobiną wody sodowej i dwiema kostkami lodu. Inni sami zakrzętnęli się koło swych drinków.

Na koniec Hawke zwrócił się do dwójki techników, czekających przy drzwiach.

- Dzięki, będziemy chyba zaczynać. Kontrola z zewnątrz? - Zapytani zgodnie kiwnęli głowami i opuścili pokój. Pozostała piątka skierowała się ku stołowi.

To dziwne, jakie wrażenie robi na ludziach stół konferencyjny. Podchodząc do niego, najpierw szukają kartek z nazwiskami, a nie znalazłszy ich, spoglądają po sobie, uśmiechając się nieszczercze. Wszystko dlatego, że układ miejsc przy stole konferencyjnym może mieć większe znaczenie dla uczestników danego spotkania niż dla gości obiadu w Białym Domu czy Buckingham Pałace. Ta prestiżowa sprawa była najczęstszą przyczyną opóźnienia albo i załamania się wielu konferencji pokojowych. W tym jednakże przypadku sprawę rozstrzygnął

Hawke swą uprzejmą i dyplomatyczną, ale zdecydowaną postawą.

- Może ty, Peter i Alan, siedlibyście po tej stronie, ja i Leo po tej, a Silas - tu Hawke klepnął Meade'a po ramieniu - zajmie miejsce u szczytu. Będzie notował, jeśli okaże się to konieczne - mrugnięcie do Gemmela - i zadba o nasze szklanki.

Cała piątka zajęła miejsce i zapadła pełna oczekiwania cisza. Oczy zebranych skierowały się na Hawke'a. Ten chrząknął, pochylił się lekko nad stołem i zaczął mówić; spokojnie i z dużą pewnością siebie.

- Na początek krótkie przypomnienie: celem tego spotkania jest ustalenie szczegółowego planu akcji mającej na celu wybór i ogłoszenie nowego proroka islamu, Mahdiego; opracowanie metod jego uwiarygodnienia, czyli wywołania tak zwanego "cudu", i wreszcie kwestia sprawowania kontroli nad osobą Mahdiego, a za jego pośrednictwem, nad całym ruchem panislamskim.

Hawke przerwał i obiegnął wzrokiem stół. Wszyscy słuchali z uwagą, poważnie kiwając głowami.

- Naszym ostatecznym celem - ciągnął Hawke - będzie uzgodnienie stanowisk w kwestii realności całej operacji, którą oznaczyliśmy kryptonimem MIRAŻ. Nasze ustalenia przedstawione zostaną do akceptacji wyższym czynnikiem. Peter - Hawke zwrócił się bezpośrednio do Gemmela - chciałbym na wstępie powiedzieć, w imieniu swoim i swoich współpracowników - wskazał Falka i Meade'a - że bardzo się cieszę, iż to ty właśnie będziesz bezpośrednim wykonawcą naszego przedsięwzięcia.

Meade i Falk wymamrotali coś, co miało oznaczać potwierdzenie słów szefa, a Hawke mówił dalej:

- Chcemy, żebyś zdawał sobie sprawę, że nie mamy zamiaru ingerować w twoje działania w terenie, kiedy operacja wejdzie w fazę realizacji. Niemniej, oczywiście, jako że to nasza Agencja organizuje ją i finansuje, musimy mieć pełny ogłąd sytuacji.

Gemmel pochylił głowę gestem oznaczającym zrozumienie; na twarzach zebranych malowała się życzliwość i zgoda.

- A więc tak - Hawke postanowił przejść do konkretów; jego głos ożywił się - po głębokim, wspartym szczegółową analizą namyśle, doszliśmy do wniosku, iż kluczowym elementem operacji jest wybór i, przede wszystkim, sposób sprawowania kontroli nad samym Mahdim.

Hawke posłał Gemmelowi niewinny uśmiech, zerknął na Meade'a i Falka i rzekł:

- Posłuchaj, Peter. Dysponujemy, oczywiście, kilkoma godnymi uwagi propozycjami.

Jednakże, ponieważ to ty i twoi chłopcy znajdziecie się na pierwszej linii, wysłuchajmy może najpierw waszych koncepcji.

Gemmel z pewnym ociąganiem skinął głową.

- Dziękują, Morton - powiedział. - Jesteśmy zdania, że udało nam się opracować prosty, ale skuteczny plan. - Przerwał i spojrzał po kolei na każdego z trójki Amerykanów. -

Jest tylko jeden mały problem. Obawiam się, że będzie to dość kosztowne, a poza tym wymagać

będzie nie jednego, lecz dwu cudów,

Maitre d'hotel restauracji w "Ritzu" lubił Amerykanów. Nie dlatego, że dawali duże napiwki - bo jedni dawali, inni nie - ale dlatego, że nigdy nie narzekali. Oczywiście, w jednej z najlepszych restauracji w Europie trudno było znaleźć powód do narzekań, ale niektórym ludziom to się zdarzało. Celowali w tym Francuzi i Włosi. Jeśli chodzi o Amerykanów, maitre uznał, że przyjeżdżają ze swego kraju tak spragnieni dobrej obsługi, że w obliczu fachowości, z jaką mają tu do czynienia, zdolni są tylko do niemego podziwu. Trójka Amerykanów przy stoliku w kącie sali wydała mu się bardzo zagadkowa. Rezerwacji na nazwisko Beckett dokonała recepcjonistka. Dziesięć minut przed wejściem gości zjawiał się podejrzanie wyglądający typ, pytając o stolik pana Becketta. Dźwigał wielką walizkę, z której biegł

przewód do wetkniętej w jego ucho słuchawki. Obszedł kilkakrotnie stół, kiwnął głową i zniknął. Kiedy przybył pan Beckett ze swoimi gośćmi, maitre d'hotel czuł się zmuszony powiadomić go o tym incydencie, ale Amerykanin uśmiechnął się tylko i wcisnął mu banknot w dłoń. Maitre wzruszył ramionami. Po dwudziestu latach pracy w hotelowej restauracji, niczemu już sienie dziwił.

- To będzie kosztować krocie - wymamrotał Falk z ustami pełnymi wędzonego pstrąga.

- Ale to jest piękne - odparł Meade. - Piękne!

Jednocześnie spojrzeli na Hawke'a, który siedział zamyślony nad talerzem nietkniętej sałatki, będącej specjalnością miejscowego szefa kuchni. Nagle podniósł wzrok.

- Wszystko zależy od "ucznia" Mahdiego. Musi to być nasz człowiek - mówił, uderzeniami pięści w stół akcentując każde słowo. - Całkowicie, na zawsze i tylko nasz.

- Kiedy Gemmel przedstawił swój plan - w głosie Falka słychać było entuzjazm - to w momencie, gdy doszedł do tego "ucznia" w mojej głowie zadźwięczał jakby dzwonek; głośno, czysto i wyraźnie.

- Jesteś pewien tego faceta? - ostro spytał Hawke. - Nie masz żadnych wątpliwości?

Falk niecierpliwie potrząsnął głową.

- Żadnych, Morton. Jest doskonały. Umieściliśmy go tam wiele lat temu, paśli go, chuchali nań i dmuchali. I powiadam - jest doskonały. Dokładnie taki, jakiego nam trzeba.

Ale to wszystko będzie potwornie kosztowne.

Hawke skinął głową.

- Jakieś dwieście milionów, jak sądzą. Ale to, Leo, wartość mniej więcej godzinnego zużycia ropy naftowej w Stanach. Warto zapłacić tę cenę. Zdaje się, że ci Anglicy wpadli na naprawdę bombowy pomysł. - Hawke powiedział to jakby ze zdziwieniem.

W ciszy, jaka zapanowała po jego słowach, wszyscy trzej wrócili myślą do niedawno zakończonego spotkania.

Oświadczenie Gemmela, że potrzeba będzie dwu cudów, przyjęte zostało dłuższą chwilą zupełnego milczenia. Przerwał je dopiero Hawke, mówiąc:

- A zatem potrzebujemy i dwu proroków?

Gemmel z uśmiechem pokręcił głową i zaczął wyjaśniać. Otóż doszli do wniosku, że jedyny sposób kontrolowania Mahdiego, to doprowadzić do tego, by on sam uwierzył, iż jest prorokiem. Jednocześnie należy przekonać go - nie; polecić mu zwrócić się do wyznaczonej osoby jako do swego zaufanego doradcy. Osoba ta znajdowałaby się "pod kontrolą". W tym miejscu Gemmel oczekiwał jakiejś reakcji. Umilkł na chwilę, ale ponieważ nikt się nie odezwał, mówił dalej. Stwierdził, że pierwszy cud powinien wydarzyć się w obecności jedynie człowieka wybranego do odegrania roli proroka. Chodzi o coś w rodzaju zjawy, która mogłaby zostać skojarzona z archaniołem Gabrielem, który objawił się także Mahometowi.

Gemmel zasięgnął opinii ekspertów, czy tego rodzaju zjawę dałoby się wyprodukować i ci orzekli, że jeśli w grę wchodzi nieograniczone fundusze, to owszem, nawet w technikolorze.

Drugi cud, ten potwierdzający autentyczność posłannictwa Mahdiego przed całym islamskim światem, powinien być nieco bardziej spektakularny.

Ponownie Gemmel umilkł i tym razem odezwał się Falk.

- Oczywiście "uczeń" zostanie wcześniej podstawiony i będzie oczekiwał Mahdiego?

- Jasne - odparł Gemmel. - I będzie to nasz człowiek; całkowicie i na wieki wieków.

Falk zagryzł wargi i dał znak Gemmelowi, że może kontynuować. Ten, zanim podjął

wątek, z uprzejmym uśmiechem przeprosił Falka, iż zmuszony będzie mówić teraz rzeczy dobrze znane tak znamienitemu arabiście. Niemniej naszkicowanie całej sprawy jest konieczne, aby zebrani mogli w pełni ocenić istotę jego propozycji. Falk podziękował

dwornym skinieniem głowy i Gemmel jął mówić dalej.

Zaczął od krótkiej historii islamu - od czasów Mahometa do dzisiaj. Wyjaśnił, na czym polegały schizmy, które po śmierci czwartego kalifa doprowadziły do rozłamów w łonie jednolitej dotąd religii. Opisał zadziwiającą ekspansję islamu, początkowo, we wczesnym średniowieczu, przez podbój, a w bliższych nam czasach, drogą działalności misyjnej.

Wszystkie odłamy islamu zachowały jednak coś wspólnego: kult Mekki, której Wielki Meczet jest punktem ogniskowym całej religii. Obowiązkiem każdego muzułmanina, bez względu na narodowość i przynależność sektową - czy był sunnitą, czy szyitą, sufim czy izmaelitą - pozostała pielgrzymka do Mekki - hadżdż. I dlatego co roku ponad dwa miliony wiernych z blisko siedemdziesięciu krajów napływają do świętego miasta w celu odbycia rytuału religijnego, któremu żarliwością nie dorównuje nic na świecie.

- Tak więc cud musi wydarzyć się podczas siedmiu dni hadżdżu. W obecności pielgrzymów z całego

świata, którzy wieść o zjawieniu się Mahdiego rozniosą po wszystkich zakątkach globu.

Gemmel raz jeszcze przerwał. Zapadło milczenie - długa chwila ciszy, kiedy to każdy z obecnych pozostawał sam na sam ze swoją wyobraźnią. Na koniec Hawke przełamał nastrój chwili.

- A sam cud? Czy macie jakieś konkretne propozycje w tej kwestii?

- Owszem - odparł Gemmel. - Ale może chciałbyś najpierw przedstawić wasze?

- Nie, nie. Jedź dalej, Peter. Jak dotąd twoje pomysły brzmią bardzo obiecująco.

Teraz Gemmel przedstawił szczegóły swego planu. Poprosił słuchaczy, by wyobrazili sobie scenierię wydarzeń. Po południu przedostatniego dnia hadżdżu tłum Pątników opuszcza Mekkę i udaje się do doliny Mina. Niemal do zachodu słońca pielgrzymi modlą się zwróceniem twarzami do skały Arafatu, czytają Koran i słuchają nabożeństw. Niektórzy składają ofiary: jagnięta, kozy, czasem nawet wielbłądy.

Gemmel chyba podświadomie ściszył w tym momencie głos, tak że pozostali musieli pochylić się ku niemu, zasłuchani w wypowiedane półszepem słowa. Oto nadeszła chwila, mówił Gemmel, gdy nasz człowiek, w otoczeniu swoich wyznawców, pojawia się pośrodku doliny, w tym niezliczonym tłumie, i składa na ziemi ofiarne jagnię. Jego uczniowie tworzą wokół niego wielki krąg wolny od ludzi, a przyszedł Mahdi woła wielkim głosem, wzywając Allacha, by przyjął jego ofiarę.

Głos Gemmela opadł prawie do szeptu. Pojawiły się w nim tony jakby nabożnej czci.

Reszta obecnych zawisła wzrokiem na jego ustach. Z ich twarzy można było wyczytać, jak głęboko przeżywają wymagowaną scenę.

- Wtedy - rzekł Gemmel - z czystego, błękitnego, bezchmurnego nieba, uderza jaskrawozielony promień światła, doskonale widoczny milionom pielgrzymów i wiernych od Mekki po Dżdudę. Promień ten pada prosto na ofiarne jagnię, które znika, pozostawiając po sobie tylko chmurę dymu.

Gemmel wyprostował się na krześle, oparł wygodnie i już normalnym, rzeczowym tonem zakończył:

- Przybycie Mahdiego stało się faktem.

Falk pierwszy otrząsnął się z oczarowania.

- Promień laserowy! - wykrzyknął i uśmiechnął się szeroko. - Z wysoko lecącego samolotu!

- Z satelity - poprawił Gemmel. - Z przestrzeni kosmicznej.

Hawke zabrał się w końcu do jedzenia.

- Jak myślisz, czy ten cud jest wykonalny? - zapytał Meade'a.

- Który?

- Ten wielki. Z promieniami laserowymi.

Meade wzruszył ramionami.

- Cholernie mało wiem o laserach, ale Gemmel był pewny siebie, więc chyba zasięgnął opinii specjalisty.

Falk otarł usta serwetką i włączył się do rozmowy.

- Pamiętam, że czytałem raport wydziału badawczego Departamentu Obrony. W

ostatnich latach poczynili ogromne postępy. Bodajże w 1973 roku USAF dokonało zestrzelenia modelu śmigłowca przy użyciu prototypowego lasera. Armia i Marynarka mają podobne osiągnięcia.

- Fakt - wtrącił Meade. - Widziałem ten raport. Napisał go Richard Airey. W 1978

roku Marynarce udało się zestrzelić przeciwczołgowy pocisk manewrujący z napędem raketowym. Wszystkiego dwadzieścia parę centymetrów średnicy, a poruszało się to z prędkością tysiąca pięciuset kilometrów na godzinę.

Hawke odłożył widelec.

- Wygląda więc na to, że projekt Gemmela jest wykonalny - rzekł - tyle że będzie wymagał użycia ogromnej ilości urządzeń. Wyniesienie ich w przestrzeń okołozemską stanowi nielichy problem.

- Będziemy musieli użyć promu kosmicznego - podsunął Falk - ale NASA i Pentagonowi wcale to się nie spodoba. Program wykorzystania promów kosmicznych jest wypełniony na wiele lat naprzód.

Hawke uśmiechnął się ponuro.

- Posłużymy się więc odpowiednimi formami nacisku. Silas, chciałbym, żebyś się tym zajął. Możliwe, że będziesz musiał skorzystać z wpływów Gary'ego Cline'a. On pomoże ci ustawić opornych. A w ciągu dwudziestu czterech godzin od naszego powrotu do Waszyngtonu, w moim biurze ma się zjawić najlepszy w Departamencie Obrony spec od laserów, z kapeluszem pełnym królików i odpowiedzią na wszystkie moje pytania.

Meade skinął głową i zaczął coś gryzmolić w swoim notatniku. Hawke zwrócił się do Fałka.

- Ty, Leo, zaczniesz z drugiego końca. Obudzisz naszego śpiocha w Dżuddzie i każesz mu zająć się tą sprawą. Kiedy Mahdi wyłoni się z pustyni, będzie miał gotowego, jak na zamówienie, "ucznia". Ale najpierw załatw, by formalnie przeniesiono go do Brytyjczyków.

Skontaktuj się z Boydem. On go poprowadzi, a przynajmniej będzie mu się zdawało, że go prowadzi. Chcę jednak, żeby Agencja cały czas trzymała faceta za jaja.

Falk uśmiechnął się drapieżnie.

- Nie ma obawy, Morton. Z "ucznem" damy sobie radę. Jest czystszy niż pusta butelka po lizolu.

- Dobrze. - Hawke odsunął talerz. - Nie chcę, żeby z tej strony spotkała nas jakaś przykra niespodzianka.

Wzrok Hawke'a spoczął na głowie Meade'a, pochylonego nad notesem.

- Co mówisz, Silas?

- Powiedziałem amen, Morton. Amen.

Gemmel rozmawiał z Boydem w swoim pokoju. Siedział na łóżku, gościa posadził na jedynym krześle.

- Myślę, że poszło całkiem nieźle - oznajmił Boyd.

- Na pewno spodobał im się pomysł kontrolowania Mahdiego poprzez Ucznia. Ale to dlatego, że mają tam na miejscu gotowego człowieka, który przez ostatnie piętnaście lat siedział cicho jak mysz pod miotłą.

- Dość sprytnie - przyznał Boyd. - Nie sądziłem, że Amerykanie robią takie rzeczy. To znaczy, zaplanowane na odległą przyszłość.

- Ani ja - odparł Gemmel, uśmiechając się. - Z reguły lubią szybko oglądać rezultaty.

- Więc teraz my go przejmujemy.

Gemmel pokiwał głową.

- Tak. Na wypadek gdyby faceta przyłapano na gorącym uczynku. Ale to czysta formalność. Hawke będzie go trzymał w garści, a jeśli operacja się powiedzie, nagle okaże się, że "uczeń" działa przeciwko nam. - Wzruszył ramionami i spojrział na zegarek. - Za dziesięć minut mam ostatnie spotkanie z Hawke'em. W jego apartamencie.

Podniósł się.

- Gdzie Beecher? - zapytał.

- Ostatnio widziałem go w barze.

Gemmel skrzywił się.

- Zejdź, proszę, na dół i sprawdź czy jest w miarę trzeźwy.

- Mój pokój zmieściłby się tu trzy razy - powiedział Gemmel, rozglądając się po salonie apartamentu Hawke'a.

Amerykanin stał przy barku, mieszając drinki. Uśmiechnął się.

- Porozmawiam z Perrymanem - rzekł. Przeniósł szklanki na stół i usadowił się w fotelu. -
Zasugeruję mu, żeby podwyższył ci diety.

Gemmel z uśmiechem pokręcił głową.

- Perryman dostałby zawaha serca na myśl, że miałby płacić sto funtów dziennie za pokój.

Przez chwilę milczeli, badając się wzrokiem.

- Chcę być wobec ciebie szczery - odezwał się nagle Hawke - ale prawda jest taka, Peter, że nie doszliśmy do żadnych wyraźnych rezultatów ani w kwestii kontrolowania Mahdiego, ani w poszukiwaniach pomysłu na cud. Szczerze mówiąc, gdyby twoja strona nie zadziałała skutecznie, organizując burzę mózgów, cały projekt znalazłby się w impasie.

Szczerść Hawke'a zrobiła na Gemmelu wrażenie, ale nie mógł odmówić sobie przyjemności wymierzenia Amerykaninowi małego kopniaka.

- Chcesz powiedzieć, że twoja grupa zawiodła?

Hawke uśmiechnął się kwaśno.

- Na to wygląda. Szczęśliwie twoi cię nie zawiedli.

Gemmel pokręcił głową.

- Prawdę mówiąc, Morton, oba te pomysły są autorstwa Perrymana. Wbrew pozorom to bardzo cwany staruszek.

- Najwyraźniej - zgodził się Hawke. - Jedno mogę ci powiedzieć: czuję się teraz o wiele pewniej niż godzinę temu. Może uda nam się ruszyć to zwariowane przedsięwzięcie. -

Odetchnął głęboko i rzekł: - W porządku, może przejdziemy do szczegółów?

Rozmowa dotyczyła kolejnych posunięć. Zgodzili się, że następne spotkanie odbędzie się za tydzień, tym razem w Paryżu, dla uniknięcia zbyt częstego pokazywania się razem w jednym mieście. Hawke wolałby właściwie Brukselę albo Bonn, jako że nie lubił Paryża, ale Gemmel był w tej sprawie nad wyraz stanowczy. Podczas tego tygodnia Hawke miał

sprawdzić, jak wygląda praktyczna strona użycia lasera zawieszzonego w przestrzeni okołozemskiej, który miał się przyczynić do wywołania cudu. Gdyby okazało się to wykonalne, musi ustalić, czy na przygotowania wystarczy siedem miesięcy, bo tyle czasu zostało do najbliższego hadźdzu. Jeśli nie, będą musieli poczekać do przyszłego roku.

W tym samym czasie Gemmel rozpocznie poszukiwania odpowiedniego kandydata.

Powinien być Arabem o nieskazitelnym rodowodzie, ponieważ muszą go zaakceptować muzułmanie wszelkich odłamów islamu. Pierwszy cud, czyli "zwiastowanie", musi wydarzyć się co najmniej trzy miesiące przed hadżdżem, tak by ich wybraniec zdążył zebrać dostateczną liczbę wyznawców. Oczywiście do czasu wielkiego cudu nie będzie mógł jawnie ogłosić się Mahdim, bo król Arabii Saudyjskiej każe uciąć mu głowę, jak to robił z poprzednimi pretendencjami.

Ustalono także, iż ludzie z MI-6 zainicjują w krajach islamskich kampanię dezinformacji. Rozpuszczą pogłoski o nadejściu Mahdiego, które narastać będą aż do chwili, gdy potwierdzi je cud w dolinie Mina. Na koniec zdecydowano, że z chwilą rozpoczęcia operacji oba zespoły przeniosą się do Jordanii do baz terenowych w Ammanie.

Temat został już właściwie wyczerpany, kiedy rozległo się dyskretne pukanie do drzwi. Spojrzeli na siebie z niepokojem. Hawke wzruszył ramionami i poszedł otworzyć. Na korytarzu stał niski, starszy mężczyzna z drukowaną w skóropodobny wzorek kopertą w garści.

- Zdaje się, że jest tu pan Gemmel?

- A, Beecher - zawołał Gemmel. - Wejdz i Hawke odsunął się od drzwi, a Beecher przemaszerował przez pokój i wręczył Gemmelowi kopertę.

- Właśnie przyszło z Londynu - powiedział. - Nie wiedziałem, czy nie jest to coś pilnego. Pan Boyd powiedział, że tu pana zastanę.

- W porządku, Beecher, dzięki. Potwierdziłeś moją rezerwację na lot do Kairu?

- Tak jest. Odlot o dziesiątej. Zamówiłem taksówkę na ósmą trzydzieści.

Gemmel otworzył kopertę i przebiegł wzrokiem krótką notatkę znajdującą się wewnątrz. Uniósł wzrok i rzucił:

- Świetnie, Beecher, dziękuję.

Beecher zakręcił się na pięcie, skinął głową Hawke'owi i wyszedł.

- Kto to taki? - spytał Amerykanin, wracając na swój fotel.

- Niejaki Beecher.

- Należy do twojego zespołu?

- Nie - Gemmel pokręcił głową. - Jest kimś w rodzaju chłopca na posyłki. Niczego nie wie na temat operacji. Żadnych faktów.

Hawke'owi ta wiadomość najwyraźniej sprawiła ulgę.

- Wybacz, że pytam - rzekł - ale czy on nie jest oliwa?

- Oliwa?

- No wiesz, teki co to lubi wypić. Jego chuch mógłby zwalić człowieka z nóg.

Gemmel uśmiechnął się.

- Tak, chyba tak. Zdaje się, że większość czasu spędza w barze. Prawdę mówiąc, nigdy z nim nie pracowałem i po powrocie do Londynu przeniosę go do innego wydziału.

Zostało mu tylko parę lat do emerytury. W takich wypadkach Perryman staje się wyrozumiały. Nie lubi nikogo wylewać.

- To zrozumiałe - zgodził się Hawke. - Ale w tym interesie pijak może stać się naprawdę niebezpieczny. Nie dalej jak kilka tygodni temu, musiałem wywalić kogoś takiego.

Swego czasu był z niego niezły facet. To nie było przyjemne.

Gemmel ze zrozumieniem pokiwał głową. Przyniesioną przez Beechera kopertę rzucił na stół.

- Coś ważnego? - zapytał Hawke.

Gemmel uśmiechnął się.

- O tak. Bardzo. W przyszłym tygodniu występuje w Paryżu balet Bjarta. To wiadomość od mojej sekretarki, że udało jej się zdobyć bilet.

- Więc to tak! Ty skurczybyku! - zawołał Hawke. Ale nie mógł się nie roześmiać.

Wieczorne modły dobiegły końca. Wierni podnieśli się z klęczek, zwijali swoje modlitewne dywaniki. Niektórzy zostali poplotkować, inni pospieszyli do domów lub pili kawę przy ulicznych straganach otaczających meczet.

Imam odbył krótką rozmowę z kilkoma wiernymi, którzy mieli jakieś drobne kłopoty, i wyszedł ze świątyni poszukać Hadżiego Mastana. Znalazł go siedzącego w cieniu wysokiego muru meczetu. Przed nabożeństwem Hadżi wspomniał, że chciałby porozmawiać, że potrzebuje rady. Imamowi sprawiło to wielką przyjemność, Hadżi Mastan był bowiem podporą miejscowej wspólnoty wiernych i dobroczyńcą meczetu. Jego prośba o radę stanowiła dla imama komplement.

Przez chwilę mężczyźni siedzieli obok siebie, gawędząc leniwie o sprawach doczesnych. Wreszcie zapadło milczenie. Imam czekał cierpliwie, choć pełen był ciekawości.

Zauważył, że Hadżi jest niezmiernie czymś zaaferowany. Jego zwykle wesoła twarz była poważna, palce skubały rękawy burnusa.

- Mam sny - wydusił z siebie na koniec.

Na twarzy imama pojawiło się osłupienie. Oczekiwał jakichś problemów natury praktycznej. Może związanych z wychowaniem dzieci albo z interesami? Słyszał, że Hadżi wrócił niedawno z podróży do Kairu.

- Sny? - powtórzył, nie rozumiejąc.

- Tak, sny, zawsze podobne do siebie.

- Jakie sny?

Hadżi wziął głęboki oddech.

- Sny o pewnym człowieku - rzekł. - O mężu, który kroczy po pustyni. Świętym mężu.

- Znasz go?

Hadżi pokręcił głową.

- Nie, ale widzę go wyraźnie i to jest zawsze ten sam człowiek.

Imam próbował pozbierać myśli, gorączkowo poszukując sposobu sprowadzenia rozmowy na mniej abstrakcyjne tory.

- Skąd wiesz, że to święty?

- Po prostu wiem.

- Spróbuj go opisać.

Przez długą chwilę Hadzi siedział w milczeniu z wyrazem niezdecydowania na twarzy. Potem spojrział prosto w oczy imama i rzekł:

- Opisz mi Mahometa, błogosławieństwo i łaska boża niechaj z nim będą na wieki.

Imam oklapł, jakby ktoś uderzył go w twarz.

- Proroka Mahometa?

Hadzi bez słowa skinął głową.

- Proroka Mahometa? - powtórzył imam. - Widziałeś go w swoich snach?

- Widziałem człowieka. Człowieka! Męża. Możesz mi go opisać?

Imam westchnął.

- Jesteś wykształconym człowiekiem, Hadzi Mastan, i wiesz jak on wyglądał.

- Opisz mi wysłannika bożego.

Gdyby to był ktoś inny, imam już dawno straciłby cierpliwość i zaniechał tej rozmowy, ale Hadzi Mastan nie należał do ludzi, których łatwo się pozbyć.

- Był mocno zbudowany - powoli zaczął recytować - miał zakrzywiony nos i duże czarne oczy. Usta miał duże i kiedy się śmiał, a zdarzało się to nieczęsto, widać było całe wnętrze jamy ustnej. Cere miał gładką. Kiedy odwracał się, robił to ruchem całego ciała -

imam przerwał. - Ale ty to wszystko wiesz.

- Tak - westchnął Hadzi.

- I w swoich snach widzisz takiego człowieka? Ale przecież nie możesz znać jego twarzy. Nikt nie może jej znać.

Hadzi pokręcił głową.

- Znam tylko twarz człowieka, który ukazuje mi się we śnie i teraz, po tylu nocach, znam ją dobrze.

- I co on robi?

- Idzie po pustyni.

- Dokąd idzie?

Przez dłuższą chwilę Hadzi nie odpowiadał. Siedział niemy jak kamień z twarzą nieruchomą i

pozbawioną wyrazu.

- Dokąd on idzie? - powtórzył imam.

- Tutaj. Do mnie.

Imam oparł się o mur i ścisnął kolana. Z trudem wydobywając głos przez zaciśnięte gardło, zadał następne pytanie:

- I co, jeśli tu przyjdzie... Ten człowiek z twego snu?

Hadzi znów nie odpowiedział od razu. A gdy wreszcie przemówił, jego głos był tak cichy, że imam z trudem rozróżniał wyrazy.

- Jeśli przyjdzie, wezwie mnie. A ja pójdę za nim.

- Hadzi Mastan - ostrzejszym już tonem odezwał się imam - przecież to tylko sny. Ze snów chcesz przepowiadać przyszłość? Może jesteś chory? Może tęsknisz za czymś i twój umysł podsuwa ci takie obrazy?

- Od sześciu miesięcy - odparł Hadzi. - Od sześciu miesięcy mam ten sam sen.

Imam wzruszył ramionami, teraz już wyraźnie niezadowolony z przebiegu rozmowy.

- Jakiej więc poszukujesz rady?

- Czy mam o tym opowiedzieć? Mojej rodzinie? Moim przyjaciołom?

Imam gwałtownie potrząsnął głową.

- W żadnym wypadku! Wiesz dokąd prowadzi takie gadanie. Nic nie mów!

Hadzi nie odpowiadał, ale imam drążył dalej.

- Sny to sny - oświadczył. - Jesteś człowiekiem szanowanym, rozsądnym. Jeśli będziesz mówił za dużo, ludzie cię wyśmieją. Powiedzą, że Hadzi Mastan zwariował.

- Czy i ty tak myślisz? Czy myślisz, że jestem śmieszny?

- Nie, na pewno nie.

Hadzi wstał, owinał się swoim burnusem.

- Pójdę więc za twą radą - rzekł, spoglądając z góry na imama. - Nie będę o tym mówił. - Odwrócił się i opuścił dziedziniec meczetu.

Istotnie zastosował się do otrzymanej rady i o swych snach nie opowiadał nikomu.

Jednak znał dobrze swojego imama; był to bardzo gadatliwy staruszek.

I imam opowiedział jego tajemnicę. Opowiadając zaś sny Mastana, upiększał je i rozbudowywał; opowiadał o nich w meczecie, na bazarze i w miejscowych kafejkach. I nikt się nie śmiał, bo Hadzi Mastan był człowiekiem poważnym i szanowanym.

O ósmej rano Gemmel wszedł do apartamentu Hawke'a w hotelu "George V" w Paryżu. Półtorej godziny później Hawke znajdował się w stanie białej gorączki. Echo jego wściekłości niosło się przez Atlantyk, sięgając najpierw dyrektora CIA, następnie doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, by na koniec zadudnić w uszach sekretarza obrony.

Zebranie zaczęło się w miłej atmosferze. Od pierwszej chwili było jasne, że Gemmel i Hawke są szczerze radzi z ponownego spotkania. Amerykaninowi towarzyszyli Leo Falk, Silas Meade i jakiś trzeci mężczyzna. Miał czterdzieści kilka lat i sposób bycia człowieka głęboko przekonanego o swej nadzwyczajnej mądrości. Hawke przedstawił go urzędowym tonem:

- Peter, to jest pan Elliot Wisner, który kieruje Wydziałem Technologii Przekazu Energii w biurze podsekretarza obrony do spraw naukowo-technicznych.

Gemmel wysłuchał przydługiej prezentacji, wziął szklankę podaną przez Meade'a i razem z innymi zasiadł do stołu.

- Jak podróż? - spytał Hawke.

- W porządku. Zabawa, można by rzec, nabiera tempa.

- To dobrze - odrzekł Hawke - ale, prawdę mówiąc, mamy mały problem.

Gemmel łyknął ze swojej szklanki i czekał milcząc.

- Sądziliśmy - ciągnął Hawke - że przedstawiając swoją propozycję "wielkiego cudu"

opierałeś się na ekspertyzach fachowców.

- I owszem - wypranym z emocji głosem, wyraźnie wymawiając głoski, odparł

Gemmel.

- Otóż wygląda na to, że nie.

Gemmel nie odpowiedział. Hawke mierzył go przez chwilę wzrokiem; atmosfera przy stole stała się nagle napięta.

- Elliot - podjął Hawke, wskazując Wisnera ruchem ręki - jest uważany za naszego najlepszego specjalistę od techniki laserowej. Nikt lepiej od niego nie zna aktualnego stanu naszych badań na tym polu. Został wprowadzony we wszystkie aspekty rządowego programu badającego możliwości zastosowania lasera.

Hawke poprawił się w krześle, a w jego głosie pojawił się odcień wyższości.

- Chyba możemy więc uznać, że Elliot jest jednym z najbardziej kompetentnych specjalistów na świecie w dziedzinie techniki laserowej. Zgadzasz się?

- Zgadzam - powiedział Gemmel.

Głos zabrał Wisner.

- Dziękuję - rzekł wysokim, nosowym głosem. - Panie Gemmel, Morton zaprosił mnie na to spotkanie, by mógł pan z pierwszej ręki dowiedzieć się, dlaczego proponowane przez pana rozwiązanie jest fizycznie niemożliwe. - Wisner gestykulował zamasyście. - Niech mi wolno będzie jednak powiedzieć, że podziwiam pański rozmach i wyobraźnię, które natchnęły pana tym pomysłem.

Przerwał, ale ze strony Gemmela nie było żadnej reakcji.

- Jak dużo wie pan o laserach?

- Tyle, ile może wiedzieć laik w tej dziedzinie - odparł Gemmel. - Ale oczywiście zadałem sobie trud zapoznania się z pewnymi szczegółami.

Wisner uśmiechnął się.

- Jestem pewien, iż zgodzi się pan ze mną, że niepełna wiedza może prowadzić na manowce.

Gemmel westchnął donośnie.

- Panie Wisner, chciałbym się w końcu dowiedzieć, dlaczego moja propozycja jest fizycznie niemożliwa.

Wisner zmieszał się. Spojrzał na Hawke'a, który skinął głową, dodając mu otuchy.

- Zaczniemy od początku - rzekł.

W ciągu następnych piętnastu minut Wisner przedstawił fachowy, zwięzły zarys rozwoju techniki laserowej. Starał się mówić w sposób przystępny: zaczął od określenia lasera jako urządzenia emitującego wiązkę światła określonej barwy - nawet barwy ze skraju widma, a więc światła niewidocznego dla ludzkich oczu. Wyjaśnił, dlaczego laser impulsowy jest w stanie doprowadzić do wrzenia nawet metal. Otóż w chwili pobudzenia skupia on na niesłychanie małej powierzchni rzędu milionowej części metra kwadratowego, energię dziesięciu milionów watów. Tu Wisner przerwał, spodziewając się jakiejś reakcji Gemmela.

Nie doczekawszy się jej, mówił dalej. Promień lasera przemieszcza się, oczywiście, z prędkością światła, czyli trzysta tysięcy kilometrów na sekundę. Tak więc przebywa kilometr w ciągu trzech milionowych sekundy, w którym to czasie samolot lecący z prędkością dwóch machów pokona mniej więcej dwa milimetry.

Wisner z całą pewnością należał do ludzi znajdujących upodobanie w liczbach. Nic dziwnego, że język mu się rozwiązał. Przeszedł teraz do kwestii postępu techniki laserowej.

Teoretyczne podstawy budowy lasera stworzyła teoria Einsteina, ale dopiero pięćdziesiąt lat po jej ogłoszeniu powstał prototyp lasera optycznego. W latach sześćdziesiątych nastąpiło znaczne przyspieszenie badań nad laserem, tak że dzisiaj Stany Zjednoczone dysponują laserami gazowymi o ogromnej mocy.

Wisner przerwał i spojrzał na Hawke'a.

- Myślę, Morton, iż nie od rzeczy będzie powiedzieć, że budujemy już laser o mocy pięciu megawatów. Dziesięć lat temu nikomu się to nie śniło.

- Jedź dalej, Elliot - niecierpliwie odparł Hawke. - Jeśli zaczniesz brnąć w dygresje, nie omieszkam interweniować.

Wisner uśmiechnął się i znów zwrócił się do Gemmela, który przez cały czas słuchał go w skupieniu, lecz bez żadnej reakcji.

- Zasadnicze przesłanki pańskiego projektu są całkiem sensowne. Istotnie, możemy wynieść laser w przestrzeń kosmiczną. To nie tajemnica, że i my, i Rosjanie pracujemy nad systemem obrony satelitarnej zdolnym niszczyć zarówno obce satelity, jak i międzykontynentalne pociski balistyczne w chwili, gdy zmierzając do celu, opuszczają atmosferę ziemską.

- Wiem o tym - rzekł Gemmel.

- Jednakże - ciągnął Wisner nie zbity z tropu - systemy te mogą pracować jedynie w przestrzeni okołoziemskiej. Nigdy w atmosferze. A wie pan dlaczego?

- Niewątpliwie zaraz się dowiem.

Wisner nie zareagował na ironię kryjącą się w słowach rozmówcy. Był w coraz lepszym humorze.

- Wyjaśnię to na przykładzie pańskiego planu. Powiedzmy, że umieszczamy na orbicie laser gazowy wysokiej mocy. Byłoby to trudne, lecz możliwe, przy użyciu promu kosmicznego. A tak na marginesie, całe urządzenie ważyłoby blisko dwadzieścia ton. Tak więc mamy laser na orbicie i o wyznaczonym czasie wysyła on na ziemię wiązkę zielonego światła. - Wisner uśmiechnął się. - Zielonego, jak sądzę, ponieważ jest to kolor islamu, nieprawdaż?

Gemmel skinął głową.

- Interesujące - powiedział Wisner, spoglądając na Hawke'a. - Przypadkowo właśnie barwa zielona byłaby w tym przypadku najwłaściwsza. Takie światło jest w najmniejszym stopniu pochłaniane przez atmosferę. Używa się go w łączności satelitarnej, zwłaszcza z okrętami podwodnymi, bo łatwo przenika wodę.

- Dobra - warknął Hawke. - Może przejdziemy do meritum sprawy.

- Rzecz w tym, panie Gemmel - podjął Wisner - że pan chce, aby ten zielony płomień padł na stosunkowo mały obiekt, a to, niestety, w przypadku użycia lasera znajdującego się w przestrzeni okołozemskiej, jest niemożliwe.

- Dlaczego?

- Z powodu niestałych odchyłeń wiązki oraz jej rozproszenia. Zapewne pamięta pan z lat szkolnych, że światło, przechodząc do ośrodka o innej gęstości, ulega załamaniu; refrakcji.

Gemmel pochylił się nad stołem, wbijając spojrzenie w Wisnera.

- Pamiętam z lat szkolnych wszystko, co potrzeba - wycedził. - Wiem też, że nowoczesne systemy naprowadzające są w stanie przeciwdziałać skutkom refrakcji.

- To prawda - zgodził się Wisner. - Ale nie są w stanie zapobiec wpływowi chmur czy zanieczyszczeń atmosferycznych - na przykład zanieczyszczeń warstwy ozonowej - które są przyczyną rozproszenia wiązki. Weźmy taki przykład: kiedy po raz pierwszy użyto lasera, dla dokładnego zmierzenia odległości Księżyca od Ziemi, promień lasera osiągając powierzchnię naszego naturalnego satelity, miał średnicę ponad trzech kilometrów. Wywołane to było jego przejściem przez atmosferę. Stąd, panie Gemmel - Wisner zawiesił głos dla lepszego efektu -

jeśli wystrzelimy wiązkę promieni laserowych z satelity, to po dotarciu do ziemi pokryje ona obszar o średnicy około pięciuset metrów. Jak do pańskich celów, to chyba trochę za dużo.

Wisner skończył i rozparł się w krześle z zadowoloną miną. Zapadło milczenie.

Hawke wzruszył ramionami i spojrzał na Gemmela, rozkładając ręce gestem mającym oznaczać rezygnację. Anglik nie oderwał jednak oczu od Wisnera.

- Jeśli dobrze rozumiem - powiedział - te same powody czynią laser umieszczony na satelicie bezużytecznym jako broń wobec celów znajdujących się na ziemi.

- Dokładnie tak - odpowiedział Wisner. - Oczywiście, wszyscy marzą o takiej broni.

Gdyby nie efekty zjawiska dywergencji, mielibyśmy do dyspozycji umieszczone w przestrzeni kosmicznej lasery zdolne zniszczyć wszystko od lotniskowca po czołg. A tak zmuszeni jesteśmy zadowolić się bronią laserową krótkiego zasięgu. Nawet w kosmosie...

Owszem, wszystko jest możliwe.

Gemmel zagryzł wargi; zamyślił się. Pozostali w milczeniu czekali na jego reakcję.

- Tak więc nie widzi pan żadnych szans dla naszego projektu? - zapytał wreszcie.

Wisner ze smutkiem pokręcił głową.

- Obawiam się, że nie. Chyba żeby zainstalować urządzenie na pokładzie samolotu.

Jeśli odległość lasera od ziemi nie przekroczy piętnastu tysięcy metrów, skutki rozproszenia wiązki powinny być minimalne, zwłaszcza przy bezchmurnym niebie i w czystym, pustynnym powietrzu. - Wisner starał się, by jego słowa zabrzmiały optymistycznie. - Może udałoby się tak to zaaranżować, aby w momencie "wystrzału", samolot znalazł się na tle słońca, w ten sposób stając się niewidzialnym dla obserwatorów z ziemi.

Gemmel i Hawke niemal jednocześnie pokręcili głowami.

- Radar - odezwał się Hawke. - Saudyjski albo rosyjski. Samolot wyłapie bez trudu.

Po tych słowach ponownie zapadło milczenie, przerwane dopiero pytaniem Gemmela.

- A więc nie ma rady na te odchylenia i refrakcję?

Wisner uśmiechnął się protekcjonalnie.

- Panie Gemmel, nie przeskoczy pan elementarnych praw fizyki. Nawet agent wywiadu musi je zaakceptować.

- To był dobry pomysł, Peter - łagodnie powiedział Leo Falk - ale musimy chyba zaczynać od początku.

Gemmel jakby go nie słyszał, tak był pochłonięty swoimi myślami. Nagle podniósł głowę.

- Przepraszam, Morton, ale muszę porozmawiać z tobą na osobności.

- Na osobności?

- Tak.

Wśród obecnych zapanowała konsternacja. Hawke spojrział na Falka, a potem wzruszył ramionami.

- Dobra, chodźmy do sypialni.

Pozostali, nieco urażeni, przyglądali się, jak Gemmel i Hawke wychodzą, zamykając za sobą drzwi. Wisner wstał i przyrzędził sobie kolejnego drinka.

- Rozumiem; nikt nie lubi, jak diabli biorą dobry pomysł - powiedział.

Hawke usiadł na łóżku. Gemmel stał plecami zwrócony do drzwi.

- Sądziłem, że naszemu projektowi przyznano najwyższy priorytet.

- Bo tak jest.

- Gówno prawda!

Hawke głęboko wciągnął powietrze, starając się nie tracić kontroli nad nerwami.

- Spokojnie, Peter - powiedział. - Wiedziałem, że będziesz zawiedziony. Właśnie po to przywiozłem Wisnera; żebyś usłyszał opinię specjalisty!

- Krętacza, nie specjalisty!

Hawke potrząsnął głową, jakby oszołomiony.

- Do diabła! - wybuchnął wreszcie. - O co ci chodzi?

Gemmel przyglądał mu się poważnym wzrokiem.

- Albo ty kłamiesz, albo Wisner, albo obaj.

- Gdzie ty tu widzisz kłamstwo?

Gemmel przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. Nie spuszczał oczu z twarzy Amerykanina, jakby starał się przeniknąć jego myśli.

- Jeśli operacja MIRAŻ ma najwyższy priorytet, jesteś władny zażądać podporządkowania sobie każdej agencji rządowej. Mam rację?

- Jak cholera! - wykrzyknął Hawke.

Znów chwila milczenia. Gemmel starannie dobierał słowa.

- Chcę wiedzieć, jak wysoko sięga twoja władza.

- Wysoko. Do samego szczytu.

Gemmel uśmiechnął się smętnie.

- W takim razie, jak pewnie sam byś to określił, wciskają ci kit.

- Lepiej będzie, jeśli mi to wyjaśnisz - warknął Hawke.

Gemmel podszedł do okna.

- Wisner mówił o odchyleniach i refrakcji - powiedział, nie odwracając się. - Otóż mogę cię zawiadomić, że specjaliści od laserów wysokiej mocy z Departamentu Obrony rozwiązali ten problem ponad rok temu. Dwunastego czerwca w Nevadzie przeprowadzono końcowy eksperyment. Wyniki pomiarów dowiodły, iż efekt dywergencji można sprowadzić do współczynnika o wartości trzech tysięcznych procentu. - Gemmel zwrócił się twarzą do Hawke. - A to oznacza, że wiązka zielonego światła, wystrzelona z satelity zawieszzonego w przestrzeni okołozemskiej, osiągając

powierzchnię ziemi może mieć średnicę poniżej pięciu centymetrów. Dokładnie tyle, ile potrzebujemy.

Hawke gapił się na Gemmela z rozdziawionymi ustami.

- I tak się składa - ciągnął Anglik - że doświadczenie w Nevadzie nadzorował pan Elliot Wisner.

Hawke zerwał się na równe nogi.

- Skąd, do diabła, wiesz o tym wszystkim? - wykrztusił.

Gemmel uśmiechnął się blado.

- Wtedy, w Hyde Parku, powiedziałem ci, że nas nie doceniacie. Od czasu do czasu udaje się nam dowiedzieć tego i owego. Nie wiemy, jak to się robi od strony technicznej. Jak powiedział Wisner, wydaje się to sprzeczne z prawami fizyki i na pewno problem wciąż istnieje. Ale do celów praktycznych wystarczy to, co już osiągnięto. Wisner wie o tym.

Gotów jestem uwierzyć, że ty nie.

Hawke zacisnął usta.

- Nie tylko nie wiem, ale i nie wierzę w to, co mówisz. Powiadam: ten projekt ma najwyższy priorytet. Sądziś, że Wisner mógłby mi patrzeć w oczy i żywcem robić mnie w konia?

- Wygląda na to - Gemmel nie zamierzał oszczędzać Amerykanina - że są sprawy, w które ani ty, ani zresztą twój dyrektor nie jesteście wtajemniczeni.

Hawke chwycił przynętę.

- Przyszedłem do Departamentu Obrony wyposażony we wszelkie pełnomocnictwa - powiedział ze złością. - Chyba nie wiesz, co to znaczy.

Gemmel jedynie wzruszył ramionami.

- Dobra, mądralo - rzekł Hawke. - Zaraz się wszystkiego dowiemy. Zostaniesz tu z Falkiem i Wisnerem, a ja skoczę do ambasady. Bardzo szybko mi odpowiedzą. Cholernie szybko. A wtedy porozmawiamy sobie o prawach fizyki.

Wpadł do salonu, witany zdziwionymi spojrzeniami obecnej tam trójki.

- Ty! - nie zmieniając wściekłego wyrazu twarzy, wskazał na Meade'a. - Ze mną! Leo, zostajesz tutaj z Wisnerem i Gemmelem. Zaraz wracam.

Nie było go czterdzieści minut. Dla czekających w hotelu te czterdzieści minut wlokło się w nieskończoność. Gemmel, oczywiście, nie zamierzał powiedzieć, o co chodzi, toteż rozmawiali od

niechcenia o tym jak brudnym i drogim miastem stał się ostatnio Paryż.

Gemmel był całkowicie spokojny; Falk kipiał ciekawością, a Wisner sprawiał wrażenie nieco podenerwowanego. Chwile nieprzyjemnego milczenia robiły się coraz dłuższe. Na koniec drzwi otworzyły się i wszedł Hawke. Mimo pozorów opanowania, miał minę człowieka, który trzyma granat z wyciągniętą zawleczką. W lewej dłoni dzierżył niewielką różową kartkę.

Wskazał palcem Wisnera i stłumionym głosem powiedział:

- Na dole czeka na ciebie Meade w samochodzie z ambasady. Odwiezie cię na lotnisko, na nocny rejs PanAmu do Waszyngtonu. Jutro o dziewiątej zameldujesz się w Pentagonie, u przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów.

Wyciągnął dłoń z różową kartką, którą Wisner przyjął, a przeczytawszy notatkę pokiwał głową.

- Wiesz jak to jest, Morton.

- Jasne, Elliot - przez zęby odparł Hawke. - Pozwól, że ja ci powiem, jak jest. W ciągu pięciu miesięcy zaprojektujesz laser i dopilnujesz jego budowy. I Elliot, jeśli nie będzie gotowy i sprawny na czas oraz ładnie zapakowany, przewiązany różową wstążką i dostarczony do Centrum Lotów Kosmicznych Kennedy'ego, to zrobię z twojej dupy hamburgera i każę ci go zżreć za pomocą wykałaczki.

Po tych słowach Wisner opuścił pokój, a Hawke nalał sobie większą niż zwykle porcję Canadian Club z ociupinką wody sodowej i stopniowo zaczął się uspokajać. Wyjaśnił

Falkowi, co zaszło, i próbował wtajemniczyć Gemmela w tajniki rywalizacji między różnymi służbami i agencjami rządu Stanów Zjednoczonych.

- Pieprzony Pentagon - rzekł. - Kiedy usłyszeli, że Firma zamierza wejść w czas przydzielony im w harmonogramie wykorzystania promów kosmicznych, dostali hysterii.

Rany boskie! Myślałby kto, że jesteśmy z jakiegoś chrzanionego KGB!

Wychylił szklanekę, napełnił ją ponownie i nagle się roześmiał.

- Cline dopadł przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów na proszonym obiedzie.

Mam nadzieję, że sukinsyn dostanie niestrawności.

Całkiem już opanowany Hawke usiadł i zwrócił się do Gemmela.

- W tej ambasadzie mają naprawdę nielichy sprzęt komunikacyjny. Kiedy czekałem na odpowiedź, facet, który kieruje tym interesem, wyjaśnił mi, jak to działa. Wiesz, w jaki sposób przesyła się dzisiaj najbardziej tajne informacje?

Gemmel pokręcił przecząco głową, na co Hawke uśmiechnął się promiennie.

- Używa się lasera. A jako przekaźnika satelity.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Elliot Wisner odlatywał z lotniska de Gaulle'a, Brian Beecher pojawił się na Nabrzeżu Victorii w Londynie. Szedł wzdłuż rzeki, przystając co chwilę, aby popatrzeć na ciemne wody Tamizy i światła przepływających łodzi.

Odziany w ciemny, nieco za obszerny na niego prochowiec, stanowił drobną, nie rzucającą się w oczy, samotną, sylwetkę. Na wysokości trawników Temple zatrzymał się po raz kolejny. W dół rzeki płynął holownik, wlokąc za sobą trzy barki. Wyładowane po brzegi, nisko osiadły w wodzie. W świetle bijącym od domów na przeciwległym brzegu, Beecher ledwie mógł rozróżnić zarysy ich kształtów. Za plecami miał, ruchliwą ulicę, wiodącą do City, a w przeciwnym kierunku - do Parlamentu. Przechodniów było jednak niewiele. Stał

bez ruchu, nie patrząc na boki. Po swojej lewej stronie miał wielki pojemnik na śmieci, przymocowany do narożnika grubego, kamiennego muru. Minęło piętnaście minut i od strony ulicy rozległ się dźwięk samochodowego klaksonu. Dwa sygnały, potem znowu dwa. Beecher sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął małą, brązową kopertę, rzucił ją pod pojemnik i odszedł.

Godzinę później na Nabrzeżu pojawił się inny przechodzień. Ten także miał na sobie ciemny prochowiec, ale był roslym mężczyzną i choć przyszedł sam, nie włókł za sobą aury osamotnienia. Podobnie jak Beecher przystawał, obserwując rzekę, i na koniec zatrzymał się przy tym samym śmietniku. I znów, po piętnastu minutach z przejeżdżającego samochodu zabrzmiał poczwórny sygnał. Miejsce było czyste; mężczyzna sięgnął pod pojemnik, wydobył

kopertę i oddalił się Nabrzeżem.

KSIĘGA DRUGA

Całą noc sypał gęsty śnieg. Rankiem wyruszyły na ulice ciężkie pług śnieżne, zgarniając z jezdni wilgotną breję i formując z niej długie pasma wzdłuż krawędzi chodnika.

Moskwa nie zna trudności komunikacyjnych spowodowanych opadami. Bo też prawie każdy posiadacz prywatnego auta musi być w ten czy inny sposób człowiekiem znaczącym. Tym samym ta część społeczeństwa, która mogłaby mieć kłopoty wynikające z zaśnieżenia ulic, kłopotów mieć nie może, bo ma władzę. W rezultacie Moskwa szczyli się najsprawniejszym w skali światowej wydziałem odśnieżania miejskiej służby drogowej.

Wasilij Gordik stał przy oknie swojego gabinetu i z wysokości ósmego piętra przyglądał się, jak pług dojeżdża do skrzyżowania i skręca w przecznicę. Odwrócił się i spojrzął na grupę osób siedzących wokół stołu.

- No więc co to jest? - spytał. Głos miał niski, głęboki.

Zebrani: sześciu mężczyzn i kobieta, spoglądali na Gordika w pełnym szacunku milczeniu.

Gabinet był wyjątkowo duży i urządzony ze smakiem. Środek pomieszczenia zajmował wielki stół konferencyjny. Prócz tego było tam okazałych rozmiarów biurko Gordika z blatem pokrytym skórą. W jednym z rogów stał stolik do kawy i kilka wygodnych foteli, w innym - dobrze zaopatrzone barek i cztery wysokie stołki barowe. Wszystkie meble były masywne, stylizowane na antyki, ale nie zakłócały ogólnego wrażenia solidności i wygody. Jedyne zgrzyt stanowił ogromny ekran monitora, zajmujący połowę ściany naprzeciwko biurka.

- Więc co to jest? - powtórzył Gordik podchodząc do stołu.

Twarze sześciu mężczyzn wyrażały zakłopotanie i niepokój. Tylko kobieta pozostała spokojna. Widocznie żądanie odpowiedzi na postawione pytanie nie było skierowane do niej.

Wyglądała na niewiele ponad trzydzieści lat. Miała czarne, raczej krótko przycięte włosy i nieco kanciastą, ale sympatyczną, a nawet pociągającą twarz. Nosila jasną, tweedową spódnicę, jasnoniebieski kaszmirowy pulower i także wdzianko, a na szyi pojedynczy sznur dużych, czarnych pereł.

Gordik zajął miejsce w końcu stołu i westchnął.

- Przy tym stole zasiadają podobno najtęższe mózgi Wydziału Badań i Analiz KGB.

Przez dwa dni studiowaliście dostarczone wam informacje. A wyglądacie jak partia wybrakowanych manekinów.

Z obu stron stołu spoglądały na niego pełne napięcia oczy sześciu mężczyzn. Kobieta siedziała spokojnie, spoglądając na stojący przed nią na stole zestaw małego terminalu komputerowego.

- Laryso, może ty potrafisz odpowiedzieć - zwrócił się do niej Gordik. Potem przebiegł wzrokiem po twarzach sześciu mężczyzn i dodał z sarkazmem: - Ostatecznie nie jesteś ekspertem i można mieć nadzieję, że nie dotknął cię paraliż języka spowodowany nadmiarem wiedzy.

Uśmiechnęła się i natychmiast rysy jej twarzy złagodniały.

- Jednym z oczywistych aspektów sprawy - powiedziała - jest wyjątkowa waga tej operacji.

- Bardzo dobrze! - zawołał Gordik. - Potraktujmy to jako punkt wyjścia. Spojrzał na mężczyznę siedzącego najbliżej, z prawej strony.

- Teraz ty, Lew. Jak widzisz, powoli wspinam się po drabinie hierarchii intelektualnej.

Jako mój asystent z pewnością jesteś mniej inteligentny niż pozostali zebrani. Czy zechciałbyś coś dorzucić do wypowiedzi Larysy?

Lew Tudin również się uśmiechnął. Już od pięciu lat był asystentem Gordika i dobrze znał kpiarski styl swojego szefa. Wiedział też, że żaden z siedzących przy stole nie zdobędzie się na wyrażenie własnej opinii, zgodnie z biurokratyczną zasadą: nie wyskakuj ze swoim zdaniem, jeśli nie jest to bezwzględnie konieczne; a już szczególnie wtedy, gdy zebraniu przewodniczy Wasilij Gordik.

- Jest to bardzo poważna operacja dotycząca Bliskiego Wschodu - powiedział.

Gordik westchnął.

- Genialne! Chybiłeś, Lew, ale się nie przyjmuj. A teraz słuchajcie, wy wszyscy - rzekł

niespodziewanie ostrym tonem, bez cienia wesołości. - Po czterdziestu ośmiu godzinach udało mi się uzyskać wasze orzeczenie, że jest to poważna operacja dotycząca Bliskiego Wschodu. Otóż sam wiedziałem o tym już czterdzieści siedem godzin i pięćdziesiąt dziewięć minut temu.

Przysunął swoje krzesło bliżej stołu.

- Jeszcze raz przypomnę fakty określające stan wyjściowy - powiedział nie zmieniając tonu - wy zaś przedstawicie mi przynajmniej maleńką część owoców aktywności waszych szarych komórek.

Oparł łokcie na stole, złączył dłonie czubkami palców i popatrzył na siedzącą na drugim końcu stołu kobietę.

- Larysa, pokaż jeszcze raz te nazwiska.

Kobieta przysunęła bliżej klawiaturę, rozległo się kilka cichych odgłosów naciskania klawiszy i wszyscy mężczyźni skierowali wzrok na duży ścienny ekran. Pojawiło się na nim pięć nazwisk zestawionych w dwie grupy. Morton Hawke, Leo Falk i Silas Meade w jednej grupie, Peter Gemmel i Alan Boyd w drugiej.

- Świetnie - pochwalił Gordik. - Można by powiedzieć, że to sama śmietanka. Ale co nam mówi

skład tego zespołu? Po pierwsze - że operacja jest bardzo ważna. Na tyle ważna, że został do niej oddelegowany Falk, szef jednego z najważniejszych departamentów CIA. Z

kolei Gemmel, chyba nie muszę wam przypominać, jest zastępcą naczelnika Wydziału Operacyjnego MI-6. Tak się składa, że obaj, Falk i Gemmel, studiowali arabistykę.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni, wyjął krótkie, grube cygaro, a z kieszonki na zegarek wydobyl małeńką, srebrną gilotynkę i obciął koniec cygara. Tudin podsunął mu płomyk zapalniczki i Gordik zaciągnął się dymem z wyraźnym zadowoleniem.

- Jest piętnasty kwietnia - mówił dalej Gordik. - Cała piątka spotyka się w Lizbonie, w hotelu "Ritz". Następnie Gemmel wyjeżdża na cztery dni do Kairu. Trzy dni później spotyka się w Paryżu z Hawke'em, Falkiem i Meade'em. Jest z nimi jeszcze jeden Amerykanin, którego na razie nie udało nam się zidentyfikować. Spotkanie ma miejsce w hotelu "George V".

Tu Gordik uśmiechnął się ironicznie.

- Mają przynajmniej dobry gust w wyborze hoteli. W tym właśnie okresie znika nam Boyd.

Zwrócił się do swego sąsiada z lewej.

- No, a wy, towarzyszu Malin, jak to wszystko odczytujecie?

Malin poszperał w leżących przed nim papierach, poprawił okulary i zaczął wysokim, drżącym ze zdenerwowania głosem:

- W pierwszym rzędzie wykluczyłbym Izrael. Amerykanie nie wciągaliby w to Anglików. Zresztą są przekonani, że jedynym rozwiązaniem jest ugoda między Izraelem a Egiptem.

Spojrzał na siedzących przy stole, szukając objawów poparcia lub aprobaty. Nie dostrzegł niczego takiego i samotnie brnął dalej.

- Widzę trzy główne obszary, których dotyczyć może interesująca nas operacja.

Pierwszy to destabilizacja Syrii, drugi - uderzenie odwetowe na Iran i trzeci - atak na OWP, czyli znów destabilizacja.

Poprawił się na krześle, wyjął białą chusteczkę, zdjął okulary i zaczął je energicznie wycierać.

- Nie jest to olśniewające - odezwał się Gordik - ale też niezupełnie głupie. Więc mamy już początek; kontynuujmy.

Pięciu pozostałych ekspertów po kolei wyłożyło swoje poglądy. Wszystkie one były podobnie mętne. W ciszy, jaka zapanowała po ostatniej wypowiedzi, słychać było, jak Gordik w zamyśleniu pyka cygaro. W końcu Malin odważył się zabrać głos.

- Towarzyszu Gordik, mamy bardzo skąpe informacje - usprawiedliwiał się ekspert. -

Czy jest możliwe, żeby nasz informator dostarczył czegoś konkretnego?

Gordik pokręcił przecząco głową.

- Nasz informator został przeniesiony do innego wydziału. Mieliśmy szczęście, że chociaż na krótko był w kontakcie z tą operacją.

- Podejrzewają go? - spytał Malin.

Gordik chrząknął drwiąco.

- Wątpię. On się po prostu zakochał. Kocha się w jednym, szczególnym gatunku szkockiej whisky.

Malin odważył się na jeszcze jedno pytanie.

- Czy to znaczy, że musimy polegać na informacjach przekazywanych przez alkoholika?

Gordik przez dłuższy czas przyglądał się pytającemu. Takim wzrokiem tygrys mógłby badać swój nienapoczęty jeszcze obiad. Malin mimo woli wciągnął szyję w kołnierz marynarki.

- Czasy się zmieniają - powiedział wreszcie Gordik. - Kiedyś wystarczyło zadzwonić do Petworth House, żeby dowiedzieć się, co premier Wielkiej Brytanii jadł w czasie lunchu.

Ale tamci wyłożyli trutki na szczury i nasz biedny alkoholik jest ostatnim z długiej niegdyś listy. - Uśmiechnął się ponuro. - Ale nie jest wykluczone, że zdobył się na swój pijacki łabędzi śpiew.

Podniósł się z krzesła.

- To wszystko. Ale niech wasze umysły pracują nadal. I dajcie mi znać, jeśli na coś wpadniecie.

Podszedł do barku i podczas gdy piątka ekspertów zgarnawszy swoje papiery opuszczała kolejno gabinet, nalał do trzech szklanek porcję Chivas Regal. Kiedy drzwi się zamknęły, Tudin i Lary są również podeszli do barku i wzięli przygotowane drinki.

- Niewiele nam pomogli - skomentował Tudin.

- Taki jest nasz system - skrzywi się Gordik. - Kiedy szef jakiegoś departamentu chce się pozbyć paru nieudaczników, przenosi ich do wydziału Badań i Analiz. Niczego też od nich nie oczekiwałem. Musiałem po prostu zachować pozory.

Opróżnił swoją szklankę, a Larysa podała mu następną. Pracowała z Gordikiem już od trzech lat. Przedtem była programistką w głównym centrum komputerowym KGB. Polecono jej napisanie programu rejestrującego wszystkie transakcje finansowe w obrębie instytucji. W

tym czasie Gordik przybył z terenu z zadaniem reorganizacji wewnętrznej struktury KGB.

Był pracowity i łączył w sobie dwie pozornie sprzeczne cechy: upór i wyobraźnię. Przez dwa lata

funkcjonował jako miotła usuwająca wszystko, co zbędne. Oczywiście zrobił sobie kilku wrogów, ale wywarł też silne wrażenie na tej części Politbiura, która nadzorowała sowiecki aparat wywiadowczy. Tym samym stworzył sobie trwałe podstawy przyszłej władzy. W

nagrodę przyznano mu intratne stanowisko dyrektora Operacji Zagranicznych. Żałował tylko, że nie udało mu się zrobić nic sensownego z Wydziału Badań i Analiz.

Niedługo po napisaniu swojego programu Larysa została wezwana do Gordika. Na wstępie pochwalił ją za dobrze wykonaną pracę, a następnie ponad godzinę zadawał różne pytania, sprawdzając jej przygotowanie teoretyczne i doświadczenie. Tydzień później została przeniesiona do jego departamentu w charakterze osobistego asystenta.

Po upływie około sześciu miesięcy zakochała się w swoim szefie. Pokochać Gordika nie było łatwo. Po pierwsze - był bardzo powściągliwy w okazywaniu swoich emocji. Po drugie - swoje życie osobiste traktował jako ściśle prywatne. Po tamtym pierwszym spotkaniu Larysa, ryzykując utratę opinii pracownika godnego zaufania, sięgnęła samowolnie do danych komputerowych swojego szefa. Urodził się w Rydze i miał już czterdzieści dziewięć lat.

Oboje rodzice byli aktywnymi uczestnikami rewolucji, a ojciec doszedł nawet do dość wysokiego stanowiska w Ministerstwie Rolnictwa. Tym samym Gordik miał możliwość zdobycia doskonałego wykształcenia. Do KGB został zwerbowany wprost z uniwersytetu, po ukończeniu studiów na wydziale psychologii. Różnił się pod tym względem od większości wyższych funkcjonariuszy, którzy do KGB trafili z wojska.

Po odpowiednim przygotowaniu przez siedem lat był kierownikiem kancelarii w dowództwie KGB i dzięki zręcznym zabiegom trafił do wydziału Operacji Tajnych, a następnie na "placówkę" do Meksyku. Pełnił służbę w różnych częściach świata, awansując jednocześnie coraz szybciej. Dotarł wreszcie do stanowiska dyrektora Wydziału Operacji Tajnych na obszarze Bliskiego Wschodu, a następnie na terenie południowo-wschodniej Azji.

Z tego to posterunku wezwany został do Moskwy, gdzie powierzono mu rolę owej "miotły" do wymiatania zmurszałych struktur organizacyjnych.

Larysa wiedziała, że był żonaty i ma dwóch synów: jednego na uniwersytecie, drugiego w wojsku. Przez ostatnie pięć lat żona spędzała większość czasu w dacy nad Morzem Czarnym i Gordik prawie o niej nie wspominał.

Spoglądała teraz na niego, jak siedząc na wysokim stołku barowym popijał wolno szkocką, zamyślony głęboko nad czymś odległym, nie związanym ani z nią, ani z Tudinem.

Był dużym mężczyzną, o silnej budowie, jednak bez śladów nadwagi. Na pierwszy rzut oka, ze swymi szerokimi ramionami i masywnym torsem wydawał się nieco przyciężki, ale przy wzroście około stu dziewięćdziesięciu centymetrów jego postać tworzyła harmonijną całość.

Ponieważ zawsze miał na sobie dobrze skrojony włoski garnitur, jego wzrost i siła wcale nie rzucały

się w oczy. Twarz miał również dużą i wyrazistą, ale i tu ostro zarysowane usta i energiczny podbródek łagodził wyraz dużych, inteligentnych oczu. Jego kasztanowate włosy były, jak na rosyjskiego urzędnika, wyjątkowo długie. Od czasu, kiedy stali się kochankami, Larysa przycinała mu je regularnie co dwa lub trzy tygodnie. Miała do tego wyjątkowe zdolności i zabieg ten stał się dla nich obojga swoistym rytuałem, niezmiennie znajdującym finał w łóżku. Mimo swojej siły Gordik był czułym i łagodnym kochankiem. Ułatwił Larysie zdobycie wygodnego mieszkania niedaleko ich miejsca pracy. Z wyjazdów za granicę przywoził jej różne upominki. Na początek był to mały stereofoniczny odtwarzacz Sony i pół

walizki kaset. Połowę stanowiły nagrania muzyki klasycznej, którą on lubił, a połowę -

lubianego przez nią nowoczesnego jazzu. Następnym upominkiem był kolorowy telewizor i magnetowid oraz spora liczba wideokaset z filmami. Wymieniali je potem z przyjaciółmi, którzy również mieli możliwości wyjazdów na Zachód. Później były stroje i biżuteria, jako że Gordik był z natury hojny i potrafił mieć "gest". Z kolei ona przygotowywała wieczorami proste, ale oryginalne kolacje, po których słuchali muzyki według - na przemian - jej i jego gustu. Telewizor z magnetowidem stał w jej sypialni i tam też kończyli wieczór, oglądając filmy lub kochając się. Albo jedno i drugie.

Larysa zręcznie podzieliła swoje życie na część oficjalną - w pracy, i osobistą - w domu. W biurze była wzorową sekretarką i asystentem pełnym szacunku dla swojego szefa.

W domu - kochanką i przyjaciółką. Nigdy dotąd nie powiedział, że ją kocha, a jednak wiedziała, że tak właśnie jest. Wiedziała też, że dzięki niej mógł się odprężyć, i to ją cieszyło.

Ich związek był, rzecz jasna, dobrze znany w Departamencie, a i Gordik nie usiłował robić z niego tajemnicy. Przy jego wysokim stanowisku byłoby to nie tylko zbędne, ale wręcz niesmaczne, chociażby dlatego, że nie pasowało do jego charakteru. Jednak głębiej uczuć łączących Gordika i Larysę tak naprawdę znał tylko Lew Tudin, bo tylko w jego obecności pozwalali sobie na szczerość i pewną poufałość. Sam Tudin był w jakimś sensie młodszą wersją Gordika; Gordikiem z mniejszym bagażem lat. Może nie tak sprawny fizycznie jak jego szef i trochę niezręczny, miał jednak wnikliwy i bystry umysł. Gordik i Larysa podśmiewali się nieraz z jego braków, ale on się nie obrażał.

- Jestem raczej szachistą niż sportowcem - przypominał, nie tracąc dobrego humoru.

Istotnie, w szachy grał świetnie. Wiedział o tym, i być może jego respekt dla szefa miał swoje źródło w tym, że z Gordikiem nie zawsze wygrywał. A jeśli nawet, to nie bez sporego wysiłku.

W tej chwili podniósł właśnie wzrok i stwierdził, że Gordik patrzy na niego:

- Nie mam zamiaru czekać bezczynnie - powiedział Gordik z naciskiem. - Nie będę przyglądać się i czekać, aż coś się wydarzy.

- Zmontujecie jakąś operację? - spytał Tudin.

- Tak. Taki mam zamiar. Ale - uśmiechnął się niewesoło - jest z tym problem: jaką operację i

przeciw komu?

- Czy nie ma nadziei - wtrąciła Larysa - żeby nasz informator dostarczył dodatkowych danych?

Gordik pokręcił przecząco głową, potem wstał i zaczął chodzić po gabinecie.

- Nie. Zrobiono go kierownikiem Działu Emerytur i Opieki Socjalnej. A my już znamy każdego emeryta z MI-6 i ich sprawami socjalnymi nie jesteśmy szczególnie zainteresowani.

Zatrzymał się i popatrzył na dwoje swoich asystentów siedzących przy barze.

- Swoją drogą, to ciekawe - zaczął. - Przecież Anglicy musieli wiedzieć, że jest alkoholikiem, a mimo to pozwolili mu zbliżyć się do czegoś tak wielkiego. Nawet jeśli na krótko i niezbyt blisko sedna sprawy.

- To może być efekt biurokratycznego bałaganu - zauważył Tudin. - To się zdarza; nawet u nas.

Gordik zaśmiał się krótko.

- To prawda. Na pewno niedługo się w tym połapią. A jeśli nie oni, to Amerykanie.

Znów zaczął równymi krokami przemierzać gabinet tam i z powrotem.

- Tak czy inaczej trzeba ten fakt mieć na uwadze. Ale teraz musimy obmyślić coś konkretnego. Nie mam zamiaru pozostać biernym. Trzeba to jeszcze raz przemyśleć od początku.

Przez pół godziny rozważali najróżniejsze kombinacje faktów i domysłów. Od czasu do czasu Larysa siadała przy terminalu komputerowym i wyświetlała informacje na ekranie.

Wreszcie doszli do wspólnej konkluzji. Amerykanie przygotowują sterowaną przez siebie operację, której obiektem jest kraj lub kraje Bliskiego Wschodu. Prawdopodobnie chodzi im o pozycję Rosji w tym kraju. Bardzo istotnym elementem operacji jest fakt, że posługują się Anglikami jako grupą uderzeniową. Z wielu względów zwykle bardzo niechętnie korzystają z pomocy Anglików. A skoro tak postąpili, to znaczy że bardzo obawiają się możliwej kompromitacji. Anglicy takimi rzeczami zbytnio się nie przejmują. Są przyzwyczajeni.

Eliminując, opierając się na logice, jeden kraj po drugim, doszli do pięciu ewentualności: Libia i Syria ze względu na poważne wpływy Rosji w tych krajach; OWP i Liban z racji ich powiązań z ogólnym układem pokojowym na Bliskim Wschodzie i wreszcie Arabia Saudyjska. Amerykanie mogli dojść do wniosku, że panująca tam dynastia, a raczej rodzina, nie będzie w stanie utrzymać władzy. CIA mogła zdecydować się na przyspieszenie rewolucji i nadanie jej pożądanego przez siebie kierunku ku bardziej demokratycznym rządóm. Oczywiście przez nich sterowanym.

- Trzeba założyć - zauważył Tudin - że mimo wszystko wyciągnęli jakieś nauki z upadku szacha i tego, co nastąpiło później.

- I to by wyjaśniało obecność Anglików - dodała Larysa. - Gdyby operacja wyszła na jaw, cały

blamaż spadłby na nich. A ze swoimi zasobami ropy Anglicy mają mniej do stracenia.

Gordik nalał sobie jeszcze jedną porcję szkockiej i znów, ze szklanką w ręce, zaczął spacerować po gabinecie.

- Zgadzam się - powiedział. - Podoba mi się logika tego scenariusza. Z kolei waga operacji uzasadnia zaangażowanie w niej tych właśnie ludzi. W każdym razie jest pewne, że w przypadku powodzenia tej operacji CIA będzie rozwijać swoją aktywność na Bliskim Wschodzie. I na pewno nie ograniczy się do przebywania tam i bełkotania w kółko o nienaruszalności praw człowieka, patrząc, jak ich wpływy stopniowo maleją. Skoro więc wybraliśmy już kilka możliwych wariantów, pozostaje nam zastanowić się nad naszą ripostą.

Przez następną godzinę padały różne sugestie, a poziom szkockiej w butelce stopniowo się obniżał. Zarówno Gordik, jak i Tudin mieli zadziwiające możliwości w spożywaniu alkoholu: na zewnątrz prawie nie było widać, że cokolwiek pili. Gordik twierdził, że alkohol wzbogaca jego wyobraźnię, Tudin nie twierdził niczego; po prostu lubił szkocką, a szczególnie Chivas Regal.

W naturze Gordika tkwiła wrodzona skłonność do działań ofensywnych. Niewątpliwie mógł nasilić obserwację wszystkich osób związanych ze sprawą, stawiając na nogi rezydentury KGB na Bliskim Wschodzie, w Stanach Zjednoczonych i w Wielkiej Brytanii.

To go jednak nie zadowalało. Miał zwyczaj atakować i jednocześnie zdobywać głębsze rozeznanie sytuacji. Powoli dyskusja przeszła na sposoby i środki, a przede wszystkim, na odpowiedni wybór celu.

Jeszcze raz Larysa wyświetliła na ekranie nazwiska. Każdy z tych ludzi był kolejno omawiany i analizowany. Jeden po drugim znane fragmenty historii ich życia ukazywały się na monitorze.

W końcu Gordik zdecydował.

- To musi być któryś z Anglików. Nie widzę możliwości dobrania się do któregośkolwiek z Amerykanów. Pomijając wszystko inne, CIA jest nieskończenie bardziej wrażliwa na punkcie bezpieczeństwa niż MI-6. Ostatnie wypadki nie zmieniły tego stanu rzeczy.

- Boyd? - spytał Tudin.

Gordik uśmiechnął się i pokręcił przecząco głową.

- Nie, Lew, celujemy w wierzchołek: Gemmel.

Oboje, Larysa i Tudin, byli zdziwieni i zaskoczeni. Oboje wiedzieli, że Gordik czuł respekt dla tego Anglika i podziwiał go.

- Tak, wiem - Gordik uśmiechał się w dalszym ciągu. - Jest twardy, nie podlega emocjom, jest zawodowcem w swoim fachu. Ma naprawdę świetną opinię i zewnętrznie wygląda na absolutnie

niedostępnego. - Gordik przerwał dla pogłębienia efektu - ale żadne z was nie jest psychologiem. I chociaż znacie szczegóły jego stylu życia, nie potrafiliście wyciągnąć wniosku dotyczącego samego człowieka.

Kiwnął dłonią w stronę Larysy.

- Rzuć to jeszcze raz na ekran.

Zaklaskały cicho klawisze i na ekranie pojawił się obraz. Najpierw seria nieruchomych fotografii, niektóre wyraźne, inne bardzo lichej jakości. Potem krótki fragment filmu, pokazującego Gemmela wychodzącego z jakiegoś budynku, przecinającego jezdnię i wsiadającego do samochodu. Film był czarno-biały i zrobiony z pewnością z ukrycia, bo jego jakość była również nędzna. Niemniej Larysa pomyślała, że Gemmel jest przystojny i pewny siebie. Zauważyła jego energiczny, lekki krok i wysportowaną sylwetkę. Następna fotografia przedstawiała uśmiechniętą, młodą kobietę. Podpis brzmiał: "Judith Gemmel. Zameżna z obiektem od 14/08/68. Zmarła przy porodzie wraz z nienarodzonym synem w 1971".

Dalej były dane personalne Gemmela, począwszy od szczegółów dotyczących jego rodziców i daty urodzenia. Potem szkoła, studia uniwersyteckie, lista jego akademickich i sportowych osiągnięć, a także uwaga stwierdzająca, że jest wybitnym lingwistą, włada biegle arabskim, perskim, francuskim, hiszpańskim i rosyjskim. Zna też niezłe sześć innych języków.

Następnie na ekranie ukazała się data i okoliczności jego wstąpienia do MI-6, a potem informacje o przebiegu pracy w tej instytucji. Te ostatnie były dość skąpe, ponieważ usunięto liczne fragmenty oznaczone szyfrem, a zawierające dane o informatorach. Nie było dziełem przypadku, że każdy relacjonowany okres działalności Gemmela w MI-6 można było powiązać ze zdemaskowaniem kolejnej wtyczki KGB w środowisku wywiadu brytyjskiego.

W końcu komputer podał szczegóły prywatnego życia Gemmela, jego hobby i zainteresowania, imię jakiejś przelotnej przyjaciółki. Wreszcie ukazała się opinia kierownictwa Wydziału Badań i Analiz KGB, która potwierdzała w całej rozciągłości pogląd Gordika.

Ekran monitora zgasł i głos zabrał Gordik.

- Wszystko to bardzo budujące, ale spróbujmy poszukać słabych stron.

Rozłożył lewą dłoń i zaczął liczyć, zaginając kolejno palce.

- Pierwsze: Gemmel jest twardym, gorliwym, pozbawionym emocji zawodowcem.

Drugie: od śmierci żony nie prowadzi właściwie życia towarzyskiego; ma bardzo, ale to bardzo niewielu bliskich przyjaciół. Trzecie: jego jedyne hobby to żeglarstwo i balet.

Ciekawe hobby, trzeba przyznać - jedno bardzo aktywne, drugie bardzo pasywne. Można by powiedzieć, że ten balet jest zadziwiający bardziej niż cokolwiek innego, gdyby nie fakt, że Gemmel, Peter George Gemmel - Gordik uśmiechnął się w przewidywaniu efektu swoich słów - w głębi swojej natury jest romantykiem.

Tudin i Larysa spojrzeli na siebie; Tudin wybuchnął śmiechem. Gordik nie zareagował, ale spoglądał bystro na Larysę. Ona zaś milczała dłuższą chwilę, a kiedy śmiech Tudina ucichł, zaczęła powoli kiwać głową.

- Widzisz, Lew - powiedział triumfalnie Gordik - analiza psychologa została potwierdzona przez kobiecą intuicję.

- Zgadzasz się z tym? - spytał Lew Larysę.

- Tak, teraz to rozumiem. Żeglarstwo jest romantycznym sportem, a balet jest najbardziej romantyczną formą sztuki.

Uśmiechnęła się do Gordika.

- Ale Wasilij, to nie dlatego zgadzam się z tobą.

- Nie?

- Nie, chociaż masz rację, to intuicja. Widziałam jego twarz, jego sposób poruszania się.

- Uważasz, że jest przystojny?

- Tak, bardzo. Zapewniam cię, że wiele kobiet, nawet większość kobiet, uzna, że jest pociągający.

- Świetnie! Właśnie tak! - potwierdził Gordik z zapałem. Tudin jednak kręcił głową, ale raczej ze zdziwienia niż przecząco.

- Słodka przynęta? - spytał uśmiechniętego Gordika. - Macie zamiar upolować zastępcę Szefa Wydziału Operacyjnego MI-6 na wabia?

- Tak - odpowiedział Gordik zdecydowanie - ale na bardzo szczególnego wabia.

Takiego, co to zmusza niedźwiedzia do przebycia gór Uralu prawie bez przerwy na oddech.

- To dlatego nie ożenił się po raz drugi - rozmyślała na głos Larysa. - Dlatego nie wziął innej kobiety. Jest romantykiem i ciągle kocha swoją zmarłą żonę.

- Może masz rację, Laryso - odezwał się Gordik - ale dziesięć lat to za długo na beznadziejną tęsknotę za jakąkolwiek kobietą. Jak sądzisz, Lew?

- Zdecydowanie za długo - zgodził się z przekonaniem Tudin.

Wmieszani w gwarny tłum Gemmel i Hawke opuścili gmach paryskiej Opery. Stojąc na brzegu chodnika, wypatrzyli lukę w strumieniu pojazdów i przeszli na drugą stronę ulicy.

Gemmel ujął Hawke'a pod ramię i poprowadził do pobliskiego bistro. Wszedłszy z chłodu ulicy do przytulnego wnętrza, zdjęli płaszcze, powiesili je na hakach przy drzwiach i usiedli przy stoliku w kącie. Zamówili kawę i koniaki.

- Podobało mi się - powiedział Hawke. - Nie, nie udaję. Naprawdę mi się podobało.

- Ale przez cały czas się wierciłeś.

- Ja tak zawsze.

Kelner przyniósł napoje i Gemmel wlał swój koniak do kawy.

- Powiem szczerze - mówił poważnie Hawke. - Gdyby mi się nie podobało, wyszedłbym i poszukał jakiejś innej rozrywki. Jakiegoś "Crazy Horse Saloon", czy czegoś w tym guście. Możesz mi wierzyć.

Gemmel przyjrzał mu się uważnie i wreszcie uśmiechnął się.

- Wierzę ci, Morton. Nie musisz się tłumaczyć.

Hawke, z widoczną ulgą, uśmiechnął się również.

- OK. Chcę po prostu, żebyś mi uwierzył.

- W porządku. Wierzę. Byłeś zaskoczony?

Hawke pomyślał przez chwilę, a potem kiwnął głową.

- Tak. Byłem. To znaczy... przez pierwsze piętnaście minut zastanawiałem się co, u diabła, ja tutaj robię. A później coś jakby na mnie spłynęło.

- To świetnie. - Gemmel był wyraźnie zadowolony. Wolałbym przekonywać cię do baletu w sposób mniej gwałtowny; zacząć od klasyków. To, co pokazuje zespół Bejarta, jest ekscytujące i całkowicie różne od innych przedstawień. Ale nie chciałem, żebyś się nudził.

Hawke spróbował swojego koniaku i za przykładem Gemmela wlał go do kawy.

- Myślę, że zaczynam rozumieć cię nieco lepiej.

- Czyżby?

- Tak. Przez dwie ostatnie godziny byłeś wyraźnie zrelaksowany. Pierwszy raz to zauważyłem.

Hawke gratulował sobie w duchu. Odesłał Falka do Stanów, żeby tam opiekował się Wisnerem, a sam został na kilka dni w Paryżu. Zamierzał poznać Gemmela trochę bliżej.

Dlatego właśnie wystąpił wczoraj z propozycją:

- Chciałbym pójść z tobą na dobry balet.

Gemmel roześmiał się.

- Nawet gdybyś zdobył bilety, co jest nieprawdopodobne, to na pewno nie wytrzymałbyś do końca przedstawienia.

Ale Hawke zadzwonił do ambasadora i w rezultacie zarezerwowano dla nich najlepszą lożę w Operze. Co więcej, z niekłamany zdziwieniem Hawke stwierdził, że balet mu się bardzo podobał.

- Rozmawiałem dzisiaj z Falkiem. Dzwoniłem z ambasady - powiedział.

- Jak im tam idzie? - spytał Gemmel.

- Musiałem zaufać Wisnerowi. Jak tylko uzyskał akceptację z góry, ruszył z robotą całkiem żwawo. Dobrał sobie zespół konstruktorów i wczoraj wyruszyli do Kalifornii. Zakład nr 42 w Palmdale, podlegający USAF, zbuduje laser. Okazuje się, że nie ma żadnych poważnych trudności technicznych. Jest jednak innego rodzaju, dość zasadniczy problem, a mianowicie trafienie wiązką w cel.

- Rozumiem - zgodził się Gemmel. - Ostatecznie chodzi o trafienie małego jagnięcia z cholernie dużej odległości.

- To, jak wiesz, jest do zrobienia. Rzecz w tym, że musimy już wcześniej znać dokładne położenie celu albo musi on zawierać w sobie urządzenie naprowadzające.

Wówczas jednak to jagnię musi być nieco większe.

Gemmel uśmiechnął się.

- Zapominasz, Morton, że duże jagnię staje się owcą. Ale pozwól, że się zastanowię.

Gemmel usiadł wygodniej i przeniósł się myślą w przyszłość do wydarzeń mających nastąpić w dolinie Mina w porze hadźdzu. Wyobraził sobie ogromną ciżbę; milion, dwa miliony, może dwa i pół miliona ludzi lub jeszcze więcej.

Hawke rozglądał się tymczasem po zatłoczonej salce bistro. Nie miał żadnych obaw o bezpieczeństwo ich spotkania, o jakiś podsłuch czy coś w tym rodzaju. Na to, a nie inne bistro zdecydowali się w ostatniej chwili, nie kierując się żadnym uprzednim wyborem. Z dworca paryskiego Hawke zabrał ze sobą dwóch swoich ludzi. Jeden siedział właśnie w kącie i czytał

gazetę; drugi w pobliżu drzwi, z wyraźnym wysiłkiem starał się nie patrzeć na atrakcyjną brunetkę przy sąsiednim stoliku.

- Tego się nie da zrobić - odezwał się Gemmel i Hawke przeniósł swoją uwagę z powrotem na temat rozmowy. - Mam na myśli dokładną lokalizację. Tam będą miliony ludzi, podekscytowanych, w ciągłym ruchu. Możemy co najwyżej określić położenie terenu o powierzchni mniej więcej połowy boiska futbolowego.

- To nic nie da - stwierdził Hawke. - Z tego wynika, że trzeba przyjąć rozwiązanie z urządzeniem naprowadzającym. A wtedy, jak sugeruje Wisner, należałoby wbudować jeszcze mechanizm destrukcyjny, który spowoduje spalenie się jagnięcia czy też owcy. Konstrukcja lasera byłaby w tym przypadku prostsza. Nie musiałby niczego spalać czy zamieniać w parę.

- Jak duże by to było? Myślę o urządzeniu naprowadzającym i tym samoniszczącym się mechanizmie.

- Dokładnie będziemy to wiedzieli za tydzień, może dziesięć dni. Mamy więc mnóstwo czasu. Wisner przypuszcza, że nie większe niż pudełko cygar. To niewiarygodne, co potrafi współczesna technologia mikroprocesorów.

- W takim razie nie będzie problemów. Po prostu przygotujemy wyrośnięte jagnię.

Hawke spojrział na zegarek.

- Wpadnę jeszcze do ambasady i zadzwonię do Falka. W Los Angeles jest teraz wczesne popołudnie. A co u ciebie?

Gemmel opowiedział o poszukiwaniach kandydatów na Mahdiego. Ustalono termin ostatecznej decyzji na koniec czerwca, a pierwszego "cudu" na koniec lipca. Zostaną jeszcze trzy miesiące na dalsze przygotowania.

Jednocześnie agenci w terenie rozkręcają program dezinformacji. Gemmel zapowiedział, że lada dzień pojawią się pogłoski o przyjściu Mahdiego. Od Indonezji na wschodzie, po Maroko na zachodzie, zwłaszcza w krajach islamu na Bliskim i Środkowym Wschodzie. Czas na tę akcję jest wyjątkowo sprzyjający, bo kończy się dwakroć po siedem wieków istnienia islamu. W teologii i mitach funkcjonujących w tych krajach jest wiele przepowiedni o przyjściu nowego proroka, który oczyści religię i uleczy ją ze wszelkiej schizmy.

Jeszcze raz zamówili kawę i koniaki, po czym przystąpili do omówienia sprawy niedawnego przekazania agenta CIA w Dżuddzie Boydowi.

- Wszystko poszło gładko - powiedział Hawke. - Jak wiesz, ten gość już rozpoczął swoją robotę.

- Tak - odrzekł Gemmel. - Boyd uważa, że jest świetny.

W końcu Gemmel wystąpił z pewną propozycją. Po usłyszeniu jej Hawke uśmiechnął się, bo już od dawna jej oczekiwał.

- Przyszło mi do głowy - zaczął Gemmel obojętnym tonem - że nie byłoby źle, gdybyśmy mieli jakiegoś stałego łącznika po waszej stronie, w zakresie - że tak powiem -

sprzętu.

- Masz na myśli Kalifornię? - spytał Hawke tym samym tonem. - Ekipę pracującą przy laserze?

- No właśnie. W miarę zbliżania się terminu końcowego, coraz bardziej potrzebna nam będzie natychmiastowa łączność.

Hawke pokazał zęby w szerokim uśmiechu.

- Dajże spokój, Peter. Wszystko, co wasi ludzie mogliby tam wywęszyć, to to, że rozwiązaliśmy problem rozmywania się wiązki. I nic więcej. A przecież rzecz w tym, jak go rozwiązaliśmy.

- Ależ Morton!

Hawke nie przestawał się uśmiechać.

- Falk powiedział mi dziś coś innego. Wisner umieszcza urządzenie samoniszczące w satelicie, który będzie przenosił laser. W kilka sekund po trafieniu tego twojego jagnięcia zieloną wiązką laserową w przestrzeni około-ziemskiej nastąpi eksplozja i maleńkie kawałeczki satelity rozpoczną swoją wieczną wędrówkę przez kosmos. A stanie się to na bezpośredni rozkaz przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów.

- To zrozumiałe - przyznał Gemmel.

- I cholernie słuszne. Pilnuj swojej działki, Peter, a my będziemy pilnować swojej. A teraz - co z następnym spotkaniem?

Zgodzili się, że dobrym miejscem będzie Madryt; do tego czasu operacja MIRAŻ

powinna rozwijać się spokojnie.

- Przypuszczam, że Madryt ma również dobry teatr baletowy? - uśmiechnął się Hawke.

- Owszem, ma - zaśmiał się Gemmel. - W czasie ostatniego pobytu w Hiszpanii nie udało mi się jednak obejrzyć żadnego przedstawienia.

Grupa dziewcząt w granatowo-białych szkolnych mundurkach, przejęta trwożnym podziwem, stała w skupionym milczeniu w drzwiach rozległej sali, gdzie około trzydziestu tancerek i tancerzy wykonywało rutynowe ćwiczenia elementów techniki baletowej. Uwaga wszystkich dziewczynek skupiona była na młodej kobiecie, ćwiczącej oddzielnie przy poręczu pod ścianą. Miała na nogach czarne wełniane getry, a na ciele obcisły, również czarny trykot. Ubiór ten żywo kontrastował z białą jej ramion i rąk. Twarz miała wąską i ostrą, ale o tak regularnych rysach, że wydawała się co najwyżej szczupłą. Kruczo czarne włosy związane w koński ogon chwiały się wdzięcznie, kiedy ćwiczyła swoje fouettes.

Dziewczynki, uczennice Leningradzkiej Państwowej Szkoły Baletowej, były tu w ramach wycieczki, a każda z nich miała tylko jedno marzenie i jeden cel: zostać kiedyś primabaleriną. Zrozumiały więc, że wzrok ich spoczął jedynie na młodej kobiecie w czerni.

Była to bowiem Maja Kaszewa, primabalerina Teatru Małego w Leningradzie, dwudziestoczteroletnia, jedna z najmłodszych gwiazd baletu rosyjskiego. Instruktor powiedział dziewczynkom, że być może po zakończeniu ćwiczeń panna Kaszewa spotka się z nimi, a nawet porozmawia. W oczekiwaniu na ten moment drżały z przejęcia.

Jednak spotkał je zawód, bo kilka minut później w sali pojawił się któryś z miejscowych instruktorów i podszedł do tancerki.

- Maju - zwrócił się do niej - dyrektor chce cię widzieć w swoim gabinecie.

Na twarzy primabaleriny pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Teraz? W trakcie ćwiczeń? O co chodzi?

- Nie mam pojęcia. Musi to być coś pilnego.

Z oznakami lekkiej irytacji Maja podeszła do krzesła, wzięła czarny sweter i z wrodzoną, a wydoskonaloną przez lata ćwiczeń gracją, ruszyła przez salę w kierunku drzwi, mocując się po drodze z opornymi rękawami swetra, Grupa uczennic rozstąpiła się na boki i kiedy Maja przechodziła między nimi wyraz irytacji zniknął z jej twarzy; pojawił się uśmiech.

Wiele młodych serduszek stopiło się w jego ciepłe.

Dyrektor spojrział spoza biurka na zaniepokojoną twarz baleriny.

- Uwierz mi, Maju. Nie wiem, o co chodzi. Pół godziny temu zadzwonił minister kultury. Z Moskwy wysłali po ciebie samolot specjalny. Masz być na lotnisku nie później jak za dwie godziny.

- Ale dlaczego? Po co?

Dyrektor westchnął.

- Naprawdę nie wiem. Nie ukrywałbym przed tobą, gdybym wiedział. Powiedzieli mi tylko tyle, że zostaniesz w Moskwie mniej więcej przez tydzień. Stracisz więc co najmniej trzy występy.

- A tournee? - spytała zrozpaczona.

Dyrektor rym razem uśmiechnął się.

- Uspokój się, mała. Pytałem ich o to. Powiedzieli, że na pewno weźmiesz udział w tournee.

Jej twarzyczka rozjaśniła się nieco.

- Słuchaj - mówił dyrektor - to z pewnością nic poważnego. Może potrzebna im jesteś do jakiejś reklamy, może chodzi o zdjęcia propagandowe...

- Ale wtedy powiedzieliby panu.

Pokiwał głową w zamyśleniu.

- Tak, ja też tak sędzę. Ale nigdy nie wiadomo. Wygląda na to, że ktoś bardzo ważny chce się z tobą zobaczyć. Nie przysyłałoby specjalnego samolotu bez powodu.

Zaczął się w indonezyjskim mieście Makasar na wyspie Sulawezi. W ciągu tygodnia wieść przedostała się przez Cieśninę Sundajską na Jawę i do stolicy, Dżakarty.

- Przyjdzie wybrany! Pojawi się w porze hadźdu.

Takie pogłoski i przepowiednie nie są rzadkością w islamie ani w innych religiach opierających się na Słowie Bożym, przekazywanym, tłumaczonym i nawet interpretowanym przez śmiertelników. Wielu ludzi nie zwróciło uwagi na rozprzestrzenianie się dziwnej wieści, ale podróżny poruszający się między wyspami archipelagu słyszał ją powtarzaną - i zawsze w tym samym tonie - od Sumatry po Borneo, a nawet Bali.

- Wybrany przyjdzie. Przybędzie w czas wielkich pielgrzymek, w dni hadźdu.

Muzułmańska ludność Indonezji to ponad sto milionów ludzi i wieść o przyjściu Wybranego zaczęła szybko ogarniać kraj.

W Pakistanie zapowiedź nadejścia Proroka wypłynęła z Pendżabu; po tygodniu, już w upiększonej formie, dotarła na wybrzeża Oceanu Indyjskiego.

W Afganistanie wieść o Wybranym została zauważona przez okupacyjne władze sowieckie. Na jednym z cotygodniowych zebrań oficer polityczny wysokiego szczebla poruszył tę sprawę, ale bez przekonania. Jego audytorium składało się z wojskowych, którzy zajmują się faktami, nie pogłoskami. Natomiast dowódca całości wojsk sowieckich w Afganistanie nie zlekceważył nowiny.

- To może być ta ostatnia słomka, która łamie grzbiet wielbłąda - powiedział z grymasem na twarzy. - Rebelianci już teraz głoszą, że prowadzą świętą wojnę, dżihad. Tego tylko brakowało, żeby pojawił się "prorok" i zaczął ich nawoływać do większych poświęceń.

Podobnie zaniepokojone były władze wojskowe w Turcji. Wszak to ich państwo jako pierwsze odrzuciło w czasie prezydentury Atatürka naukę Koranu jako fundament struktury państwa i społeczeństwa. Wstrząsy docierające od strony Iranu już zakołysały podstawami świeckich porządków. Wydano więc instrukcje nakazujące likwidowanie w zarodku wszelkich pogłosek. Wojskowi władcy nie wzięli jednak pod uwagę, że podobne nakazy muszą przynieść efekt przeciwny do zamierzonego.

Najpodatniejszej gleby dostarczył tego rodzaju wieściom, oczywiście, Iran. Większość wiernych w tym kraju to szyici, a filarem dogmatycznym tej sekty jest zapowiedź pojawienia się syna

zamordowanego przed wiekami czwartego Kalifa. On właśnie ma być odnowicielem islamu. Moment pojawienia się pogłoski był dla szytów jak najbardziej odpowiedni.

W całym świecie islamskim, łącznie z ludami żyjącymi na południe od Sahary i fanatycznymi sektami muzułmańskimi w północnej Nigerii, wieść o bliskim przyjściu Wybranego pojawiła się niemal równocześnie.

- W dni hadźdzu! - stało się czymś w rodzaju hasła. Wielu wiernych, którzy przedtem nie zamierzali udać się na pielgrzymkę, teraz postanowiło to uczynić. Niektórymi kierowała po prostu ciekawość.

Szczególne zaniepokojenie wyczuwało się w Królestwie Arabii Saudyjskiej i w Syrii.

Rodzina panująca w Arabii Saudyjskiej, która uważa siebie za strażnika świętych miejsc w Mekce i Medynie, miała ostatnio poważne kłopoty, kiedy grupa religijnych fundamentalistów, na czele z samozwańczym Mahdim, opanowała na kilka dni Wielki meczet w Mekce.

Poskromienie ich i zaprowadzenie porządku, kosztowało życie wielu ludzi. Należało oczekiwać, że w tysiąc czterechsetną rocznicę islamu fanatycy religijni nasilą swoją aktywność. Gwardia Pałacowa i Policja Religijna były już w stanie gotowości, uczulone na każdy objaw zaburzeń na tle religijnym.

Rządowi Syrii niemało kłopotów przysparzało tajne Bractwo Muzułmańskie

“Ichwan”, nie tylko fundamentalistyczne, ale dążące do obalenia siłą obecnego porządku.

Bractwo dopuściło się wielu zabójstw funkcjonariuszy policji, wojskowych, urzędników państwowych, a nawet doradców sowieckich. Strach pomyśleć, jakie mogły być następstwa wzrostu aktywności Bractwa wraz z pojawieniem się nowego proroka.

Gdyby państwa islamu utrzymywały ze sobą bliższe stosunki, jednoczesne pojawienie się pogłosek o proroku uznano by pewnie za coś więcej niż zwykły przypadek. Przy istniejących formach kontaktów międzypaństwowych, większość obserwatorów przypisywała rodzące się niepokoje zbliżającej się rocznicy.

Gordik oniemiał. Jako oficer KGB z dwudziestopięcioletnim stażem miał prawo wątpić, czy cokolwiek jeszcze może go zadziwić. A oto zaniemówił ze zdumienia.

Stał w swym gabinecie, spoglądając z góry na Maję Kaszewą, która siedziała na brzeżku krzesła i spoglądała na niego dużymi, czarnymi, wylęknionymi oczyma.

Larysa i Lew Tudin zajmowali miejsca po przeciwnej stronie stołu konferencyjnego.

Ich twarze miały ten sam co u Gordika wyraz kompletnego zaskoczenia.

Ten zaś podrzucił gwałtownie ramionami.

- Nie wierzę! - wykrzyknął.

- Ale to prawda! - powiedziała cicho Maja.

- To znaczy jak? Dziewica?! - wrzasnął Gordik.

A ona skinęła głową i - jakby zawstydzona - spuściła oczy.

- A ja w to nie wierzę! - powtórzył Gordik i spojrzał na Tudina, który zaczął się śmiać.

Maja rozplakała się. Larysa podeszła do niej i próbowała ją pocieszyć. Spojrzała gniewnie na Gordika.

- Oczywiście, że to prawda - rzekła sucho.

- Dziewica w wieku dwudziestu czterech lat?!

- A dlaczegoż by nie?

Gordik znów popatrzył na Tudina, który rozłożył bezradnie ręce. Potem patrząc na szefa podniósł jedną brew i uczynił gest w stronę barku.

- Możesz - mruknął Gordik ponuro. - Mnie też nalej. Nie żałuj.

Nie miał pojęcia, co teraz zrobić. Rozmowa zaczęła się tak dobrze. Na widok młodej primabaleriny wchodzącej do gabinetu, poczuł przypływ ufności i wiary w powodzenie swoich planów. Jej uroda, jej gracia, delikatność i kruchość postaci robiły natychmiastowe wrażenie. Nie mógł sobie wyobrazić mężczyzny nieczulego na urok tej istoty. Szczególnie kiedy zostanie poproszony o pomoc.

Początkowo łagodnie, wyjaśnił czego się od niej oczekuje, a kiedy zaczęła protestować, użył odpowiedniego nacisku. Przypomniawszy, że jej nieżyjący już ojciec był

wysokim funkcjonariuszem wojskowej struktury KGB i że właśnie ta jego pozycja otworzyła przed nią drzwi do najlepszej szkoły baletowej w Rosji i ułatwiła przyjęcie do zespołu Teatru Małego już w wieku szesnastu lat, co jest wielką rzadkością.

Wtedy dostrzegł ogień w jej oczach. Zaczęła bronić swego talentu i swej ciężkiej, pełnej poświęceń pracy. Spokojnie zauważyła, że są tysiące, dziesiątki tysięcy córek wyższych urzędników państwowych, które mają ambicje, żeby odnieść sukces w zawodzie tancerki baletowej.

- Tuzin spośród nich, nie więcej - powiedziała z odcieniem pogardy w głosie - ma dość talentu i silnej woli, żeby sięgnąć szczytów.

Gordik zgodził się bez protestu. Niemniej jednak - zauważył - pozycja jej ojca była bardzo pomocna. Ma więc dług w stosunku do ojca. I do kraju.

Jej ojciec nigdy by nie sankcjonował takich akcji. Byłby wstrząśnięty takim stawianiem sprawy - dała się ponieść emocjom. Gordik znów przyznał jej rację, ale zauważył, że niestety, jej ojciec nie żyje i na kogo innego spadł obowiązek zapewnienia bezpieczeństwa Matce Rosji. On sam bardzo

żałuje, że zaistniała taka konieczność, ale jest to nieuniknione. A swoją drogą, czy to aż tak trudne? Żąda się tylko od niej, żeby odmówiła powrotu z Londynu w czasie najbliższego tournée. Nie jest to myśl tak zupełnie obca rosyjskim tancerkom baletowym. Ma się potem zdać na łaską i litość pewnego wysokiego urzędnika brytyjskiego.

Okoliczności jej czynu stwarzają wielkie prawdopodobieństwo, że człowiek ten okaże się bardzo życzliwy. Od niej oczekuje się, że zdobędzie jego zaufanie i uczucie, a później pewne informacje. Po wykonaniu zadania sama zadecyduje, czy chce zostać na Zachodzie i tam kontynuować swoją karierę, czy wrócić do Rosji, gdzie może być pewna wspaniałej przyszłości, sukcesów zawodowych i niekończącej się wdzięczności Władzy Sowieckiej.

Musiał poświęcić dwie godziny, żeby posługując się na przemian pogrózkami i pochlebstwem - wreszcie ją przekonać.

W końcu zdawała się ulegać.

- To znaczy, że mam pójść do łóżka z tym człowiekiem? - spytała słabnącym głosem.

- Mam z nim spać?

Gordik kiwnął głową.

- Myślę, że to okaże się konieczne.

- A jeśli mu się nie spodoba?

Powiedziała do z mieszaniną nadziei i obawy.

Gordik przyglądał się jej dłuższą chwilę, a potem spojrzał na Tudina.

- Jak myślisz, Lew? Jest to prawdopodobne?

- Oczywiście - odparł Lew. - Mniej więcej tak samo jak to, że Stalin odrodzi się w ramach reinkarnacji jako pokojowy piesek królowej brytyjskiej.

Gordik ponownie przyjrzał się młodej kobiecie.

- Przypuszczam, że jeszcze mniej - orzekł z satysfakcją.

Maja zerknęła w stronę Larysy, oczekując wsparcia, jakiegoś aktu kobiecej solidarności, ale twarz tamtej była pozbawiona wyrazu. W końcu Maja zwróciła się do Gordika.

- Mam więc uwieść tego człowieka?

- Oczywiście.

- Jak zwykła prostytutka?

Larysa nie mogła się nie wtrącić.

- Panno Kaszewa, może pani na to patrzeć jak pani chce. Nie jest jednak hańbą prostytuować się dla dobra swojego kraju. Kraju, który dał pani tak wiele.

Zapanowała cisza, przerwana w końcu cichym, spokojnym głosem Mai.

- Ale prostytutka ma określone zdolności - mówiła jakby do siebie - musi mieć zdolności i doświadczenie. Ja takich zdolności nie mam. Nie wiedziałabym nawet od czego zacząć.

Gordik czuł, że zaczyna osiągać postępy.

- Moja droga panno Kaszewa. Proszę mi wierzyć, że nie będzie z tym żadnego problemu. On nie jest niesympatyczny - spojrzał z ironicznym grymasem na Larysę. - Jestem tego pewny. Ma pani go potraktować po prostu tak samo, jak innych mężczyzn, innych kochanków.

I wtedy to, primabalerina rzuciła swoją bombę.

- Ale, towarzyszu Gordik, ja nie miałam kochanków.

- Żadnego?

Potrząsnęła przecząco uroczą główką.

- Żadnego? - powtórzył. - Chce mi pani powiedzieć, że jest dziewicą?

Skinęła głową i spojrzała na niego z niepokojem.

Tudin przeszedł przez gabinet i wręczył Gordikowi szklaneczkę szkockiej. Ten pociągnął solidny łyk i westchnął z ulgą.

Maja ocierała oczy chusteczką Larysy.

- Laryso, zabierz ją i daj herbaty czy czegoś w tym rodzaju.

Larysa wzięła balerinę pod ramię i odprowadziła, ciągle płaczącą, do wyjścia. Kiedy drzwi za kobietami zamknęły się, Gordik spojrzał na Tudina.

- No i co o tym myślisz, Lew?

- Myślę, że trzeba ją posłać do naszej szkoły.

Gordik skrzywił się.

- Gdyby to ode mnie zależało, zamknąłbym ją wiele lat temu.

Tudin przyniósł butelkę i ponownie napełnił szklanekę szefa.

- Swoją drogą - powiedział - nasze dziewczyny miały jednak swoje osiągnięcia. Nie wyobrażam sobie, żeby można było wysłać zupełnie niedoświadczoną smarkulę z taką misją.

Powinna przynajmniej wiedzieć, jak rozpiąć rozporek u męskich spodni.

- Może i masz rację - powiedział Gordik ponuro. - Ale musi to być kurs w tempie awaryjnym. Teatr Mały odlatuje na zachód nie później jak za trzy tygodnie, a w tym czasie ona musi zdobyć wprawę w wielu innych fachowych czynnościach.

- A jak zagwarantujemy sobie jej lojalność? - zapytał Tudin. - Ostatecznie jest młoda, wrażliwa. Sam patriotyzm nie wystarczy.

Gordik westchnął.

- Wiem. Znam to. Wykorzystamy jej matkę. Są sobie bardzo bliskie. Sprawę postawi się jasno. Albo postara się i zrobi, co należy, albo jej więzi z matką urwą się natychmiast i na zawsze.

Tudin znał swego szefa. Popijał więc szkocką i spoglądał zagadkowo na Gordika. Ten zauważył spojrzenie podwładnego.

- No dobrze, dobrze! - powiedział poirytowanym tonem. - Pewno, że będę blefował!

Ty o tym wiesz, Larysa też się domyśli. Ale młoda balerina - nie. I będzie zachowywała się jak trzeba.

Zastanawiał się przez chwilę i dodał:

- Prócz kija mam też dla niej marchewkę. Jeśli nie zawiedzie i osiągnie sukces, i jeśli postanowi zostać na Zachodzie, pozwolę na wyjazd również jej matce. Będą razem. Co o tym myślisz?

Tudin uśmiechnął się, ale nie odpowiedział. Gordik parsknął z irytacją.

- W porządku. Wiem, o czym myślisz. Zastanawiasz się, jak ktoś tak miękki jak ja zaszedł tak wysoko w naszym zawodzie.

Tudin uśmiechał się już od ucha do ucha.

- No, niezupełnie - powiedział wreszcie. - Pomyślałem z nadzieją, że może Gemmel jest równie miękki.

Gordik już miał odpowiedzieć, kiedy drzwi otworzyły się i Larysa wprowadziła Maję.

Dziewczyna była spokojniejsza, ale na jej twarzy wciąż widniały ślady łez i zdenerwowania.

- Sądzę, że mogłoby nam pomóc - powiedziała stanowczym tonem Larysa - gdyby Maja miała jakies pojęcie o powierzchowności obiektu.

Podeszła do terminalu komputerowego i pytająco spojrzała na Gordika.

Ten przyzwalająco skinął głową. Cała trójka obserwowała, jak Larysa w skupieniu naciska klawisze. Po chwili ich oczy przeniosły się na ogromny ekran. Larysa wybrała fotografię, kierując się własnym, kobiecym wyczuciem. Było to zbliżenie głowy i ramion Gemmela. Obraz wydawał się nieco rozmyty z powodu silnego powiększenia. Połowa twarzy znajdowała się w łagodnym cieniu - oczy lekko zwężone, jakby wpatrzone w dal.

- Znam tego człowieka - odezwała się Maja.

Wszystkie oczy zwróciły się na nią i chociaż podłogę gabinetu pokrywał gruby dywan, w ciszy jaka zapanowała, odgłos spadającej szpilki odezwałby się chyba echem po całym pokoju.

Pierwszy oprzytomniał Gordik.

- Coś ty powiedziała?

- Znam go. Nazywa się Gemmel. Peter Gemmel.

- Skąd?!

Maja spojrzała na niego przestraszona. Opanował się i zmienił ton.

- Skąd pani go zna, panno Kaszewa?

- To było w Brukseli, przed trzema laty - odpowiedziała z wahaniem. - Odbywaliśmy tournée po krajach zachodnich. Byłam początkującą tancerką, ale wtedy dublowałam Olę Łanową w balecie "Paquita". Olga zachorowała i w ostatnim przedstawieniu ja ją zastąpiłam.

To było... to była dla mnie wielka szansa. Bardzo się starałam... i tańczyłam dobrze. Po przedstawieniu odbyło się przyjęcie i on tam był. Przedstawiono mi go jako kogoś znaczącego w kręgach miłośników baletu w Londynie. Bardzo dobrze mówił po rosyjsku.

- O czym wtedy rozmawialiście? - spytał Tudin.

- Och, zwyczajnie, o balecie. Bardzo dużo wiedział na ten temat. Mówił: jaka to szkoda, że nie zwiedzaliście Londynu.

- Podobał się pani? - wtrąciła cicho Larysa.

Maja spuściła wzrok.

- Tak, był... był bardzo sympatyczny. Mówił, że bardzo mu się podobał mój występ i że pewnego dnia będę wielką tancerką.

- Co jeszcze? - pytał Gordik pożerany ciekawością.

- To wszystko.

- Wszystko?

- Tak. Nadszedł towarzysz Sawicz i zabrał mnie stamtąd.

- Kto jest ten Sawicz?

- Jarow Sawicz - wtrącił się Tudin - z Wydziału Kontroli przy Ministerstwie Kultury.

Nasz człowiek.

Gordik powoli skinął głową.

- Rozumiem.

- Powiedział mi, żebym była ostrożna - kontynuowała Maja. - Mówił, że Gemmel jest szpiegiem zachodnim. Nie wierzyłam w to.

- Tak powiedział? - spytał surowym tonem Gordik.

- Tak. Myślę, że był zazdrosny. Przez całe tournée dokuczał mi, tak jakoś... - spojrzała na Larysę, - Pani wie, co mam na myśli?

Lary są ze współczuciem kiwnęła głową, a Gordik popatrzył znacząco na Tudina. Ten podszedł do stołu, wziął ołówek i coś zapisał.

- Czy pani spodobała się Gemmelowi? - spytał Gordik. - Kobiety zawsze to wiedzą.

- Chyba tak - odpowiedziała po krótkiej pauzie, nieco zmieszana.

- Chyba?

Spojrzała mu w oczy odważnie.

- Tak. Podobałam mu się.

Gordik opróżnił już czwartą szklaneczkę szkockiej. Siedział na stołku barowym z obcasami zahaczonymi w okalającą bar szynę. Sam zaprojektował zarówno bar, jak i stołki.

Były idealnej wysokości, a szynę wykonano z polerowanego mosiądzu. Wierzył w maksymę mówiącą, że dobry bar, dobry stołek i mosiężna szyna pod stopami zwiększają o pięćdziesiąt procent przyjemność, jakiej dostarcza dobra szkocka whisky.

- Wspaniały zbieg okoliczności - zauważył zza baru Tudin.

- Owszem, wspaniały - zgodził się Gordik - i niewątpliwie jest to zbieg okoliczności.

Ostatecznie Gemmel w związku ze swoją pracą dużo podróżuje. A że jest, jak to mówią, baletomanem, nic dziwnego, że poszedł na przedstawienie tak znanego zespołu jak Mały Leningradzki. Całkiem naturalne, że będąc członkiem Londyńskiego Koła Miłośników Baletu, został zaproszony na przyjęcie. Jest też zupełnie naturalne, że każdy mężczyzna, w którego żyłach płynie krew, a nie woda, czy jest szpiegiem czy nie, będzie się starał nawiązać pogawędkę ze znakomitą panną Kaszewą. Tak, to wszystko jest wspaniałe.

Obie kobiety wyszły przed dwudziestoma minutami. Larysa miała towarzyszyć balerinie do hotelu i zostać z nią na noc, a rano zabrać ją do "szkoły" KGB i nie opuszczać do końca szkolenia.

- Przy okazji też mogłabyś się czegoś nauczyć - powiedział Gordik z uśmiechem, kiedy byli sami. Larysa miała informować go o postępach Mai.

Gordik zastosował wobec tancerki całą gamę nacisków. Najpierw roztoczył przed nią wizję korzyści i zaszczytów, jakie spotkają ją w uznaniu jej patriotyzmu. Potem napomknął, że jej matka będzie "gościem" w jego nadmorskiej daczce przez cały okres nieobecności Mai.

W końcu wysunął obietnicą wspólnego zamieszkania matki i córki, nawet jeśli dziewczyna postanowi zostać na Zachodzie, Maja płakała, błagała, ale - co było do przewidzenia - w końcu poddała się. Ostatecznie przeważał fakt, że jej ojciec był wyższym oficerem KGB.

Dobrze rozumiała rzeczywistość.

- Sądysz, że wytrzyma? - spytał Tudin.

- Warto zaryzykować - odrzekł Gordik. - A przy tym jest twardsza niż się wydaje. Nie wiem zbyt wiele o balecie, ale wiem, że nie zostaje się primabaleriną w wieku dwudziestu czterech lat tylko dzięki talentowi albo społecznej pozycji ojca. Trzeba jeszcze być zdecydowaną, wytrwałą i twardą.

Tudin nalał szefowi kolejną porcję szkockiej.

- Przypuszczam, że towarzysz Sawicz nie będzie opiekował się zespołem w tej podróży do Londynu?

Gordik uśmiechnął się ponuro.

- Jedynym zespołem, jaki dostanie pod opiekę ten obleśny, gadatliwy dureń, będzie teatr kukielkowy. Objazdowy, po Syberii.

Perryman i Gemmel siedzieli na ławce w Hyde Parku; tej samej, którą zajmowali Gemmel z Hawke'em przed kilkoma tygodniami. Zjedli dobry lunch w "Hyde Park Hotel"

ale, jak zwykle, Perryman nie zgodził się na omawianie interesów w trakcie posiłku.

- Pospacerujmy - powiedział i poklepał się po okazałym brzuszku. - To dobrze robi na linię.

Doszli więc aż do jeziora i tam znaleźli wolną ławkę. Gemmel zapoznał Perrymana z postępowaniem operacji MIRAŻ. Wyjaśnił, że na najbliższym spotkaniu w Madrycie Amerykanie zrelacjonują stan zaawansowania prac nad satelitą laserowym, a Brytyjczycy prześlą informację o przebiegu poszukiwań kandydata.

- Ilu macie zamiar zaprezentować? - spytał Perryman.

- Koło tuzina. W tym dwóch lub trzech jest poważnie branych pod uwagę.

- Jesteście pewni powodzenia?

- W granicach rozsądku - odpowiedział Gemmel. - Na szczęście Falk jest wystarczająco kompetentny, by wesprzeć nas, jeśli będzie wiedział, że mamy rację.

- Miejmy nadzieję. Szkoda, że Hawke nie zgodził się na udział naszego człowieka w programie laserowym.

Gemmel uśmiechnął się.

- Nie oczekiwaliśmy tego. Szczerze mówiąc, byłbym zdziwiony, gdyby się zgodził.

Ale przynajmniej atmosfera trochę się oczyściła. Hawke zresztą oczekiwał takiej propozycji z naszej strony.

- Jak go oceniasz?

Gemmel zastanawiał się dłuższą chwilę.

- Jest dobry - zaczął ostrożnie. - Lepszy niż by się zdawało; niż na to wygląda. Stara się robić wrażenie typowego, jowialnego "twardego gościa". Ale proszę mi wierzyć, jest bystry - i doświadczony. Jest też dobrym partnerem do współpracy, wolnym od maniery Wielkiego Brata, tak częstej u Amerykanów.

- Jednym słowem, lubisz go?

Gemmel nie wahał się z odpowiedzią.

- Tak. Dobrze nam się pracuje i przypuszczam, że to coś więcej niż wzajemny szacunek.

Perryman był trochę zaskoczony. Jak długo znał Gemmela - a znał go od wielu lat, obserwował i wspierał jego karierę - nigdy nie dostrzegł, by ten angażował się w jakąkolwiek głębszą zażyłość czy to na terenie działalności zawodowej czy poza nią. Od śmierci żony Gemmel jeszcze bardziej zamknął się w sobie. Było rzeczą zadziwiającą, że ten duży, zaborczy Amerykanin zdołał naruszyć skorupę odosobnienia, w której zamknął się Gemmel.

- A sam program; co sądzisz o nim w tej chwili?

Gemmel zamyślił się głęboko.

- Początkowo - powiedział wreszcie - uważałem to za coś w rodzaju marzenia, niemal jak ze snu. Piękny wytwór wyobraźni, oderwany od rzeczywistości. Coś jak Kraina Czarów, po której poruszam się niczym mała Alicja. Widzę fascynujące dziwy, tyle że zupełnie nierealne.

- A teraz?

- Teraz... kiedy w grę wchodzi użycie lasera umieszczonego na orbicie okołozemskiej i promu kosmicznego; kiedy przystąpili do akcji nasi ludzie w terenie. Kiedy zaczęliśmy otwierać kartoteki... No cóż, Kraina Czarów zaczęła przyjmować bardziej przyziemny, powszedni charakter.

Perryman chrząknął znacząco.

- Byłbym ostrożny z nazywaniem laserów, satelitów i tak dalej, czymś przyziemnym.

- Zgadzam się, nie są to rzeczy powszednie - rzekł Gemmel - ale w pewnym sensie operacja stała się czymś innym niż była. Z fantasty, marzyciela, musiałem stać się administratorem, poświęcić się pracy papierkowej albo działaniom w terenie i zapomnieć o aspektach bardziej ezoterycznych.

- A następstwa natury moralnej?

- Te nie obchodzą mnie zupełnie. Jestem agentem wywiadu. Już dawno przestałem interesować się moralną stroną zjawisk.

Perryman spojrzał na niego wzrokiem nie pozbawionym sceptycyzmu. Nastąpiła chwila ciszy. Pierwszy odezwał się Gemmel.

- Czy utrzymuje pan kontakt z Pritchardem?

- O tak. Bardzo mu zależy na możliwie pełnych informacjach o wszystkim, co dotyczy tego projektu.

Zaciekawienie Gemmela wzrosło.

- A jaki jest jego osobisty stosunek do całej sprawy? - pytał dalej. - I jaki będzie jego udział w operacji, kiedy już ją uruchomimy?

Perryman wahał się przez chwilę, a potem zdecydował się na nieco większą otwartość.

- "Osobisty stosunek", jak to nazywasz, jest podstawą jego motywacji. Pragnie dokonać ostatniego, wielkiego wyczynu. Fakt, że to on jest twórcą koncepcji naszego przedsięwzięcia, będzie dla niego źródłem ogromnej satysfakcji. Ostatecznie planował tę operację przez prawie dwadzieścia lat.

Zastanawiając się nad słowami Perrymana, Gemmel stwierdził w duchu, że nigdy nie pojmie Pritcharda. Nigdy nie zrozumie, jak człowiek może odrzucić wszelkie uczucia rodzinne, poświęcając je dla pracy zawodowej. Nie widział siebie w takiej roli. Mimo że od śmierci żony w podobny sposób poświęcił się swojej profesji. Gdyby jednak żyła, nigdy i dla niczego nie mógłby jej poświęcić.

Zmienił temat rozmowy.

- Czy przedstawił pan sprawę pani premier?

- Tak - zwięźle odparł Perryman. - Tylko w zarysie. Podkreśliłem, że za przykładem prezydenta powinna zapewnić sobie pozory absolutnej niewiedzy.

- Czy mogę wiedzieć, jaka była jej reakcja?

Perryman odpowiedział z wyraźną satysfakcją.

- Zleciła natychmiastową intensyfikację poszukiwań ropy naftowej na Morzu Północnym.

Range rover pomalowany w piaskowo-brunatne plamy stał ukryty za piaszczystym wzgórzem. Nie miał tablic rejestracyjnych ani żadnych charakterystycznych znaków oprócz wysokiej, cienkiej anteny. Dwaj mężczyźni leżeli na brezentowej płachcie na szczycie wzgórza. Jeden z nich trzymał przy oczach lornetkę. Drugi wyciągnął się na plecach, przysłaniając ręką oczy przed popołudniowym słońcem. Rozpięty obok mały, płócienny daszek osłaniał nie ludzi, lecz różnego rodzaju wysokiej jakości sprzęt fotograficzny: kamery, obiektywy. Mężczyźni byli zgrzani, zmęczeni i brudni - czekali w tym odludnym miejscu już trzecią dobę. Range rover miał wprawdzie klimatyzację, ale obowiązywał ich zakaz uruchamiania silnika.

Człowiek trzymający lornetkę opuścił ją i przetarł rękawem oczy.

- Jezu, co za cholerny upał - wyrzucił z siebie ze złością.

Ten, który leżał na plecach, zareagował nie mniej energicznie.

- George, jeśli powtórzysz to jeszcze raz, kopnę cię w jaja.

George warknął coś pod nosem i podniósł lornetkę do oczu. Nagle zeszywniał.

- Jest, nadchodzi! Zobacz, Terry! Idzie!

Terry przekręcił się na brzuch i spojrzał ponad szczytową krawędzią wydmy. Potem sięgnął ręką po

teleobiektyw i wkręcił go do aparatu Nikon F3.

W celowniku ujrzał człowieka okrążającego wzgórze przed nimi. Ubrany był w tradycyjny burnus, na nogach miał skórzane sandały, niósł przerzucony przez ramię bukłak z koziej skóry.

Terry spojrzął za siebie na nisko stojące słońce, wybrał odpowiedni filtr i nasadził go na obiektyw. Silniczek przewijający taśmę ruszył i kolejne momenty ruchu człowieka z bukłakiem zostały zarejestrowane. Zanim ten dotarł do swojej groty, skończyła się pierwsza rolka filmu. W czasie kiedy operator zręcznie i fachowo wymieniał błonę, Arab kucnął na piętach i napił się z bukłaku. Znów zamruczał stacatto silniczek. Terry chciał, korzystając z dobrego jeszcze światła, zrobić z pół tuzina rolek zdjęć, zanim człowiek zniknie w swojej grocie. Oni obaj znali tę grootę lepiej niż ktokolwiek inny. Cały dzień poświęcili jej skrupulatnym oględzinom, a nawet pomiarom. Wiedzieli również, że będą musieli wytrzymać jeszcze dzień lub dwa pod bezlitosnym słońcem. Tyle bowiem czasu potrzebował Abu Kadir na swoje medytacje.

Dopiero na drugi dzień wieczorem Terry nagle uświadomił sobie, co go tak dziwiło i niepokoiło. Wykonał tyle fotografii, ile wydawało się konieczne, i teraz, siedząc w range roverze i grając z Georgem w karty, powiedział w chwili olśnienia.

- Coś jest nie tak z tym facetem.

- Oczywiście - odparł George. - Ma świra. Każdy, kto przychodzi w takie miejsce jak to, bez zapasów jedzenia i siedzi tu na tyłku całymi dniami, musi być stuknięty.

Terry pokręcił głową.

- Nie, to nie tak. On ma być bardzo świętobliwym człowiekiem. Przychodzi tu medytować i rozmawiać z Allachem, czy coś w tym rodzaju. Ale zauważ George, on nigdy się nie modli. Widziałeś innych Arabów. Pięć razy dziennie rozwijają te swoje dywaniki, obracają się w kierunku Mekki i padają na twarz. A ten gość nigdy tego nie robi. Odnoszę wrażenie, że on wie o naszej tu obecności.

- Nie wygłupiaj się.

- Nie, poważnie. Po pierwsze - nigdy nie patrzy w naszą stronę, na nasze wzgórze.

Zrobiłem mu chyba z pięćset zdjęć i założę się, że na żadnym zdjęciu nie mam go en face.

George oderwał wzrok od kart i popatrzył z uwagą na Terry'ego.

- Mówisz to poważnie?

- Tak - odpowiedział Terry z przekonaniem. - Słuchaj. To mój fach. Zrobiłem dla Firmy tysiące zdjęć. W większości z ukrycia. I mówię ci, George, ten gość wie, że jest obserwowany.

- Ale przecież nie mógł nas widzieć.

Terry pokręcił głową.

- Toteż nie widział. On po prostu wie albo czuje, że my tu jesteśmy.

- A mnie to nic nie obchodzi - stwierdził George. - Zrobiliśmy co do nas należało i chciałbym się stąd wynieść.

Skrzywił nos i zmarszczył czoło.

- Nie wiem, kto gorzej cuchnie, ty czyja. Marzę tylko o gorącej kąpieli i butelce chłodnego piwa.

W cieniu murów meczetu w Dżuddzie Hadzi Mastan ponownie spotkał się z imamem.

Imam słuchał z przejęciem, bo też w ostatnich tygodniach wokół aż huczało od plotek i spekulacji. On sam nie byłby w stanie wywołać takiego podniecenia wśród wiernych.

Podróżni przyjeżdżający tu często z Sudanu i Egiptu, jak i z głębi półwyspu, przywozili podobne wieści:

“W porze hadźdu pojawi się Wybrany”.

- Pozbędę się swojego przedsiębiorstwa - powiedział Hadzi Mastan.

- Odważysz się na tak poważny krok? - zdziwienie niemal zaparło oddech imamowi. -

Jesteś tak pewny?

Hadzi zajrzał głęboko w oczy imamowi i odparł z prostotą:

- On przyjdzie i wezwie mnie do siebie. I żadne więzy nie mogą mnie zatrzymać.

Żadne więzy nie przeszkodzą mi w pójściu za Nim i spełnianiu Jego poleceń.

- Sprzedasz swoje przedsiębiorstwo?

Hadzi pokręcił głową.

- Już skończyłem z kupowaniem i sprzedawaniem. Oddam przedsiębiorstwo moim pracownikom. Będą cieszyć się owocami swojej pracy. Ja odłożyłem sobie tyle, że wystarczy na potrzeby moje i mojej rodziny.

Teraz imam był już naprawdę wstrząśnięty, bo Hadziego Mastana od dawna znano jako tego, który rozglądał się tylko za zyskiem. To prawda, że nigdy nie pozwalał sobie na żadne oszustwa ani nie zgrzeszył lichwiarstwem. Ale porzucić interes? To świadczy o naprawdę głębokich zmianach w jego sercu.

- Czy twoje sny nie mówią, kiedy przyjdzie Wybrany?

Hadzi pokręcił głową.

- Nie. Ale czuję, że stanie się to wkrótce. A ja będę gotów na Jego przyjście.

Imam przysunął się bliżej i powiedział cicho:

- Rozważ moją radę, Hadzi Mastan, i bądź ostrożny. Władze są bardzo zainteresowane tymi pogłoskami. Policja Religijna rozpytuje o wszystko. Nawet o ciebie i twoje sny.

- Wiem o tym - odpowiedział Hadzi poważnie. - Już pytali i mnie, i moją rodzinę. Ale nie mogą ukarać człowieka za to, że ma sny.

- To prawda - przyznał imam - ale proszę cię, bądź ostrożny.

- Nie obawiaj się - uspokoił go Hadzi. - Kiedy On przyjdzie, odpowie im na wszystkie pytania.

“Szkoła” mieściła się w dużej dacy położonej wśród lesistych pagórków, około sześćdziesięciu kilometrów na pomocny wschód od Moskwy.

W końcu lat pięćdziesiątych KGB udało się złapać w pułapkę ówczesnego ambasadora francuskiego. Był on człowiekiem bardzo wrażliwym na wdzięki niewieście. KGB

wykorzystało ten fakt i posługując się piękną, młodą aktorką wciągnęło ambasadora w szereg kompromitujących sytuacji. Była to operacja wzorcowa. Po niej miały miejsce następne, najczęściej związane z uwodzeniem sekretarek w średnim wieku, pracujących w zachodnich przedstawicielstwach.

Operacje te nazwano “słodkimi pułapkami”, a ich wykonawców lub wykonawczynie -

przynętą. Tego rodzaju strategia była tak szeroko stosowana, że w końcu lat sześćdziesiątych KGB musiało założyć specjalną szkołę, gdzie trenowano wybranych agentów w zakresie psychologicznych i fizycznych aspektów uwodzenia. Personel składał się z dyrektora, psychologa i z czwórki instruktorów: dwóch kobiet i dwóch mężczyzn. Nigdy nie było w szkole więcej niż trzech, czterech uczniów jednocześnie. Tak więc stosunek liczby uczniów do liczby nauczycieli był idealny. Wszystko to Larysa wyjaśniła Mai w drodze, którą odbywały w wielkiej, czarnej limuzynie. Od kierowcy oddzielała je gruba szyba. Maja była wystraszona, ale zasypywała Larysę pytaniami. Jak długo tam będą? Co konkretnie ma tam robić? Na te pytania Larysa mogła odpowiedzieć tylko tyle, że jej sytuację przedstawiono telefonicznie dyrektorowi i on przygotowuje odpowiednio zwięzły program. Powiedziała też, że nie ma powodu do zmartwienia ani do obaw. Tam, w szkole, pracują ludzie o dużym doświadczeniu i na pewno wszystko będzie zrobione z taktem i zrozumieniem.

To prawda, że personel szkoły posiadał duże doświadczenie, ale kiedy dyrektor ujrzał

przez okno jak limuzyna podjeżdża do drzwi frontowych - poczuł ukłucie niepokoju.

- Jeden tydzień - powiedział mu Gordik przez telefon - i ta dziewczyna ma umieć zmienić zakonnika w bryłę drżącego oczekiwania.

Problem był tego rodzaju, że w całym swoim istnieniu szkoła nie miała do czynienia z dziewczyną. Prawdę mówiąc, większość uczniów miała za sobą rozległe doświadczenie i szkoła stanowiła dla nich rodzaj kursu podyplomowego. Dyrektor wezwał na naradę psychologa i głównego instruktora. Przekazał im informacje uzyskane od Gordika o absolutnym braku doświadczenia i przerażeniu nowej uczennicy.

Psycholog wyjaśnił, że w takim przypadku sprawą zasadniczą jest doprowadzenie jej do stanu całkowitego odprężenia i swobody. Dyrektor przedstawił wówczas problem czasu: najwyżej sześć dni. Albo inaczej: pięć nocy. Zaznaczył też, z kwaśną miną, że Gordik od dawna był wrogiem szkoły i niepowodzenie może mieć poważne następstwa dla nich wszystkich. Między instruktorem a psychologiem wynikła sprzeczka. Georgij Bragin był

zwolennikiem bezzwłocznego przełamania oporów seksualnych dziewczyny. Według jego doświadczenia ktoś, kto w wieku dwudziestu czterech lat nie ma za sobą inicjacji seksualnej, wymaga kuracji wstrząsowej. Później byłaby szansa nauczenia dziewczyny czegoś pożytecznego, mimo tak krótkiego terminu. Psycholog sprzeciwiał się. Takie działanie może doprowadzić do powstania urazu i utrwalić odruch regresywny. Wskazywał na nie mniejszą, a nawet większą rolę aspektu mentalnego w akcie uwiedzenia niż aspektu fizycznego. Podobna różnica zdań miała miejsce nieraz i adwersarze spoglądali na siebie gniewnym wzrokiem.

Wszystko to nie rozwiązywało problemu, przed jakim stał dyrektor, chociaż -

uwzględniając czynnik czasu - skłaniało do przyjęcia propozycji Bragina. Podczas gdy specjaliści spierali się zawzięcie, dyrektor przyglądał się swojemu głównemu instruktorowi.

Miał on niewiele ponad czterdzieści lat, był średniego wzrostu, szczupły, o śniadej cerze i orlim profilu oraz głęboko osadzonych, bystrych oczach. Mówiąc pomagał sobie gestami, chociaż i bez tego był bardzo elokwentny. Miał też długie, smukłe palce - jak u pianisty.

Jego kariera zaczęła się od uwiedzenia asystentki szefa administracji siedziby dowództwa NATO w Brukseli. Miał wówczas dwadzieścia siedem lat, ona - czterdzieści sześć i była starą panną. Przez pięć lat pozostawała pod całkowitym wpływem Bragina, aż w końcu przyłapano ją na próbie sfotografowania dokumentów w gabinecie zastępcy głównodowodzącego.

Jego następnym przydziałem była Organizacja Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku. Tym razem spenetrował Sekretariat i uwiódł wszystkie trzy sekretarki, z których najstarsza była osobistą sekretarką dyrektora pionu budżetowego ONZ. Przez dwa lata KGB

miało dostęp do wszystkich dokumentów finansowych Narodów Zjednoczonych dużo wcześniej niż sekretarz generalny. Dzięki temu delegacja rosyjska zdobyła możliwość wywierania nacisków dla własnych korzyści finansowych. Skończyło się to wszystko dopiero z wygaśnięciem kadencji dyrektora i jego powrotem do Holandii. Sekretarka, niezbyt lubiana w wydziale, straciła wkrótce pracę i kochanka.

Bragin miał na koncie jeszcze inne, skromniejsze sukcesy, jako attache kulturalny przy ambasadach w różnych krajach Trzeciego Świata. Jego celem były z reguły sekretarki innych ambasad, znudzone

brakiem życia towarzyskiego. Przed pięcioma laty został odwołany do Moskwy i mianowany głównym instruktorem w szkole KGB. Z nowej pracy był zadowolony i zawsze uważał, że aspekt psychologiczny jest przeceniany.

- Prawa psychologii nie obowiązują od szyi w dół - miał zwyczaj mawiać.

Freud uznałby go za przypadek nie podlegający psychoanalizie.

Ostatecznie dyskusję metodologiczną zamknął dyrektor, stwierdzając, że musi wpierw zrobić wywiad z nową uczennicą, a potem podejmie decyzję. Nie było żadnych kłopotów z rozdysponowaniem personelu. W danej chwili przebywało w szkole tylko dwóch uczniów, obaj płci męskiej, a zajmowały się nimi instruktorki. Tak więc główny instruktor będzie mógł

cały swój czas i całą uwagę poświęcić nowo przybyłej.

Przyglądał się teraz, jak wysiadała z samochodu i szła za inną kobietą w kierunku drzwi wejściowych. Zauważył elastyczny krok tancerki oraz jej zaniepokojenie, kiedy rozglądała się nerwowo.

- Uważam, że nie macie racji - bez ogródek oświadczyła Larysa dyrektorowi.

Nie dłużej niż dziesięć minut zastanawiał się nad wyborem sposobu postępowania i zdecydował się na wersję podsunętą przez Bragina. Uroda i osobowość Mai przekonały go, że nie będzie ona miała trudności z nawiązaniem "kontaktu". Bardzo niewielu heteroseksualnych mężczyzn oparłoby się jej urokowi. Jego zdaniem pozostaje tylko problem zademonstrowania jej wzorców do naśladowania. Tych wzorców w pełniejszej realizacji

"kontaktu" dostarczy ekspert. Kazał więc zaprowadzić tancerkę do przeznaczonego dla niej pokoju i przedstawił Larysie swoją decyzję. Larysa zaoponowała.

- Mamy bardzo mało czasu - protestował. - W normalnych warunkach trzymalibyśmy ją tu nie mniej jak trzy miesiące.

- Dlaczego, waszym zdaniem, jest ona tak niedoświadczona? - spytała Larysa z odcieniem pogardy.

Dyrektor westchnął.

- Proszę wierzyć, przyczyn może być tuzin. Od homoseksualizmu po oziębłość.

Wyeliminujemy te możliwości w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Wrzucając ją do łóżka z mężczyzną?

Poirytowany dyrektor odpowiedział dość ostro.

- Proszę choć trochę zaufać naszej inteligencji.

- Czy mieliście już takie przypadki? Kompletna naiwność i brak doświadczeń seksualnych?.

- Oczywiście, że mieliśmy - skłamał gładko dyrektor. - I proszę mi wierzyć, mamy naprawdę fachowych instruktorów. Tak ważnym przypadkiem jak ten zajmie się, naturalnie, towarzysz Bragin, nasz główny instruktor. Potrafi być łagodny i przekonywujący.

Uśmiechnął się figlarnie.

- Będzie to dla niej doświadczenie, które wspomni kiedyś z przyjemnością - a nawet, powiedziałbym, z wdzięcznością.

Larysa miała co do tego wątpliwości, ale potem przypomniała sobie własną, kłopotliwą i bolesną inicjację i niezdarnego, prymitywnego studenta politechniki. Postanowiła nie spierać się dłużej z dyrektorem.

Spotkali się na obiedzie. Bragin siedział oddzielnie, przy stole nakrytym dla trzech osób. Pozostali instruktorzy i uczniowie usiedli w drugim końcu pokoju. Z zaciekawieniem spojrzeli na wchodzące: Larysę i Maję. Potem wszyscy odwrócili wzrok na Bragina. Nie oblizwał się wprawdzie, ale nigdy żaden kot nie spoglądał z takim pożądlwym oczekiwaniem na miskę świeżej śmietanki. Wstał z krzesła i wyciągnął dłoń do Mai.

- Bragin - przedstawił się - ale proszę mówić do mnie Georgij; a pani jest oczywiście tą sławną Mają Kaszewą. Jestem zaszczycony.

Podala mu obojętnie rękę, a on odsunął dla niej krzesło i kiwnął głową Larysie. Zostali sobie przedstawieni wcześniej, w gabinecie dyrektora.

Wspominając później ten obiad, Larysa stwierdziła, że trudno byłoby doszukać się jakiegoś błędu w zachowaniu się Bragina, w jego strategii. W ciągu kilku minut stało się widoczne, że Maja traktuje go tak samo, jak traktowałyby każdego innego wielbiciela swojej sztuki. Poprawnie, ale na dystans. On z kolei nie narzuczał się. Przeciwnie, skierował swoją uwagę na Larysę. Natychmiast odczuła siłę jego uroku osobistego. Był, jakby to określiła, silnym samcem. Reakcją na jego zabiegi musiała być - o ile nie znało się treści jego kartoteki personalnej - sympatia i zainteresowanie. Byłby, jej zdaniem, dobrym partnerem podczas interesującej przygody. Ale nic ponadto. Szybko zorientowała się, że zajął się jej osobą celem rozbudzenia w Mai kobiecego ducha współzawodnictwa. Jednak bez powodzenia. Maja zabrała się do jedzenia i bez zainteresowania słuchała ich rozmowy.

Bragin natychmiast wyczuł sytuację i porzucił dotychczasową strategię.

Zaproponował Mai, by korzystając z pięknego wiosennego popołudnia poszli we dwoje na spacer po rozległym terenie otaczającym daczę. A może wolałaby pograć w tenisa?

Potrząsnęła głową przecząco. Nie gra w tenisa. To może coś innego? Jest tu basen z podgrzewaną wodą. A może ping-pong? Na pewno lubi jakiś sport? - pytał natrętnie.

- Tańczę - powiedziała wreszcie Maja obojętnym tonem i Larysa nie mogła powstrzymać śmiechu.

Bragin spojrział na nią z irytacją, ale był niestrudzony. Maja Kaszewa może sobie być utalentowaną i sławną primabaleriną, ale przed upływem nocy on, Georgij Bragin, będzie ją miał, łagodną i uległą, w swoich objęciach.

Ostatecznie po obiedzie poszli na spacer, a Larysa udała się na basen. Później zaś, już ze swego pokoju, zadzwoniła do Gordika. Ten z niepokojem pytał o nowiny. Powiedziała, że jeszcze za wcześnie, ale jej zdaniem nie będzie łatwo nauczyć ich ptaszka samodzielnego latania. Rano zadzwoni znów. Odłożyła słuchawkę i pomyślała, że oto ma przed sobą ciężki nudny tydzień. Uzgodniono z dyrektorem, że ponieważ obecność Larysy w pobliżu Mai może komplikować sytuację, będzie się ona trzymała z daleka. Wszystko zależy teraz od Bragina.

Larysa zgodziła się, chociaż nie bez oporów.

Apartament Bragina należałoby określić jako wytworny, a nawet luksusowy. Duży wygodny salon z miękkimi fotelami i dobrze zaopatrzonym barem. Jeszcze większa sypialnia, a w niej ogromne łóżko z czterema kolumnkami na rogach, podtrzymującymi baldachim i boczne, zaciągane zasłony.

Maja usiadła w salonie na brzeżku fotela i z dużego, kulistego kieliszka popijała francuski koniak. Przed kolacją była wódka, po kolacji burgund - nie utraciła jeszcze samokontroli, ale niewiele do tego brakowało.

Bragin usiadł naprzeciw i odchylony na oparcie patrzył na nią z mieszaniną frustracji i poirytowania. Spacerowali po południu przez dwie godziny, dużo dłużej, niż zamierzał, a teraz bolały go trochę nogi. Kilka razy próbował skłonić ją, by usiedli w jakimś malowniczym miejscu i porozmawiali. Lub po prostu podziwiali scenerię. Ale ona kręciła głową i rezerwowo przyśpieszała kroku. A on, utraciwszy swoją godność, podążał za nią, sapiąc z wysiłku.

Podczas kolacji prawie się nie odzywała. Może mało wiedziała o świecie, a może tak mu się tylko zdawało; dość, że jego anegdoty i historyjki nie robiły na niej żadnego wrażenia.

On natomiast nie wiedział prawie nic o balecie, a więc i z tej strony nie miał szans na przyciągnięcie jej uwagi. W końcu uciekł się do próby upojenia jej alkoholem, a to raniło jego próżność. Nigdy dotąd nie potrzebował takich środków, aby przemóc obronne nastawienie kobiety. Ale i to okazało się nieskuteczne. Teraz więc, patrząc na nią siedzącą prosto i spokojnie, doszedł do wniosku, że nie pozostało mu nic innego, jak korzystanie z techniki czysto fizycznej. Wiedział już, że nie zdobędzie jej ducha, ale był przekonany, że on, Georgij Bragin, potrafi pobudzić jej ciało.

Pochylił się do przodu i powiedział stanowczo:

- Panno Kaszewa, proszę posłuchać.

Podniosła na niego oczy, trochę zdziwiona.

- Pani dobrze rozumie sytuację. Jestem tu głównym instruktorem. Pani jest uczennicą.

Być może nie życzy sobie pani być tutaj. Jestem nawet pewny, że tak właśnie jest. Ale to mnie nie interesuje.

Jego głos stał się twardszy.

- Jestem tym wszystkim trochę znudzony. Staralem się uczynić to jak można najprzyjemniejszym, aleja mam wykonać określone zadanie, a pani wcale mi nie pomaga. A czasu jest mało. Toteż za chwilę zacznę właściwe szkolenie.

Przerwał w oczekiwaniu jakiejś reakcji, ale wyraz jej twarzy nie zmienił się.

Powiedział więc chłodno.

- Proszę pójść do sypialni, rozebrać się całkowicie i położyć w łóżku. Przyjdę za dziesięć minut.

Nie wahała się ani przez moment. Odstawiła kieliszek, wstała nie patrząc na niego i poszła w kierunku sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Bragin zaklął pod nosem. Podeszedł do barku i nalał sobie drinka. Pomału opanował się, a nawet zaśmiał do siebie. A więc nie chybił. Opróżnił szklanekę i ruszył w kierunku sypialni.

Odrzuciła prześcieradła i leżała na środku łóżka jak biała statua z kości słoniowej.

Bragin podeszedł i zatrzymał się, patrząc na nią. Patrzył dość długo, nawet bardzo długo. W

swojej karierze często musiał kochać się z niezbyt pociągającymi kobietami, czasem wręcz wstrętnymi. Ale poznał też w życiu wiele pięknych kobiet. Kiedy więc miał okazję oglądać kolejną, mógł dla porównania przywołać z pamięci całą ich galerię. Kiedy jednak spojrział na Maję Kaszewą, zrozumiał, że w przyszłości jego umysł i pamięć wyczarują w takich momentach tylko jej kształty. Nie widział ani jej doskonałych piersi, ani tej szczupłej talii, długich nóg i małych delikatnie sklepionych stóp, a nawet tego małego, wypukłego trójkąta u szczytu ud. Widział tylko całość wspaniałego obrazu, jakby jego oczy utraciły zdolność skupiania się na poszczególnych obiektach.

Powoli wciągnął powietrze w płuca i powiedział.

- Popatrz na mnie.

Obróciła głowę na poduszce i patrzyła, jak się rozbiera. Rzucił jedną po drugiej części ubrania na dywan, nie odrywając wzroku od jej oczu, czekając na jej reakcję - aż zobaczy w nim to, co on zobaczył w niej. Wiedział, że ma zgrabne, muskularne ciało. Znał efekt, jaki wywierał swoim widokiem na inne kobiety. Ale tym razem nie miał pewności. Widział, że jej oczy przesunęły się w dół, na jego wzrastającą erekcję. Czy była w tym chociaż ciekawość?

Położył się obok niej i jego dłonie dotknęły jej ciała. Skórę miała delikatną jak brzusek kociaka, ale pod tą delikatnością czuło się fale sprężystych mięśni. To podnieciło go jeszcze bardziej; to wrażenie ukrytej w niej siły.

Badał jej ciało, poszukując najbardziej wrażliwych miejsc. Pocierał małe sutki, chuchał na nie i czuł

podniecenie, widząc jak twardnieją. Przebiegł dłonią w dół jej brzucha i wśliznął się palcami w jedwabistą czerń między udami. Zadrżała mimowolnie, a on cofnął się na moment, już ufny w końcowy, ostateczny sukces. W myśli odrzucił te możliwości, które tak niepokoiły dyrektora. To nie była ani lesbijka, ani frygida - chyba że Wenus uznać też za frygidę. Potem wyrzucił dyrektora ze swojej świadomości. To było tylko jego własnością, do diabła ze wszystkim i wszystkimi. Przez wiele minut jego dłonie i usta igrały i rozmawiały z jej ciałem. Instykt podpowiadał mu, że potrzeba największej cierpliwości. Odbierał dwa sprzeczne sygnały: jeden - to leciutki, lecz wyczuwalny ruch jej ciała mówiący: tak; drugi -

drgnienia, cofnięcia się, uniki, mówiące: nie.

Ale jego cierpliwość też miała granice, narzucone przez jego własne ciało i wyobraźnię. Była dziewczicą, nietkniętą, nie zepsutą. On miał być tym pierwszym. Przyciągnął

jej twarz ku swojej i dotknął jej ust językiem. Próbowwała odsunąć się, ale ją przytrzymał. Jej usta rozwarły się wolno, ale jego język trafił na zaciśnięte zęby. Jego ręka przesunęła się w dół ku jej udom. Znow próbował je rozsunąć. Wtedy szarpnęła się, odwróciła, a on został

napięty do granic bólu, dysząc spazmatycznie.

Nie myślał, co robi. Chwycił ją za ramiona i przyciągnął, próbując siłą dotrzeć ustami do jej ust. Broniła się jednak. I znow instykt podpowiedział, że musi ją przekonać, zbliżyć się do niej za wszelką cenę.

Ale teraz nie zważał już na nic. Będzie pierwszy, niech się dzieje, co chce. Odgiął jej głowę do tyłu; spojrzeli sobie w oczy. Zobaczył zaciśnięte usta i wzrok który krzyczał: nie.

Ona zobaczyła tylko lubieźność.

Zaczęła się walka. Był silny, ale i ona też. Starał się wcisnąć kolano między jej uda.

Wywinęła się. Chciał jedną dłonią uwięzić przeguby jej rąk. Nie udało mu się. Jedna z jej dłoni uwolniła się, paznokcie przeorały jego twarz, aż krzyknął, a ona oderwała się od niego.

Była już blisko drzwi, lecz on zeskoczył z łóżka i dopadł ich wcześniej. Teraz w jego oczach została tylko żądza i wściekłość. Przyparł ją do rogu pokoju. Próbowwała się wymknąć, ale złapał ją za ręce, zaparł się rozstawionymi nogami i obrócił ją twarzą ku sobie.

Wykonała wdzięczny piruet na jednej stopie, podczas gdy druga, ze zwartymi, wyprężonymi palcami, z prędkością i siłą zdobytą tysiącami godzin ćwiczeń - wystrzeliła do przodu i jak skalpel ugodziła go w jądra.

Stając po północy przed drzwiami swego mieszkania, Larysa posłyszała żalobne tony drugiej części Piątego Koncertu Fortepianowego Beethovena. Był to zły znak. Gordik zawsze słuchał tego koncertu, kiedy był w złym nastroju.

Kiedyś wyjaśnił jej, że Beethoven, rozpoczynając tę kompozycję, był zakochany w pewnej księżniczce z rodu Hohenzollernów. Wzruszająca pierwsza część koncertu ilustruje jego radość z powodu tego związku. W trakcie pisania drugiej części, księżniczka porzuciła go dla innego mężczyzny. Stąd wyraża ona jego ból i rozpacz. Trzecia część, to pogodzenie z faktem, że życie trwa dalej - i do diabła z kobietami.

Trzymała klucz w jednej ręce, w drugiej walizkę i zastanawiała się, czy nie lepiej wrócić na ulicę i poczekać przynajmniej do chwili, kiedy zacznie się trzecia część koncertu.

Potem wzruszyła z rezygnacją ramionami, włożyła klucz do zamka i weszła do środka.

Leżał na kanapie z nogami umieszczonymi na poduszce i wzrokiem utkwionym w sufit. Odwrócił głowę, spojrzał na nią krótko i znów skoncentrował się na muzyce i na suficie.

Postawiła walizkę przy drzwiach, weszła do kuchni i nie śpiesząc się, zrobiła sobie kawę.

Zanim napełniła filiżankę i doniosła ją do drzwi kuchni, trzecia część koncertu dobiegała końca. Gordik, jeszcze nieobecny myślami, dyrygował jedną ręką. Przy końcowym takcie opuścił brodę na piersi i spojrzał na nią przez przymrużone powieki.

- Wyobraź sobie - powiedział - wyobraź sobie: porzucić człowieka, który tworzy taką muzykę.

- Może miał niemiły oddech.

Gordik parsknął i usiadł.

- Typowo kobieca reakcja.

Pokręciła głową.

- Uwierz mi, Wasilij. Nie istnieje nic takiego. Przekonałam się o tym dzisiejszego wieczoru.

Popatrzył na nią uważniej i dostrzegł jej zmęczenie. Jego twarz złagodniała nieco. Ale tylko trochę.

- A tak - powiedział. - Właśnie zastanawiałem się, czy nie zaproponować Maję Kaszewą moskiewskiemu Dynamo; może strzeliłaby kilka goli.

Larysa nie uśmiechnęła się. Czowała rosnącą irytację. Czas już na odrobinę prawdy.

Podeszła do okna i spojrzała w dół na słabo oświetloną ulicę. Nie odwracając głowy, powiedziała

cicho przez ramię.

- Sądzisz, że jeśli rozumiesz mnie, to rozumiesz wszystkie kobiety? Mylisz się.

Rozumiesz mnie tylko dlatego, że ciebie kocham i niczego przed tobą nie ukrywam.

Obróciła się; przyglądał jej się uważnie.

- Z twoją osobowością - mówiła dalej - z twoim wykształceniem i doświadczeniem uważasz również, że rozumiesz większość mężczyzn. To możliwe, ale nie możesz rozumieć wszystkich.

Westchnął.

- Wszystko jasne. Jestem szowinistyczną biseksualną świnią. Ale przejdźmy do rzeczy, jeśli można cię prosić.

- Dobrze, przejdę do rzeczy, ale przedtem powiedz, co postanowiłeś zrobić z Mają.

Gordik wzruszył ramionami.

- Ona sama o tym zdecydowała. Mało prawdopodobne, żeby Gemmel się przed nią zwierzał, trzymając się jednocześnie rękami za krocze.

- Nie będzie musiał - powiedziała z pogardą. - Posłuchaj teraz dwóch rzeczy. Po pierwsze, ona kocha Gemmela, przynajmniej w swojej wyobraźni.

Gordik usiadł i wyprostował się. Chciał coś powiedzieć, ale wstrzymała go ruchem ręki.

- Zaczekaj! Słuchaj. Ona spotkała go jeden jedyny raz. Trzy lata temu. Była z nim nie dłużej niż pięć minut. A jednak wystarczył jej jeden rzut oka na zdjęcie - mętne, nieostre -

żeby go rozpoznać i przypomnieć sobie nazwisko.

- To znaczy, że ma dobrą pamięć.

Larysa pokręciła przecząco głową.

- Nie, nie ma dobrej pamięci. Rozmawiałam z nią dużo przez ostatnie parę dni. Z

trudem przypomina sobie nazwiska ludzi, z którymi występowała i tańczyła podczas tamtego tournée. Pamięta bardzo niewiele nazwisk ludzi spotkanych na Zachodzie. A jego twarz i nazwisko przypomniawszy sobie natychmiast.

Znowu podniosła dłoń, kiedy próbował jej przerwać.

- Powiedziała ci, że mu się spodobała. Powiedziała to z przekonaniem. To było jej pobożne życzenie, jej marzenie. Jeśli znasz kobiety, Wasilij, to wiesz, iż one zawsze potrafią uwierzyć, że jakiś

mężczyzna je kocha. Jeśli tylko tego chcą.

Teraz już słuchał jej uważnie.

- Dobrze, mów dalej.

- Po drugie, spróbuj wejść w jego położenie. Radziecka tancerka postanawia odłączyć się od zespołu w czasie tournée. Nic nadzwyczajnego. Ale ta, bardzo piękna przy tym, idzie prosto do jego drzwi. Nic nie szkodzi, że jest dobrze znany w kręgu miłośników baletu. Jego pierwszym odruchem będzie reakcja agenta wywiadu: podejrzliwość. A pierwszym podejrzeniem będzie myśl, że jest ona „przynętą” i że zastawiamy na niego „słodką pułapkę”.

Sprawdzają i nie znajduje niczego, a być może - tylko „być może” - ponieważ jest atrakcyjna, zakochuje się w niej. Ale zawsze, Wasilij, zawsze gdzieś tam w jego mózgu będzie tkwiła wątpliwość. Tak by było i z tobą.

Gordik potakiwał, kiwając wolno głową, podczas gdy jej głos podnosił się w miarę jak mówiła z coraz większym przejęciem.

- Ale potem dochodzi do miłosnego zbliżenia i ona nie kopie go w słabiznę. Nie, ona ulega, a on odkrywa, że to dziewczica. Co wówczas pomyśli? Powiedz mi, Wasilij, co on wtedy pomyśli?

Gordik uśmiechał się.

- Będzie myślał o naszej fachowości, którą zna dobrze. Będzie myślał o naszej skrupulatności, którą sam doskonale rozumie. Będzie myślał o naszej Szkole, której istnienie nie jest dla niego tajemnicą. Wreszcie, tak, Laryso, wreszcie pomyśli: „Oni by nigdy, ale to nigdy, nie umieścili w «słodkiej pułapce» jako przynęty zupełnie niedoświadczonej dziewczyny, dziewczicy”.

- Dokładnie tak - powiedziała triumfalnym tonem, ale zawahała się widząc jego zamysłoną twarz.

- Z tym mogą być jednak dwa problemy - zaczął Gordik. - Pierwszy, jeśli ty masz rację i ona go naprawdę kocha albo zakocha się, czy robi to, czego od niej oczekujemy? Czy to, że mamy w rękę jej matkę, będzie wystarczającym środkiem nacisku?

- Istnieje tu pewne ryzyko - przyznała - ale wierzę, że to wystarczy. Jest bardzo przywiązana do matki, szczególnie od śmierci ojca. Rzecz jasna, wpierw przyciśniesz matkę i upewnisz się, że ona przekaże co trzeba córce.

- W porządku - zgodził się Gordik. - Jest to ryzyko, ale do przyjęcia. Ale oto drugi problem. Skąd on będzie miał pewność, że ona jest dziewicą? To znaczy, że jest „virgo intacta”? Nie wiem, co się może dziać z organizmem tancerki baletowej przy tym ciągłym podskakiwaniu, tych szpagatach i innych sztuczkach.

Larysa uśmiechnęła się.

- Ona jest primabaleriną, nie jakąś dziewczyną z chóru. Tak, ona jest „intacta”.

Powiedziała mi to sama. A i sprawdzić to bardzo łatwo.

Gordik wstał i zaczął chodzić po pokoju. Jego myśli wybiegły naprzód.

- Dobrze, spróbujemy. Masz trzy tygodnie na pracę z nią. Ty i Lew. Rzućcie wszystko inne. Wszystko! Musi być bardzo dobrze przygotowana pod każdym względem.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Pod każdym względem, z wyjątkiem fizycznego.

Nagle jego twarz spoważniała, jakby coś sobie przypomniał.

- Zupełnie przypadkowo - zaczął - udało się nam zidentyfikować czwartego Amerykanina obecnego na spotkaniu w Paryżu. To niejaki Elliot Wisner.

- A kto to jest ten Elliot Wisner? - spytała, idąc do kuchni.

- To czołowy ekspert amerykański w dziedzinie laserów.

Zatrzymała się w drzwiach kuchni i obróciła się.

- Laserów?

- Tak. Ściślej mówiąc w dziedzinie zastosowania laserów w nowych rodzajach broni.

- To co u licha... ? - zaczęła.

- Otóż to. Co u licha ma do roboty w związku z operacją nakierowaną na Bliski Wschód?

Pokręcił głową.

- Nie wiem - ciągnął - ale musimy się tego dowiedzieć. Wiem, że jesteśmy zaangażowani w dramatyczny wyścig z Zachodem, nastawiony na stworzenie pierwszej skutecznej broni laserowej, a nawet całego systemu. Ostatnie oceny sytuacji wskazują na to, że zostajemy w tyle.

Zapanowała cisza. Przerwał ją Gordik.

- Jeśli robisz kawę, to zrób i dla mnie.

Napełniła ekspres, słysząc dobiegające z pokoju dźwięki muzyki. Trio Oscara Petersona. Uśmiechnęła się. A więc był z niej zadowolony.

Gordik niewątpliwie zaaprobowałby wybór miejsca trzeciego spotkania. Był to "Hotel Villa Magna" w Madrycie i, chociaż nie dorównywał reputacją i marką "Ritzowi" w Lizbonie czy "George V" w Paryżu, uchodził za wyjątkowo komfortowy.

Spotkanie odbywało się w hotelowej sali konferencyjnej, pod szyldem narady handlowców

związanych ze znaną brytyjską spółką mieszaną. Obie delegacje, amerykańska i brytyjska, przybyły w pełnym składzie. Amerykańską uzupełniała obecność Elliota Wisnera.

Zajmowali miejsca w miłej atmosferze koleżeństwa i partnerstwa. Wszyscy też byli ciekawi przebiegu przygotowań do operacji. Brytyjczycy rozdali zebranych sześć dużych, brązowych folderów przewiązanych zieloną wstążką, a Wisner zawiesił na ścianie zwijany amatorski ekran. Usiadł twarzą do niego, mając na stole przed sobą rzutnik do wyświetlania slajdów-Meade w przeciwnym końcu stołu, a Gemmel i Hawke naprzeciw siebie, mając obok swoich asystentów.

- Morton - odezwał się Gemmel poważnym tonem - musimy skończyć z takimi spotkaniami.

- Cholernie słusznie! - zaśmiał się Hawke. - Moja żona zaczyna być podejrzliwa. Jak tam wasze pokoje?

Gemmel skłonił się.

- Jak w pałacu - powiedział. - Jesteś pewny, że to nie wyjdzie na jaw w postaci rachunków przedłożonych Skarbowi Jej Królewskiej Mości?

Do rozmowy włączył się Falk.

- W żadnym wypadku. Umieściliśmy koszty w rubryce "usługi kąpielowe".

- Usługi kąpielowe?

- Pewnie - Falk uśmiechnął się rozbrajająco - to eufemistyczne określenie wydatków przewidzianych na zapewnienie damskiego towarzystwa przedstawicielom zaprzyjaźnionych państw.

- Spory kawałek budżetu Firmy - wtrącił sucho Meade.

Gemmel spojrzał na Boyda.

- Wyjeżdżając - powiedział surowo - policzę osobiście wszystkie ręczniki.

Zaśmiał się do Hawke'a.

- Morton, doceniamy to i jesteśmy wdzięczni.

Kiedy rano zgłosili swoje przybycie, oczywiście pod fałszywymi danymi personalnymi, szef recepcji zaprowadził ich do pięknego apartamentu z dwiema sypialniami, zamiast do pojedynczych pokoi, jakie zamówili. Gemmel próbował sprostować pomyłką, ale szef poinformował go, że takie instrukcje otrzymał od señora Becketta. Było to nazwisko używane przez Hawke'a. W apartamencie znaleźli dobrze zaopatrzony bar, a w nim opartą o butelkę Chivas Regal kartkę z napisem: Witamy w Nowym Świecie.

- Nie trzeba żadnych podziękowań - powiedział Hawke. - Zorganizowałem to, żeby pozbyć się uczucia winy.

Rozejrzał się wokół stołu i stwierdził, że jego wypowiedź przyjęto jako zupełnie naturalną.

- Panowie. Czy możemy przystąpić do interesów?

Postanowili, że pierwszy wystąpi ze swoim materiałem Wisner. Meade obrócił się w krzesło, a Wisner sięgnął do projektora z miną sztukmistrza zamierzającego wydobyć z kapelusza królika. Gemmel miał jednak przeczucie, że wkrótce będą świadkami czegoś naprawdę ciekawego. Nie rozczarował się. Przez ekran przewinęła się seria kolorowych zdjęć, które Wisner cicho i dokładnie analizował i objaśniał. Pierwsze ukazywało fragment powierzchni ziemi; pusty, jałowy, nie zamieszkały teren.

- Dolina Mina - zabrzmiał głos Wisnera. - Zdjęcie zrobione z satelity wywiadowczego przed siedmioma dniami.

Wziął cienką rurkę, skierował ją na ekran i nacisnął guzik. Na ekranie pojawił się mały, jasny krążek światła, który poruszał się, gdy Wisner wskazywał Wzgórze Arafata i inne ważniejsze obiekty.

Następne zdjęcie pokazywało tę samo dolinę, lecz tym razem była ona ciemna i pokryta plamkami.

- Koniec września ubiegłego roku. W czasie hadżdzu. To, co widać, to obszar dziesięciu kilometrów kwadratowych. Na tym terenie znajduje się dwa miliony trzysta tysięcy ludzi, pielgrzymów. Plus minus dwa procent.

Projektor pstryknął ponownie i na ekranie pokazał się skrócony przez kamerę obraz około dwudziestu ludzi skupionych wokoło ciemnej bryły. Jeden z ludzi pochylał się nad ową bryłę.

- Tego samego dnia z innej orbity. Obszar przedstawiony na ekranie to sto dwadzieścia metrów kwadratowych, sfotografowane pod kątem osiemdziesięciu dwóch stopni.

Światłne kółko przesunęło się na ciemną bryłę.

- To dromader, przed chwilą złożony w ofierze.

- Sfotografowane z satelity? - spytał Boyd z niedowierzaniem.

- Zgadza się.

Projektor zmienił obraz. Pojawiła się znów pierwsza fotografia, jednak tym razem w pobliżu środka umieszczony był mały czarny krążek. Światlna wskazówka przesunęła się na ten krążek.

- Średnica tego ciemnego krążka wynosi trzysta metrów. Rozumiemy, że kierowanie tłumem jest poważnym problemem, ale z powodów technicznych wolelibyśmy, aby cel znajdował się wewnątrz tego obszaru.

Następne pstryknięcie i kolejna fotografia.

- Wielki Meczet w Mekce. Ten czarny obiekt - plamka światła przesunęła się - to świątynia Ka'aby,

w której znajduje się meteor, najświętszy przedmiot islamu. Panie Gemmel, to i sześć następnych zdjęć nie mają żadnego związku z moim zadaniem w ramach programu. Wybrałem je dla pańskich potrzeb. Mam przygotowane kopie.

Gemmel odwrócił się i skinął głową z podziękowaniem.

- Do Mekki nie wpuszcza się niewierzących - kontynuował Wisner pewnym siebie tonem - ale przypuszczam, że ustalając to prawo, nie myśleli o satelitach.

- Z pewnością - zauważył sarkastycznie Falk. - Zrobili to tysiąc trzysta lat temu.

Wisner odpowiedział serią pstryknięć projektora, demonstrując zbliżenie Mekki i okolic. Na tym część pokazowa się skończyła, ale Wisner miał jeszcze sporo wyjaśnień.

Zwracając się wprost do Gemmela, oznajmił przede wszystkim, że łączna masa satelity i lasera będzie wynosiła dwadzieścia dwa tysiące kilogramów.

- To wyśmienicie - wtrącił Gemmel.

- Tak, to prawda, panie Gemmel. Ale dlaczego?

- Ponieważ jeśli zostanie wypuszczony prosto na wschód z Przylądka Canaveral, zamiast z Vandenburg, wówczas wahadłowiec może go umieścić odpowiednio wysoko, na orbicie geostacjonarnej.

Wisner był wyraźnie zawiedziony, że odebrano mu efektowne wystąpienie. Spojrzał z ukosa na Gemmela i wyjaśnił pozostałym, że orbita geostacjonarna to taka, na której satelita orbituje z tą samą prędkością kątową, z jaką ziemia obraca się wokół swej osi i w ten sposób pozostaje ciągle nad tym samym punktem powierzchni globu. W tym wypadku będzie to dolina Mina. Tak więc łatwiej będzie celować i utrzymać wiązkę laserową na celu.

Na koniec Wisner poinformował, że urządzenie naprowadzające i samoniszczące, które ma być umieszczone w martwym jagnięciu, będzie miało rozmiary mniej więcej dwadzieścia pięć, na piętnaście, na osiem centymetrów.

Znów wtrącił się Boyd.

- I to wszystko?

- Tak, panie Boyd. To będzie zarówno skomplikowane, jak i proste. Skomplikowane w swojej daleko posuniętej miniaturyzacji, a proste w działaniu. Zawarte w tym małe, ale o dużej mocy urządzenie zapalające wyposażymy w komórkę fotoelektryczną, czułą na promieniowanie lasera. Urządzenie wyśle również sygnał radiowy, do którego częstotliwości dostrojony jest mechanizm laserowy. W rezultacie wiązka promieniowania lasera podąży za sygnałem radiowym i pożre nasze jagnię.

Usiadł z zadowoloną miną.

Gemmel nie żałował mu podziękowań i słów uznania; potem spytał:

- Czy konstrukcja tego układu postępuje zgodnie z harmonogramem?

- Tak - odpowiedział Wisner bez wahania. - Na październik planujemy rozruch wstępny.

- Nie martw się - wtrącił Hawke - technika będzie w porę na miejscu. A jak z waszą działką?

- Wszystko jest w segregatorach - odpowiedział Gemmel. Sześć par rąk zaczęło rozwiązywać sześć zielonych tasemek.

W każdym segregatorze było jedenaście teczek z żółtobrązowego papieru. Każda miała na wewnętrznej stronie okładki przypiętą fotografię.

- Oto teczki jedenastu kandydatów do roli Mahdiego - wyjaśnił Gemmel. - Jest to wynik intensywnych poszukiwań, którymi objęto cały świat arabski. Nie braliśmy pod uwagę państw muzułmańskich nie arabskich, ponieważ jest rzeczą nieprawdopodobną, aby jakikolwiek Arab zaakceptował Mahdiego, który nie jest Arabem. Ale na to nie ma rady.

Hawke zerknął na Falka, a ten kiwnął głową twierdząco.

- Uważamy, że trzech spośród tej jedenastki są szczególnie odpowiedni - kontynuował

Gemmel. - Nie powiem, którzy, dopóki nie przestudiujecie treści teczek. Byłoby interesujące, gdybyśmy doszli do tych samych konkluzji.

Hawke kartkował swoje teczki bez większego zainteresowania. - Prawdę mówiąc, to Leo - wskazał kciukiem na Falka - jest specjalistą od spraw islamskich. Zdajemy się na jego opinię.

Falk również przerzucał kartki teczek.

- Peter, to tutaj zawiera tylko krótkie charakterystyki. Myślę, że w razie potrzeby będę mógł zajrzeć do pełnych informacji?

- Oczywiście, Leo. Możesz dostać wszystko, co mamy. - Gemmel spojrział na Hawke'a. - Morton, zanim przeczytasz te teczki, zdążymy zrobić coś do picia.

Gemmel i Boyd przeszli do baru przygotować dla wszystkich drinki i podali je zajętem czytaniem. Potem zostawili Amerykanów przy stole i wrócili do baru. Przez pół

godziny panowała cisza przerywana tylko szelestem papieru, grzechotem kostek lodu w szklankach, a od czasu do czasu szumem syfonu z wodą sodową. W końcu Hawke złożył na stos swoje teczki, spojrział na Falka i Meade'a i kiwnął głową w stronę Gemmela. Ten skinął

na Boyda i razem podeszli do stołu.

Falk również zebrał swoje teczki z wyjątkiem trzech, które leżały otwarte z widocznymi fotografiami.

Gdy Gemmel usiadł, Falk spojrział na niego i uśmiechnął się.

- Trafiłem w dziesiątkę? - spytał.

- Trafiłeś. A z tej trójki którego byś wybrał?

Falk ściągnął wargi i studiował fotografie, podczas gdy Gemmel przyglądał mu się uważnie.

- Moim zdaniem to czysta zgadywanka - rzekł wreszcie. - Trudny wybór między pasterzem z Medyny i Beduinem z Al Dżiza.

Gemmel znów się uśmiechnął i zwrócił się do Hawke'a.

- To prawdziwa przyjemność słyszeć potwierdzenie swoich przewidywań przez tak wybitnego eksperta.

Hawke był również wyraźnie zadowolony z pochwały udzielonej członkowi jego zespołu. Popatrzył na Falka z uznaniem.

- Przedstaw nam swój sposób rozumowania, Leo, i wyjaśnij, dlaczego zgadzasz się z poglądem Petera.

Falk oparł łokcie na stole, złączył koniuszki palców obu dłoni i zaczął tonem wykładowcy.

- Mahdi musi zostać zaakceptowany przez wszystkie sekty i narodowości tworzące islam. Dlatego w swej wierze i praktyce religijnej powinien być skrajnym fundamentalistą.

Żadnych dowolności interpretacyjnych. W islamie funkcjonują zbiory wypowiedzi przypisywanych Mahometowi. Są to hadisy, w których zawarta jest tradycja muzułmańska.

Oczywiście wiele z nich to czyste wymysły sfabrykowane stosownie do potrzeb tej czy innej frakcji. Mimo to hadisy są ważnym źródłem praw islamu. Prócz tego jest szaria - całkowicie poświęcona prawu islamskiemu, będąca wyciągiem z Koranu, hadisów i tradycji przekazywanych przez czterech pierwszych kalifów. Ale znów - szaria jest różnie interpretowana przez różne sekty muzułmańskie. Tak więc każdy Mahdi opierający się w swojej wierze czy to na hadisach, czy szarii, miałby problemy z interpretacją.

Falk skinął w kierunku Gemmela.

- To, co zrobił Peter, to wybór kandydatów, których wiara wspiera się jedynie na Koranie, a jak wiecie, Koran jest uważany przez wszystkich muzułmanów za doskonały i nienaruszalny, a więc i nie narażony na sporne interpretacje, nawet jeśli niektóre sury wydają się przeczyć jedna drugiej. Koran jest daleko bardziej ważny dla religii islamu niż, powiedzmy, Biblia dla chrześcijan czy Tora dla żydów.

Spojrział w dół na leżące przed nim fotografie.

- Dalej: obaj ci džentelmeni są Arabami z rodu haszymitów. I znów - chcąc, by Mahdi był akceptowany przez cały islam - Peter zawęził swoje poszukiwania do ludzi przypominających, na ile to tylko możliwe, Mahometa. Zarówno z wyglądu, jak i z pochodzenia. Mahomet był haszymitą z plemienia Kurajszytów, podobnie ci dwaj kandydaci.

Mahomet był sierotą od szóstego roku życia. - Wskazał na fotografie. - Ci obaj są sierotami.

Jako chłopak Mahomet doglądał wielbłądów swego wuja - zajęcie uznane później przez niego za dowód łaski bożej. "Allach nie zesłał żadnego proroka, który by nie był pasterzem", powiedział swoim wyznawcom. - Falk wskazał na jedną z fotografii. - Ten tu jest pasterzem.

W późniejszych latach Mahomet był kupcem, prowadził interes bogatej wdowy imieniem Chadidza, którą potem poślubił. - Wskazał na drugą fotografię. - Ten Beduin jest kupcem, chociaż dość nędznym. No i wreszcie obaj ci mężczyźni przypominają powierzchownością Mahometa. Są średniego wzrostu, mocno zbudowani. Mają orle nosy, czarne włosy, szerokie usta i, jak na Arabów, jasną cerę.

Uśmiechnął się przez stół do Gemmela.

- Ale tu podobieństwa się kończą; bo Mahomet, chociaż prawdopodobnie analfabeta, był bardzo inteligentny, silny, elokwentny i odważny. Ci dwaj wyglądają na prostaków.

Zwrócił się do Hawke'a.

- To w zasadzie wszystko. Przygotuję kompletny raport po otrzymaniu od Petera pozostałych szczegółów.

Hawke popatrzył na fotografie i zwrócił się do Gemmela.

- Który z nich jest twoim faworytem?

Gemmel wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, niewiele się różnią.

Pochylił się i wskazał na jedną z fotografii.

- Jedyną przewagą tego tutaj jest fakt, że często odchodzi samotnie w pustynię i tam uprawia medytacje. Może więc łatwiej byłoby zorganizować dla niego kameralny "cud", który przekonałby go, że jest Mahdim.

- To niezła myśl - zgodził się Falk. - Mahomet również chadzał samotnie medytować.

Właśnie w takich okolicznościach ukazał mu się archanioł Gabriel.

Spojrzał pytająco na Gemmela.

- Czy i ty planujesz coś podobnego?

Gemmel nie zrażony wyczuwalnym w pytaniu Falka odcieniem ironii przytaknął.

- Bardzo podobnego.

- A przy okazji - wtrącił Hawke - chciałbym być obecny przy tym cudzie.

- Czy to rozropne? - spytał Gemmel. - Sądziłem, że wolelibyście za bardzo się nie afiszować.

Hawke uśmiechnął się szeroko.

- Może będę miał brytyjskie papiery. Bądź co bądź, nigdy nie widziałem cudu.

- Jak sobie życzysz. - Gemmel nie upierał się. - Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to wydarzenie nastąpi za trzy do czterech tygodni.

Hawke pochylił się przez Falka i przyciągnął ku sobie jedną z teczek. Dłuższy czas przyglądał się zrobionej z bliska fotografii. Wszyscy patrzyli na niego. Zdawało się, że Hawke za pomocą kawałka papieru chce zajrzeć do głowy tego człowieka.

- To dobra twarz - zwrócił się w końcu do Gemmela.

- Uczciwa.

Odwrócił zdjęcie i przeczytał: "Abu Kadir - pasterz i cieśla".

Wasilij Gordik i Maja Kaszewa przechadzali się po parku Gorkiego. Dzień był

słoneczny, ale bardzo mroźny, toteż w ich ubiorach dominowało futro: futrzane palta, futrzane czapki, nawet obuwiu wyściełane futrem.

W głębi parku kilkunastu łyżwiarzy krążyło rytmicznie po lodowisku urządzonym pod gołym niebem.

Spacerowali już od godziny. Krótki okres szkolenia Maja miała już za sobą. Za cztery dni Teatr Mały rozpocznie tournée po Europie Zachodniej, a za miesiąc przybędzie do Londynu na swój końcowy występ. Przez minioną godzinę rozmawiali swobodnie, przy czym Gordik odpowiadał na pytania dziewczyny bądź też zadawał własne. Chciał ocenić przygotowanie i ogólny stan psychiczny przyszłej agentki. Utwierdził się w przekonaniu, że jej niezależnym i jakby oderwanym od rzeczywistości sposobem bycia, steruje chłonny i wnikliwy umysł. Ku zaskoczeniu instruktorów, Maja na kursie szkoleniowym radziła sobie znakomicie.

- Co będzie, jeżeli on się tam nie zjawi? - spytała. - Mam na myśli Londyn.

- Zjawi się - uspokoił ją Gordik. - Przyjął zaproszenie na przyjęcie w hotelu. Gdyby tak się zdarzyło, że z jakiegoś powodu nie byłoby go w Londynie, obierzesz alternatywną strategię. A jaką? Nie martw się. Lew Tudin będzie pod ręką. On ci doradzi.

Obok przebiegła grupka małych chłopców. Jeden z nich, najmniejszy, pośliznął się, upadł i wybuchnął płaczem. Maja podniosła go, postawiła na nogi i zaczęła pocieszać. Malec uspokoił się i ruszył za swoimi kolegami. Maja stała i patrzyła za nim, aż dołączył do grupy.

Wtedy odwróciła się do Gordika.

- Ryzykujecie ze mną - powiedziała. - Nie macie zbyt wielkiej nadziei. Wysyłacie mnie, licząc na tę mizerną szansę, że czegoś się dowiem. Czyż nie tak?

Gordik nie wahał się z odpowiedzią.

- Dokładnie tak. Mówiąc szczerze, daję ci tylko dziesięć procent szansy na zdobycie jakichkolwiek informacji, a przede wszystkim tylko pięćdziesiąt procent szans, że dotrzesz do Gemmela. Czekają cię ciężkie chwile, Maju. Jeśli wytrzymasz i dostaniesz się blisko Gemmela, to już będzie wielkie osiągnięcie.

Odwróciła głowę i przyglądała się łyżwiarzom; twarz miała nieruchomą, bez wyrazu.

Gordik wyczuwał, że prowadzi jakąś wewnętrzną walkę. Wreszcie odezwała się, w dalszym ciągu nie patrząc w jego stronę.

- Towarzyszu Gordik, mój ojciec był bardzo podobny do was. Miał nawet nieco zbliżoną powierzchowność. Był uczciwym człowiekiem, zarówno w stosunku do siebie, jak i do swojej

rodziny, do nas. Ale w pracy, i z powodu charakteru tej pracy, musiał często kłamać, nawet nam. Zawsze jednak wiedziałam, kiedy kłamie. Nie mógł tego ukryć przede mną nawet wtedy, gdy byłam jeszcze dzieckiem.

Odetchnęła głęboko i bardzo cicho spytała:

- Powiedzieliście mi, że jeśli zrobię, co będę w stanie zrobić, wówczas, nawet jeśli nie osiągnę celu, o który wam chodzi, pozwolicie mojej matce przyjechać i zostać ze mną. Czy to jest prawda? Czy powiedzieliście prawdę?

Odwróciła się do niego. Jej twarz obramowana ciemnym futrem czapki była bardzo blada. Wielkie, czarne oczy wpatrywały się w niego nieruchomo.

- To jest prawda, Maju. Musisz zrozumieć, że nie mam władzy wystarczającej, aby ochronić twoją matkę, jeśli wyrzekniesz się swego zadania. Ale mam dość władzy i środków, aby wysłać ją do ciebie, jeśli twoja misja zakończy się sukcesem. A nawet porażką - lecz mimo twoich najlepszych starań.

Patrzyli na siebie bez mrugnięcia, w absolutnym milczeniu. Gordik wiedział, że w tej chwili wszystko waży się i ostatecznie decyduje. Nagle Maja podeszła doń i wzięła go pod rękę. Ruszyli przed siebie.

- Jest pan zupełnie taki jak mój ojciec.

Przełknął to dwuznaczne stwierdzenie i zanim zdążył spytać o wyjaśnienie, ona zaczęła mówić dalej.

- A co będzie jeśli on zakocha się we mnie, ale nic mi nie powie?

Uśmiechnął się.

- Maju, miłość to synonim zaufania. Oczywiście nie weźmie cię ze sobą do Petworth House, żeby udostępnić wszystkie tajne kartoteki. Potrzebujemy tylko jakiejś poszlaki, chociaż wskazania kierunku, żebyśmy mogli skoncentrować się na określonym obszarze.

Wiemy, że Gemmel kieruje ważną operacją, która może mieć poważne następstwa dla naszego kraju. To wszystko, co wiemy. Każda dodatkowa informacja, nawet bardzo skromna, może okazać się istotna. Jesteś dobrze zorientowana. Wiesz doskonale, czego szukać i czego słuchać.

Zatrzymał się i spojrzał na nią badawczo, jakby w jej twarzy szukał odpowiedzi na jakieś pytanie. Potem uśmiechnął się.

- Nie spodziewamy się cudów, Maju. Ale wierzę w ciebie. Jutro w mojej dacy spotkasz się na obiedzie ze swoją matką. Ona też w ciebie wierzy. Wszyscy jesteśmy przekonani, że zrobisz wszystko, co będzie możliwe.

Kroczyli zaśnieżoną alejką. Jej filigranowa postać zdawała się jeszcze bardziej krucha obok jego okrytych futrem niedźwiedziowatych kształtów.

W wiedeńskiej Stadthalle zespół rockowy Blue Crystal wystartował z ostatnim numerem wieczoru. Publika ryczała z zachwytu.

W tyle widowni siedział przy konsolocie operatora dźwięku Mick Williams. Nie patrzył na scenę, za to nie odrywał wzroku od migających diod wskaźników i od swych palców, niezmiernie przebiegających pulpit, umożliwiający strojenie, mieszanie i korekcję dźwięków pięciu instrumentów, dobywających się z gigantycznych kolumn głośnikowych.

Mick był szczupły. Długie, kędzierzawe włosy opadały mu na ramiona; miał nieco ponad trzydzieści lat i czuł się bardzo zmęczony. Wykonywał właśnie ostatni numer ostatniego koncertu w sześciotygodniowym tournée przez trzydzieści miast. Był zmęczony ciągłymi zmianami pokoi hotelowych i niekończącymi się autostradami, po których jego dwie olbrzymie ciężarówki przeturlały się przez Europę. Dzisiejszego wieczoru będzie doglądał po raz ostatni załadunku tych dwudziestu z hakiem ton dźwiękowej i świetlnej aparatury. Potem pojedą do Londynu, do domu, na długi odpoczynek. Przedtem jednak trzeba się napić; więcej

- trzeba się upić. Pięknie i gruntownie. Podniósł wzrok na estradę, na gitarzystę basowego

“Speedy” Kinga. Nazywali go “Speedy”, bo poza sceną i barem poruszał się z rozwagą dinozaura po dawce środków uspokajających. W muzyce i w piciu Micka i “Speedy” Kinga łączyła jakaś szczególna zgodność poglądów. I teraz Mick z uśmiechem pochylił się do przodu i przesunął dźwignię tłumika. Dudniący i wibrujący rytm gitary basowej zabrzmiał

z większą mocą. Znów spojrzał na estradę i mimo znacznej odległości dostrzegł

porozumiewawczy uśmiech “Speedy’ego”. Tak jest. Dzisiejszej nocy pojedą na całość!

Siedzący o dwa rzędy dalej i nieco na lewo Gemmel obserwował z uśmiechem wymianę sygnałów między operatorem dźwięku i gitarzystą. Ubrany był w czarną koszulę polo, beżową sportową marynarkę i luźne spodnie. Odróżniał się nieco wyglądem od młodej, podekscytowanej widowni. Ale ku jego zdziwieniu, koncert mu się podobał. Kiedy poprosił

sekretarkę o zamówienie biletu, ta pokręciła z niedowierzaniem głową.

- To nie jest to samo co “Jezioro Łabędzie” - uprzedziła go.

- Zaczynam poszerzać swoje horyzonty - odpowiedział. - I proszę mi zamówić bilet pierwszej klasy do Wiednia. Gdyby Perryman się krzywił, proszę mu powiedzieć, że Wuj Sam lubi, kiedy jego przedstawiciele podróżują komfortowo.

Zjadł więc w samolocie dobry lunch, zarejestrował się w “Sacher Hotel”, a nawet wysłuchał koncertu, który mu się podobał. Chłonał atmosferę uniesienia i ekscytacji towarzyszącą koncertowi, a jego wyczułone ucho doceniło subtelności i harmonię muzyki.

Dodatkową atrakcją stanowiło obserwowanie Micka Williamsa żonglującego całością dźwięku z polotem i widoczną radością.

Numer się skończył i audytorium ruszyło ku wyjściu. Gemmel również zaczął

przepychać się ku drzwiom.

Dwie godziny później Mick Williams doglądał załadunku przyczep. Widział, jak ludzie z obsługi umieszczają ostatnią torbę, zamykają stalowe drzwi przyczepy i zakładają kłódkę. Odetchnął z ulgą, zabrał swoją kurtkę i miał już odejść, kiedy zatrzymał go jakiś głos.

- Panie Williams, czy mogę z panem pomówić?

Obrócił się. To był ten dobrze ubrany nieznajomy, którego widział kręcącego się w pobliżu przez ostatnie pół godziny.

- O co chodzi?

- To potrwa kilka minut. Po drugiej stronie ulicy jest bar. Może napijemy się czegoś?

Mick pokręcił głową. Ten facet wyraźnie chce się wprosić na party z okazji zakończenia tournée. Prawdopodobnie próbuje odnaleźć utraconą młodość, myślał Mick, zerkając na ubiór i uczesanie gościa. Pewno liczy na wódę, prochy i łatwe dziewczuchy.

- Daj pan sobie spokój - odpowiedział krótko. - Jestem zmęczony i w dodatku nie mam czasu.

- Ale tu chodzi o pracę, panie Williams.

- Nie może pan mieć dla mnie żadnej pracy. - Mick zaczął oddalać się od przyczepy, ale obcy ruszył za nim.

- Pan nie rozumie. Proponuję panu pracę. Tylko na parę tygodni, a wiem, że jest pan wolny co najmniej przez najbliższy miesiąc. Dobrze się opłaci.

Micka zaczęło to irytować.

- Odpieprz się pan, co? Pewnie, że mam wolne przez miesiąc, ale chcę odpocząć.

I ruszył znowu przed siebie.

- Ta praca przyniesie panu piętnaście tysięcy funtów.

Mick zatrzymał się i wolno obrócił.

- Piętnaście patyków! Za dwa tygodnie pracy?

Nieznajomy potwierdził skinieniem głowy.

- Kim pan jest? - spytał podejrzliwie Mick. - I co to za cholerna robota? Chłopie, ja jestem tylko operatorem dźwięku.

- Doskonale wiem, kim pan jest - odpowiedział tamten. - Najlepszym operatorem dźwięku w Europie. A jeśli chodzi o tę pracę i o to, kim jestem, to chodźmy na drinka i tam wszystko się wyjaśni.

Mick nie protestował i dał się zaprowadzić do baru po przeciwnej stronie ulicy.

Wiejska dacha Gordika była duża i wygodna, jak przystało wysokiej figurze aparatu partyjno-rządowego. Była też "bardzo intymna", usytuowana na obszernym, lesistym terenie.

Maja przyjechała z Moskwy przed godziną. Przywieziono ją limuzyną Gordika. Teraz siedziała przy stole kuchennym, patrząc, jak matka krząta się przy szykowaniu posiłku. Była zmęczona psychicznie po intensywnym kursie sztuki szpiegowskiej, jaki przeszła w ostatnich dniach. Została też odpowiednio przygotowana do nieuniknionego przesłuchania, które na pewno nastąpi po jej odmowie powrotu do Związku Radzieckiego i po jej skontaktowaniu się z Gemmelem. Przez wiele godzin zespoły śledcze zasypywały ją pytaniami, jakie mogą paść w czasie prawdziwego przesłuchania. Z początku popełniała jeden błąd za drugim, ale z upływem dni jej odpowiedzi stawały się niemal automatyczne.

- W tym, co mówisz, musisz być bezbłędna - podkreślał z naciskiem Gordik. - Jeśli przyłapią cię na najmniejszym szczegółliku, będzie to dla nich krawędź klina. I będą wbijać ten klin, aż twoja odporność pęknie i załamiesz się. Będą cię przepytawać prawdopodobnie w miejscu o nazwie Mendley. Jest to wiejski dom w południowej Anglii. Mogą sprawiać wrażenie łatwowiernych i swobodnych, ale uważaj, oni są inteligentni - ani na moment nie przestawaj myśleć o obronie.

Skończyli po południu, a ona poczuła dziwną dumę z poczynionych postępów. W

gabinecie Gordika wypła drinka z nim, Tudinem i Larysą. Wszyscy złożyli jej gratulacje.

- Masz wrodzony talent aktorski - mówił Tudin. - Będziesz dobrym agentem. Szkoda tylko, że nie zwerbowałeś cię parę lat wcześniej.

- To fakt - zgodził się Gordik i zwrócił się półzartem do Tudina. - Zaczynij się rozglądać za jeszcze jedną baleriną. Nigdy nie wiadomo, kiedy będziemy chcieli się nią posłużyć.

Do Mai zaś powiedział:

- Jutro wracasz do Leningradu, żeby dołączyć do zespołu. Dzisiejszego wieczoru pojedziesz do mojej dachy. Twoja matka już tam jest i oczekuje ciebie. Wszystko jej wyjaśniłem.

- Wszystko? - spytała zaskoczona Maja.

- Tak - odrzekł łagodnie Gordik. - Rozważyłem to bardzo skrupulatnie i zdecydowałem, że powiem jej wszystko. Ostatecznie jest wdową po starszym oficerze wywiadu i rozumie te sprawy. Jest też bardzo twardą, pełną patriotyzmu starszą panią. Myślę, że sama się przekonasz, iż ona nie jest tak do końca przeciwna temu, co robisz.

Matka przywitała Maję w drzwiach dachy. Uściskała ją gorąco, a potem była bardzo czuła. Nie

wspomniała jednak ani słowem o zbliżającej się jej podróży. Maja patrzyła na jej krzątaninę przy parujących garnkach i zastanawiała się, o czym też ona może myśleć. Zawsze były sobie bardzo bliskie, zwłaszcza po śmierci ojca, i rozmawiały ze sobą swobodnie o wszystkim. Teraz jakby jakaś niewidoczna kurtyna rozciągnięta została w poprzek ich uczuć albo jakby pojawiła się w pokoju trzecia osoba, utrudniająca szczerą rozmowę.

Ale później, po skończonym posiłku, kiedy siedziały nad kawą, ta kurtyna została nagle usunięta. W czasie posiłku rozmawiały głównie o banalnych drobnostkach i Maja czuła, jak ogarnia ją coraz głębszy wewnętrzny chłód. I wtedy w oczach matki, wpatrzonych w opróżnioną do połowy filiżankę, pojawiły się łzy i popłynęły po policzkach. Maja zerwała się z miejsca, obiegła stół, objęła ją mocno ramionami i przez dziesięć minut matka i córka płakały razem. W końcu Maja powiedziała przerywanym głosem.

- Wolałabym, żeby on ci tego nie mówił. Tego wszystkiego, co mam robić.

- Nie, Maju, tak lepiej. I tak domyślałabym się najgorszego.

- To wstrętne, mamusiu, ale nie mam wyboru. Muszę postarać się, aby wypaść jak najlepiej.

Matka wstała, przyniosła dzbanek z kawą i ponownie napełniła filiżanki. Już się opanowała. Była wysoką, dostojnie wyglądającą kobietą z siwiejącymi włosami i piękną twarzą. Gordik miał rację. Jej twarz znamionowała wielką siłę charakteru i teraz w oczach starszej pani widać było determinację. Dała ręką znak Mai, by usiadła przy stole, sama usiadła naprzeciwko i zaczęła mówić. Maja nie przerywała jej.

Matka mówiła o ich życiu, ich pozycji w istniejącym systemie, o tym, jak obaj dziadkowie Mai byli aktywistami Rewolucji i zdeklarowanymi marksistami; jak ojciec Mai pracował i starał się osiągnąć wyższy poziom w hierarchii i co to oznaczało zarówno dla niej, matki, jak i dla Mai, jej córki. W zasadzie należą do elity i przez trzy generacje czerpali z tego korzyści. Ich życie było siłą rzeczy wygodniejsze niż życie zwykłych ludzi. Mogli sobie pozwolić na wyjazdy do własnej dachy nad Morzem Czarnym. Kupowali żywność i napoje w specjalnych sklepach, mieli wszystkie wygody w kraju, gdzie większość ludzi posiada bardzo niewiele. Ona sama wstąpiła do KPZR w wieku piętnastu lat i chociaż nigdy nie próbowała zmuszać Mai, by postąpiła tak samo, czekała z nadzieją, że córka sama wystąpi z tą sugestią. Była to w końcu kwestia wdzięczności, spłacenia długów. Towarzysz Gordik powiedział to szczerze i wyraźnie. Maja była potrzebna jako wykonawczyni ważnego zadania i wszystkie względy osobiste trzeba odłożyć na bok. Powiedziała towarzyszowi Gordikowi, że jej rodzina wypełni swój obowiązek tak, jak to robiła zawsze. Jej głos drżał z emocji, kiedy wyjaśniała Mai - podobnie jak wyjaśniała to towarzyszowi Gordikowi - że jej presja na Maję nie jest potrzebna. Ona rozumie, oczywiście, powód podjęcia takich kroków. Ale jeśli o nią chodzi, uważa, że córka musi postępować zgodnie z interesem partii i kraju. Kocha Maję i czuje ból z powodu czekających ją poświęceń. Ale ten ból nie jest silniejszy niż lojalność wobec systemu, który dał im wszystko.

Maja nigdy nie widziała matki mówiącej tak dramatycznie i doszła do wniosku, że to emocje i smutek doprowadziły ją do tego stanu. Zawsze wiedziała, że matka jest kobietą silną, ale nigdy by nie uwierzyła, że ponad miłość do córki stawiała jakąś lojalność, która - dla Mai

- wydawała się dziwaczna. Zaczęła. Spierać się, wykazywać, że nie jest nic dłużna systemowi, że jej talent jest wrodzony, niezależny od polityki czy patriotyzmu. Wtedy nastąpił wybuch gniewu. Maja dowiedziała się wszystkiego o powiązaniach ojca, z których korzystał, aby stworzyć dla niej najlepsze warunki rozwoju talentu, a nawet jak wywierał

ukryty nacisk na dyrektora Małego, żeby zapewnić nie tylko zaproszenie Mai do zespołu, ale wspieranie i promowanie jej talentu i kariery. Zaszokowaną i oniemiałą Maję doprowadziła do łez wiadomość, że w czasie pierwszego tournée na Zachodzie ukartowano chorobę Olgi Łanowej, dając Mai okazję do stania się bohaterką ostatniego przedstawienia. Matka nie chciała dotąd o tym wspominać i gotowa była zabrać ten sekret do grobu, ale teraz, w takim momencie, Maja musi wreszcie wiedzieć, co i komu zawdzięcza.

Mai zabrakło już łez. Po tygodniach intensywnego wysiłku umysłowego miała wszystkiego dość. Wstała od stołu, poszła do swego pokoju, rozebrała się i leżała przez kilka godzin, nie śpiąc, próbując pogodzić się z tym, co oznaczały zasłyszane od matki informacje.

O czwartej nad ranem usłyszała skrzypienie sprężyn tapczanu w sąsiednim pokoju. Zsunęła się z łóżka, włożyła szlafrok, weszła do pokoju matki i zapaliła światło. Matka leżała z głową na poduszce, z otwartymi, zaczerwienionymi oczami. Patrzyły na siebie długą chwilę.

Wreszcie Maja zgasiła światło, podeszła do łóżka i położyła się obok matki. Oparła głowę na jej piersiach, objęła mocno i, zanim zasnęła, obiecała jej, że zrobi wszystko, co będzie konieczne.

Ten temat przekraczał możliwości Hawke'a. Niczego nie rozumiał, ale starał się przybrać wyraz twarzy świadczący o inteligencji i pilnie przyglądał się temu, co pokazywał

Elliot Wisner na modelu. Mówił przy tym o zbiornikach CO₂, o soczewkach kilomacyjnych, aktywatorach wysokonapięciowych i tak dalej. Model wykonano w skali jeden do dwudziestu i Hawke starał się wyobrazić sobie rzeczywiste rozmiary kompletnego lasera. Wypadło, że będzie on wielkości jego sypialni. Musiał podziwiać rozwój i postęp nauki, dzięki któremu ten ogrom może być wydźwignięty na wysokość trzydziestu sześciu tysięcy kilometrów, tam umieszczony, a laser tak wycelowany, że trafi w obiekt na powierzchni ziemi zawarty wewnątrz okręgu o promieniu pięciu centymetrów. Znow próbował śledzić sens wykładu Wisnera, ale ten mówił teraz coś o widmie fal elektromagnetycznych i Hawke dał spokój.

Zaczął rozglądać się po pokoju.

Byli w "hermetycznie zabezpieczonej" części Zakładu Numer 42 USAF w Palmdale w Kalifornii. Hawke przeprowadzał inspekcję, sprawdzając stan zaawansowania konstrukcji lasera. Wisner miał więc dzień dyżuru lub raczej "podwyższonej gotowości bojowej". Oprócz Hawke'a, Wisnera i Meade'a, który wyglądał na szczerze znudzonego, w pokoju znajdowało się jeszcze dwóch mężczyzn. Obaj w białych fartuchach i z ważnymi minami. Byli naukowcami i rozumieli, o czym Wisner mówi. Hawke czuł, że powinien zadać jakieś inteligentne pytanie.

- A co z systemem kontroli rozmywania wiązki? - spytał.

Wisner uśmiechnął się do obu ubranych na biało mężczyzn i poklepał beczkowatego kształtu zgrubienie na rurze lasera.

- To jest tutaj. Szczerze mówiąc, Morton, mogłeś śledzić moje wywody do tego momentu. Ale ten element i zasada jego działania to rzeczy o wiele trudniejsze. Jeśli jednak chcesz, spróbuję.

Cień konsternacji przemknął przez twarz Meade'a, a Hawke uśmiechnął się.

- Nie, daj temu spokój, Elliot. Niech tylko to cholerstwo działa.

- O, będzie działać, Morton. Będzie działać.

Hawke spojrzął na zegarek. Wisner w lot zrozumiał sens tego gestu.

- No to tyle tutaj - powiedział. - Teraz pójdziemy zobaczyć naszych speców od telemetrii.

Wszyscy wstali, Hawke uściśnął dłonie naukowcom, mruczając coś o "kontynuowaniu",

"solidnej robocie" i "podkręcaniu tempa", a potem on i Meade wyszli poprzedzani przez Wisnera.

Za drzwiami natknęli się na stanowisko kontrolne ochrony zakładu i umundurowany strażnik sprawdził ich czerwone plakietki identyfikacyjne, po czym zanotował coś w swoim rejestrze.

Weszli do windy, zjechali dwa piętra niżej, a potem długim korytarzem dotarli do następnego stanowiska kontroli. Po przejrzaniu rejestru strażnik wręczył im niebieskie plakietki.

- Bezpieczeństwo międzywydziałowe - powiedział swobodnie Wisner, przeprowadzając ich przez drzwi, a Hawke spojrzął znacząco na Meade'a.

Weszli do dużego, białego pokoju. Wzdłuż jednej ściany widniały pulpity komputerowe. Wzdłuż przeciwnej - stoły kreślarskie. Dwaj ludzie, również na biało ubrani i z niebieskimi plakietkami, pracowali przy stołach. Wisner przedstawił ich: Gordon Rance i Vic Raborn. Potem znów wygłosił krótki wykład o telemetrii i o tym, jak satelita z laserem będzie połączony z komputerami na pokładzie i na ziemi, które będą się porozumiewać sygnałami radiowymi. Kiwnął ręką na Rance'a.

- Gordon jest jednym z najlepszych ekspertów od telemetrii w NASA. Pomagał

projektować cały system dla misji Apollo zakończonej lądowaniem na Księżycu. Możesz coś dodać, Gordon?

Rance pokręcił głową.

- Nie sądzę, Elliot. Wyjaśniłeś to bardzo dobrze.

Jakiś sygnał ostrzegawczy odezwał się w mózgu Hawke'a, ale nie zdążył zastanowić się, czego dotyczył. Wisner mówił dalej, że Rance i Raborn byli także projektantami urządzenia naprowadzającego i mechanizmu samoniszczonego. Było to dla nich dziecinną zabawką, tak prosta

technika została zastosowana. A w ogóle ich praca jako projektantów skończy się za mniej więcej dziesięć dni i wrócą do swojego Houston.

Znów nastąpiły uściski dłoni i zachęcająco-pochwalna mowa wymamrotana przez Hawke'a.

Godzinę później, kiedy wiedzieli w kantynie przy lunchu, tamten sygnał w mózgu Hawke'a nabrał nagle sensu.

- Ten gość tam, ten od telemetrii. Skąd on jest? - spytał ostro, odkładając widelec.

- Ale który?

- Rance. Skąd on jest?

Wisner patrzył zdziwiony.

- Rance? Mówiłem przecież, to człowiek z NASA, jego bazą jest Houston. Johnson Space Center.

Hawke potrząsnął głową.

- Nie. Pytam, gdzie był przedtem. Chodzi o to, że ten gość ma jakby brytyjski akcent.

- Och - kiwnął głową Wisner. - No tak, był Brytyjczykiem. Przyszedł do NASA w 1960, po tym jak Brytyjczycy zrezygnowali z programu raketowego "Blue Streak". Cała paczka ich naukowców i techników włączyła się do NASA. Około tuzina, jeśli nie więcej.

Hawke zerknął porozumiewawczo na Meade'a i powiedział zimno:

- A ty posadziłeś go przy tym projekcie?

Wisner zdenerwował się.

- Słuchaj, Morton, on jest amerykańskim obywatelem od ponad piętnastu lat. Bardzo niewielu z nich zostaje tu i przyjmuje obywatelstwo. Otrzymał od was najwyższy stopień zaufania. Sprawdź to.

- Sprawdzę. I to zaraz.

Znów spojrzał na Meade'a, a ten wyjął swój notes i nagryzmolił krótką notatkę.

- Masz tu więcej takich jak on? - spytał Hawke.

- Nie - odpowiedział Wisner. - Ale jest jeszcze trzech czy czterech w NASA.

Zastanów się, Morton, popatrz na to z odpowiedniej perspektywy. Ci ludzie odegrali wielką rolę, pomagając nam wysłać Armstronga na Księżyc. Do diabła! Przecież nawet prezydent wymienił ich nazwiska.

Hawke pochylił się do przodu i powiedział z naciskiem:

- Elliot, słuchaj, co ci powiem. Jednym z powodów, dla których Brytyjczycy biorą udział w tym programie i wyciągają szyję w naszą stronę jest to, że wyłażą ze skóry, aby wykryć, jak kontrolujecie rozmywanie się wiązki laserowej. Czy zapomniałeś o tej małej farsie w Paryżu, Elliot?

Wisner zaczął protestować, ale Hawke wstrzymał go, podnosząc dłoń.

- A Gemmel już próbował umieścić tu swojego łącznika, żeby zaglądał wam przez ramię i możecie być pewni, że nie zrezygnuje z tego.

Teraz Wisner podniósł głos; był zły.

- Nie nawracaj nawróconego. To ja pracowałem nad rozgryzieniem tego problemu.

Pracowałem przez lata. I ja bym to teraz wystawił na ryzyko? - Zakreślił ręką koło. -

Widzieliście system zabezpieczeń? Powiedziałem, że jest uszczelniony międzywydziałowo.

Rance nie ma dostępu do innej strefy poza niebieską i koniec. Nie ma możliwości dostania się w okolice lasera, czy to do pokoju projektantów, czy do krajarki dokumentów używanej przez sekretarki. Dlatego nie zapędzaj się za daleko, Morton.

- A czy jego praca nie zmusza go do kontaktów z innymi?

Wisner westchnął.

- Mówiłem już, on jest teoretykiem telemetrii. Projektuje system sygnałów sterujących satelitą. I to wszystko.

- A urządzenie naprowadzające?

- I jedno, i drugie będzie w odległości trzydziestu sześciu tysięcy kilometrów od tego przeklętego lasera.

Hawke odetchnął.

- W porządku, Elliot, nie gniewaj się już. Mówisz, że skończą w ciągu paru tygodni?

- Najdalej. I więcej nie będą mieli żadnego kontaktu z tym programem. Oni nawet nie wiedzą, jakiemu celowi ma służyć ich urządzenie. Nie wiedzą, że to ma współpracować z laserem. Mówiłem ci; jesteście uszczelnieni międzywydziałowo.

Hawke poczuł się uspokojony i po przeprosinach zamówił drinki. Ale kiedy wyjeżdżali, kazał swemu asystentowi przeprowadzić podwójne sprawdzanie wszystkich członków zespołu Wisnera.

Interkom zabrzączał na biurku Gemmela i głos sekretarki zawiadomił, że zjawił się Mr. Cheetham. Gemmel polecił go wpuścić i podać herbatę. Potem otworzył szufladę i wyjął

dwie teczki.

Cheetham był niskim, jasnowłosym mężczyzną w nieokreślonym wieku. Jego twarz zdobił delikatny wąsik i jak niektórzy z jego rodaków nie golił zbyt dokładnie policzków. To wszystko składało się na nieco komiczny wygląd.

Usiadł po przeciwnej stronie biurka Gemmela, przeczytał wyjęte z teczek dokumenty i obejrzał fotografie. Od czasu do czasu wyciągał rękę po filiżankę i pociągał łyk herbaty. Po każdym łyku odruchowo wycierał usta białą chusteczką.

Kiedy zamknął teczki i uniósł wzrok, Gemmel spytał:

- Masz jakieś pytania, Ray?

Cheetham pokręcił przecząco głową.

- Nie, wydaje się, że dane są kompletne.

- Musi to wyglądać na autentyczne wypadki.

- Nie ma obawy. Będzie. Dziękuję za herbatę.

Wstał i skierował się w stronę drzwi.

- To nie są źli ludzie - rzucił za nim Gemmel.

Cheetham odwrócił się.

- To wcale nie ułatwia sprawy.

Gemmel rozłożył ręce.

- Przepraszam, to było głupie z mojej strony. Nienawidzę tego całego interesu.

Cheetham uśmiechnął się bez śladu radości.

- Ostatecznie bierzemy za to pensję.

Wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

KSIĘGA TRZECIA

Było to jedno z tych typowych przyjęć powitalnych, jakimi podejmowano zespół w jego podróży artystycznej. Lista zaproszonych gości obejmowała wąskie grono zagorzałych miłośników baletu, którzy jako starzy znajomi witali się z hałaśliwą poufałością. Pozostałych zwabiła chęć pokazania się w wielkim świecie i darmowe drinki.

Mimo wszystko Lew Tudin uważał tę imprezę za ciekawą i na swój sposób kształcącą.

Po raz pierwszy znalazł się za granicą w takim charakterze - "opiekuna" zespołu Teatru Małego z ramienia KGB. Gordik zdecydował bowiem, że Lew powinien być w pobliżu, gdy zaczną działać przynęta.

Podczas występów w Kopenhadze, Bonn, Brukseli i Paryżu wszystko szło dobrze.

Tudin świetnie się bawił. Jedynym zgrzytem była ostatnia noc w Paryżu, kiedy to obudzono go wiadomością, że zniknął jeden z młodych tancerzy. Istniała obawa, że mógł uciec z zamiarem pozostania we Francji. Odnaleziono go jednak w barze dla homoseksualistów na Montmartrze i zagoniono z powrotem do stada. Dzisiaj był ich pierwszy wieczór w Londynie.

Od jutra mieli rozpocząć tygodniowe występy w Coliseum. Tudin uważał, że to dziwna nazwa jak na teatr. Przywodziła na myśl rzymskich patrycjuszy przyglądających się męczeństwu chrześcijan, rozzdzieranych na arenie przez lwy i tygrysy. Obiegając wzrokiem obszerny salon, Tudin przeliczył swoją trzódkę. Lwa wśród nich nie było, ale wypatrzył

młodą tancerkę, która kilka dni, a raczej nocy temu w Brukseli, okazała się być prawdziwą tygrysiącą.

Mai Kaszewej prawie nie było widać, gdyż jej drobna postać zniknęła w kręgu wielbicieli. Pojawienie się tej kobiety wywoływało poruszenie na całej trasie tournée zespołu, po raz pierwszy bowiem występowała jako pełnoprawna primabalerina, a jej sława zdążyła już sięgnąć poza granice Rosji. Jak dotąd, opinie krytyki na kontynencie utrzymane były w tonie entuzjastycznym, i choć londyńscy recenzenci znani byli ze swej zgryźliwości, Tudin był pewien, że taniec Mai zmięczy nawet ich serca.

W otaczającym ją tłumie zauważył swoich ludzi: dwóch mężczyzn i kobietą. Zostali starannie przygotowani do wypełnienia swoich zadań, podobnie jak Maja. Jedynym nieobecnym był sam obiekt. Tudin zerknął na zegarek. Zaczynał się niepokoić. Jeszcze tego ranka placówka KGB w Londynie potwierdziła obecność Gemmela w mieście. Widziano, jak opuścił swoje mieszkanie, udając się do Petworth House. Przyjęcie trwało już jednak dobrą godzinę i większość gości przybyła dawno temu.

Chwilę później w drzwiach salonu pojawił się Gemmel. Tudin wypuścił powietrze przez szczelinę między przednimi zębami, co zawsze robił w momentach ulgi. Przyglądał się, jak Anglik podchodzi do baru, przystając, by powitać znajomych. Z grupy otaczającej Maję, Tudin wyłowił wzrokiem swojego człowieka i niemal niedostrzegalnym ruchem wskazał na Gemmela, który dotarł właśnie do

baru. Agent odpowiedział równie nieznacznym gestem, a Tudin oparł się o ścianę i popijając ze swojej szklanki uważnie obserwował rozwój sytuacji.

Doprowadzenie do pozornie przypadkowego spotkania Mai z Gemmelem zajęło im piętnaście minut. Na początek agenci Tudina zręcznie rozproszyli tłumek wokół tancerki.

Kierownika Coliseum odciągnął na stronę dyrektor rosyjskiego teatru pod pretekstem omówienia jutrzejszych prób. Dziennikarka pisująca do "Dancing Times" i "Guardiana"

wdała się w ożywioną dyskusję z londyńskim korespondentem TASS-u. Powoli rozchodzili się jeden po drugim i wkrótce przy Mai została tylko dwójka ludzi Tudina. Razem, niby zatopieni w rozmowie, ruszyli w kierunku baru, gdzie Gemmel gawędził z sir Patrikiem Fane'em, często jednak spoglądając ku nadchodzącej tancerce.

Nawet z drugiego końca pokoju Tudin usłyszał wypowiedane wysokim, nosowym głosem słowa sir Patrika:

- Peter, przyjacielu, czy miałeś możliwość poznać panią Maję Kaszewą...

Gemmel odpowiedział coś, czego Tudin już nie dosłyszał, uśmiechnął się i wyciągnął

dłoń. Maja uściśnęła ją chłodno. Kilka sekund później sir Patrika umiejętnie zablokowano w odległym kącie baru i Gemmel z Mają zostali sami. Rozmawiali przez dziesięć minut, a przez ten czas wokół nich toczył się mecz szachowy. Kilka metrów kwadratowych dywanu zmieniło się w oczach Tudina w szachownicę. Ilekroć któryś z postronnych gości zbliżał się do pola gry, natychmiast zostawał zgrabnie przechwycony przez Rosjan. Przypominało to dokładnie wyreżyserowany układ choreograficzny. Tudin wiedział, że Gemmel był

całkowicie nieświadom, co dzieje się wokół niego. Pochłonęła go rozmowa z Mają. Także i Tudin przyglądał jej się zafascynowany, chociaż widział ją na wielu podobnych przyjęciach.

Zaczynał rozumieć, jak to się stało, że tak długo pozostała nietknięta. Jej zachowanie wobec mężczyzn cechowała powściągliwość i rezerwa. Trzymała swoich rozmówców na dystans, zachowując kamienną twarz, cokolwiek by mówili. W zespole nazywano ją "górami lodowymi", ale nie był to wyraz braku szacunku, bo kiedy wychodziła na scenę, w jej tańcu czuło się tyle żaru i pasji, że musiała się za tym kryć ogromna głębia uczuć. Tudin był zdania, że to w muzyce wyrażają się jej emocje. W muzyce i tańcu, będącym fizyczną interpretacją melodii.

Może właśnie grając zużywała cały swój zapas wrażliwości, tak że niewiele jej zostawało na stosunki z ludźmi. W ostatnich tygodniach Tudin widział wielu atrakcyjnych, przystojnych mężczyzn usiłujących przełamać jej rezerwę- zawsze na próżno.

Obserwując ją, uznał, że jej stosunek do Gemmela niczym nie odbiegał od normy, ale potem dostrzegł pewne niemal niezauważalne różnice i instynkt podpowiedział mu, iż nie jest to gra.

Maja była dość niska i zwykle stawała w pewnym oddaleniu od swego rozmówcy.

Rzadko spoglądała dłużej na twarz mężczyzny, ale słuchała go patrząc gdzieś w bok.

Tymczasem teraz, zauważył Tudin, stanęła blisko Gemmela, niemal dotykając ramieniem jego ramienia. I chociaż jej twarz zachowała zwykły, nieco nieobecny wyraz, niemal nie spuszczała zeń oczu. Kto inny obserwując tę scenę niczego by nie zauważył, ale Tudin wyczuł w niej jakąś intymność. Po chwili Gemmel uśmiechnął się, wyjął coś z wewnętrznej kieszeni i podał to Mai. Spojrzała w dół i wrzuciła otrzymany przedmiot do torebki. Bardzo formalnie podali sobie ręce i dziewczyna odeszła, a Anglik wrócił do baru.

Tudin opuścił swoje stanowisko przy ścianie i, nie oglądając się na boki, ruszył prosto do wyjścia.

Dwadzieścia minut później weszła do jego pokoju, zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Tudin siedział na łóżku i przyglądał się jej spod przymkniętych powiek.

- Odjeżdża dziś w nocy - powiedziała cichym, smutnym głosem.

- Dokąd?

- Nie powiedział. Stwierdził tylko, że to podróż w interesach.

- Cholera! - wykrzyknął zapalczywie Tudin, ale spojrzawszy na twarz Mai, zauważył, że dziewczyna uśmiecha się figlarnie.

- Za cztery, pięć dni wraca i ma nadzieję być na ostatnim przedstawieniu.

- Ty wiedzmo! Nie drażnij się ze mną.

Wstał; podszedł do toaletki i nalał sobie dużą szklanekę szkockiej whisky. Maja usiadła na jedynym w pokoju krześle.

- Napijesz się czegoś? - spytał wskazując butelkę.

- Może szampana?

Uśmiechnął się, podniósł słuchawkę telefonu i zamówił butelkę Moet et Chandon.

Później wrócił na swoje miejsce na łóżku.

- Teraz opowiadaj, czarownico. Wszystko po kolei. Założyła nogę na nogę, delektując się jego niecierpliwością.

- Zaprosił mnie na obiad, czy raczej na kolację, po ostatnim przedstawieniu.

- A ty?

- A ja powiedziałam, że będzie to dość trudne, bo mam już pewne zobowiązania, ale może uda mi się wyrwać i chciałabym do niego zadzwonić.

- I?

Uśmiechnęła się, zadowolona.

- Dał mi wizytówkę z domowym telefonem i adresem.

Otworzyła torebkę i wręczyła wizytówkę Tudinowi.

Peter Gemmel, 14 Burley Mews, Chelsea SW3

Tel. 352 9911

Tudin obejrzał wizytówkę i zaświstał przez szparę między zębami. Spojrzał na Maję i uśmiechnął się szeroko.

- Wspaniale. Po prostu wspaniale. O czym jeszcze mówił?

- Och, tylko o balecie. Przypomniał mi naszą rozmowę w Brukseli trzy lata temu.

Powiedział, że śledził moją karierę i bardzo się cieszy, że jego przepowiednia się sprawdziła.

Tudin z satysfakcją pokiwał głową.

- Wyraźnie cię lubi. Jeśli mężczyzna z jego pozycją zaprosił cię na obiad, to znaczy, że cię lubi.

- Nie bądź głupi, Lew. To baletoman. Oni wszyscy zapraszają mnie na obiad. I nie tylko na obiad. Dlaczego miałby być inny?

- Jest inny, Maju. Powiedz mi jednak, co o nim teraz sądzisz? - W jego głosie pojawiła się udawana surowość. - Nie czujesz chęci wymierzenia mu kopniaka w intymne części ciała?

Zaprzeczyła powolnym ruchem głowy.

- Nie, Lew. Peter Gemmel nie jest człowiekiem, którego próbowałabym kopnąć gdziekolwiek.

Tudin był zaskoczony. Nie tym, co powiedziała, ale uczuciem zazdrości, które wywołały w nim jej słowa. Było to coś, nad czym nie panował, co zrodziło się wbrew jego woli. Właściwie zaczęło się to dokładnie w chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał ją w biurze Gordika. Tudin był inteligentnym, szczerze ideowym człowiekiem i nigdy w życiu nie zdarzyło mu się tak naprawdę zakochać. W stosunkach z kobietami tracił pewność siebie, czuł

się niezgrabny i słoniowaty. Ulegał ich urokowi, ale nigdy nie zdołał uwierzyć, iż jakaś atrakcyjna kobieta mogłaby odwzajemnić jego uczucia. W trakcie tej podróży czuł, że Maja staje mu się coraz droższa i teraz, kiedy rozpoczęła swą misję, znalazł się w rozterce. Z jednej strony był podniecony powagą ich operacji, z drugiej myśl o Mai oddającej się innemu mężczyźnie sprawiała mu ból. Zwłaszcza gdy zobaczył ich razem i rozumiał, że Gemmel nie jest jej obojętny.

Coś z tych myśli musiało uzewnętrznić się na jego twarzy, bo nagle spytała:

- Czym się smucisz, Lew?

Pokręcił głową.

- Nie smucę się. Myślę.

- Chyba nie - uśmiechnęła się łagodnie, jakby rozumiejąc jego niepokój. - Nie jestem ślepa. Obserwowałam cię przez ostatnie tygodnie i wiem, co czujesz.

Chciał coś powiedzieć, ale nie pozwoliła mu.

- Lepiej nic nie mów. Chcę jednak, żebyś wiedział, że twoja obecność w tej podróży, to że jesteś tu teraz, bardzo mi pomaga. Chciałabym, żebyś został potem w Londynie.

Czułabym się lepiej, wiedząc, że jesteś w pobliżu.

- Ja też chciałbym zostać, ale to niemożliwe. Musimy trzymać się zwykłej procedury.

Anglicy zrobiliby się podejrzliwi, gdybym został. - Spróbował się uśmiechnąć. - Będę myślał o tobie. Wszyscy będziemy myśleć o tobie. I nie tylko o powodzeniu twojej misji. - Zauważył rosnące zażenowanie w swoim głosie i zmusił się do zmiany tonu na bardziej rzeczowy. - Nie zapomniałaś kryptonimów i ich znaczenia?

Uśmiechnęła się nieznacznie.

- Nie, wszystko mam w głowie. Zwłaszcza "futrzane botki". Mam nadzieję, że nie będzie zbyt gorąco, bo rozmowa wypadnie raczej idiotycznie.

- Denerwujesz się? - zapytał.

- Nie. Teraz już nie. Zobowiązałam się to zrobić i zrobię. Cokolwiek się zdarzy.

Zapadło milczenie. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi. Tudin wstał otworzyć.

Przyszedł kelner z szampanem.

Morton Hawke zawsze był dumny ze swej spostrzegawczości i teraz uparł się, że potrafi wypatrzeć obóz. Podzielił w myślach dolinę i wzgórza za nią na sektory i przeglądał je po kolei. Trzy duże ciężarówki - powiedział Gemmel - i dwa namioty. W zasięgu wzroku i nie dalej niż trzy kilometry od nich. Hawke dojechał do ostatniego sektora. Nic.

- No? - dobiegł z tyłu głos Gemmela.

- Chwileczkę.

Jeszcze raz zaczął od pierwszego sektora. Wyteżał wzrok aż do bólu oczu, przemęczonych blaskiem słońca, ale wciąż nie chciał przyznać się do porażki. To był duży obóz, zamieszkały przez tuzin ludzi i mieszczący mnóstwo sprzętu, niech go diabli, jeśli go nie wypatrzy.

Minęło kolejne dziesięć minut, a on wciąż niczego nie zauważył. W głosie Gemmela pojawiło się zniecierpliwienie.

- No?!

Hawke odwrócił się i pokręcił głową.

- Czy aby na pewno ten obóz nie jest pod ziemią?

Gemmel uśmiechnął się triumfalnie i jął sadowić się za kierownicą land rovera.

- Jedźmy.

Zjechali z piaszczystego stoku i pognali dnem doliny. Hawke rozglądał się zawzięcie, wytrzeszczał oczy, ale wciąż na próżno. Dopiero gdy dotarli do wzgórz na przeciwległym skraju doliny, obóz niespodziewanie wyłonił się tuż przed nimi. Trzy ciężarówki ustawiono w trójkąt; między nimi wznosiły się namioty. Wszystko pomalowane było w brązowe plamy, a całość okryto luźno siatką maskującą.

- Wyrazy uznania dla waszego specjalisty od maskowania - powiedział Hawke. - O ile ktoś nie trafi tu przypadkowo, jesteśmy bezpieczni.

Dwaj mężczyźni unieśli róg siatki i land rover wtoczył się w jej cień. Gemmel wskazał

talerz niewielkiej anteny, obracający się wolno na dachu jednej z ciężarówek.

- Radar dopplerowski do wykrywania żywych celów - rzekł. - Dzień i noc ktoś przy nim siedzi, tak że wykluczone są wszelkie przypadki.

Hawke z aprobatą skinął głową.

- To mi się podoba. Bardzo podoba.

Wysiedli z samochodu. Na schodkach jednego z furgonów pojawił się Alan Boyd.

Przywitawszy się z Hawke'em, zwrócił się do Gemmela.

- Opuścił Medynę wczoraj rano. Do jaskini dotrze więc dzisiaj około szesnastej. -

Spojrzał na zegarek. - Czyli za trzy godziny. - Odwrócił się i wszedł po schodkach. Gemmel i Hawke podążyli za nim, wchodząc do klimatyzowanego wnętrza furgonu.

- To nasze centrum operacyjne i komunikacyjne - wyjaśnił Hawke'owi Boyd.

Jeden kąt pomieszczenia zajmowała tablica kontrolna radiostacji i ekran radaru, przed którym siedział operator wpatrzony w jego migotliwą powierzchnię.

Na środku znajdował się stół i parę krzeseł, w rogu urządzenie do chłodzenia wody.

Jedną ze ścian pokrywały mapy o dużej skali. Gemmel chciał coś powiedzieć, ale Hawke uniósł dłoń, prosząc o ciszę. Jedynym słyszalnym dźwiękiem było niskie buczenie.

- Ten, kto wyciszał wasz generator prądotwórczy - powiedział - znał się na swojej robocie.

- Dzięki. - Gemmel wskazał przez okno dwie pozostałe ciężarówki. - Tam jest kuchnia i miejsca do spania, a w tamtym sprzęt elektroakustyczny i pozostałe urządzenia. - Podszedł

do ściany z mapami, z których jedna obejmowała tereny położone na południowy wschód od Medyny.

- Tu jest jaskinia - powiedział, dotykając szpilki z niebieską główką; przesunął palec w kierunku innej szpilki. - Tu znajdujemy się my. Niecałe dwa kilometry od tamtych wzgórz.

Urządzenia akustyczne połączyliśmy z jaskinią wielożyłowym kablem. Został przysypany piaskiem i wchodzi do niej od tyłu, przy samym stropie. - Odsunął się od mapy i wskazał na szkic groty. - Dokładnie tu.

- A gdzie są głośniki i cała reszta?

- To niech ci wyjaśni Williams.

- Williams?

- Nasz akustyk. Spec nad spece; możesz mi wierzyć. - Gemmel zwrócił się do Boyda:

- A przy okazji, jak on sobie radzi?

Boyd uśmiechnął się.

- Zachowuje się jak dzieciak wpuszczony do fabryki zabawek.

- Co on robi na co dzień? - spytał Hawke.

- Obsługuje koncerty rockowe.

- Co takiego?!

- A tak. Kiedy po raz pierwszy zobaczył jaskinię, powiedział: - Można by tu urządzić fantastyczną imprezę.

- Czy to pewny facet? - Hawke z niepokojem spojrzał na Gemmela.

- Nie ma obawy. Podpisał zobowiązanie do zachowania tajemnicy, a poza tym i tak będzie pod

naszym nadzorem.

- Ale czy to właściwy człowiek do takiej roboty?

- Powiedz, Morton, czy jesteś niezadowolony z tego, co dotąd widziałeś?

- Nie, jasne, że nie.

- Więc będziesz zadowolony także z Micka Williamsa i jego roboty.

Pierwszą noc Abu Kadir przespał spokojnie prawie do świtu. Nazbierał chrustu i u wejścia do jaskini rozpalił ogień, bo noce na pustyni są chłodne. W ciszy słyhać było jedynie trzaski pękających skał, wywołane nagłym spadkiem temperatury, ale to nie zakłócało snu Abu Kadira. Przywykł już do odgłosów pustyni. Jednak godzinę przed wschodem słońca coś wyrwało go ze snu. Obudził się i leżał bez ruchu, nasłuchując. Zdawało mu się, że słyszał

jakiś głos. Odległy głos wymawiający jego imię. Przez dłuższy czas wyteżał słuch, ale wkoło panowała zupełna cisza. Zrobiło się przeraźliwie zimno, dołożył więc chrustu do ognia. A potem usłyszał to znowu. Tym razem głos dobiegał z daleka lecz rozległ się jakby wewnątrz jego głowy. Był cichy i zarazem wyraźny.

- Abu Kadir! Abu Kadir! - zabrzmiało dwukrotnie, odbijając się echem w jego mózgu.

Usiadł powoli, podciągnął nogi do piersi i objął je ramionami. Siedział bez ruchu aż wzeszło słońce, ale niczego więcej nie usłyszał. Wypił nieco wody z bukłaka i wyszedł na pustynię. Przez wiele godzin chodził tam i z powrotem przed wejściem do jaskini, zatrzymując się jedynie, aby odświeżyć się łykiem wody i raz, by opróżnić Pęcherz. Na godzinę przed zmierzchem uzbierał chrustu i rozpalił ognisko. Usiadł przy nim i znieruchomiał. Utkwił oczy w ciemnym otworze groty, ale wzrok miał jakby nieprzytomny i nawet nie zauważył, jak zapadła noc. Nie spał. Po prostu siedział, nieruchomy jak otaczające go skały. Przed świtem głos odezwał się ponownie i tym razem Abu Kadir usłyszał nie tylko swoje imię.

Mick Williams nosił spłowiałe, wystrzępione džinsy, starą podkoszulkę i kowbojskie buty. Siedział w obrotowym krześle na rolkach, a jego wzrok biegał od czerwonego ekranu monitora umieszczonego wysoko na ścianie, do elektronicznych wskaźników mnóstwa urządzeń ustawionych półkolem wokół niego. Za plecami miał Gemmela, Boyda i Hawke'a.

W górnych rogach furgonu zainstalowano głośniki kontrolne. Hawke wiedział, do czego służą wszystkie te urządzenia, bo tegoż popołudnia Williams z upodobaniem wyjaśniał

mu to przez bite dwie godziny: pokazał wielośladowy magnetofon zdolny zapisywać i odtwarzać równolegle na dwunastu poziomach oraz trzydziestodwukanałowy stół mikserski, umożliwiający sterowanie magnetofonem, przy czym dwadzieścia kanałów zostawało jeszcze do formowania efektów specjalnych. Te efekty, jak i cały sprzęt, zrobiły na Mortonie wielkie wrażenie.

W ramach pokazu Williams nagrał jego głos, a potem poddał obróbce w całej niemal skali słyszalnych dźwięków, zmieniając w mgnieniu oka jego brzmienie, sprawiając, że wędrował po

wnętrzu furgonu, tak iż Hawke z trudem nadażał za jego ruchem. W jednej chwili zdawało się, że źródło dźwięków znajduje się całe kilometry od niego, a tuż potem głos kłębił się wewnątrz jego własnej głowy. Williams utrzymywał, że w jaskini wychodzi to jeszcze lepiej. Miała fantastyczną akustykę. Pod jej łukowatym sklepieniem umieszczono osiem studyjnych kolumn głośnikowych produkcji Lansinga. Arab usłyszy głos ulotny jak wiatr, głos, który będzie mu szeptał do uszu, zadźwięczy w jego głowie, dochodzący z niewiadomego kierunku. Głos, który nie mógł należeć do istoty śmiertelnej. Na ścianach jaskini zainstalowano tuzin superczułych mikrofonów, które nie tylko umożliwiały Williamsowi słuchanie reakcji obiektu i wybór właściwej ścieżki do odtworzenia.

Mógł

odtwarzać z opóźnieniem odgłosy z jaskini, przepuszczając je przez swoje sztuczne echa, equalizery i modulatory, powiększając tym sposobem dezorientację Araba.

U stropu jaskini umocowano także dwie pracujące w obwodzie zamkniętym kamery telewizyjne ze wzmacniaczami obrazu. Podłączony do nich monitor pokazywał teraz niewyraźną sylwetkę siedzącego mężczyzny. Gdy wstanie i zacznie się poruszać, Williams będzie mógł gonić go dźwiękiem, otoczyć nim, przełączając się z jednego głośnika na drugi.

Ostatnim urządzeniem był projektor holograficzny, wytwarzający przy zastosowaniu lasera trójwymiarowy obraz. W tym przypadku miała to być zamglona, widmowa postać, unosząca się pośrodku ciemnej jaskini.

Wysłuchawszy wykładu Williamsa, Hawke czuł się podniesiony na duchu. Musiał jednak jeszcze o coś zapytać.

- A czy nie ma ryzyka pojawienia się jakichś szumów czy sprzężeń?

Williams rzucił mu miazdzące spojrzenie. Gemmel uśmiechnął się i rzekł:

- Morton, te urządzenia były wielokrotnie sprawdzane. Mick zestawił jeden z najbardziej wyrafinowanych systemów nagłaśniających, jakie można sobie wyobrazić.

Hawke dał się przekonać. Pogratulował akustykowi, który wzruszył tylko ramionami i odparł, że wszystko można zrobić, dysponując nieograniczonym budżetem.

- Ile to kosztowało? - spytał Hawke Gemmela.

- Z transportem i płacami całego zespołu pomocniczego... niewiele zostanie z miliona dolarów.

Hawke spokojnie pokiwał głową. Cuda są kosztowne. Zresztą to i tak drobiazg w porównaniu z tym, co wydadzą w najbliższych miesiącach.

I oto teraz Hawke patrzył przez ramię Williamsa na monitor z niewyraźną sylwetką siedzącego człowieka, którego za chwilę miało spotkać objawienie. Kątem oka spostrzegł, że Gemmel patrzy na zegarek.

- Do roboty - mruknął cicho Anglik. Williams wyciągnął rękę i wcisnął przycisk na konsolce. Jedna z wielkich szpul taśmy magnetofonowej zaczęła obracać się powoli.

Zamigotały diody wskaźników określających parametry dźwięku, a z głośników dobiegł łagodny głos:

- Abu Kadir! Abu Kadir!

Na oczach czwórki mężczyzn wpatrzonych w monitor, Abu Kadir zeszywniał i wyprostował się, a głos szeptał dalej. Gemmel nachylił się do ucha Hawke'a i przekładał mu arabski tekst na angielski.

Amerikanin, jak urzeczony, nie odrywał wzroku od monitora. Głos Gemmela, dochodzący z głośników, brzmiał miarowym, hipnotycznym rytmem, typowym dla języka Koranu:

“Recytuj w imię Pana twego, który cię stworzył - stworzył człowieka z grudki krwi.

Recytuj! Twój Pan jest najszlachetniejszy!

On, który nauczał przez pióro, nauczył człowieka tego, czego on nie wiedział”.

Hawke widział tłumaczenie tekstu zawartego na taśmie, tydzień wcześniej bowiem zostało ono przesłane Falkowi. Wiedział, że początkowe słowa są tymi samymi, które archanioł Gabriel powiedział Mahometowi w roku 612. To one stały się zarzewiem wielkiej, żywej religii, która wkrótce rozprzestrzeniła się na cały niemal świat.

To jednak, co Gemmel teraz szeptał mu do ucha, nie zostało nigdy powiedziane.

Mowa była o upadku islamu, zepsuciu i wypaczeniach, o heretyckich ideach i praktykach. O

zniekształcaniu i nadużywaniu Słowa Bożego, przekazywanego przez proroka Mahometa. Ale odtąd, dzięki nowemu bożemu wysłannikowi - Abu Kadirowi - słowo Pana znów będzie słyszane przez wiernych, jak i przez pogan, aż wszyscy nawrócą się i ukorzą przed światłem objawień Mahometa.

W tym momencie Abu Kadir powstał i odwrócił się powoli. Postać na monitorze była ledwie widoczna, ale nagle z głośników ruchomego studia dobiegł jego drżący, jęśliwy głos.

Gemmel drgnął. Znał na pamięć dwanaście wariantów tekstu nagranych na magnetofon i teraz w ułamku sekundy dokonał wyboru.

- Ścieżka siódma - powiedział martwym głosem.

Williams wcisnął jeden guzik, potem drugi. Jeden kanał został wyciszony.

Kontynuowano odtwarzanie z innej ścieżki.

Głos Gemmela tłumaczącego dalsze słowa Hawke'owi, zdradzał napięcie.

“Czyż nie byłeś sierotą, a On dał ci imię?”

Czyż nie błądziłeś, a On sprowadził cię na ścieżkę prawdy?

A teraz tylko ty usłyszysz Słowo,

albowiem spotkała cię łaska pańska i poniesiesz Słowo Pana na ziemię.

Tak, by każdy mógł dokonać wyboru,

bo ci, którzy uwierzą, pewnego dnia wstąpią do raju.

Otwórz swą duszę i słuchaj. ”

Sylwetka Abu Kadira na monitorze pozostawała nieruchoma. Uniósł nieco i głowę, jakby nadstawiał uszu. Gemmel podał następny numer i Williams przełączył się na kolejną ścieżkę.

- Hologram? - niedbale zapytał przez ramię.

- Czekał - odparł Gemmel. Wciąż tłumaczył tekst Hawke'owi.

Teraz Abu Kadir otrzymywał wskazówki: uda się do Dżuddy i tam znajdzie swych

“towarzyszy” - ashabów i “emigrantów” - muhadżirów oraz “pomocników” - ansarów. Przede wszystkim jednak, odszuka człowieka, który będzie dlań tym, czym Umar był dla Mahometa.

Ten człowiek pozna go i bezzwłocznie się doń przyłączy. Będzie mu doradzał w ziemskich sprawach i będzie mu towarzyszem, tak jak Umar doradzał i towarzyszył Mahometowi.

Jeszcze przez dziesięć minut obserwowali na ekranie czerwoną, sztywną sylwetkę Abu Kadira, zastygłego w bezruchu, zasłuchanego w głos. Williams zachowywał się, jakby siedział za konsolą reżysera dźwięku koncertu rockowego. Nie rozumiał arabskiego tekstu, a zresztą niewiele go on obchodził. Obsługiwał jednak swoją aparaturę w sposób mistrzowski.

Głos zdawał się zmieniać w żywą istotę; odmieniał ton i barwę, przemieszczał się z miejsca na miejsce, szeptał i szeleścił, wypełniając przestrzeń furgonu i jaskini. Potem umilkł.

Ostatnie zdanie, jakie przetłumaczył Gemmel, brzmiało:

“A teraz zobaczysz, o posłańcze boży!”

- Hologram, Mick!

Williams pchnął wyłącznik; wszyscy skupili wzrok na ekranie monitora.

- Nic nie zobaczymy - powiedział Gemmel. - Kamera nie wychwyci obrazu holograficznego.

- Jak to wygląda? - sapnął Hawke.

- On widzi tylko niewyraźną sylwetkę, ale w tym stanie ducha będzie pewien, że to postać archanioła Gabriela.

- Ale co naprawdę widzi?

- To, co chce widzieć. Spójrz!

Abu Kadir poruszył się. Pochylił głowę, a jego ręce jęły unosić się powoli. Dłonie trzymał zwrócone ku górze, palce wyprostowane. Gwałtownie rzucił się na kolana, potem opadł twarzą w piasek, z ramionami wciąż wyciągniętymi w modlitewnym geście - była to poza całkowitej pokory i posłuszeństwa.

- Koniec! - zgrzytnął w ciszy głos Gemmela.

Williams oderwał wzrok od ekranu i wyłączył projektor. Z ust zebranych wyrwało się chóralne westchnienie ulgi. Hawke grzmotnął w plecy Gemmela, potem Williamsa, szczerzące zęby w uśmiechu, i Boyda, wielką dłonią ocierającego pot z twarzy.

- Załatwione. Możesz to powylączyć.

Williams wcisnął kolejny guzik. Ekran monitora zgasł; w wozie zapanowała cisza.

Wszyscy odruchowo spojrzeli na Gemmela. Ten spuścił wzrok i odetchnął głęboko.

- W porządku, wiem - powiedział cicho. - To była zaplanowana operacja i zakończyła się sukcesem. Ale tam w jaskini jest żywy człowiek. Prosty, niewykształcony człowiek. - Z

rezygnacją wzruszył ramionami. - A my wydaliśmy milion dolarów, żeby uwierzył, iż jest wysłannikiem bożym. Możemy uważać, że było to konieczne, ale nie róbmy z siebie bohaterów.

Zapadło niezręczne milczenie.

- Sądziłem, że jesteś ateistą - nieco zgryźliwie odezwał się wreszcie Hawke.

Gemmel uśmiechnął się smutno.

- Jestem. Wszyscy jesteśmy, bo inaczej by nas tutaj nie było. - Spojrzał surowo na Hawke'a. - Widzisz, Morton, mnie bynajmniej nie martwi świętokradczy charakter tego, co zrobiliśmy. Chodzi po prostu o to, że manipulujemy ludzkim umysłem. I teraz, za kilka miesięcy, ten człowiek w obecności dwu i pół miliona ludzi ogłosi się prorokiem. Zrobi to, ślepo wierząc w swoje posłannictwo, bo archanioł Gabriel powiedział mu, że w tym dniu Bóg będzie dla niego łaskawy. - W głosie Gemmela pojawiły się twarde tony. Postukał palcem w pierś Amerykanina. - A jeśli twoi ludzie nie postarają się, by Bóg rzeczywiście objawił się tego dnia, niektórzy z tych dwóch milionów rozerwą biednego sukinsyna na strzępy.

- Nie martw się. - Hawke uśmiechnął się beztrąsko. - Niezbadane są wyroki Opatrzności, chociaż ostatnio działa ona naukowymi metodami. Pan Bóg i Elliot Wisner nie zawiodą. A teraz, co byś

powiedział na dużą whisky?

Gemmel pokręcił głową.

- Nie da rady, Morton. Jesteśmy w kraju rządzonego przez fundamentalistów islamskich. Koran zabrania picia napojów alkoholowych.

- Nie zabrałeś nic do picia?

- Oczywiście, że nie. - Gemmel wskazał na sprzęt wypełniający ciężarówkę. - I tak mielibyśmy dość kłopotów, gdyby przyłapali nas z całym tym kramem. Ale w przypadku znalezienia butelki whisky uznaliby się na dokładkę za znieważonych.

- Do diabła! - ze złością wykrzyknął Hawke.

Alan Boyd uśmiechnął się krzywo.

- Jeśli się mylimy i Bóg istnieje, to tam właśnie niechybnie pójdziemy.

Orkiestra London Coliseum zaczęła grać uverturę do baletu "La Bayadere". Maja Kaszewa, w turbanie i tunice, składających się na kostium do jej roli, wyrzała przez szparę w kurtynie. Widziała, jak Gemmel zajmuje miejsce w dziesiątym rzędzie na parterze. Wyglądał

na zmęczonego; takie też zrobił na niej wrażenie, gdy rozmawiała z nim po południu przez telefon. Odpowiedział zaspianym głosem, ale usłyszawszy, że to ona, szybko oprzytomniał.

Spytała, jak udała mu się podróż, na co odpowiedział: w porządku. Zawiadomiła go, że nie będzie w stanie przyjść do niego na kolację. Próbowwała jakoś to zorganizować, ale to nie jest takie proste, zwłaszcza że miał to być ich ostatni wieczór przed wyjazdem do Rosji, a w takich sytuacjach niektórzy ludzie robią się nerwowi. Tak więc cały zespół oczekiwany był na pożegnalnym przyjęciu. Miała nadzieję, że ją zrozumie. Zapewnił, że wszystko rozumie i że tak czy inaczej z niecierpliwością czeka na chwilę, kiedy zobaczy ją na scenie.

Kiedy nie odpowiadała przez dłuższą chwilę, zapytał:

- Jesteś tam jeszcze, Maju?

- Tak - odparła cicho. - I... Peter, dzisiaj będę tańczyć tylko dla ciebie.

I odłożyła słuchawkę.

W połowie przedstawienia Gemmel zmuszony był uwierzyć jej obietnicy. Wiedział

doskonale, że wybitne tancerki w każdym widzu z osobna potrafią wytworzyć przekonanie, że ich sztuka adresowana jest właśnie do niego. To jednak było coś innego. Maja Kaszewa tańczyła naprawdę tylko dla niego; tańczyła doskonale i z uczuciem. Zatarła się linia oddzielająca biegłość techniczną od emocjonalnego wyrazu tańca. Udało jej się porwać resztę zespołu i całą widownię, ale prawdziwy i jedyny adresat jej pasji siedział w dziesiątym rzędzie, chłonał jej uniesienie i utożsamiał się z baleriną; razem z nią poruszał się po scenie, współczuł z nią, i jak ona, wraz z finałowym crescendo, poczuł się pusty i wyczerpany. Kiedy sala wybuchła oklaskami, jednocząc się w uznaniu i podziwie, on przecisnął się do wyjścia, minął foyer i wyszedł na ulicę w wilgotną, zimną noc i przemaszerował sześć kilometrów do swego małego mieszkania. Zrobił sobie mocną kawę, nalał kieliszek koniaku i zagłębiwszy się w fotelu próbował znów poczuć się sobą.

W ciasnej garderobie nie było już miejsca nawet na kwiaty. Barwny, rozgadany tłum miłośników baletu wypełnił bez reszty nawet wąski korytarz.

Mimo zmęczenia Maja czuła wreszcie wewnętrzny spokój. Zupełnie rozluźniona siedziała na krześle plecami do lustra, prawie nie zauważając zgiełkowej zgrai admiratorów.

Raz jeszcze przeżywała całe przedstawienie - ruch po ruchu. Cokolwiek się wydarzy, pozostanie ono głęboko wryte w jej pamięć; w pamięć jej ciała. Zdarzył się oto jeden z tych rzadkich przypadków, kiedy zewnętrzne okoliczności i wydarzenia dobywają z duszy artysty dzieło jego życia. Maja

Kaszewa wiedziała, że w przyszłości będzie może tańczyć dobrze, ale nigdy lepiej niż dzisiaj; i zdawała sobie sprawę, że udało jej się osiągnąć szczyt między innymi dzięki temu mężczyźnie, którego miała wkrótce oszukać, a może i zniszczyć. Nie dbała jednak o to. W ciągu minionych dwu godzin dała mu wszystko, co mogła mu dać.

Lew Tudin, stojąc w drzwiach garderoby, obserwował ją poprzez ciżbę wielbicieli.

Doznawał jednocześnie najróżniejszych emocji: podniecenia nadchodzącymi wypadkami, wzruszenia tym, co przed chwilą ujrzał na scenie, i smutku, bo instynktownie wyczuwał, co kryło się za tym wybuchem talentu Mai.

Zobaczył, że podniosła wzrok, spojrzała w jego stronę i skinęła głową. Zaczął

wypraszać gości z garderoby. Kiedy za ostatnim zamknęły się drzwi, Maja odwróciła się do lustra, przystępując do usuwania makijażu. Tudin pozostał przy drzwiach, skąd widział

odbicie jej twarzy w lustrze. Znów spojrzała na niego zamyślonym wzrokiem.

- Wiesz, Maju - powiedział cicho - w ostatnich tygodniach wiele razy oglądałem twoje występy. Ale dzisiaj, to był czysty taniec. Brak mi słów, żeby powiedzieć ci, jaka byłaś wspaniała. Nigdy tego nie zapomnę. Dziękuję ci.

Na jej twarzy w lustrze pojawił się słaby uśmiech.

- Kto wie, czy nie tańczyłam po raz ostatni.

- Niemożliwe - zaprzeczył. - Nawet o tym nie myśl. Nie będzie tak źle.

Obróciła się razem z krzesłem i spojrzała mu w oczy. Twarz miała białą od kremu.

- Wszystko skończone - westchnęła. - Teraz będę tylko przynętą, czekając na waszą ofiarę.

- Tańczyłaś dla niego - powiedział, nie próbując temu stwierdzeniu nadać charakteru pytania. W jego głosie pojawił się ból.

- Tak. Tańczyłam dla niego. Może choć tyle mogę dla niego zrobić. I może to wszystko, czego on chce ode mnie.

Wciągnął głęboko powietrze.

- Zobaczymy. Wszystko zostało przygotowane. Wymkniesz się z przyjęcia koło północy. Potem bocznymi drzwiami wyjdiesz na ulicę. Sprawdziliśmy: na Strandzie nawet o tej porze jest mnóstwo taksówek. Pokażesz kierowcy tę wizytówkę. Podróż zajmie ci dziesięć minut, nie więcej.

- Nieprawda - mruknęła. - Ta podróż nigdy się nie skończy.

Gemmel siedział w głębokim, obitym skórą fotelu. Ściany małego salonu zakrywały sięgające sufitu

półki z książkami. W kącie milczał gramofon Nakamichi. Przedmioty, znajdujące się w pokoju, wiele mówiły o naturze i upodobaniach mieszkającego tu mężczyzny. Niewielki stół, służący jako bar, mieścił wyłącznie karafki słodowej whisky, polskiej wódki żytniej, koniaku Hennessy XO, sherry La Ina i komplet waterfordzkich kryształowych kieliszków.

Jedną ze ścian zdobiły reprodukcje dwóch grafik Miro, a na stoliku w kącie stała mała rzeźba Kendo - koń, stojący dęba. W całym pomieszczeniu panowała atmosfera pewnej swobody i nieładu. Bezlik książek nie stanowił uporządkowanego zbioru i czuło się, że nie były one tylko dekoracją. Na krytych skórą fotelach, sofie i podłodze poniewierały się porozrzucone poduszki. Półkę na czasopisma wypełniał nieporządkny stos numerów "Yachting Monthly". Podłogę przykryto niezłym perskim dywanem, który jednak w lepszych czasach wisiał na ścianie.

W sumie był to pokój bywałego, pozbawionego przesądów, samotnego mężczyzny, niespecjalnie bogatego, ale zdolnego spełniać niektóre swoje zachcianki, ceniącego wygodę i posiadającego pewne przyzwyczajenia.

Tymczasem w tej chwili Gemmelowi nie było ani wygodnie, ani przyjemnie.

Popołudniowa drzemka nie usunęła zmęczenia wywołanego długim lotem z Ammanu i zmianą czasu. Zarówno to, jak i emocje wieczoru spędzonego w teatrze sprawiły, że czuł się tak, jakby głowę miał wypełnioną watą. Założył na gramofon płytę z symfonią Schuberta i nalał sobie kolejny kieliszek koniaku. Trunek pozostał jednak nietknięty, a po pięciu minutach Gemmel wyłączył adapter, nie mogąc skupić się na muzyce.

Siedział w fotelu od ponad godziny - chwilami bliski snu, to znów zupełnie trzeźwy, a w jego umyśle kłębiły się obrazy: ciemne wnętrza jaskini; zielone światelko migające na pulpicie stołu mikerskiego; dziewczyna, drobna, gibka i sprężysta, tańcząca jakby na powierzchni jego mózgu; rozpalony piasek pustynnej doliny; tańcząca dziewczyna; niewyraźna, rozmazana sylwetka mężczyzny, leżącego twarzą do ziemi; dziewczyna...

Zadzwonił dzwonek u drzwi.

Padał gęsty deszcz i chociaż wejście do budynku osłaniał niewielki daszek, po krótkim biegu od taksówki jej ciemne włosy były zupełnie mokre. Gemmel przyglądał się, jak samochód manewruje, zawracając w wąskiej uliczce, wreszcie odjeżdża, a potem wrócił

wzrokiem do dziewczyny w przeciwdeszczowym płaszczu, do jej mokrych włosów, bladej twarzy i wielkich, przestraszonych oczu.

Poruszyła ustami, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie zdołała wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Szum deszczu jedynie pogłębiał ciszę. Milczeli. Po chwili ona ukryła twarz w dłoniach i zaszlochała rozpaczliwie. Ona zaś ujął ją za ramię, wciągnął do środka i zamknął

drzwi. Zimno, deszcz i noc zostały za nimi.

W Langley, w Wirginii, z powodu różnicy czasu wynoszącej pięć godzin, był dopiero wieczór.

Daniel Brand znajdował się w swoim gabinecie i czytał ostatnie strony drobiazgowego raportu Hawke'a. Autor siedział po przeciwnej stronie biurka z cienkim cygarem w dłoni i wyrazem oczekiwania na twarzy. Był z nim Leo Falk. On także otrzymał

do wglądu kopię raportu, ale jako że czytał szybciej niż dyrektor, zdążył się już z nim zapoznać.

Brand doczytał do końca strony, zamknął teczkę i cisnął ją na biurko. Rozparł się w krześle i poprzez kłęby tytoniowego dymu spojrzał badawczo na Hawke'a.

- Zaskakujesz mnie, Morton.

- Doprawdy?

- A owszem. - Brand wskazał leżący na biurku raport. - Toż to poezja. Chodzi mi o styl, jakim to opisałeś.

- Poezja?

- Oczywiście. Brzmi prawie jak fragmenty "Nocy w Arabii".

- Tak było, Dan - pochylając się na krześle, z niespodziewaną gwałtownością powiedział Hawke. - Możesz mi wierzyć. Tak właśnie było. Szkoda, że tego nie widziałeś.

Brand prychnął przez nos, sięgnął po raport, odszukał wybraną stronę i przeczytał na głos:

- "Operacja została zaplanowana i przeprowadzona z najwyższą precyzją. Nie przeoczono żadnego, nawet najmniejszego drobiazgu; uwzględniono wszelkie nieprzewidziane wypadki. Zadowolający wynik akcji był możliwy dzięki najwyższemu profesjonalizmowi zaangażowanych w nią ludzi". - Raport ponownie wylądował na biurku, a dyrektor spojrzał na Falka i wyjaśnił: - Dotąd Morton uważał Angoli za gromadę starych bab.

- I wielu z nich wcale się nie zmieniło - odpowiedział Hawke - ale ten zespół to naprawdę sama śmietanka. Zwłaszcza Gemmel jest cholernie dobrym dowódcą i organizatorem. Naprawdę, żałuj, że tego nie widziałeś.

Brand postukał palcem w okładkę raportu.

- Piszesz jednak, że pod koniec zachowywał się trochę dziwnie.

Po chwili namysłu Hawke odparł ostrożnie:

- Wspaniale wszystko zaplanował i zorganizował. Jest twardy i bardzo inteligentny, jego ludzie darzą go najwyższym szacunkiem, niemal czcią...

- Ale?

- Nie jestem pewien, - Hawke rozłożył ręce. - Po wszystkim wydał mi się jakby przejęty, czy może

wzruszony.

- Wygląda na to, że ty także. - Dyrektor skinął w stronę raportu. - Czytałem wiele twoich sprawozdań i nigdy nie odkryłem w nich nawet śladu emocji. To jest inne.

- No dobrze, przyznaję - obronnym tonem odparł Hawke - byłem oczywiście poruszony. Ten facet mający wizję i tak dalej... Rzecz w tym, że ja nie okazałem swoich uczuć, a Gemmel chyba tak.

- Sądziysz, że zaczął mieć wątpliwości? - zapytał Brand.

- Nie, to nie to. Myślę, że po raz pierwszy zareagował jak zwykły człowiek.

Brand zamyślił się; odruchowo zaczął kołysać się na krześle. Na koniec z uśmiechem powiedział:

- Może jest odrobinę bardziej wrażliwy od ciebie, co, Morton? Może dałoby się go ograć w pokera?

Hawke pokręcił głową.

- Tak też myślałem. Ale już po czterdziestu ośmiu godzinach na tej przeklętej pustyni byłem przegrany na osiemset docłów.

Brand roześmiał się hałaśliwie. Hawke skrzywił się, markując uśmiech i ciągnął:

- Ten facet nie jest mięczakiem, Dan. A teraz oczekuje od nas, że także zrobimy swoje. Jak sobie radzi Wisner? Czy jego zespół się sprawdza?

- Jasne. Wisner posuwa się zgodnie z planem, a jego ludzie spisują się bez zarzutu; żadnych problemów.

- Nawet ten Angol, Rance?

Brand spowaźniał.

- Nawet on. Ale tu jest pewne "ale". Dwa dni po powrocie do Houston, Rance wypłynął swoim jachtem na zatokę, na ryby, sam. Prawdopodobnie miał jakiś wyciek paliwa do żęzy, a potem zrobiło się krótkie spięcie, czy coś w tym rodzaju, bo pięć mil od brzegu jacht wyleciał w powietrze. Razem z Rance'em.

Zapadło milczenie. Hawke nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w twarz dyrektora.

Bardzo powoli Brand przecząco pokręcił głową.

- Nie, Morton. To był wypadek. Nie poszlibyśmy na coś takiego. Ja bym się nie zgodził. Facet się sprawdził. Był w porządku.

- W takim razie szkoda go - odrzekł Hawke. - I przepraszam za moje podejrzenie. To po prostu dlatego, że Gemmel, w pewien sposób, mnie niepokoi. Odnoszę wrażenie, że nasza operacja jest

tylko dodatkiem do czegoś innego. Nie mogę tego rozgryźć. Lubię faceta, szanuję jego profesjonalizm, pracuje nam się całkiem dobrze, ale zawsze mam uczucie, że chowa coś w zanadrzu.

Brand pochylił się, opierając łokcie o blat stołu.

- Myślisz, że Anglicy coś kombinują?

- Nie widzę takiej możliwości - wtrącił Falk. - Kandydata na Mahdiego wybraliśmy wspólnie i to na zasadzie przypadku. Pomysł kontrolowania go przez "ucznią" pochodził od Anglików, ale to my trzymamy "ucznią" w garści, a więc i my panujemy nad Mahdim.

- Istotnie, możemy chyba czuć się bezpieczni - zgodził się Hawke. - Ale ci faceci potrafią być cholernie sprytni.

Dyrektor zastanawiał się przez chwilę, a następnie zwrócił się do Hawke'a.

- Chciałbym poznać tego Gemmela. Mógłbyś go poprosić, żeby tutaj przyjechał?

- Jasne. - Hawke był nieco zaskoczony. - Ale początkowo ustalaliśmy, że zawsze będziemy się spotykać na terenie neutralnym.

- No cóż, jestem teraz zbyt zajęty, żeby wyjeżdżać z kraju. - Brand mówił tonem nie dopuszczającym sprzeciwu. - A poza tym, to nic niezwykłego, że wyższy funkcjonariusz wywiadu zaprzyjaźnionego kraju, przyjeżdża do Waszyngtonu. - Postukał palcem w raport. -

Chcę się z nim spotkać. Koniecznie, Morton. Zorientuj się, czy możesz to zorganizować.

Gemmel wszedł do salonu, niosąc kubek pełen gorącej kawy. Postawił parzące naczynie przed Mają, a sam usadowił się naprzeciwko. Dziewczyna miała na głowie turban zrobiony z ręcznika, którym owinęła zmoczone włosy, co nadawało jej wygląd postaci z dzisiejszego baletu. Wzięła kubek ze stołu i trzymając go w obu dłoniach popijała kawę, lękliwie spoglądając na Gemmela.

- Tak po prostu wyszłaś? - spytał.

Skinęła głową.

- Poszłam do toalety. Tam za szafą miałam schowany płaszcz. Wcześniej zapamiętałam drogę do bocznego wyjścia z hotelu. Wszędzie kręciło się mnóstwo ludzi, więc po prostu wyszłam.

Gemmel wstał i podszedł do stolika z trunkami. Nappełnił dwa kieliszki koniakiem, jeden wręczył dziewczynie i wrócił na swoje miejsce. Maja wlała swój koniak do kawy, a gdy podniosła wzrok, spostrzegła na jego twarzy wyraz jakby bólu. Zaraz jednak uśmiechnął się, chociaż bardziej do swoich myśli niż do niej, pociągnął łyk z kieliszka i rzekł:

- Posłuchaj Maju. Dwie rzeczy muszę wiedzieć natychmiast. Po pierwsze: dlaczego uciekłaś; a następnie, dlaczego przyszłaś prosto do mnie.

Na pierwsze pytanie odpowiedziała bez trudu. Kierowały ją te same pobudki, co każdym niemal artystą - czy to tancerzem, czy pisarzem, uciekającym z któregoś z krajów bloku wschodniego: potrzeba swobody. Mówiła o ograniczeniach, z którymi boryka się kultura w Związku Radzieckim, o jej konformizmie i ubóstwie. Kochała swój kraj, ale przede wszystkim była artystką i tęskniła za twórczą swobodą, chciała się rozwijać. Jako przykład podała Nurejewa i Barysznikowa, których talenty rozkwitły i zaowocowały wielkimi kreacjami dopiero na Zachodzie. Barysznikow występował nawet na Broadwayu, z laseczką i w słomkowym kapeluszu.

Gemmel mógł to zrozumieć. W wieku zaledwie dwudziestu czterech lat Maja osiągnęła już wszystko, co mogła jej dać Rosja. Dalszy rozwój był niemożliwy. W

przyszłości byłaby skazana na powtarzanie tych samych ról, w tym samym ograniczonym repertuarze sztuk aprobowanych przez władze kulturalne. Nic dziwnego, że osoba o tak niezwykłym talencie chciała wypłynąć na szersze wody.

Na drugie pytanie Maja odpowiadała już mniej pewnie. Przyszła do Gemmela bez określonego powodu, a raczej było tych powodów kilka - jedne praktyczne, inne natury emocjonalnej. Nie znała angielskiego, a on biegle mówił po rosyjsku. Znała jego adres i wiedziała, że mieszka sam. Interesował się baletem, więc mógł zrozumieć motywy jej decyzji. I wreszcie - odniosła wrażenie, że darzy ją pewną sympatią; czuła, iż istnieje między nimi wyraźna więź. Wiedziała, że będzie sam i chciała być z kimś, kto może z nią porozmawiać i udzielić jej moralnego wsparcia.

- Czy były jeszcze inne powody? - zapytał.

Spuściła wzrok na wpół opróżniony kubek z kawą. Milczała przez chwilę, najwyraźniej usiłując podjąć jakąś decyzję. Na koniec odetchnęła głęboko, uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak. Wiedziała, że jesteś ważnym człowiekiem w waszym rządzie. W tutejszym aparacie.

Przyglądał jej się z uwagą i nagle ich rozmowa zmieniła charakter. Było to teraz przesłuchanie, podczas którego zadający pytania milczy, czekając na uzupełnienie odpowiedzi.

Maja wzruszyła ramionami.

- Wiedziała, że jesteś agentem wywiadu - wyrzuciła z siebie i spojrzała nań hardo i trochę zaczepnie.

- Skąd?

Przypomniała mu ich pierwsze spotkanie w Brukseli przed trzema laty i opowiedziała jak niejaki Sawicz, ówczesny opiekun zespołu z ramienia KGB, ostrzegał ją wtedy przed nim.

- A teraz? - spytał. - Czy tym razem ktoś cię ostrzegał?

- Nie - pokręciła głową.

- Posiedź tu Maju. Niedługo wrócę. - Wstał, wskazał stolik z karafkami. - Możesz się jeszcze

poczęstować.

Wyszedł z pokoju, a chwilę później usłyszała odgłos podnoszonej słuchawki. Po dziesięciu minutach podeszła do barku i dołała sobie koniaku do kieliszka. Tym razem wypła go bez rozcieńczania.

Gemmel wrócił dopiero po półgodzinie. Spoglądała na niego z obawą, kiedy sadowił się w fotelu.

- Słuchaj uważnie, Maju - powiedział łagodnie, ale bardzo poważnie. - Normalnie, jeśli ucieka ktoś ze Wschodu, obowiązuje jasna, ściśle określona procedura. Taka osoba występuje do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych o tymczasowy azyl, który jest jej prawie zawsze przyznawany. Następnie składa prośbę o zezwolenie na stały pobyt tutaj albo w dowolnym wybranym kraju. W twoim przypadku jest trochę inaczej.

- Dlaczego?

- Ponieważ przyszedłeś bezpośrednio do mnie. - Uśmiechnął się przelotnie. - Nie w tym rzecz, że jestem agentem wywiadu. Ale istnieją okoliczności zmieniające całą sprawę.

Uniósł kieliszek, opróżnił go i podszedł do stolika po dolewkę.

- Za chwilę - powiedział przez ramię - przyjadą tu pewni ludzie. Zabiorą cię do domu na wsi i przez kilka dni będą zadawać ci pytania.

Odwrócił się i w jej oczach dojrzał strach.

- To nie będzie nic strasznego, ale musisz mówić prawdę; całą prawdę.

Była coraz bardziej przestraszona. Obracała w palcach kieliszek, jej usta zaczęły drżeć.

- To nic strasznego - powtórzył łagodnie. - I nie da się tego uniknąć. Nie martw się.

Nie zrobią ci krzywdy. Będzie ci tam wygodnie, to naprawdę miłe miejsce.

Zauważył, że zdołała się opanować.

- Będziesz tam?

- Nie, to niemożliwe.

- Muszę jechać?

Westchnął.

- Musisz. Nawet gdybyś teraz stąd wyszła i poprosiła o azyl w najbliższym komisariacie policji, tak czy inaczej trafiłabyś w końcu do tego domu.

- Ponieważ zwróciłam się prosto do ciebie?

Skinął głową.

- Czy będziesz miał przeze mnie dużo kłopotów?

- Nie, żadnych. Chyba rozumiem, dlaczego przyszedłeś do mnie. Ale muszę mieć pewność.

- Nie odeślą mnie do Rosji? - zapytała głosem przepełnionym trwogą.

- Nie, jeśli powiesz im prawdę.

Wyglądała na zdezorientowaną.

- Ale co ja im mogę powiedzieć? Co będą chcieli wiedzieć? - Odwróciła głowę, nasłuchując odgłosów samochodu zajeżdżającego przed dom; trzasnęły drzwiczki.

Gemmel wstał z fotela i ruszył do drzwi.

- Zechcą wiedzieć wszystko - powiedział jeszcze.

Na pierwszy rzut oka dwaj mężczyźni, którzy pojawili się w przyćmionym świetle lampy nad wejściem wyglądali groźnie - obaj w ciemnych przeciwdeszczowych płaszczach ściągniętych paskami. Kiedy jednak weszli do jasnego pokoju i grzecznie przywitani się z Gemmelem, Maja poczuła się nieco uspokojona. Jeden z przybyłych, młody, w wieku trzydziestu kilku lat, miał pucułową, wesołą twarz i chętnie się uśmiechał. Drugi był niski i dużo starszy. Zdjął płaszcz i wtedy Maja spostrzegła, że ma na sobie wełniany bezrękawnik, któremu brakuje jednego guzika. Gemmel przedstawił młodszego jako pana Bennerta, a starszego jako pana Greya. Kiedy robił im drinki, rozmawiali z Mają o tym, jak straszna zrobiła się pogoda. Obaj biegle władali rosyjskim.

Na koniec wszyscy zasiedli wygodnie wokół stołu i pan Bennett wyjął z kieszeni marynarki dwie kartki i położył je przed Mają. Wyjaśnił, że jedna to prośba o czasowy azyl, druga zaś - oświadczenie, iż udaje się z nimi z własnej woli. Teksty na obu kartkach napisano po angielsku i po rosyjsku i kiedy Maja zajęła się ich odczytywaniem, Grey odezwał się po angielsku do Gemmela.

- W ambasadzie sowieckiej wielka panika. Zamieszanie, bieganina, samochody wjeżdżają i wyjeżdżają... Nie jesteśmy jedynymi, którzy nie będą tej nocy spać.

- Bądźcie łagodni - rzekł Gemmel. - Jest przestraszona i niesamowicie spięta.

- Tak jest. Myślę, że wszyscy wielcy artyści są tacy spięci.

Gemmel uśmiechnął się.

- Niektórzy bardziej niż inni. Ona jest jeszcze bardzo młoda.

Maja skończyła czytać, Bennett podsunął jej pióro. Spojrzała na Gemmela; ten skinął

głową. Podpisała.

Wstali z miejsc, a Gemmel pomógł dziewczynie włożyć płaszcz. Jej zaś przyszła do głowy niespodziewana myśl.

- Co będzie z ubraniami dla mnie? Nie mam niczego.

- Proszę się nie martwić. - Grey był bardzo opiekuńczy. - W Mendley mamy wszystko, czego będzie pani potrzebowała. A potem umożliwimy pani zrobienie jakichś zakupów.

Gemmel ujął dziewczynę pod ramię i poprowadził w stronę drzwi. Spojrzała na niego z lękiem.

- Wszystko będzie dobrze, Maju. Obiecuję. Zobaczymy się za kilka dni.

Stał w drzwiach, patrząc na odjeżdżający samochód. Na zakręcie uliczki dziewczyna odwróciła się i spojrzała za siebie; w tylnej szybie mignęła mu jej twarz.

- Prosto do celu; niczym gołąb pocztowy.

Perryman odwrócił się od okna i widoku szarego, moknącego w deszczu miasta.

Gemmel siedzący przed wielkim biurkiem szefa, rozłożył ręce w pełnym bezradności geście.

Znajdowali się w biurze Perrymana, który był tego dnia nastrojony zdecydowanie cynicznie.

Wrócił na swoje miejsce za biurkiem, usiadł i obrzucił Gemmela kpiącym spojrzeniem.

- Przecież to zbyt oczywiste - rzekł Gemmel. - Nawet jak na KGB. Perryman, pólężąc w swoim fotelu, złożył dłonie jak do modlitwy i zapatrzył się w sufit, któremu przydałoby się odmalowanie.

- Może masz rację - oznajmił - chociaż od czasu do czasu potrafią być całkiem subtelnymi. Ale dlaczego przyszła prosto do ciebie?

Tym razem Gemmel wstał i podszedł do okna. Widok za nim okazał się równie przygnębiający, jak to, co działo się w pokoju, i tylko pogorszył jego nastrój.

- Co więc już wiemy? - spytał.

- Niewiele - przyznał Perryman. - Grey twierdzi, że nastawiona jest pozytywnie, ale pewne fakty wyglądają bardzo podejrzanie. Po pierwsze, jej ojciec zajmował wysokie stanowisko w KGB; na miesiąc przed wyjazdem zniknęła z zespołu, twierdzi, że miała zerwany miesiąc i odpoczywała u matki.

- To całkiem prawdopodobne - wtrącił Gemmel - najlepsze tancerki w Rosji ćwiczą jak katorżnicy.

- Owszem, prawdopodobne - zgodził się Perryman jednakże od chwili ucieczki nie można ustalić miejsca pobytu jej matki. Nasi ludzie w Moskwie nic nie wskórali. Ona sama próbowała dzwonić z Mendley, ale najwyraźniej linia jest nieczynna.

- To u nich normalne.

- Zgoda, ale nie ma nic normalnego w tym, że pragnąca zostać na Zachodzie rosyjska tancerka trafia prosto do drzwi zastępcy naczelnika Wydziału Operacyjnego MI-6.

Gemmel odsunął się od okna i westchnął.

- I to automatycznie robi z niej agentkę?

Perryman sięgnął po akta leżące na biurku i uważnie przyjrzał się fotografii przypiętej do wewnętrznej strony okładki.

- To automatycznie czyni ją podejrzaną. Poza tym, jest bardzo ładna. - Zerknął na Gemmela.

- Większość tancerek jest ładna. To wymóg tego zawodu.

- Istotnie. Ja osobiście wolę operę - Perryman zrobił się nagle dziwnie zagadkowy - a, wierz mi, większość śpiewaczek jest fizycznie zupełnie niepociągająca; że nie wspomnę już o ich charakterze.

Gemmel ponownie westchnął.

- Niemniej mogła mieć inne powody.

- Na przykład?

- Choćby to, że mnie znała. Spotkaliśmy się dwukrotnie. Nie zna angielskiego, a wiedziała, że mówię po rosyjsku. Poza tym... - urwał, a Perryman pochylił się nad biurkiem i zaczął mu się uważnie przyglądać.

- Dalej, Peter.

- Poza tym... cóż, łączy nas jakaś duchowa więź.

- Nie może być!

- A jednak.

- Dwa przelotne spotkania - Perryman mówił teraz jakby do siebie - nie trwające dłużej niż dziesięć minut każde i odległe od siebie o trzy lata, a ty odkrywasz "duchową więź"?

Gemmel wrócił na swoje krzesło. Zamyślił się.

- To nie jest coś, co się "odkrywa". To istnieje albo nie. A faktem jest, że istnieje i w tym tkwi alternatywne wyjaśnienie jej postępowania.

- Weź pod uwagę terminy, Peter. Minęły dwa miesiące; to nie jest przypadkowa zbieżność w czasie.

- To tournee zostało zaplanowane osiemnaście miesięcy temu.

- Prawda, ale KGB potrafi działać elastycznie. Napijesz się sherry?

Gemmel przytaknął i Perryman podszedł do barku.

- Co więc robimy? - zapytał Gemmel, patrząc w stronę pleców Perrymana.

- Będziemy postępować stosownie do okoliczności. - Perryman postawił kieliszki na biurku. - Nie spodziewaliśmy się czegoś tak oczywistego - ciągnął - ale już nieraz zdarzyło się nam przecenić KGB. - Uśmiechnął się smętnie. - Czego nie można powiedzieć o ich stosunku do nas.

- A jak ja mam postępować? - cicho zapytał Gemmel.

Zapadło napięcie milczenie.

- Dwa miesiące - rzekł wreszcie Perryman. - Za dwa miesiące to się skończy. Czy wszystko idzie zgodnie z planem?

- Tak. Cały ciężar przygotowań spoczywa teraz na Amerykanach. Jutro mam lecieć na kilka dni do Waszyngtonu, żeby dopracować końcowe wytyczne dla naszego wspólnego centrum w Ammanie. Zdaje się, że dyrektor CIA chce mnie sobie obejrzeć. Boyd jest w Dżuddzie i nadzoruje "ucznia". Wszystkie inne sprawy przebiegają bez zakłóceń. Rozpuszcza się pogłoski i środki masowego przekazu zaczynają je już podchwytywać; oczywiście podpowiadamy im nieco. Do października zapanuje atmosfera wielkiego oczekiwania.

- A Amerykanie zachowują się przyzwoicie?

- O tyle, o ile. Są pewni, że kontrolują "ucznia". Pozornie prowadzi go Boyd, ale w Dżuddzie przebywa cały ich zespół operacyjny, a ci faceci nie przyjechali się tam opalać.

- Ani na wódkę czy dziewczynki - uśmiechnął się Penyman. - Ale tego się spodziewaliśmy. Nie; rzecz w tym, że przez najbliższy miesiąc będziesz właśnie dreptać w miejscu.

- Więc?

- Więc ustalmy, czy panna Maja Kaszewa istotnie jest przynętą. Trudno to przedsięwzięcie nazwać nieprzyjemnym.

- A jeśli nie jest?

- Poszukamy gdzie indziej. A ty będziesz mógł spokojnie zbadać zakres waszej

"duchowej więzi".

Gemmel nie zareagował na żartobliwy ton zwierzchnika.

- Kiedy z nią skończą w Mendley?

- Za dwa, trzy dni. Akurat wrócisz z Waszyngtonu. A tak na marginesie powiem ci, że bardzo ją tam wszyscy lubią.

- Tak?

- Naprawdę. Grey utrzymuje, że jest rozbijająco urocza i inteligentna. Podczas przesłuchań zachowuje się naturalnie i bezpośrednio.

- I co z tego ma wynikać?

- A to, że uważają ją jednak za agentkę. Ale miłą.

Wszystko rozegrało się na oczach imama, który oczywiście nie omieszkał tego potem szeroko rozpowiedzieć. Obcy mężczyzna wszedł do meczetu, kiedy wierni pogrążeni byli w modlitwie. Imam zobaczył go kątem oka i - jak później utrzymywał - rozpoznał. Wyczuł

także, iż jest w nim coś niezwykłego.

Mężczyzna zwinął dywanik modlitewny, niespiesznie podszedł do jednego z kranów, umieszczonych na ścianie meczetu i obmył sobie ręce i stopy. Hadzi Mastan nie widział go w tym czasie, klęczał bowiem pochylony twarzą do ziemi, zatopiony w modlitwie. Imam obserwował przybysza, gdy ten wracał do swojego dywanika. Podobieństwo było uderzające.

Musiał to być ten mężczyzna, który nawiedzał sny Hadżiego Mastana.

Domysły imama znalazły wkrótce potwierdzenie, a odbyło się to w sposób wielce dramatyczny. Modlitwa dobiegła końca i wierni jęli podnosić się z ziemi. Hadzi Mastan zwinął swój dywanik i właśnie zwracał się ku wyjściu, gdy nagle znieruchomiał jak rażony piorunem. Mimo tłumy wypełniającego świątynię jego oczy napotkały wzrok obcego mężczyzny. I - opowiadał imam - nagle zrobiło się jakoś dziwnie. Ten nastrój udzielił się wszystkim obecnym w meczecie. Wierni, jeden po drugim jęli popatrywać to na Hadżiego Mastana, to na tajemniczego przybysza; tłum ucichł, a potem rozstał się i Hadzi Mastan wolnym krokiem podszedł do obcego, stanął przed nim i powiedział:

- Na Allacha, zawsze miłosiernego, przyszedłeś.

A tamten położył mu dłoń na ramieniu, spojrzał głęboko w oczy i odparł:

- Przyszedłem po ciebie.

Potem opuścił rękę, odwrócił się i ruszył do wyjścia, a Hadzi Mastan szedł za nim.

Hawke miał na sobie wiązany na szyi fartuch, ozdobiony rysunkiem jowialnego pyska długorogiej krowy. Gdyby nie brak rogów, jego twarz można, by uznać za nieco podobną.

Stał w kłębach dymu ogrodowego grilla i przewracał steki, popijając Canadian Club z wysokiej szklanki. Z obu stron obstąpili go synowie, każdy także ze szklanką w ręku, i przekomarzając się, krytykowali każdy jego ruch. Przy długim, ustawionym na krzyżakach stole, siedział Gemmel z Julią, dziewczyną starszego z synów, i pozostali goście - dwa zaprzyjaźnione małżeństwa.

- Uwielbia pieczenie mięsa w ogrodzie - powiedziała Julia. - To jedna z niewielu chwil, kiedy naprawdę odpoczywa. - Uśmiechnęła się bez przekonania. - I kiedy urządza mieszkanie.

- Tak, mówił mi o tym. - Gemmel zaśmiał się. - Powinnaś wybudować mu w ogrodzie mały domek gościnny i pozwolić majstrować w nim do woli.

- A wiesz, Peter, to doskonały pomysł.

- Może lepiej, żeby wybudował go sam? - wtrąciła kobieta siedząca obok Gemmela. -

Miałby zajęcie na całe lata.

Była żoną dwugwiazdkowego generała zatrudnionego w Pentagonie. Wynajmowali sąsiedni dom. Drugie małżeństwo było młodsze. Oboje mieli po trzydzieści kilka lat. On był

wspólnikiem jednej z najpoważniejszych firm prawniczych w Waszyngtonie, wyraźnie szykującym się do kariery politycznej. Jego żona była kobietą atrakcyjną, żywiołową i, jak uznał Gemmel, bardzo ambitną, ale mimo to nie pozbawioną wdzięku i sympatyczną w rozmowie. Co do generała, to doskonale pasował do szablonu typowego wyższego oficera sztabowego Pentagonu. Mówił dziwną nowomową, będącą rezultatem połączenia żargonu wojskowego z językiem użytkowników komputerów.

Chociaż obcy w tym towarzystwie, Gemmel czuł się swobodnie. Jego spotkanie z dyrektorem CIA, które miało miejsce tego popołudnia, wypadło bardzo dobrze - tak przynajmniej zapewniał Hawke.

- Wiesz, jak to jest - powiedział, kiedy wracali z Waszyngtonu - teraz, kiedy operacja nabiera rozpędu, dyrektor także chce przyłożyć do niej rękę. W Białym Domu toczy ciągłe boje z innymi doradcami prezydenta. Dzięki sukcesowi w tej sprawie znalazłby się na szczycie. A to kawał ambitnego sukinsyna.

Gemmel był zaskoczony otwartością, z jaką Hawke rozmawiał o swoim zwierzchniku, gdyż dotąd znał go jako człowieka raczej skrytego. Uświadomił sobie, że było to wyrazem zaufania i przyjaźni. Wiedział, że po pierwszej akcji na pustyni zdobył sobie szacunek Amerykanina. Wraz z szacunkiem przyszło ożywienie ich przyjaźni. Potwierdzeniem tego było zaproszenie Gemmela do domu, na wieczorne pieczenie steków w ogrodzie wraz z rodziną Hawke'a i jego przyjaciółmi.

Gemmel przyjął to zaproszenie mimo wewnętrznych oporów. Nie gustował w salonowej paplaninie, a poza tym nie był pewien, jak będzie się czuł w typowo amerykańskim towarzystwie.

Jego obawy okazały się bezpodstawne. Julia i synowie Hawke'a przywitani go bardzo ciepło. Później, kiedy Morton szykował piecyk, a inni goście jeszcze nie przyszli, Gemmel znalazł się w kuchni sam na sam z Julią. Ze szczerością, tak charakterystyczną dla wielu Amerykanów, powiedziała mu, że poznanie go sprawiło jej wielką przyjemność i że cieszy się, że Morton przyprowadził do domu przyjaciela.

- To zdarza się bardzo rzadko - wyznała. - Właściwie nigdy nie miesza spraw zawodowych z życiem rodzinnym. - Uśmiechnęła się nieco bezradnie. - Myślę, że to normalne, zważywszy na to, gdzie pracuje, ale tym bardziej cieszę się, że tu jesteś.

Gemmel zaczął mamrotać jakieś uprzejme frazesy, ona zaś pochyliła głowę na ramię i przez chwilę przyglądała mu się z uwagą.

- Jest także czymś wyjątkowym - powiedziała - że Morton zaprzyjaźnił się z kimś z pracy. Zwykle trzyma ludzi na dystans.

- Może to dlatego - odparł Gemmel, trochę zmieszany - że tak jest wygodniej, bo musimy dużo razem

pracować.

- Jesteś bardzo powściągliwy - zaśmiała się. - Wiesz, dlaczego Morton tak cię polubił?

Gemmel mógł tylko wzruszyć ramionami.

- Macie podobne pochodzenie. Opowiadał mi o tym. Powiedział, że pochodzisz z dość biednej rodziny i wszystko, co osiągnąłeś, zawdzięczasz tylko sobie, zupełnie jak on.

Gemmel uśmiechnął się.

- Pewnie przeczytał moje akta.

- A ty niewątpliwie przeczytałeś jego. Wiedziałaś, że moja rodzina jest bardzo bogata?

Gemmel potwierdził skinieniem głowy.

- A wiedziałaś, że Morton do dzisiaj nie wziął od mojego ojca złamanego centa i nie pozwolił na to ani mnie, ani dzieciom?

- O tym nie wiedziałem. Ale, Julio, to doskonale pasuje do tego, co wiem o jego charakterze. Za to, między innymi, go lubię.

W tym momencie usłyszeli głosy przed domem i Julia poprowadziła Gemmela do ogrodu, na spotkanie pozostałych gości.

Hawke podszedł do stołu z tacą pełną steków. Największy dostał się Gemmelowi.

Anglik z niedowierzaniem patrzył na talerz.

- I ja mam to zjeść? Przecież tu jest pół krowy.

- Żaden problem - Hawke wyszczerzył zęby w uśmiechu - pod warunkiem, że nie zaniedbasz smarowania. - Skinął na syna, a ten napełnił winem szklankę gościa.

- Nie tak ostro - zaśmiał się Gemmel. - Rano czeka mnie lot do Anglii.

- Najlepiej - wtrącił generał - czas podróży wykreślić sobie z życiorysu. Kiedy muszę lecieć do którejś z odległych placówek, to najchętniej wsiadam do samolotu w odpowiednio zaawansowanym stanie, a opuszczam go w jeszcze gorszym. - Uśmiechnął się szeroko. -

Dlatego staram się podróżować liniami cywilnymi.

Hawke przysiadł obok generała i klepnął go po plecach.

- I dlatego, jeśli kiedyś będziemy musieli użyć naszych sił szybkiego reagowania, samo znalezienie dowódcy zajmie nam czterdzieści osiem godzin. -

Rozmowa zesłała na sprawy Bliskiego Wschodu. Gemmel zauważył, że ani razu nie wspomniano o CIA. Słuchał z zainteresowaniem i doszedł do wniosku, że wszyscy trzej Amerykanie mają prawie identyczne poglądy w kwestii polityki zagranicznej USA -

najzupełniej zbieżne z linią programową obecnej administracji. Najkrócej można by je streścić stwierdzeniem, iż nadszedł czas, by uderzyć pięścią w stół. Rosjanie, acz komuniści, czują respekt tylko wobec przeciwnika, którego nie uda im się zastraszyć. Wychwalano brytyjską panią premier, którą uznano za jedyne przywódcę państwowego w dzisiejszej Europie, który ma dość ikry. Kilkomna zręcznymi pytaniami Hawke'owi udało się wciągnąć do rozmowy nawet Gemmel a. Nie wiedzieć kiedy olbrzymi stek zniknął z talerza.

- Widzisz, nie był taki duży - stwierdziła Julia. - Weź sobie dokładkę.

Gemmel zdecydowanie pokręcił głową.

- O, nie! I tak nie będę mógł jeść przez tydzień. Ale to było naprawdę dobre. - Spojrzał na Hawke'a. - Masz ukryte talenty.

Młodzież - synowie Hawke'ów wspierani przez swoje dziewczyny - przystąpiła do sprzątnięcia ze stołu. Żona adwokata zwróciła się do Gemmela.

- Słyszałam, że jest pan znawcą baletu. Co to za sprawa z tą tancerką, która ostatnio wystąpiła z prośbą o azyl?

Mimo iż Gemmel starał się zachować kamienną twarz, Hawke spostrzegł, że był nieco poruszony.

- Jest dobra? - spytał. - Widziałeś ją na scenie?

- Tak. Dwa razy. To jedna z najlepszych tancerek na świecie.

- Zostanie w Anglii? - chciała wiedzieć Julia.

- Nie wiem. Chyba się jeszcze nie zdecydowała.

Rozgorzała dyskusja na temat ucieczek artystów rosyjskich na Zachód.

- To pewny znak - oznajmiła żona generała - że ich system nie działa. Artyści należą tam do elity i powodzi im się lepiej niż innym, a jednak wciąż wyjeżdżają. Od nas nikt do nich nie ucieka.

- Prawdopodobnie przyciągają ich nasze steki - zażartował Gemmel. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

W tym momencie na stół wjechała ogromna szarlotka i dzbanek bitej śmietany. Ku swemu zdziwieniu, Gemmel był w stanie zjeść całkiem solidną porcję.

Podano kawę i koniak. Starszy syn oświadczył, że zabiera swoją dziewczynę do dyskoteki; młodszy poszedł się uczyć do swojego pokoju. Kilka minut później pożegnali się pozostali goście. Julia

wyszła do kuchni, zostawiając Hawke'a i Gemmela samych nad butelką dobrego koniaku. Popijali i gawędzili jeszcze przez godzinę, głównie na temat operacji MIRAŻ. Hawke był pozornie spokojny, ale Gemmel wyczuł, że ta sprawa go ekscytuje. Omawiali kwestię wyposażenia swojego centrum dowodzenia w Ammanie, a szczególnie potrzebę stworzenia systemu łączności, który w porze hadżdżu pozwoli im na stałe śledzenie przebiegu wydarzeń.

Byli przyjaciółmi, rozmawiali więc jak równy z równym. Gemmel postanowił to wykorzystać.

- Jest dla mnie oczywiste, Morton, że w kulminacyjnym momencie operacji zostaniemy od niej odsunięci. My, to znaczy MI-6.

Hawke pociągnął łyk koniaku i niespodziewanie trzeźwo spojrzął na Anglika.

- Naturalnie masz rację. Podejrzewam, że wiedziałeś o tym od początku. Coś ci powiem. Po pierwsze, jeśli operacja się powiedzie, kontrolę nad nią przejmie Narodowa Rada Bezpieczeństwa przy prezydencie. Po drugie, wpływy uzyskane dzięki Mahdiemu użyte zostaną głównie przeciw Rosjanom.

- Jeśli to wszystko jest takie oczywiste - zauważył Gemmel - może się stać niebezpieczne. Mimo wszystko KGB to potęga. Nie omieszkają zajrzeć pod każdy kamień na pustyni, byle tylko odwrócić niekorzystną dla nich sytuację.

- To prawda - zgodził się Hawke - i mam nadzieję, że potrafimy działać z wyczuciem i nie będziemy nadużywać swojej przewagi. - Wzruszył ramionami. - Ale, jak ci mówiłem, to już nie ja będę o tym decydował. Mogę tylko obiecać, że zrobię wszystko, żeby nie stali się zbyt ambitni i postaram się, byś i ty nie został całkiem odsunięty.

Gemmel wiedział, że Hawke jest w tej chwili szczerzy i doskonale zdawał sobie sprawę, co może się stać, jeśli Amerykanie, poczuwszy swoją przewagę, zrobią się zbyt agresywni. Po raz nie wiadomo który pomyślał o Pritchardzie, zagubionym gdzieś w malajskiej dżungli i nie mógł się w duchu nadziwić sprytowi i inteligencji tego człowieka.

Chwilę później w ogrodzie pojawiła się Julia i Gemmel, spojrzawszy na zegarek, zerwał się z krzesła.

- Bardzo tu u was przyjemnie, ale zostało mi już tylko sześć godzin na sen przed jutrzejszym lotem.

Hawke podszedł do telefonu, wybrał jakiś numer i powiedział kilka słów do słuchawki.

- Za kilka minut zabierze cię samochód Agencji - powiedział do Gemmela. -

Piętnaście minut i będziesz w hotelu.

Julia przyniosła z domu płaszcz gościa, Gemmel osuszył ostatni kieliszek i we troje ruszyli do furtki.

- Wspaniały wieczór, Julio - powiedział Gemmel. A jedzenie było genialne. Uważaj na swojego kucharza, nie możesz sobie pozwolić na jego utratę.

Uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek.

- Wpadnij koniecznie, jak znów przyjedziesz do Waszyngtonu. Możesz się czuć zaproszony, nawet jeśli nie będzie Mortona. Kto wie, czy jedzenie nie okazałoby się wtedy jeszcze lepsze - zaśmiała się i odeszła w stronę domu. Na podjazd wjechała duża, czarna limuzyna.

- A więc następnym razem zobaczymy się w Ammanie - stwierdził Hawke. - Na kiedy planujesz wyjazd do Londynu?

- Nie wcześniej niż za jakieś trzy tygodnie - odparł Gemmel. - Postanowiłem wziąć ze dwa tygodnie wolnego. Potrzebuję odpoczynku.

Hawke słuchał jakby trochę zdziwiony.

- Sprawa jest w toku, Morton - ciągnął Gemmel. - Póki nie zacznie się hadźdz, nie będę miał wiele do roboty. Boyd prowadzi Hadziego Mastana - uśmiech - przy małej pomocy twoich ludzi, a wszystko, co związane z laserem i jego transportem na orbitę, także leży w waszych rękach.

- W porządku. Przyjemnego odpoczynku. Kiedy znajdziemy się już w Ammanie, będziemy cholernie zajęci.

Kierowca z Agencji otworzył drzwi samochodu, przyjaciele wymienili uściski dłoni.

Hawke poklepał Gemmela po ramieniu.

- Miło było cię gościć, Peter. Do zobaczenia w Ammanie.

- Do zobaczenia - uśmiechnął się Gemmel. Wsiadł do samochodu; szofer zatrzasnął

drzwi. Hawke odprowadził wzrokiem samochód, aż ten zniknął w głębi ulicy. Pomyślał, że to doskonale pasuje do charakteru Gemmela, iż w tak gorącym momencie najspokojniej w świecie robi sobie dwa tygodnie wakacji.

Czwartego dnia pobytu w Mendley Maja była wciąż wystraszona, chociaż już nie w takim stopniu jak tuż po przyjeździe. Kiedy tamtej deszczowej nocy wieziono ją przez wiejskie odludzie, w kółko powtarzała sobie, że wybitna tancerka musi być także wielką aktorką. Pamiętała również, co Wasilij Gordik powiedział jej na pożegnanie.

“Musisz pamiętać tylko o trzech rzeczach: przez ostatni miesiąc przed wyjazdem z Rosji nie tańczyłaś z powodu kontuzji; chcesz zostać na Zachodzie ze względu na swoje artystyczne powołanie; posłaś do Gemmela, bo wyczułaś między wami nić sympatii. Na wszelkie inne pytania odpowiadaj zgodnie z prawdą. I nie obawiaj się rozżłościć.”

Z okna swojego pokoju miała widok na wspaniały ogród. Właśnie pojawiło się rzadko ostatnio oglądane słońce; kwiaty na klombach i krzewach rozwijały swe pąki. Maja uśmiechnęła się w duchu, wspominając reakcję Anglików na jej gniew. Wywołała go głównie jej niecierpliwość, bo na złe traktowanie nie mogła narzekać. Wszyscy byli bardzo mili: Bennett, Grey, kucharz i pokojówka.

Nawet strażnicy, których Grey nazywał "personalem dodatkowym". Niemniej wypytywanie ciągnęło się w nieskończoność. Ze zmęczenia zaczęła robić drobne, i chyba zupełnie naturalne w jej sytuacji, błędy. A więc w sobotę przed odlotem z Rosji jej matka upiekła kurczaka, nie wołowinę - i co z tego? A z Leningradu do Moskwy odleciała o trzeciej dwadzieścia, a nie dwadzieścia po drugiej - no to co?

Oni jednak wyławiali każdą taką pomyłkę, a potem zarzucali mnóstwem nie związanych z nią pytań, aż w końcu wszystko jej się pomieszało, straciła nad sobą panowanie i zaczęła na nich wrzeszczeć. Grey siedział nieporuszony, a jej słowa spływały po nim, nie wywołując żadnego wrażenia. Bennett natomiast był autentycznie wstrząśnięty, zwłaszcza niektórymi jej wyrażeniami. No i dobrze, pomyślała, jeśli chce się uważać za specja od języka rosyjskiego, powinien go poznawać takim, jaki jest.

Odesłali ją natychmiast do pokoju, a pokojówka przyniosła jej herbatę. Uśmiechnęła się do niej ze skrywaną sympatią i wtedy Maja doszła do wniosku, że ten wybuch złości to nie był zły pomysł.

I rzeczywiście. Następnego ranka wszystko zmieniło się na lepsze. Grey zabrał ją na spacer do ogrodu i zabawiał, opowiadając o ich domu, że pochodzi z czasów królowej Anny i był wiejską siedzibą pewnej mniej znaczącej rodziny szlacheckiej. Podatki i opłaty spadkowe zmusiły ją w końcu do sprzedaży go państwu.

- My nie zabijamy swoich arystokratów - oświadczył Grey z łagodnym uśmiechem. -

Po prostu dusimy ich podatkami.

Zapytała, jak długo jeszcze będzie musiała tu przebywać, na co odparł, by się nie martwiła, bo wkrótce wszystko się skończy. Spytała o Gemmela, jak to robiła wiele razy, a on powtórzył swą stałą odpowiedź, że pan Gemmel jest z nimi w stałym kontakcie, ale musi pozostać na uboczu.

Chciał wiedzieć, co zamierza robić, kiedy otrzyma zgodę na stały pobyt. Już teraz wszystkie zespoły baletowe w Anglii, a także wiele zagranicznych, dopytywały się o nią gorączkowo.

Szli właśnie brzegiem niewielkiego stawu. Maja wzięła Anglika pod rękę i odrzekła.

- Co najmniej przez miesiąc niczego nie będę robić. Chcę najpierw poznać wasz kraj, ludzi. Potem zdecyduję, co dalej.

- Nie wyjdzie pani z wprawy? - zapytał Grey z uśmiechem. - To znaczy, jeśli nie będzie pani ćwiczyć?

Roześmiała się, puściła jego ramię i na wysypanej żwirem ścieżce, tuż przed jego nosem, zakręciła kilka piruetów, a on stał i przyglądał się jej z grobową miną. Zatrzymała się i całkiem już poważnie powiedziała:

- Tak, panie Grey. Wyjdę z wprawy. Zacznę skrzypiec i stękać jak stara kobieta, jeśli będziecie mnie tu dłużej trzymać.

Grey znów się rozpogodził, a gdy ponownie wzięła go pod ramię, podjęli przerwany spacer. Maja uświadomiła sobie, że Grey ją lubi.

Patrząc teraz z okna swojego pokoju na rozświetlony słońcem ogród, postanowiła, że po południu wybierze się znów na spacer. A jeśli jutro rano będą ją jeszcze wypytywać, jeszcze raz straci nad sobą panowanie i nawet Wasilij Gordik w swoim gabinecie w Moskwie usłyszy jej wrzaski.

Na podjeździe przed domem pojawił się jakiś samochód. Bardzo stary, z mnóstwem chromowanych ozdób, stopniami poniżej drzwiczek i olbrzymimi reflektorami. Zatrzymał się przed drzwiami, a z jego wnętrza wynurzył się Peter Gemmel. Maja wychyliła się z okna, zawołała jego imię i pomachała ręką. On zaś spojrzał w górę, uśmiechnął się i także pozdrowił ją ruchem dłoni.

- Straciłaś cierpliwość?

- Też byś stracił.

- Czy to było takie straszne?

Milczała przez chwilę, zastanawiając się nad odpowiedzią. Jechali wąską, wiejską drogą w kierunku Londynu. Biegająca nieopodal autostrada zawiodłaby ich tam dużo szybciej, ale Gemmel uznał, że Maja powinna poznać podmiejski krajobraz. Balerina zdążyła już się zakochać w jego samochodzie. Była to Lagonda, rocznik 1930, i zdaniem Mai pasowała do niego.

- Chodzi ci o to, że jest stara, ale przyzwoicie zakonserwowana? - spytał ze śmiechem.

- Nie - zaprzeczyła z poważną miną. - Ma styl i jest solidna. Nie to co nowoczesne samochody, które wygląda ją jak opływowe, plastikowe pudełka.

Głęboko zanurzona w obszernym, krytym skórą fotelu, obserwowała go kątem oka, nie zwracając uwagi na widok za oknem.

- Czy to było takie straszne? - powtórzył.

- Nie bardzo, ale zadawali mi tysiące pytań. Myśleli chyba, że jestem szpiegiem i przybyłam tu, żeby obalić wasz rząd i zrobić z was dobrych komunistów, a już na pewno z ciebie.

- A czy ty jesteś dobrą komunistką? - zapytał z uśmiechem.

Zrobiła zrozpaczoną minę.

- Jestem tancerką, Peter. Proszę, dość już pytań.

Przez kilka minut jechali w milczeniu.

- Co teraz? - spytała wreszcie.

Spojrzał na zegarek.

- Za godzinę będziemy w Londynie. Przed zamknięciem sklepów, więc zdążysz kupić sobie trochę ubrań, czy co tam potrzebujesz.

- Ale ja nie mam pieniędzy.

- Nie szkodzi. Koło Miłośników Baletu zdobyło dla ciebie tysiąc funtów. - Oderwał

wzrok od drogi i zerknął na nią. Uśmiechnął się na widok zaskoczenia na jej twarzy. - Po to przecież istnieje to koło, a poza tym są pewni, że jak tylko znów zaczniesz tańczyć, szybko odzyskają pieniądze.

- A co potem, po zakupach?

- Cóż, masz dwie możliwości. Na wszelki wypadek zarezerwowałem ci pokój w hotelu. Ale jeśli nie chcesz zostać sama, możesz zamieszkać u mojej przyjaciółki. Jest tancerką w Royal Ballet. Ma duże mieszkanie w Chelsea i będzie szczęśliwa, mogąc cię gościć.

- To twoja dziewczyna? - zapytała cicho.

- Nie. Po prostu przyjaźnimy się.

- Nie podobają mi się obie te możliwości.

- Dlaczego?

- Wolalabym zostać z tobą. Czy to jest możliwe? A ty, zgodziłbyś się? Czy nie byłabym dla ciebie ciężarem?

Nie odpowiedział. Zdawał się być całkowicie pochłonięty prowadzeniem samochodu.

- A może chodzi o twoją pracę? - spytała smutno. - Po tym wszystkim, nadal mi nie ufasz.

- Nie, Maju - pokręcił głową - to nie to. Ale ty mnie prawie nie znasz. Jesteś bardzo młoda, a ta moja znajoma jest w twoim wieku. Na pewno będzie ci u niej wygodniej.

Wprowadzi cię we wszystko, pomoże zdecydować, co masz ze sobą począć.

Spojrzał na nią, ale twarz miała odwróconą, jakby zapatrzyła się w sunący za oknem wiejski krajobraz. W milczeniu przejechali kilka kilometrów i wtedy usłyszał jej szloch.

Skręcił na pobocze i zatrzymał samochód. Wyciągnął dłoń i obrócił jej głowę twarzą ku sobie. Po policzkach dziewczyny spływały łzy.

Zaniósł paczki z zakupami do wolnego pokoju i rzucił je na łóżko. Ona tymczasem zdążyła obejść całe jego mieszkanie, niczym kot dokonujący oględzin nowego terytorium. W

poszukiwaniu kurzu przesunęła palcem po półkach. Pokręciła się po kuchni, zajrzała do szafek i

dokładnie obejrzała piekarnik. Zerknęła do sypialni, zwracając uwagę na panujący tam bałagan. Z zadowoleniem rozejrzała się po zaskakująco dużej łazience z wpuszczonym w podłogę brodzikiem od natrysku. Potem wróciła do pokoju gościnnego. Gemmel wyjmował

właśnie pościel z szafy.

- Trzy razy w tygodniu przychodzi sprzątaczką - powiedział - ale łóżko musisz słać sobie sama.

- Oczywiście - odparła beztrąsko. - Pamiętaj, że pochodzę z socjalistycznego kraju, gdzie potępia się wyzysk człowieka przez człowieka.

Gemmel uśmiechnął się.

- Nie każ mi wierzyć w takie bzdury. Jako Narodowa Artystka ZSRR byłaś hołubiona i rozpieszczana. Umiesz gotować?

- Pewnie, że umiem. Matka mnie nauczyła. Jest osobą bardzo surowych obyczajów.

Na wspomnienie matki Maja wyraźnie posmutniała.

- Martwisz się o nią? - zapytał Gemmel, na co odpowiedziała skinieniem głowy.

- To zupełnie normalne, że przez jakiś czas nie będziesz mogła się z nią kontaktować.

Już tam o to zadbają. Postaram się dowiedzieć, gdzie w tej chwili przebywa - próbował ją pocieszyć i jej twarz rozpuściła się nieco.

- Chcesz, żebym ci ugotowała kolację?

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie. Dziś zjemy kolację w jakiejś spokojnej restauracji; gdzieś, gdzie cię nie poznają.

Twoje zdjęcia były we wszystkich gazetach i ludzie się tobą interesują.

- Mogę się przebrać - odparła wesoło. - Założę blond perukę i ciemne okulary.

- Lepiej nie - uśmiechnął się Gemmel. - Tylko byś zwróciła na siebie uwagę. Zresztą, to nie będzie potrzebne.

Nie było potrzebne. Poszli do małej, francuskiej restauracji za rogiem najbliższej ulicy. Gemmel musiał być tam dobrze znany, bo natychmiast zaprowadzono ich do bocznej salki. Miejsce okazało się zaciszne i przytulne, intymny nastrój potęgowało łagodne światło świec ustawionych na stoliku, ale przez pierwsze pół godziny nie mogli się pozbyć pewnego napięcia. Można się było tego spodziewać, bo gdy dwoje ludzi darzących się sympatią po raz pierwszy spotyka się sam na sam, naturalną koleją rzeczy próbują dowiedzieć się czegoś o swoim życiu o sympatiach i antypatiach, oczekiwaniach i ambicjach. Gemmel jednak, pamiętając przez co Maja przeszła w ciągu ostatnich

trzech dni, wystrzegał się zbytnej ciekawości. Ona zaś zrobiła się niespodziewanie nerwowa i nieśmiała. Dopiero po pewnym czasie - i kilku kieliszkach wina - rozluźniła się, a i humor jej się poprawił. Opowiadała o początkach swojej kariery scenicznej, o latach treningów i ćwiczeń. Był zafascynowany, dowiadując się, jak działa system selekcji młodych talentów, dzięki któremu ci najlepsi trafiają do rąk najwybitniejszych pedagogów. Wstępując na tę drogę, początkujący tancerz całe swoje życie podporządkowywał sztuce. Gemmel dziwił się, iż mimo ograniczeń, będących konsekwencją takiego wyboru, całkiem nieźle orientowała się w sprawach otaczającego ją świata. Była spragniona informacji o życiu w Anglii i ogólnie na Zachodzie.

Powiedział, że należy mu się z pracy trochę urlopu, zrobi więc sobie dwa tygodnie wakacji i spróbuje pokazać jej najciekawsze rzeczy. W najbliższych dniach powinna wziąć udział w konferencji prasowej. Dziennikarze domagają się informacji i nie dadzą jej spokoju, dopóki ich nie zdobędą. Ułatwi to także życie Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, ponieważ Rosjanie zasypywali ich notami protestującymi, posuwając się nawet do oskarżeń o porwanie czy też wywieranie na nią jakichś nacisków. Ministerstwo przyśle swojego specjalistę od kontaktów ze środkami masowego przekazu, który udzieli jej stosownych instrukcji i postara się ułatwić całą sprawę.

Podczas deseru Gemmel opowiedział jej trochę o sobie. O dzieciństwie spędzonym w górniczej osadzie w Yorkshire. O swoim ojcu, który przepracował na przodku trzydzieści lat, a którego życiową ambicją było, aby syn skończył uniwersytet i nigdy nie musiał oglądać wnętrza kopalni.

- I dokonałeś tego.

- Tak. Zdobyłem dyplom, a rok później on zginął podczas tąpnięcia szybu, razem z piętnastoma innymi górnikami. Jakiś miesiąc potem udało mi się dostać do jednej z najgłębszych kopalń w Yorkshire, w Pontefract. Spędziłem ten cały dzień, trzy kilometry pod ziemią. - Skrzywił się i wzruszył ramionami. - Chciałem zobaczyć, jak tam jest.

- Przynajmniej widział, jak spełniają się jego marzenia - powiedziała łagodnie.

Wyciągnęła rękę i przykryła dłonią jego dłoń. - Czy byłeś żonaty?

Opowiedział pokrótce o swojej żonie i okolicznościach jej śmierci, a potem, uśmiechnąwszy się nieznacznie, zauważył, że najważniejsze epizody z jego życia nie bardzo pasują do atmosfery beztroskiej pogawędki. Ona jednak zdecydowanie temu zaprzeczyła.

Takie epizody pogłębiają osobowość człowieka. Tylko ten, kto doznał smutku, potrafi naprawdę cieszyć się szczęściem. A może to specyficzna właściwość tak zwanej "rosyjskiej duszy"? Kiedy umarł jej ojciec, wszystkie swoje uczucia przelała na matkę, ale ta strata w jakiś sposób przydała emocjonalnej głębi jej scenicznym kreacjom, pozwoliła wnikać w nieznane dotąd aspekty sztuki.

Zmienili temat, przechodząc do spraw mniej poważnych. Chciała wiedzieć, co jeszcze, oprócz baletu, zajmuje go w wolnym czasie. Musiał więc opowiedzieć o swojej pasji żeglarskiej; próbował jej wytłumaczyć, czym może być rejs łodzią napędzaną jedynie podmuchami wiatru, opisać syk fali rozcinanej dziobem jachtu i chlupot wody o kadłub podczas spokojnej nocy. Zauważyła, że teraz dopiero rozluźnił się naprawdę.

- Moglibyśmy pożeglować razem? - zapytała z entuzjazmem. Uśmiechnął się.

- Nie chorujesz na morzu?

- Nie wiem. Nigdy nie pływałam.

- Nigdy?

Pokręciła głową.

- Peter, zawsze byłam zbyt zajęta.

- W porządku. Jeden z moich przyjaciół ma "Dragona". Pożyczę go na dzień.

- Czy na "Dragonie" można pływać? - spytała figlarnie.

- "Dragon" to model jachtu. Jest już dość przestarzały, ale w sam raz na jednodniową wycieczkę.

- Zauważyłam, że lubisz starocie.

- Nie wszystkie - odparł z namysłem. - Ale w gorączce pogoni za nowoczesnością zdarza się, że wyzbywamy się wielu dobrych rzeczy, a nawet zwyczajów.

Skinął na kelnera i poprosił o rachunek.

- Zmęczona? - spytał.

- O tak. Tyle się dzisiaj wydarzyło. A w Mendley nie sypiałam zbyt dobrze.

Do domu wrócili na piechotę. Kiedy otwierał drzwi, odezwała się z nagłym przestraczem.

- Peter, na rogu stoi jakiś samochód. W środku jest dwóch mężczyzn.

Wprowadził ją do przedpokoju i zamknął drzwi.

- Nie martw się. Będą tam przez całą noc. I przez kilka najbliższych nocy.

- To twoi ludzie?

- Mniej więcej.

Otworzył niewielką, blaszaną skrzynkę umocowaną na ścianie obok drzwi.

- To alarm przeciw-włamaniowy - powiedział, wskazując na wyłączniki. - Jeśli rano będziesz chciała wyjść zanim wstanę, nie zapomnij go wyłączyć.

- Nie będę wychodzić bez ciebie.

- Maju, jesteś całkowicie bezpieczna - przekonywał z uśmiechem. - Zresztą, moi ludzie będą cię mieli na oku.

Weszli do salonu.

- Napijesz się kawy? - zapytał.

Potrząsnęła przecząco głową, a on wyczuł, że robi się skrepowana i niespokojna.

- Widzisz, jak zwykle przed pójściem do łóżka pracuję przez kilka godzin.

- O tej porze?

- Tak. To chyba kwestia zegara biologicznego. Zauważyłem, że najłatwiej mi się skoncentrować około północy.

Zapadło milczenie. Stali na środku salonu, spoglądając na siebie. Zbliżyła się ku niemu.

- Dziękuję, Peter. Za wszystko. Obiecują, że nie będą sprawiać ci kłopotu. Ani w żaden sposób przeszkadzać. Po prostu potrzebuję trochę czasu, żeby się pozbierać.

Ujęła jego twarz w dłonie i bardzo delikatnie pocałowała w usta. Było to ledwie wyczuwalne muśnięcie; nic więcej. Odwróciła się i odeszła do swojego pokoju.

Nie ruszał się przez chwilę, spoglądając za nią z wyrazem zaskoczenia na twarzy. Na koniec pokręcił głową, podszedł do stolika z trunkami i nalał sobie kieliszek koniaku.

Wyszukał kasetę, wsunął ją do odtwarzacza i wcisnął guzik. Pokój wypełniły łagodne dźwięki suity "Peer Gynt" Griega. Gemmel podszedł do regału i przesunął rząd książek na jednej z półek, odsłaniając stalową płytę długą na ponad pół metra i wysoką na trzydzieści centymetrów. Z jednej strony zaopatrzona była w metalowy uchwyt. Tuż obok wisiał na ścianie czarny kwadrat o boku około piętnastu centymetrów, wykonany z jakiegoś tworzywa sztucznego, a nad nim niewielki wyłącznik. Gemmel pstryknął wyłącznikiem i przyłożył do czarnego kwadratu czubki palców prawej dłoni. Rozległo się basowe buczenie, zakończone serią szczęknięć. Obrócił metalowy uchwyt; płyta ustąpiła, odsłaniając wnętrze głębokiego sejfu. Wydobył zeń kilka grubych teczek z aktami związanych różową wstążką i razem z kieliszkiem koniaku przeniósł na stół.

W pokoiku na piętrze Maja słyszała odległe dźwięki muzyki. Leżała w łóżku, wędrując wzrokiem po swojej sypialni. Na jednej ze ścian dostrzegła dwie reprodukcje pejzaży Turnera. Niewielkie okno przesłaniała ciemnoniebieska zasłona w delikatne, żółte wzorki. Ciemnokasztanowe, wytłaczane tapety kryły ściany. Wszystkie meble robiły wrażenie starych. Deski u wezgłowia i w nogach łóżka były z mahoni, ozdobione na rogach niskimi słupkami. Stoliki nocne i komodę wykonano z palisandru.

Podobał jej się ten pokój. Był ciepły i przytulny. Niemniej zdecydowała, że nie będzie spać w nim zbyt długo. A kiedy przeniesie się na drugi koniec korytarza, nie zrobi tego ani dla Wasilija Gordika, ani dla Matki Rosji.

Konferencja prasowa zakończyła się pełnym sukcesem. Początkowo Maja była bardzo zdenerwowana - pokój rozświetlały co chwilę błyski fleszy, operatorzy wykrzykiwali jej imię, szukając lepszego ujęcia twarzy.

Kiedy jednak padły pierwsze pytania, trema ustąpiła. Tłumaczka przysłana przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych okazała się drobną, pełną humoru kobietą, która pomogła Mai zapomnieć o zdenerwowaniu.

- Nie przejmuj się - powiedziała. - Będę tłumaczyć tylko te pytania, na które zechcesz odpowiedzieć.

Dzięki jej fachowej pomocy, Maja z łatwością unikała zaczepek dziennikarzy.

Poskarżyła się na brak kontaktu z matką i oświadczyła, że nie podjęła jeszcze decyzji co do swojej przyszłej kariery. Reporterzy dzienników ogólnokrajowych próbowali początkowo skierować rozmowę na jej sprawy osobiste, ale wspierana przez tłumaczkę zdołała, nie urażając nikogo, zbyć ich ogólnikami. Mieszka u przyjaciół - powiedziała - i czego najbardziej potrzebuje, to czasu, by przywyknąć do nowego środowiska. Uśmiechnęła się słodko i poprosiła dziennikarzy, by zechcieli uszanować jej prywatność, jako że jest to dla niej bardzo trudny okres. Przyznała, że pogoda nie jest najlepsza, ale i w Rosji latem bywa zimno. Uważa, że Londyn jest wspaniałym miastem, ale nie, nie może niczego powiedzieć na temat angielskich mężczyzn, gdyż jak dotąd poznała ich bardzo niewiele.

Kiedy korespondenci specjalni pism artystycznych przeszli wreszcie do pytań związanych z baletem, dziennikarze prasy popularnej zaczęli masowo opuszczać salę. Pół

godziny później Maja zakończyła konferencję krótkim oświadczeniem, w którym wyraziła wdzięczność rządowi i społeczeństwu Wielkiej Brytanii za wielkoduszność i udzielenie azylu.

Urzędniczka Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, bardzo zadowolona z takiego przebiegu wydarzeń, wyprowadziła Maję z sali konferencyjnej i poczęstowała filiżanką herbaty.

Dwa dni później, w porze obiadu, w mieszkaniu Gemmela zadzwonił telefon. Po krótkiej rozmowie Peter zawołał Maję i z uśmiechem wręczył jej słuchawkę.

- Włączyli telefon twojej matki. Naszym ludziom udało się w końcu uzyskać połączenie; możesz z nią rozmawiać. Tylko nie wspominaj, proszę, o mnie i o swoim pobycie w Mendley.

Maja radośnie pochwyciła słuchawkę. Rozmawiała długo; nie obyło się też bez łez.

Tymczasem przygotowana przez nią potrawka z kurczaka powoli stygła na stole.

Po półgodzinie Gordikowi dostarczono taśmę z nagraniem rozmowy. Przesłuchał ją w obecności Tudina i Larasy. W pewnym momencie, matka Mai spytała, czy córka ma dość ciepłych ubrań. Odpowiedź brzmiała: "Tak, ale brakuje mi futrzanych botków". Gordik z triumfem spojrział na współpracowników. Na jego znak Larasa ponownie odtworzyła ten fragment nagrania. Kiedy taśma

się skończyła, Gordik napełnił trzy szklanki szkocką whisky i wzniósł toast za zdrowie Mai - kusicielki.

Niemal w tym samym czasie, w Petworth Hause, Grey i Bennett słuchali z taśmy tej samej rozmowy, ale w przeciwieństwie do Gordika - nie dostrzegli niczego niezwykłego w fakcie, iż Mai brakuje futrzanych botków. Prawdę mówiąc, nie znaleźli niczego znaczącego w całej rozmowie. Bennett zajął się parzeniem herbaty, a Grey zadzwonił do Perrymana, aby go o tym poinformować.

Penyman gościł właśnie szefa londyńskiej placówki CIA z żoną i kiedy wstał od stołu, żeby odebrać telefon, Amerykanin pośpiesznie przelał większość swojej zupy z soczewicy do talerza małżonki. Miała mniej wybredne podniebienie, a poza tym była lojalną żoną.

Wystygła potrawka została odgrzana. Przy stole Maja opowiedziała Gemmelowi przebieg swojej rozmowy z matką. Władze działały w sposób zgodny z oczekiwaniami.

Poddano ją długotrwałemu przesłuchaniu w bardzo niemiłej atmosferze. Zarzucono jej, że to ona zaszczepiła córce antysocjalistyczną postawę. Maję nazwano parszywą owcą, która zapomniała, co zawdzięcza państwu i socjalizmowi.

Z ustami pełnymi kurczaka Maja uśmiechnęła się i wyjaśniła Gemmelowi, że jej matka jest twardą kobietą i ma wystarczająco dużo wysoko postawionych znajomych, by obronić się przed prześladowaniami. W przyszłości może uda się ściągnąć ją na Zachód? Co Peter o tym sądzi? Odpowiedział wymijająco: wszystko zależy od sytuacji politycznej w przyszłości. Dobrze przynajmniej, że jej matka jest stosunkowo młoda i zdrowa.

Dla Mai rozmowa z matką stanowiła niemal doskonałe zakończenie udanego dnia.

Rano ugotowała Gemmelowi śniadanie, co ostatnio stało się już zwykłą praktyką. Jego poranny posiłek stanowiły zawsze jajka i bekon, plus dwie mocno przypieczone grzanki. Tylko jajka były raz gotowane w koszulkach, raz sadzone, to znów w postaci jajecznicy.

Wprowadzając Maję w tajniki kuchni angielskiej, Gemmel, nieco żartobliwie, zauważył:

- Jeśli chce się wprawić Anglika w dobry humor, sprawą o zasadniczym znaczeniu jest właściwe przyrządzenie jajek na śniadanie.

Szybko więc nauczyła się gotować jajka w koszulkach tak, aby żółtko było miękkie, białko zaś twarde. Jajecznicą wychodziła jej puszysta i nie za rzadka, a sadzone, smażone na gorącym tłuszczu miały zawsze dobrze ścięte białko i płynne żółtko.

- Czy to takie ważne? - spytała tego ranka, podając śniadanie. Na to opowiedział jej historyjkę o parze starych kawalerów od pół roku mieszkających we wspólnym mieszkaniu.

Jeden z nich był człowiekiem niewymagającym, leniwym i nieporządnym, i rano jadał

wyłącznie płatki kukurydziane. Drugi - skrupulatny, pedantyczny i wybredny, zwykł

celebrować przygotowywanie swoich śniadank. Konsumował regularnie jaja na miękko, gotowane dokładnie cztery minuty - ani sekundy dłużej czy krócej. Posiadał nawet dwa czasomierze kuchenne, na wypadek gdyby w krytycznym momencie jeden okazał się niesprawny. Co ranka, odcinając koniuszek pierwszego jajka, obrzucał kolegę triumfalnym spojrzeniem i oznajmiał:

- Oto jak powinno wyglądać prawidłowo ugotowane jajko.

Po kilku miesiącach zaczęło to tak działać na nerwy jego współlokatorowi, iż któreś nocy zakradł się do kuchni, wyjął z lodówki wszystkie jajka i po kolei umieścił je we wrzątku

- na czas od jednej, do dziesięciu minut.

Od tej chwili życie jajożercy zmieniło się w piekło. Co dzień dokonywał rutynowej operacji i za każdym razem otrzymywał inny rezultat. Próbował wszystkiego - sprawdził

swoje czasomierze, zaopatrywał się w nabiał u coraz to innego dostawcy, nawet wyprawiał się na wieś kupować jajka prosto od farmerów. Wszystko na nic. Jego współlokator okazał się sadystą. Na krótko zostawiał jajka w spokoju, tak by nieszczęsny ich miłośnik mógł

posmakować chwilowej ulgi, ale wkrótce wszystko zaczynało się od nowa: jednego ranka miękkie, następnego - jak kamień. Biedny człowiek rozkleił się zupełnie. Nie mógł skupić się w pracy, zerwał z narzeczoną i zaczął pić. Trapiła go bezsenność i to właśnie doprowadziło tę sprawę do tragicznego finału.

- Co się stało? - spytała Maja, nie mogąc doczekać się zakończenia.

- Otóż pewnej nocy zajrzał do kuchni, zwabiony dochodzącymi z niej hałasami i przyłapał złośliwca na gorącym uczynku.

- I co zrobił?

- Zatłukł go patelnią na śmierć.

- Nie!

- Tak, tak. W Old Bailey odbył się jego proces.

- Old Bailey?

- Londyński główny sąd karny.

Maja przyglądała się Gemmelowi oczyma rozszerzonymi zdumieniem. On natomiast był śmiertelnie poważny.

- I co z nim się stało?

- Został uniewinniony.

- Uniewinniony?

- Oczywiście. Sędzia rozumiał jego pobudki. Uznał, że było to “uzasadnione zabójstwo”.

Maja spostrzegła, że kąciki ust Gemmela drżą od hamowanego śmiechu i cisnęła weń kawałkiem chleba.

Tak więc kiedy ostatni kawałek kurczęcia w potrawce zniknął ze stołu, spytała z żartobliwą powagą.

- Rano w koszulkach, sadzone czy jajecznicą?

Uśmiechnął się.

- Jajecznicą. A kurczak był pyszny.

Skinęła głową, dziękując za uznanie i zaczęła sprzątać ze stołu. Gemmel przyglądał

się jej ruchom. Nawet podczas wykonywania zupełnie prozaicznej czynności, były tak płynne i pełne gracji, że patrzył na nią z rozkoszą. W ciągu minionych trzech lat zrodziło się w nim przekonanie, że Maja jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znał czy nawet widział.

Piękną nie w oczywisty, zwracający uwagę sposób, ale jakąś dziwną, przejmującą urodą: te ruchy rąk, pochylenie podbródka, sposób, w jaki siadała, odwracała się, przeciągała czy ziewała, kiedy była zmęczona. Żadnych gwałtownych ruchów, nic ostrego czy kanciastego w sylwetce. Koci urok.

Następnego ranka wstali wcześniej i pojechali do małej przystani niedaleko Hamble.

Był piękny, słoneczny dzień, jeden z niewielu tego lata. Rześka, morska bryza pozwalała zapomnieć o upale. Szykując jacht do wypłynięcia, Gemmel zauważył, że przydałoby się odrobinę więcej wiatru, ale zważywszy na to, iż miał to być jej pierwszy w życiu rejs -

wystarczy.

Pożeglowali wolno w dół rzeki, ku otwartemu morzu. Oboje mieli na sobie tylko kostiumy kąpielowe; ona - skąpe, czarne bikini i Gemmel stwierdził, że trudno mu się skoncentrować na żaglach, kiedy zaczęła myszkować po łodzi, wypytyując o wszystko, co spotkała na swojej drodze. W pewnym momencie minął ich płynący w przeciwnym kierunku duży statek wycieczkowy. Na przednim pokładzie opalała się grupka dziewczyn w strojach topless. Musiał się uśmiechnąć, widząc jej zdziwienie i zażenowanie. Wyjaśnił, że w dzisiejszych czasach taki kostium nie jest niczym wyjątkowym. Spojrzała na swoje ledwo przysłonięte piersi, zdecydowanie pokręciła głową i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Chyba jestem na to zbyt staroświecka - powiedziała, on zaś był tyleż zadowolony, co rozczarowany.

Kilka mil od brzegu zrzucili żagle. Jacht dryfował powoli, unoszony przez fale.

Rozpakowała zabrane wiktuały, a on otworzył butelkę wina. Było im ze sobą dobrze i czuli się

całkiem swobodnie bez potrzeby wypełniania ciszy próżną paplaniną. Po lunchu ona opalała się, leżąc na pokładzie, on natomiast zarzucił wędkę w nadziei złowienia jakiejś zabłąkanej makreli.

W drodze powrotnej postawił ją przy rumplu i udzielił pierwszej lekcji podstaw jachtingu. Miała chyba wrodzony talent, bo po kilku minutach wyczuła łódź i była w stanie ocenić siłę wiatru, a jej wrażliwa twarz wyrażała fascynację nowym doświadczeniem.

Jadąc do Londynu, zatrzymali się w małym wiejskim pubie i tam po raz pierwszy Maja skosztowała angielskiego piwa. Wypiła łyk i skrzywiła się niemiłosiernie, aż miejscowi, obecni w barze, wybuchnęli śmiechem. Ktoś rozpoznał ją, wspomniałszy fotografie prasowe, toteż musiała podpisać co najmniej tuzin tekturowych podstawek pod kufle. Barman przyniósł

z zaplecza butelkę zamrożonej wódki i Maja uczyła zebranych wznosić rosyjskie toasty i opróżniać kieliszek jednym haustem. Była zarazem przyjacielska i nieśmiała i Gemmel, tłumacząc innym jej słowa, spostrzegł, że otacza ją ta szczególna aura właściwa wielkim osobowościom. Kiedy odjeżdżali, wszyscy bywalcy baru wylegli na parking pomachać im na pożegnanie i wnieść ostami toast.

Wyszła z kuchni, niosąc na tacy dzbanek z kawą i filiżanki. Gemmel uruchamiał

właśnie gramofon. Aż przystanęła, tak zaskoczyły ją pierwsze dźwięki, dobywające się z głośników.

- Co to takiego?

- Pomyślałem, że dla odmiany posłuchamy czegoś takiego - uśmiechnął się. - Ten zespół nazywa się Blue Crystal.

Postawiła tacę na stoliku i, kiwając głową w takt muzyki, przyniosła butelkę koniaku i kieliszki.

- Podoba mi się - stwierdziła. - Ale nie sądzę, żebyś był miłośnikiem tego rodzaju muzyki.

- Dopiero od niedawna. Staram się poszerzać swoje horyzonty.

Przygotowała kawę - naląła do kieliszków koniaku i usadowiła się w fotelu z rozmówkami angielskimi w rękę. On rozłożył poranną gazetę, której z powodu wczesnego wyjazdu nie zdążył przeczytać.

Minęło dziesięć minut, kiedy nagle w ciszy pokoju zaszeleściła gazeta ciśnięta na stół.

Gemmel wstał i wyłączył gramofon. Spojrzała zdziwiona na jego zachmurzoną twarz.

- Co się stało, Peter?

- Nic. - Machnął ręką. - Posłuchaj, chyba pójde się przejść. Boli mnie trochę głowa.

Świeże powietrze dobrze mi robi.

Zerwała się z fotela.

- Mogę iść z tobą?

- Nie, Maju. Zostań, proszę. Zaraz wracam.

Po jego wyjściu stała przez chwilę, spoglądając na zamknięte drzwi z wyrazem twarzy skrzywdzonego dziecka, a potem opuściła wzrok na otwartą gazetę na stole. Gdyby znała angielski, mogłaby przeczytać krótką notatkę poprzedzoną niewielką fotografią, informującą o śmierci w wypadku samochodowym elektroakustyka nazwiskiem Williams. Niedawno nabył on nowy model Porsche Turbo i jadąc nim z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę wypadł z szosy i uderzył w ścianę przydrożnego domu.

Dopiero po dwu godzinach Maja usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Gemmel rozejrzał się po salonie i spostrzegł, że zwinięta w kłębek na jednym z foteli, wpatruje się weń niespokojnie.

- Powinnaś pójść do łóżka.

- Czy zrobiłam coś złego? Jesteś na mnie zły?

- Nie, Maju. Naprawdę. Po prostu chciałem się przejść, zastanowić się.

Spuściła nogi na podłogę i wstała.

- Napijesz się kawy?

- Nie, dzięki. Popracuję chyba.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła północ. W ciągu ostatnich dwóch nocy widziała, jak otwiera tajemniczy sejf, przykładając dłoń do czarnej płytki. Przypuszczała, że było to jakieś nowe urządzenie elektroniczne, reagujące na dotyk określonej osoby. Gemmel otwierał sejf bez żadnych ceregieli, przenosił na stół związany wstążką plik akt i brał się do pracy, podczas gdy ona czytała lub słuchała muzyki.

- Boli cię jeszcze głowa?

- Nie. Przeszło.

Podeszła bliżej i położyła mu dłoń na czole.

- W każdym razie nie masz gorączki.

Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu. Potem on ujął jej dłoń, spoczywającą na jego czole; ich palce splotły się w mocnym uścisku. Pocałował ją i nie był to, jak dotąd, krótki całus na dobranoc ani delikatne muśnięcie ust jak przy powitaniu czy "na próbę". Ten pocałunek stanowił efekt trzech dni obopólnej fizycznej i emocjonalnej fascynacji i trwał

bardzo długo. Wolną ręką objął ją i przyciągnął do siebie, a ona wspięła się na palce, położyła mu dłoń na karku i wtuliła w niego z całej siły, kiedy ich wargi się rozłączyły, spojrzała w górę ku jego twarzy i położyła mu głowę na piersi.

- Nie potrafię utrzymać rąk z dala od ciebie, jeśli tu zostaniesz - powiedział z ustami w jej włosach. - Musisz albo wyjść, albo być ze mną do końca.

- Nie wyjdę - odparła stłumionym głosem.

Wziął ją za rękę i zaprowadził na górę, do sypialni; rozbierał powoli, jakby onieśmielony, a potem położył na łóżku i znów całował; jego usta wędrowały po konturach jej twarzy, a dłonie zapoznawały się z jej ciałem.

Zdawała się wirować pod jego dotknięciem. Przesunął dłoń niżej i jej ciało wyprężyło się w oczekiwaniu jakby wychodziła na spotkanie jego dłoniom.

Wstał i patrząc na nią z góry zaczął: rozpinąć guziki koszuli. Nie mogła znieść tego spojrzenia. Co rusz odwracała głowę, by po chwili wrócić wzrokiem do jego twarzy. Jej zachowanie wyrażało zarazem pożądanie i niepewność, a on wiedział, że nie był to tylko aktorski pokaz fałszywej kobiecej skromności.

Położył się przy niej, pieścił jej piersi, całował ich wyprężone sutki. Kiedy spojrzał na nią, usta miała rozchylone, ale powieki mocno zaciśnięte.

- Spójrz na mnie, Maju.

Otworzyła oczy. Czuł na twarzy jej gorący oddech.

- Musisz być pewna, Maju. Nie chcę, żebyś robiła to z wdzięczności.

Wolno pokręciła głową; jej czarne włosy smagały biel poduszki.

- Nie, Peter. Nie przestawaj, proszę. Nie przestawaj.

Więc całował jej piersi i znów jego dłoń sunęła wzdłuż jej ciała, a ona poddawała się jego pieścizdom, jej kobiecość szukała jego dłoni, aż poczuł jej żar i wilgoć, w którą delikatnie wniknął jego palec... i nagle poderwał głowę i spojrzał na nią, leżącą z zamkniętymi oczami, a jego twarz zastygła w wyrazie osłupienia.

- Maju!

Rozwarła powieki. Spojrzała przestraszona.

- Ty nigdy... - głos mu się łamał. - To pierwszy raz... ?

Bez słowa skinęła głową.

Był czuły i delikatny. W pełnym zachwyty uniesieniu całował jej usta, twarz i niżej, piersi, i jeszcze niżej, aż jego dłonie osunęły się między jej uda, rozdzielając je łagodnie. Była gotowa na jego przyjęcie, oczekiwała go, ale okazało się, że niełatwo w jednej chwili odrzucić narosłe latami zahamowania. Podciągnął jej kolana i ostrożnie próbował w nią wejść, była jednak bardzo wrażliwa i z każdym jego śmielszym ruchem cofała się, chętna, a zarazem pełna obawy. Odsunął się i musnął dłonią jej policzek.

- Zaczekaj chwilę - szepnął.

Wygramolił się z łóżka i nagi zszedł po schodkach do salonu, pogrzebał w stosie płyt i jedną z nich położył na tarczy gramofonu.

Kiedy ponownie stanął w drzwiach sypialni, usłyszała napływające z dołu dźwięki

“Paquity” Minkusa. Po raz pierwszy widział ją tańczącą właśnie do tej muzyki. Uśmiechnęła się i wyciągnęła doń ramiona i wszelka niepewność opuściła ją w jednej chwili. Uniósł jej biodra i wsunął pod nie wyjętą spod głowy poduszkę. Tym razem nie cofnęła się, ale dźwignęła ku niemu, krzyknęła i szeroko rozwarła oczy, wpatrując się w jego twarz, obejmując kurczowo i wpijając palce w jego ramiona; jeszcze raz rzuciła ciałem naprzeciw niemu i oto był głęboko w niej, czuła na twarzy lży ulgi i rozkoszy, całowała go, a jej plecy gięły się konwulsyjnie.

Próbował się wstrzymać, jeszcze przez chwilę zatrzymać ją na krawędzi spełnienia, ale już nie mógł, a i nie było potrzeby, bo na jej twarzy pojawił się wyraz ostatecznego zapamiętania, zadrzała i kiedy osiągnęła szczyt, on przyłączył się do niej.

Płyta już dawno się skończyła, a on wciąż pozostawał w niej i nie wypuszczał jej z objęć, szeptał czułe słowa i wsłuchiwał się w jej szept. A potem zaczęli od nowa i było tak, jakby grał na jej ciele niczym na wrażliwym instrumencie, jakby tańczyła w rytmie dyktowanej przezeń melodii i znów szczytowała, ale tym razem łagodniej, nie tak intensywnie, i dłużej, rozkoszą, którą wydobyl z najtajniejszych głębin jej ciała.

Kiedy wreszcie się cofnął i spojrzał w dół, ujrzał czerwone plamy na prześcieradle.

Pocałował ją raz jeszcze i powiedział z uśmiechem:

- Rano przyjdzie sprzątaczką i nie uwierzy własnym oczom.

W każdą środę zbiera się w Rijadzie Dworska Rada Bezpieczeństwa Królestwa Arabii Saudyjskiej. Porządek dzienny obejmuje zwykle najważniejsze zagadnienia z zakresu bezpieczeństwa państwa i stosunków międzynarodowych. W skład Rady wchodzi czterech książąt z rodziny panującej i sześciu zwykłych śmiertelników, urzędników, których należałoby chyba określić mianem technokratów. Funkcje Rady sprowadzają się do informowania i przedstawiania uzgodnionych sugestii królowi i posiadającemu szerokie wpływy następcy tronu.

Jednym ze stałych członków Rady był Mirza Farruki, zwierzchnik wywiadu saudyjskiego. Tego ranka przedstawił on raport dotyczący bezpieczeństwa kraju i ewentualnych konsekwencji napięć na tle

religijnym.

Sytuacja w prowincjach wschodnich, zamieszkanym po części przez mniejszość szyicką, od dawna daleka była od równowagi. W ubiegłym roku miały tam miejsce poważne zamieszki na tle religijnym, stłumione kosztem znacznego rozlewu krwi. Istniały obawy, że w porze nadchodzącego hadżdżu mogą się one powtórzyć. Mirza Farruki nie był nadmiernie tym przejęty, ponieważ tego rodzaju kłopoty miały charakter lokalny i stanowiły odbicie powszechnych na całym Bliskim Wschodzie animozji między społecznościami szyitów i sunnitów. Miejskowe siły bezpieczeństwa zostały odpowiednio wzmocnione i władze są w stanie kontrolować sytuację. Nie ma powodu do niepokoju.

W dalszej części swego wystąpienia Mirza Farruki omówił sprawę niezwykłych pogłosek, które krążą wśród mieszkańców królestwa - a zresztą i innych krajów islamskich -

pogłosek o nadejściu Mahdiego, który ma się objawić w czasie hadżdżu.

Początkowo wywiad saudyjski nie traktował tej sprawy zbyt poważnie. Nie było niczego niezwykłego w opowieściach o Mahdim, szeptanych po bazarach i meczetach. Tym razem jednak plotki nie ustawały, a wręcz nasilały się, i co więcej, zdawały się nie pochodzić ze zwykłego źródła. Przeprowadzone dochodzenie wykazało, iż pojawiły się niemal jednocześnie w tak odległych krajach jak Indonezja na wschodzie i Nigeria na zachodzie.

Treść tych plotek była zawsze ta sama: Mahdi pojawi się w porze hadżdżu.

Atmosferze oczekiwania towarzyszyło powszechne zainteresowanie, toteż przewidywano, iż w tegorocznej pielgrzymce do Mekki weźmie udział o dwadzieścia procent pielgrzymów więcej niż zazwyczaj.

Pierwsze wieści o bliskim nadejściu Mahdiego odnotowano trzy miesiące temu.

Początkowo szerzyły się podawane z ust do ust. Teraz jednakże pojawiły się dwa fakty, które nie tylko przydały impetu fali pogłosek, ale stworzyły określone zagrożenie.

Po pierwsze, środki masowego przekazu w krajach islamskich podchwyciły tę historię i publikując ją nadały jej cechy wiarygodności.

Po drugie, pojawił się człowiek, który mimo iż nie wystąpił z żadną deklaracją, przez wielu uważany jest za podmiot wzmiankowanych plotek.

W tym momencie głos zabrał jeden z książąt, zapytując, czy znana jest tożsamość tego człowieka, a jeśli tak, dlaczego nie został dotąd aresztowany.

Mirza Farruki odparł, że owszem, znają nazwisko tego człowieka. To nic nie znaczący, prosty biedak z Medyny. A nie aresztowano go, ponieważ nie złamał żadnego prawa - religijnego czy jakiegokolwiek innego. Rzecz w tym, że choć w szybkim tempie zdobywa sobie zwolenników, ani on, ani żaden z jego towarzyszy nie wspomniął o nadejściu Mahdiego; nikogo też do tego nie zachęcał. Po prostu wędruje od wioski do wioski, z miasta do miasta, modląc się w napotkanych meczetach i odprawiając nabożeństwa, na które składają się wyłącznie cytaty z Koranu. Mirza Farruki stwierdził,

że nie może aresztować kogoś za cytowanie Koranu ani zabronić podróżowania, jeśli nie popełnił żadnego przestępstwa. Cała ta sprawa posiada jeden niepokojący aspekt, a mianowicie ten, że człowiek ów, znany jako Abu Kadir, jest akceptowany i przyjmowany zarówno przez szyitów, jak i sunnitów, a jego wyznawcy pochodzą z obu tych sekt oraz innych, pomniejszych.

Któryś z książąt chciał wiedzieć, jak liczny jest krąg zwolenników Abu Kadira. Mirza Farruki wyjaśnił, iż trudno to określić. Podróżuje on w gronie kilkudziesięciu uczniów, z których najważniejszym jest niejaki Hadzi Mastan, do niedawna bogaty i szanowany przedsiębiorca z Dżuddy. Porzucił on swój interes, aby podążać za Abu Kadirem.

Jednakże, gdziekolwiek ów człowiek się pojawi, okazuje się, że czeka już nań jakiś miejscowy wyznawca, który rozpowszechniając wieści o jego przybyciu, ściąga tłumy na nabożeństwa.

Dwukrotnie Abu Kadir został przesłuchany przez policję religijną. Za drugim razem był przy tym obecny wyższy oficer służby bezpieczeństwa. Oba przesłuchania okazały się niesłychanie trudne i zniechęcające, Abu Kadir bowiem - podobnie jak Hadzi Mastan - nie wypowiedział podczas nich ani jednego słowa, które nie byłoby zawarte w Koranie. Wygląda na to, że obaj do perfekcji opanowali jego liczący z górą sześć tysięcy wersów tekst.

Mirzę Farrukiego zapytano następnie, co zamierza w takim razie przedsięwziąć.

Przyznał, że zmuszony jest ograniczyć się do obserwacji, czekania i inwigilacji. W przypadku gdyby Abu Kadir, choćby słowem lub czynem, zasugerował, że uważa się za Mahdiego, zostanie natychmiast aresztowany i osądzony pod zarzutem złamania prawa koranicznego, za co karą jest śmierć przez ścięcie.

Wiadomo, że on i wielu jego zwolenników, wybierają się w porze hadźdu do Mekki.

Mówi się, że wyznaczyli sobie spotkanie w Taif, siedemdziesiąt kilometrów na południowy wschód od celu pielgrzymki i zamierzają maszerować przez pustynię, gardząc sześciopasmową autostradą zbudowaną przez rząd dla wygody polityków uczestniczących w Konferencji Islamskiej.

Mirza Farruki zapewnił Radę, że jego służby będą dniem i nocą obserwować pielgrzymów, korzystając z ich odosobnienia. Jeśli w ciągu pięciu dni hadźdu nic nadzwyczajnego się nie zdarzy, Abu Kadir szybko straci swoich wyznawców, a tym samym problem przestanie istnieć.

Rada z zadowoleniem przyjęła raport Farrukiego i przystąpiła do kwestii przedłużających się negocjacji dotyczących zakupu w Stanach Zjednoczonych czterech dodatkowych eskadr myśliwców F-16.

Alan Boyd zaskoczony był sytuacją, jaką zastał w Londynie. Wiedział, że Gemmel ma zaległy urlop, ale uznał za co najmniej dziwne, że wybrał się nań tuż przed kulminacyjnym momentem operacji, na którą złożyło się wiele miesięcy planowania i ciężkiej pracy. Przybył

z Dżuddy, gdzie zajęty był prowadzeniem Hadzi Mastana, chociaż zdawał sobie sprawę, iż sznurki, za które pociąga, mają swe końce w dłoniach nieznanym mu, ukrytych w cieniu ludzi.

Po przyjeździe do Petworth House złożył raport nie Gemmelowi, ale samemu Perrymanowi. Spotkanie to bynajmniej nie zmniejszyło jego zdziwienia. Perryman wspomniał

tylko, że Gemmel był zmęczony i potrzebował wytchnienia, a że sekret dobrego zarządzania leży w sprawności zastępców osób sprawujących funkcje kierownicze, Boyd jako adiutant Gemmela powinien cieszyć się z okazanego mu zaufania. Wysłuchał raportu i ze swej strony poinformował Boyda, że Amerykanie działają zgodnie z planem: satelita z wmontowanym laserem zostanie wkrótce przetransportowany z Palmdale na Przylądek Canaveral, celem połączenia z promem kosmicznym "Atlantis".

Nieco później dotarła do Boyda plotka, kursująca po stołówce i korytarzach Petworth House, o pięknej, rosyjskiej tancerce baletowej, która uciekła prosto do Petera Gemmela, a obecnie ukrywa się w jego domu. Zakłopotanie Boyda sięgnęło szczytu. Znał dobrze Gemmela i uważał, że taki związek jest czymś całkowicie sprzecznym z jego charakterem.

Maja kręciła głową, rozglądając się po wnętrzu kopuły katedry św. Pawła.

- Wspaniała - rzuciła w stronę stojącego przy niej Gemmela. - Ale w Rosji mamy wiele takich budowli.

Uśmiechnął się i trzymając ją pod ramię wyprowadził z katedry w dół po szerokich schodach na ulicę. Było słoneczne przedpołudnie i oprowadzał ją właśnie po City - części Londynu mieszczącej centrum finansowe stolicy oraz wiele historycznych budynków.

- A oto kolebka kapitalizmu - rzekł, kiedy po kilku minutach marszu stanęli przed fasadą Bank of England. Zaintrygował ją "posłaniec" stojący przed głównym wejściem -

gigantyczna postać mężczyzny w pelerynie i cylindrze.

Idąc pod rękę ponownie minęli katedrę i dotarli do ulicy zwanej Old Bailey i stojącego przy niej starego sądu o tej samej nazwie. Pokazał jej posąg kobiety z przepaską na oczach, trzymającej wzniesioną do góry wagę - symbol Sprawiedliwości.

Uśmiechnęła się i pociągnęła go za rękę. - Zajrzymy do środka?

Przechadzali się po łukowato sklepionych korytarzach, a ona co chwila oglądała się za prawnikami czy adwokatami w perukach i togach mijającymi ich w pośpiechu z naręczami dokumentów i akt sądowych.

Gemmel wyjaśnił, że sąd tworzą dwadzieścia trzy wydziały, które oprócz orzekania w najważniejszych sprawach kryminalnych zajmują się także najdrobniejszymi nawet przypadkami naruszenia prawa w samym City. Przystanęli właśnie obok otwartych drzwi wydziału siedemnastego. W sali toczył się jakiś proces i Gemmel, wiedziony impulsem, chwycił Maję za rękę i wprowadził do środka. Zajęli miejsce w ławkach dla publiczności.

Patrzyła zafascynowana, jak woźny sądowy każe wszystkim wstać i jak do sali wkracza stary sędzia w szkarłatnej todze i wyblakłej, białej peruce, by z wielką godnością zająć miejsce w fotelu

sędziowskim. Woźny odczytał akt oskarżenia, Gemmel szeptem przetłumaczył Mai jego treść.

Chodziło o sprawę drobnego oszustwa, jakiego dopuścił się właściciel niewielkiego biura podróży. Maja bacznie przyjrzała się podsądnemu siedzącemu na ławie oskarżonych i orzekła, że to człowiek ewidentnie winny. Ubrany był w krzykliwy garnitur w kratę, miał

tluste, długie niemal do ramion włosy, oczy zaś takie, że wypatrzyłyby pensa z odległości tysiąca metrów. Niemniej korzystał z usług sprytnego adwokata, na którym zupełnie nie robiły wrażenia groźne miny oskarżyciela. Wypatrzył jakąś lukę w przygotowaniu procesowym i powiększał ją wytrwale, aż na koniec zmuszony był interweniować sędziego: najpierw zbeształ prokuratora za przekazanie do sądu źle przygotowanej sprawy i marnowanie jego czasu, a następnie oddalił oskarżenie.

- Przecież on był winny! - wykrzyknęła Maja, kiedy opuścili gmach sądu. - Z całą pewnością był winny.

Gemmel, nieco zmieszany, zaprowadził ją do znajdującego się po przeciwnej stronie ulicy pubu "The Magpie and Stump". Weszli na piętro, do baru znanego niegdyś jako

"Wydział Dziesiąty". Nazwa ta pochodziła z czasów, gdy w Old Bailey było tylko dziewięć wydziałów.

Siedli przy stoliku w kącie sali; Gemmel przyniósł kieliszek białego wina dla Mai i szkocką dla siebie.

Była dziwnie przygnębiona; rozglądała się po surowym wnętrzu jakimś zgaszonym, zamyślonym wzrokiem. Zauważyła wiszące na ścianach, oprawione fragmenty wierszy.

Pokrótko opowiedział jej historię lokalu. W dziewiętnastym wieku przyprowadzano tu często skazanych na śmierć z więzienia Nawgate, na ich ostatni posiłek przed egzekucją. Istniał

wtedy tunel łączący pub z więzieniem. W tamtych czasach ludzie rezerwowali stoliki i miejsca w oknach, aby móc przyglądać się wieszaniu skazańców, które odbywało się na placu przed więzieniem.

- Czy sąd wyglądał wtedy tak samo? - zapytała. - To znaczy, jak dziś; te togi i peruki...

Musiał jej wytłumaczyć, na czym polega angielskie prawo zwyczajowe i jak zmieniało się z czasem, poprzez przyswajanie coraz to nowych precedensów. Spostrzegł, że była zmartwiona, ale uznał, iż wytrąciła ją z równowagi obejrzana przed chwilą rozprawa.

Próbował bronić angielskiego systemu prawnego, chociaż przyznał, że czasem w przypadku niewątpliwej winy oskarżonego, prawo okazuje się słabe i podatne na manipulacje obrony.

Pokręciła głową, a w jej oczach błysnęły łzy. Gemmel poczuł się zupełnie dezorientowany.

- Ten prokurator - powiedziała Maja - niczego nie mógł zrobić. Sędzia był bliski nazwania go

głupcem.

Gemmel milczał, nie bardzo wiedząc, do czego dziewczyna zmierza, a ona spostrzegłszy jego konsternację pogłaskała go po rękę i spróbowała wyjaśnić, dlaczego ten epizod zrobił na niej takie wrażenie. Owszem, ten człowiek był ewidentnym przestępcą i w Rosji niejako automatycznie zostałby posłany do więzienia. Nie pomógłby mu żaden sprytny adwokat. Było to możliwe tylko dlatego, że sędzia i oskarżyciel funkcjonowali w ramach tego samego aparatu. Rosyjski sędzia nigdy nie krytykowałby prokuratora czy policjanta, bo byłoby to działanie na własną szkodę. Tymczasem tutaj zobaczyła żywą ilustrację zasady rozdziału sądu od aparatu ścigania. Tu sędzia był prawdziwie niezależnym arbitrem. I nie miało dla niej znaczenia, że ten drobny złodziejaszek uniknął kary. To właśnie było wspaniałe, że puszczono go wolno, i że stary sędzia kazał prokuratorowi nie marnować jego czasu.

- Nieważne budynki, Peter - powiedziała - ani staroświeckie stroje i archaiczny język.

Po prostu pomyślałam, że jeśli taki mały przestępca może wejść do sądu i opuścić go wolnym, to wszyscy w tym kraju muszą czuć się wolni.

Po zastanowieniu Gemmel musiał przyznać, że w jej słowach było dużo sensu. To normalne, że taki obrazek z sądu wywarł niezwykle wrażenie na kimś wychowanym w ustroju totalitarnym, gdzie władza nie zwykła przyznawać się do błędów.

Zjedli lunch w pobliskiej winiarni, a potem zabrał ją na zwiedzanie Tower, Parlamentu i Buckingham Palace. Właściwie powinien się czuć jak przewodnik turystyczny, ale jej dziwne, zaskakujące pytania nie pozwalały mu wczuć się w tę rolę. Ile zarabia członek parlamentu? Czy to prawda, że wolno mu jednocześnie wykonywać inną pracę? Czy królowa naprawdę nie ma żadnej władzy? Czy jest bogata? I jak mogła pozostać bezstronna, kiedy władzę w Anglii objął rząd lewicowy? Odpowiadał wyczerpująco, mile zaskoczony jej inteligencją i ciekawością. Skończyło się na tym, że musieli w pośpiechu wracać do domu, bo Maja miała zamówioną rozmowę z matką, a nie wiedzieć kiedy, zrobiło się późno. Kiedy skręcili w swoją uliczkę, zauważyła nieobecność mężczyzn, którzy dotąd stale pilnowali domu.

- Już nie wrócą - rzekł Gemmel. - Koniec z tym wszystkim. Możesz przyjąć, że Rosjanie uznali cię za bezpowrotnie straconą.

Rozmowa z matką nie wypadła dobrze. Rozmawiały przez dziesięć minut, a kiedy Maja wróciła do salonu, Gemmel spostrzegł, że była zmartwiona.

Delikatnie próbował ją wybadać, więc powiedziała mu, że matka jest smutna, że bardzo za nią tęskni. Przyjaciele opuścili ją, obawiając się narazić władzom. Została sama.

Chciał ją pocieszyć, przekonywał, że z czasem wszystko wróci do normy, a zresztą niczego innego nie można było się spodziewać. Widział jednak jej przygnębienie, kiedy ze smutną miną poszła do kuchni, by przygotować kolację. Mógł tylko wzruszyć ramionami i włączyć gramofon oraz mieć nadzieję, że zły nastrój szybko przeminie.

Gordik, Tudin i Larysa ponownie zebrali się, aby przesłuchać zapis rozmowy telefonicznej. Kiedy Larysa wyłączyła magnetofon, Gordik z zadowoleniem pokiwał głową.

- Dobrze. Powinna wszystko zrozumieć.

- Czy nie za bardzo ją ponaglasz? - spytał Tudin. - Minęło raptem dziesięć dni.

Gordik rozłożył ręce gestem wyrażającym bezradność.

- Nie da się tego ocenić. Mam jednak przeczucie, że nie zostało zbyt wiele czasu. Poza tym, jeśli ma się czegoś dowiedzieć, łatwiej jej będzie to zrobić właśnie w początkowym okresie ich romansu, kiedy on jest najmniej ostrożny.

Tudin nie wyglądał na przekonanego. Podejrzewał też, że Gordik nagli dziewczynę do wykonania zadania, nim znajdzie się ona pod zbyt silnym wpływem Gemmela.

- W każdym razie - odezwał się Gordik - wycofali ochronę spod jego domu.

Przynajmniej jawną ochronę. Musimy wykorzystać tę okazję.

W Petworth House Bennett wyłączył magnetofon i spojrzał na Greya.

- Futrzane botki - rzekł z naciskiem.

Grey przebiegł wzrokiem stenogram rozmowy i z wolna pokiwał głową.

- Tak. Może i nasze lata są rzeczywiście paskudne, ale najbardziej troskliwa matka nie zachowywałaby się w ten sposób. Zwłaszcza Rosjanka. Puść jeszcze raz ten kawałek.

Bennett uruchomił magnetofon. Usłyszeli głos starszej pani Kaszewej wyrażającej obawę, że Maja marznie i dopytującej się, czy kupiła już sobie futrzane botki. Maja odparła, że nie, była bardzo zajęta, ale niebawem je kupi. Poza tym jest całkiem ciepło, nie ma więc powodu do obaw. Matka nie chciała jednak ustąpić. Nie zazna spokoju, dopóki nie będzie pewna, że córka ubiera się odpowiednio i sprawi sobie futrzane botki.

Bennett ponownie zatrzymał taśmą.

- Zaczynają ją poganiać - stwierdził. - Minęło dopiero dziesięć dni, a już ją poganiają.

Grey zamyślił się. Wyglądał na odrobinę zirytowanego.

- Gdyby tylko Perryman zechciał nam powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi -

rzekł wreszcie. - Myślę, że to by nam pomogło, gdybyśmy wiedzieli, czego szukają. To znaczy, nad czym Peter pracuje.

- Ano, jeśli KGB tak się niecierpliwi, musi to być coś ważnego.

- Niewątpliwie - z goryczą orzekł Grey. - A wychodzi na to, że Ruscy wiedzą o tym więcej od nas.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer telefonu Perrymana.

Podczas kolacji Maja milczała i tylko udawała, że coś je. Gemmel zaniechał

bezskutecznych prób podnoszenia jej na duchu i tylko włączył płytę z koncertem Beethovena, by tym sposobem zagłuszyć ciszę panującą w salonie.

- Będziesz jeszcze pracował? - zapytała, sprzątając naczynia ze stołu. Pokręcił przecząco głową.

- Nie. Wykończyłaś mnie tym łażeniem po Londynie. - Wskazał na obracającą się płytę. - Jak tylko to się skończy, idę do łóżka.

Odniosła tacę do kuchni, zaparzyła kawę i rozlała ją do dwóch filiżanek. Następnie otworzyła torebkę i wyjęła z niej puderniczkę. Za pomocą łyżeczki zeszkrobała kilka gramów pudru i rozpuściła go w jednej z filiżanek.

Przebrzmiały ostatnie tony koncertu. Gemmel dopił wieczorną kawę i uśmiechnął się do Mai.

- Nie jestem aż tak zmęczony, żeby pozwolić ci samej iść do łóżka.

Odpowiedziała mu delikatnym uśmiechem, w oczach widać było jednak smutek. On podniósł ją z fotela i pocałował.

- Spróbuj o tym nie myśleć. Nic jej nie będzie. Zadzwonisz do niej za kilka dni i sama się przekonasz.

Wyłączył gramofon, zgasił światło i zaprowadził ją do sypialni. Próbował się z nią kochać, ale była dziwnie nieczuła, a w pewnym momencie ujrzał w jej oczach łzy. Potem powieki zaczęły mu ciążyć i to było wszystko, co zapamiętał z tej nocy.

Za rogiem przyspieszyła kroku. Było pusto, jeśli nie liczyć pijaka, który toczył się chodnikiem po przeciwnej stronie ulicy, obojętny na wszystko dookoła. Mimo to zatrzymała się przed czerwoną budką telefoniczną i czekała aż się oddali. Rozejrzała się nerwowo i wśliznęła do środka. Wiedziała, jak działa automat telefoniczny. Ćwiczyła w Moskwie na aparacie będącym dokładną kopią tego, który miała przed sobą. Wybrała numer i po pierwszym sygnale usłyszała odpowiedź. Wrzuciła monetę, wymówiła dwa krótkie zdania i odwiesiła słuchawkę. Do domu wracała niemal biegiem.

Przyszli po dwudziestu minutach. Trzej. Kiedy wpuściła ich do przedpokoju, przywitali się uprzejmie i z szacunkiem. Mieli na sobie ciemne płaszcze, a na dłoniach rękawiczki. Rozglądali się ciekawie, idąc w kierunku salonu. Zdążyła już usunąć książki z półki, toteż natychmiast podeszli do sejfu i uważnie wysłuchali jej instrukcji.

Schody na piętro były wąskie i mieli trudności ze zniesieniem go na dół; podobnie jak wcześniej ona

z założeniem mu piżamy. Jeden z nich potknął się i niewiele brakowało, a upuściliby głowę śpiącego. Maja głośnym szeptem rzuciła pod jego adresem przekleństwo.

Najpierw przyłożyli do czarnej płytki lewą rękę, ale bez rezultatu. Obrócili więc bezwładne ciało i spróbowali prawej. Zabuczało, szczęknięło, zgrzytnął przekreślony uchwyt i sejf stanął otworem.

Sfotografowanie wszystkich dokumentów zajęło im czterdzieści minut. Siedziała na krześle i przyglądała się, jak pracują, zastanawiając się, dlaczego zabrali tylko jeden aparat.

Gemmel leżał bezwładnie w fotelu naprzeciw niej, ale omijała go wzrokiem.

Jeden z Rosjan trzymał niedużą, silną lampę podłączoną do zestawu baterii, drugi odwracał kartki, a trzeci pstrykał - trzy razy każdą stronę. Musiał dość często wymieniać film i w jednej z takich przerw ten, który przewracał kartki, podszedł do stolika z alkoholem i już zamierzał się obsłużyć, kiedy powstrzymał go chłodny głos Mai:

- Proszę niczego nie dotykać. Zróbcie swoje i idźcie.

Wzruszył ramionami i cofnął się do pozostałych; znów zaczął szczekać aparat.

Zanieśli Gemmela na górę, a ona w tym czasie ustawiła książki na półce. Kiedy zeszli, czekała już na nich w otwartych drzwiach.

- Towarzyszko Kaszewa - z powagą oznajmił jeden z nich. - Towarzysz Gordik polecił

mi poinformować was, że jeśli chcecie, możecie teraz pójść z nami. Jutro wieczorem będziecie w Moskwie.

Spoglądali na nią ciekawie, na jej bladą, ściągniętą twarz. W milczeniu pokręciła głową.

Wróciła do salonu, włączyła gramofon i położyła płytę na tarczy. Nalała sobie duży kieliszek koniaku i skulona w fotelu słuchała "Paquity". Przez dłuższy czas jej twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu, lecz w kulminacyjnym momencie utworu Minkusa, po białych policzkach dziewczyny popłynęły łzy. Kiedy płyta skończyła się, ponownie napełniła kieliszek i puściła ją od początku. I nim ucichły dźwięki muzyki jej twarz była sucha, jakby wypłakała już ostatnie łzy.

Jak na dłoni ujrzała całą beznadziejną zawilość swojej sytuacji: miłość do ojczyzny, do matki; wreszcie miłość do mężczyzny. Bez wahania odrzuciła możliwość powrotu do Rosji. Zdecydowała, że nie chce żyć bez Gemmela. Była dla niego przeznaczona; od zawsze; czuła to. I w głębi swej melancholijnej duszy czuła też, że jeśli spróbuje żyć bez niego, jej egzystencja straci wszelki sens.

Znalazła jakąś kartkę i pióro, siadła przy stole i pisała przez kilka minut. Wypity koniak sprawił, że w głowie jej szumiało, pismo miała chwiejne i niewyraźne. Skończyła i położyła kartkę na płycie spoczywającej na tarczy gramofonu. Potem poszła do kuchni i napełniła szklanek ciepłą wodą. Bez pośpiechu wsypała do niej całą zawartość puderniczki i jakby bezwiednie, nie patrząc na ręce,

mieszała płyn łyżeczką, aż wszystko się rozpuściło.

Zniosła szklankę do sypialni i postawiła na stoliku przy łóżku. Z najwyższym trudem udało jej się rozebrać Gemmela z pizamy, był ciężki i bezwładny, a ona czuła się trochę pijana i oślepiały ją łzy. Długo siedziała wpatrzona w jego nagie ciało, aż nagle podniosła się, rozebrała pośpiesznie, wzięła szklankę i pewnym ruchem wychyliła do dna.

Położyła się obok niego, przywarła całym ciałem, splatając nogi z jego nogami i objęła go mocno, wtulając twarz w jego szyję.

Obudził się z potwornym bólem głowy. Było prawie południe; czuł się przemarznięty do szpiku kości. Z trudem wyzwolił się z jej lodowatego, sztywnego uścisku.

- Pytam: dlaczego?! - Gordik uderzył pięścią w stół. Tudin, Larysa i piątka z Wydziału Badań i Analiz - wszyscy patrzyli na szefa wzrokiem wyrażającym kompletny brak zrozumienia.

Gordik łypnął oczyma w kierunku mężczyzny w okularach, siedzącego po jego lewej stronie.

- Dlaczego, Malin?

Malin wydobył chusteczkę z kieszeni marynarki, zdjął okulary i zaczął energicznie polerować szkła.

- No?! - warknął Gordik.

Malin zaś zrobił w tym momencie coś całkowicie sprzecznego ze swym charakterem.

Może przyczyną było zmęczenie? Zebranie trwało już dwie godziny i Malina, od dawna cierpiącego na ischias, niemiłosiernie bolały plecy. A może uznał, że w wieku sześćdziesięciu lat nie musi już obawiać się wysłania na emeryturę? Tak czy inaczej, zdenerwował się i w gwałtownych słowach zaatakował zdziwionego Gordika.

O co właściwie chodzi towarzyszowi Gordikowi, zaczął sarkastycznym tonem. Czy nigdy nie będzie zadowolony? Dysponując zaledwie okruczem informacji, zdobyli ogromną wiedzę. Dwa miesiące temu były to tylko pogłoski o jakiejś poważnej operacji wywiadu zachodniego. Dziś znają wszystkie szczegóły tego groźnego przedsięwzięcia. Wielka radziecka artystka podjęła ogromne ryzyko, aby ich wspaniała akcja mogła zakończyć się sukcesem. I tak się stało, a rezultaty przerosły ich najśmielsze oczekiwania. Tymczasem towarzysz Gordik jest wciąż niezadowolony, jego umysł tak przesiąkł podejrzliwością, że nie jest w stanie zaakceptować rzeczy oczywistych. Wszędzie wietrzy podstęp i widzi trupa w każdej szafie. Otóż on, Jurij Malik, jest analitykiem, nie grabarzem!

Skończył. Płonące oczy wbił w twarz Gordika, usta mu drżały. Pozostali w osłupieniu przyglądali się tej scenie.

Gordik pochylił się wolno w stronę Malina, aż w końcu jego twarz znalazła się w odległości kilku centymetrów od nosa analityka i kątem ust wycedził:

- Lew, nalej proszę towarzyszowi Malinowi dużą szkocką.

Chwilę później wybuchnął śmiechem i klepnął Malina po plecach.

- Przynajmniej raz mówiliście od serca, nie tylko z głowy - rzekł.

Malin rozejrzał się nerwowo. Gniew już go opuścił i nie był pewien, czy Gordik jest rzeczywiście rozbawiony, czy też igra z nim jak kot z myszą. Uspokoił go dopiero widok uśmiechniętej twarzy Larysy.

Gordik zarządził po kieliszku dla wszystkich i rozparł się w fotelu, czekając aż Tudin poda trunki.

- Tak - westchnął - to istotnie była błyskotliwa operacja i udała się ponad wszelkie oczekiwania. Ale, towarzysze, podejrzewam, że Gemmel był przygotowany na taki rozwój sytuacji.

- Ależ to nie ma sensu - wtrącił Tudin. Krążył wokół stołu z tacą pełną kieliszków. -

Podsuwanie nam tego rodzaju spreparowanych informacji byłoby bezcelowe.

Malin pociągnął łyk whisky i czując, że wraca mu odwaga, ponownie zabrał głos.

- Nie musi być bezcelowe. Może chcą nas przekonać, że Amerykanie naprawdę rozwiązali problem rozmywania się wiązki promieni laserowych. Chodzi mi o to, że nie ma żadnego pożytku z posiadania wyrafinowanej broni, jeśli przeciwnik o tym nie wie. To niweczy jej działanie odstraszające.

- Słusznie - zgodził się Gordik. - Nasi eksperci w dziedzinie fizyki kwantowej uważają za mało prawdopodobne, by Amerykanie poradzili sobie z problemem dywergencji. Ale gdyby tak się stało, byłby to fakt o przełomowym znaczeniu.

Jeden z piątki analityków miał, jak się okazało, inną koncepcję.

- Jeśli istotnie Anglicy jej się spodziewali, a nie jestem przekonany, że tak właśnie było, musieli mieć inne powody. Przede wszystkim, gdyby oni albo Amerykanie chcieli zawiadomić nas o zaistnieniu tak znaczącego przełomu w ich technice zbrojeniowej, mogli bez trudu zaaranżować pokaz, nie pozostawiający żadnych wątpliwości. Poza tym informacje napływające z Bliskiego Wschodu zdają się świadczyć, że operacja opisana w dokumentach Gemmela rzeczywiście jest w toku, a nawet zbliża się do finału.

- Też racja - pokiwał głową Gordik. - A w ogóle, cóż to za pomysł! - W jego głosie zabrzmiało autentyczne uznanie. - Przejąć kontrolę nad islamem! Komu coś takiego mogło przyjść do głowy? Narząca taką koncepcję dla podrzucenia kilku fałszywych informacji?

- A więc może wcale się jej nie spodziewali? - podsunęła Larysa.

Zapadło milczenie, jakby wszyscy rozważali tę możliwość; na koniec Gordik wzruszył ramionami i powiedział:

- Niewykluczone, że masz rację. Nie należy przeceniać Anglików. Gdyby Kaszewa zdobyła jakieś mało istotne, marginalne dane, byłbym szczęśliwy bez zastrzeżeń. To, że udało jej się odkryć wszystko, nie musi oznaczać, że te informacje zostały spreparowane.

- Jaki więc przyjmujemy kierunek działania? - zapytał Tudin.

Gordik w zamyśleniu wypił łyk whisky ze swojej szklanki i odpowiedział:

- O tym zadecydują wyższe czynniki, ale wygląda na to, że mamy dwie możliwości.

Albo ujawniamy całą sprawę już teraz, albo czekamy, żeby zobaczyć, co wydarzy się w Mekce. I

przekonamy się, czy rzeczywiście Amerykanie dokonali takiego postępu w technice laserowej.

Malin zgłosił pewną wątpliwość:

- I zgodzimy się na ryzyko, że przybycie Mahdiego zostanie ogłoszone w obecności dwu i pół miliona świadków? Niełatwo to będzie odkręcić, choćbyśmy nie wiem co mówili i robili.

Gordik miał już odpowiedź na końcu języka, kiedy rozległ się przeraźliwy dzwonek jednego z telefonów na jego biurku - niebieskiego, tego który łączył go bezpośrednio z szefem KGB. Podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

- Tu Gordik.

Słuchał w milczeniu przez dwie minuty; z rosnącym zdumieniem, wyraźnie widocznym na jego twarzy.

- Tak jest - rzucił wreszcie i odłożył słuchawkę. Przez chwilę stał pochylony nad biurkiem, wpatrując się w stojący przed nim błękitny aparat. Następnie nie odwracając się powiedział:

- Narada skończona.

Zebrani przy stole spojrzeli po sobie zmieszani. Następnie piątka mężczyzn z Wydziału Badań i Analiz opuściła pokój. Gordik odwrócił się do Larysy i Tudina.

- Otrzymaliśmy bezpośrednią informację z MI-6 - powiedział. Był wyraźnie przygnębiony. - Zawiadomili nas, że Maja Kaszewa nie żyje. Popelniła samobójstwo.

Twarze Larysy i Tudina wyglądały jak skamieniałe.

- Ponadto - ciągnął Gordik - zostałem zaproszony do Londynu. Na spotkanie z Perrymanem.

- Jeszcze raz. Ile to będzie w sumie? - zapytał przez ramię Hawke, a Wisner posłusznie wyrecytował:

- Pięćdziesiąt dwa miliony siedemset tysięcy dolarów.

Hawke stał przy oknie zapatrzony na wypielęgnowany park otaczający główną kwaterę CIA.

- I to wszystko za kawałek dupy - mruknął.

- Mogło być gorzej.

Hawke odwrócił się i spojrzał na Wisnera, który siedział przy stole razem z Falkiem i Meade'em.

- Gdybyśmy zdążyli wysłać satelitę, musiałbyś dopisać do rachunku jeszcze sto dwadzieścia milionów.

Wszyscy czterej mieli grobowe miny, co poniekąd odpowiadało celowi ich spotkania.

Mieli pogrzebać operację MIRAŻ tak szybko i tak dokładnie, jak tylko było to możliwe.

Dyrektor ujął sprawę z gniewną dosadnością.

- Ma mi nie zostać żaden ślad; nawet smród po czyimś pierdnięciu.

Wysłano już polecenie powrotu grupie operacyjnej stacjonującej w Dżuddzie. Wywiad jednego z państw satelickich został odpowiednio opłacony i otrzymał zlecenie likwidacji Hadżiego Mastana. Zawiedziony agent, mogący wypaplać coś nie w porę, stwarzał zbyt wielkie zagrożenie. Jego osoba stanowiła jedyny ślad udziału CIA w tym przedsięwzięciu.

Niebawem KGB ujawni całą sprawę, na co politycy amerykańscy będą mogli zareagować pełnym godności oburzeniem i spokojnie wszystkiemu zaprzeczyć. Oczywiście Anglicy muszą się sami zająć swoimi problemami.

Hawke podszedł do biurka i kiedy z westchnieniem sadził się w fotelu, zadzwonił telefon. Zielony - bezpośrednie połączenie z dyrektorem.

Rozmowa miała w zasadzie charakter jednostronny. Hawke z miną wyrażającą najwyższe zdumienie mamrotał tylko "tak jest". Odłożył słuchawkę pod wyczekującym spojrzeniem trójki mężczyzn przy stole.

Falk utrzymywał później, że nigdy nie widział Hawke'a tak oszołomionego i zbitego z tropu. Z drugiej strony nie był obecny przy tym, jak dzień wcześniej Hawke otrzymał wiadomość z Londynu.

Teraz, choć z trudem, udało mu się opanować.

- Leo - rzucił energicznie - zaczynamy od nowa. Łap telefon i odwołaj tę sprawę z Hadżim Mastanem. Potem każ grupie operacyjnej pozostać w Dżuddzie do odwołania.

- Kontynuujemy operację? - z niedowierzaniem spytał Wisner.

- Powiedzmy, że ostateczne decyzje zostały zawieszona na czterdzieści osiem godzin.

Odbyło się posiedzenie Narodowej Rady Bezpieczeństwa, na którym padły nowe propozycje.

Mam natychmiast lecieć do Londynu i spotkać się z Perrymanem. Oraz z Wasilijem Gordikiem.

Tylko Wisner nie wiedział, kto to jest Gordik. W odpowiedzi na jego pytanie Hawke uśmiechnął się ponuro.

- To mój odpowiednik w KGB.

Tym razem Perryman wybrał Regents Park. Razem z Gemmelem przedstawiali sobą widok dwójki

typowych Anglików zażywających przechadzki - ręce splecione na plecach, tułów nieznacznie podany do przodu; rozmawiając często przystawali, zwróceniem twarzami do siebie.

Dobre pół godziny zajęło Perrymanowi zrelacjonowanie przebiegu trzech spotkań, jakie odbył tego ranka: z Gordikiem, z Hawke'em i na koniec z obydwoma naraz.

- Jakie wrażenie zrobił na panu Gordik? - zapytał Gemmel.

- To zwyczajny kulturalny człowiek - odparł Perryman z pewnego rodzaju zdziwieniem. - I chyba szczerze przejęty śmiercią panny Kaszewej. Nie skorzystał nawet z mojej propozycji dopuszczenia ich do udziału w autopsji. Stwierdził, że nie widzi takiej potrzeby. - Zerknąwszy na zasępioną twarz Gemmela, Perryman spiesznie zmienił temat. -

Hawke natomiast nie był specjalnie sympatyczny.

- Wyobrażam sobie.

- Tak... no cóż, miał po temu powody. Wydali mnóstwo pieniędzy, a przypuszczam, że i jego pozycja została poważnie nadwątlona.

- Niemniej dał pan sobie z nim radę? - Gemmel uśmiechnął się przełomie.

- O tak! Chociaż zachowywał się, jakby został osobiście obrażony. Zanim wyjechał z Waszyngtonu, musieli go tam odpowiednio nastawić.

Chwilę przedtem Perryman wyjaśnił Gemmelowi, jak doszło do owych trzech spotkań. Wstępne ustalenia sformułowano na najwyższym szczeblu w Moskwie i Waszyngtonie. Zadziwiające, jak szybko można załatwić pewne sprawy, gdy ma się do czynienia z ludźmi władnymi podejmować rozstrzygające decyzje. Zwłaszcza kiedy w grę wchodzi nadrzędne interesy narodowe.

Rosjanie bardzo szybko uświadomili sobie korzyści płynące z kompromisu. Operacja MIRAŻ wkroczyła w decydującą fazę, a jej cele doskonale współgrały z ich własnymi interesami. Pozostała jedynie kwestia dobitcia targu i określenia wspólnego obszaru zainteresowań.

- Okazało się, że tego obszaru są całe hektary - zauważył Perryman.

Przede wszystkim, do końca tego stulecia, w granicach Związku Radzieckiego, w jego południowych i wschodnich rejonach, żyć będzie pięćdziesiąt do sześćdziesięciu milionów muzułmanów. Jednocześnie Rosja stanie się do tej pory jednym z głównych importerów arabskiej ropy naftowej. Szybki wzrost cen tego surowca może mieć fatalne skutki dla kruchej struktury ekonomicznej państw bloku wschodniego. Rosjanie niezbyt szczęśliwie zaangażowali się w Afganistanie i chcieliby, jeśli operacja MIRAŻ zakończy się sukcesem, aby Stany Zjednoczone, korzystając z wpływów Mahdiego, ułatwiły im nieco robotę. W

zamian pomogą Amerykanom odbudować ich wpływy w Iranie, a sami wycofają się z tego rejonu. Krótko mówiąc, ustalone zostały strefy wpływów na Bliskim i Środkowym Wschodzie. Trochę przypomina to sytuację z szesnastego wieku, kiedy papież został arbitrem w sporze między Hiszpanią

a Portugalią i sam podzielił nie podbite jeszcze ziemie między oba kraje.

Amerykanie uznali takie rozwiązanie za korzystne. Co więcej, zdają sobie sprawę, iż mając w Rosjanach sprzymierzeńców, nie muszą się obawiać ujawnienia całej intrygi.

Perryman ciekaw był tylko, ile czasu będzie potrzebowało KGB, aby namierzyć Hadżiego Mastana. Zwłaszcza że w Dżuddzie agenci CIA literalnie depczą sobie po odciskach.

Waszyngton cieszy się także, iż przy okazji "cudu" w Mekce, Rosjanie zobaczą przekonujący pokaz skuteczności ich nowej techniki laserowej. W przyszłości może to Amerykanom ułatwić rozmowy SALT, nie ma to bowiem jak negocjować z pozycji siły.

Tak więc interes został przyklepany i po raz pierwszy w historii CIA i KGB wystąpią jako sojusznicy.

- Przerazająca perspektywa - stwierdził Perryman. - Przynajmniej na pierwszy rzut oka. Ale w tym wypadku całkowicie po naszej myśli.

- Jaka w tym wszystkim ma być nasza rola? To znaczy, nasz udział w operacji?

- Ano, z oczywistych względów znajdziemy się w drugiej linii. Amerykanie poprowadzą dalej Hadżiego Mastana. Naturalnie przy współudziale rosyjskiej grupy łącznikowej. Ustalono też, że Rosjanie wyślą swoją ekipę do centrum dowodzenia w Ammanie. Jej celem będzie obserwacja końcowej fazy operacji. Nam pozostaje rola rozjemcy i pośrednika między głównymi uczestnikami akcji.

Mimo przygnębienia Gemmel musiał się uśmiechnąć, słuchając użytej przez Perrymana terminologii. Od chwili upadku Imperium niezliczeni politycy angielscy zabiegali o obsadzenie Wielkiej Brytanii w roli rozjemcy między mocarstwami.

- A co ze mną? - spytał.

Dotarli właśnie do rozwidlenia alejki. Droga w prawo wiodła do zoo, w lewo na plac zabaw dla dzieci. Perryman machnął ręką w kierunku widocznych w oddali huśtawek. Szli w milczeniu, dopóki nie znaleźli ławki i nie usiedli.

- Twoja pozycja - stanowczym tonem oznajmił Perryman - została jasno określona na trzecim spotkaniu. Nadal uczestniczysz w operacji jako nasz główny przedstawiciel.

- Musiało to wymagać sporych zabiegów.

Perryman pokręcił głową.

- Właściwie nie. Gordik zgodził się całkiem chętnie.

- A Hawke?

- Ten mniej chętnie. Pozwolił sobie na kilka grubiańskich uwag na temat MI-6 i naszego systemu bezpieczeństwa. Wyczułem w tym pewien ton osobisty. Najwidoczniej czuje się dotknięty zawodem sprawionym mu przez "przyjaciela". To normalne, że jest mocno rozczarowany. Prawdę mówiąc, był zdziwiony, kiedy dowiedział się, że nie zostałeś zwolniony.

- A Gordik nie?

Perryman uśmiechnął się nieznacznie.

- Towarzysz Gordik jest człowiekiem bardzo przebiegłym. Na naszym pierwszym spotkaniu próbował dać mi do zrozumienia, że jego zdaniem wiedzieliśmy o ich agentce, że w pewnym sensie czekaliśmy na nią.

- I?

- Uraczyłem go spojrzeniem, które miało być jednocześnie enigmatyczne i wszechwiedzące. Myślę, że to podziałało, bo porzucił ten temat. Jest przekonany, że cieszy nas funkcja rozjemcy i będziemy próbowali wykorzystać ją do zdobycia wpływów na oba supermocarstwa i oczywiście, zechcemy też coś skorzystać na samej operacji.

- A więc co teraz? Jaki będzie mój następny krok?

- Kolejne spotkanie - energicznie odparł Perrman. - Tylko wy trzej. Dziś wieczorem w apartamencie Gordika w hotelu "Savoy". Muszę przyznać, że jak na zadeklarowanego komunistę, Gordik zdradza niezwykle pociąg do luksusu. - Rzucił Gemmelowi rozbawione spojrzenie. Ale nastały widać takie czasy, że dotyczy to większości agentów wywiadu.

Gemmel prawie nie słuchał. Placyk zabaw dla dzieci był zupełnie pusty, jeśli nie liczyć mężczyzny z dwoma synami - jeden mógł mieć około trzech lat, drugi nie więcej niż pięć. Mężczyzna: siwawy, w garniturze w jodełkę znamionującym biznesmena, ze znękaną miną miotał się po skwerku, to popychając huśtawkę, na której bujał się jeden z chłopców, to chwytając drugiego, gdy ten zbliżał się do końca zjeżdżalni.

W ciszy panującej w pustym o tej porze parku, słychać było tylko piskliwe głosy dzieci.

- Kochałeś ją, Peter? - łagodnym głosem zapytał Perryman.

Gemmel wolno pokiwał głową, nie odwracając oczu od bawiących się malców.

- Naprawdę żałuję, że tak się stało.

Gemmel zerknął na szefa, lecz natychmiast jego wzrok wrócił na plac zabaw.

- Proszę mi tylko nie mówić, że cel uświęca środki, lub czegoś w tym rodzaju.

Perryman nie odpowiedział i po chwili Gemmel zaczął mówić; głosem pozbawionym wyrazu i trochę jakby do siebie.

- Wiem, wiem... powinienem być rozsądniejszy. Poza wszystkim innym, była ode mnie o połowę młodsza... ale... nie mogłem nic na to poradzić. Nic. Nie mogłem się powstrzymać... Nawet nie chciałem tego. Wiedziałem, kim jest. Byłem przygotowany. Ale uczepliłem się tej jednej szansy na tysiąc, że się mylimy, że to będzie ktoś inny. - Potrząsnął

głową jakby oszołomiony. - Minęło tyle czasu... a ona była taka piękna... pod każdym względem. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo.

- Może i mam - cicho odparł Perryman. - Mniej więcej w rok po śmierci mojej żony, może jakieś osiem lat temu, przechodziłem coś w rodzaju depresji. Chyba dopiero wtedy w pełni zdałem sobie sprawę, co się stało. Do tego i w wydziale mieliśmy wówczas wyjątkowo złą passę. Właściwie robiłem mniej więcej to, co ty teraz. Byłeś w tym czasie bodajże w Berlinie, w związku ze sprawą Beckera.

Gemmel potwierdził ruchem głowy. Był nieco zaskoczony niezwykłą u szefa poufałością.

- Tak więc - ciągnął Perryman - postanowiłem wziąć urlop. Omówiłem to z Hendersonem i on się zgodził. - Perryman uśmiechnął się do swych wspomnień. - Był koniec września, lato, pogoda paskudna. Poszedłem na Oxford Street, wstąpiłem do pierwszego z brzegu biura podróży i kazałem załatwić sobie wakacje gdzieś, gdzie świeci słońce. Wszystko jedno, co to będzie za miejsce, byle szybko. I tak wylądowałem w Grecji, w Mykonos. Hotel tam mieli nie najlepszy, ale niedaleko było coś w rodzaju kamienistej plaży. Sezon miał się ku końcowi, w hotelu było prawie pusto; trochę starszych ludzi, głównie Skandynawów. Ale znalazła się tam pewna młoda dziewczyna, może dwudziestolatka; Finka. Przyjechała dzień wcześniej ode mnie. - Perryman spojrzał na Gemmela, a widząc, że ten słucha z widocznym zainteresowaniem, podjął opowieść. - Dostałem pokój z tarasem wychodzącym na plażę i w pierwszym tygodniu spędzałem tam większość czasu. Siedziałem i czytałem. Codziennie, dokładnie naprzeciw mojego tarasu, na plaży opalała się ta dziewczyna. Nosiała bardzo skąpe monokini - tylko dół, bez góry - i była oszałamiająco piękna. Dziwne, ale żaden z miejscowych donżuanów nie próbował jej niepokoić. Było w niej coś, co trzymało ludzi na dystans. Jakiś chłód, zupełnie jakby trzymała kartkę z napisem "nie zbliżać się". Wiesz, o co mi chodzi, prawda?

- Tak. Wiem bardzo dobrze.

- Właśnie. A więc przez ten pierwszy tydzień, przyglądałem się, jak jej ciało brązowieje na słońcu. Miała długie, płowe włosy, które wydawały się coraz jaśniejsze, w miarę jak skóra stawała się coraz ciemniejsza. Po pewnym czasie stwierdziłem, że nie mogę oderwać od niej oczu. Byłem tym nawet zakłopotany. - Perryman uśmiechnął się. - Czuję się trochę jak podglądacz; pięćdziesięcioletni facet, zachowujący się jak nastolatek.

- Co stało się potem? - Gemmela najwyraźniej zaciekała ta historia.

- Otóż pewnej soboty przebrałem się do kolacji, wiesz, smoking i tak dalej. W

dzisiejszych czasach mało kto robi takie rzeczy, ale po kolacji miał grać jakiś zespół i nie byłem pewien jak inni się ubiorą. - Wspomnienie dawnych wydarzeń ponownie wywołało uśmiech na

twarży Perrymana. - Wszedłem do sali i z miejsca poczułem się dość głupio.

Wszyscy byli ubrani zupełnie zwyczajnie. Dziewczyna siedziała przy barze, sama. W

spodniach i jakiejś bluzce. Zamówiłem coś do picia i zauważyłem, że przygląda mi się z uśmiechem. Możesz mi wierzyć, byłem bardzo skonfundowany. Tymczasem ona opróżniła swoją szklankę i odezwała się do mnie. Powiedziała: "Czy nie zechciałby pan zamówić mi jeszcze raz to samo? Za chwilę wracam". Wstała i wyszła. Zamówiłem jej drinka, ale długo nie wracała. Wszyscy poszli na kolację i zaczynałem już podejrzewać, że w ogóle nie wróci.

A potem zobaczyłem ją. Początkowo jej nie poznałem. Miała na sobie długą, czarną, wieczorową suknię i srebrny naszyjnik. Włosy zaczesła do góry, a pod pachą trzymała małą, wyszywaną cekinami torebkę. Wyglądała absolutnie doskonale. Nie spojrzała nawet na swojego drinka, tylko wzięła mnie pod ramię i powiedziała: "Może byśmy coś zjedli?".

Spędziliśmy cudowny wieczór.

- I co potem?

- Potem były jeszcze dwa cudowne tygodnie. Niewiarygodnie cudowne. - Perryman westchnął. - I powiem ci, Peter, że całkowicie mnie zawojowała. Nigdy nie próbowałem tego zrozumieć. Oczywiście, nie zapomniałem o swojej pozycji. Rozważyłem wszystkie możliwości. Ostatecznie była Finką, a ja człowiekiem numer dwa w MI-6, i - akurat wtedy -

facetem zupełnie bezbronny pod względem emocjonalnym.

- Sprawdził ją pan?

- Nie. I szczerze mówiąc, niewiele o to dbałem. - Perryman poszukał wzrokiem oczu młodszego mężczyzny. - Tak więc, widzisz Peter, są takie chwile, kiedy wszyscy stajemy się bezbronni.

- Czy później spotkał pan ją jeszcze?

- Nie. Przypuszczam, że dla niej było to coś przelotnego, nie starałem się tego ciągnąć na siłę. Ona też nie. - Perryman uśmiechnął się z przymusem. - Z tego wniosek, że nie była podstawiona. Ale wierz mi, Peter, że trochę rozumiem twoje uczucia.

Spojrzał na zegarek i podniósł się z ławki.

- Chodźmy już, bo spóźnisz się na spotkanie.

Na Leicester Square Gemmel utknął w korku i mimo wszystko dojechał do "Savoyu"

trochę spóźniony. Za to przed hotelem nie miał przynajmniej kłopotów z parkowaniem.

Portier, zachwycony jego Lagondą, wskazał mu jedno z niewielu wolnych miejsc przed głównym wyjściem.

Jadąc windą na czwarte piętro, zastanawiał się, jak powinien przywitać Gordika. Tak czy inaczej, postanowił zachować spokój i unikać sytuacji konfliktowych.

Nacisnął przycisk dzwonka przy drzwiach i w chwilę później w progu stanął Gordik.

Wymienili ostrożne spojrzenia, a potem Rosjanin cofnął się i Gemmel wszedł do niewielkiego przedpokoju.

- Nie sądzę, abyśmy musieli się sobie przedstawiać - rzekł Gordik z wymuszonym uśmiechem. - Na pewno dostatecznie często oglądaliśmy swoje fotografie.

- Niewątpliwie - przytaknął sztywno Gemmel. - Czy jest już Hawke?

- Tak. Popija w salonie. - Gordik skierował się do drzwi, ale przystanął, słysząc wypowiedziane szorstkim tonem słowa Anglika.

- Zanim tam wejdziemy, chciałbym zadać panu jedno pytanie. - Gordik odwrócił się, czując, że atmosfera w pokoju robi się napięta. - Słucham.

- Czy wiedział pan, że była dziewicą?

- Tak. Wiedziałem o tym. - Gordik przyglądał się twarzy Gemmela, czekając aż tamten przetrawi jego słowa. Zauważył zmarszczki zmęczenia wokół oczu i wyczuł wysiłek, z jakim Anglik panował nad sobą.

- Panie Gemmel - powiedział - niech mi wolno będzie coś wyjaśnić, tak byśmy nie musieli więcej wracać do tej sprawy. Chociaż oczywiście nie wyrzucimy jej ze swojej pamięci. Nigdy nie brałem pod uwagę możliwości samobójstwa Mai Kaszewej. Choć nie mogę powiedzieć, że gdyby taka możliwość realnie istniała, nie wysłałbym jej na tę akcję. W

naszej pracy obaj musimy nieraz wypełniać przykre obowiązki. Zapewniam pana, że śmierć Mai głęboko mną wstrząsnęła. Podobnie odebrali ten fakt moi najbliżsi współpracownicy.

Znałem ją krótko, ale to wystarczyło, bym się do niej przywiązał; głębiej nawet, niż początkowo sądziłem. Może zechce pan wiedzieć, iż obiecałem Mai, że zgodzę się na wyjazd jej matki, jeśli zdecyduje się zostać na Zachodzie, Może mi pan wierzyć lub nie, ale zamierzałem dotrzymać tej obietnicy.

Gemmel odetchnął głęboko.

- A więc podstawiliście mi dziewicę. Nigdy bym was nie podejrzewał o takie wyrafinowanie.

Gordik uśmiechnął się.

- Nie miałem wyboru, panie Gemmel. Wysłałem ją do naszej szkoły, a ona kopnęła głównego instruktora w to, co miał najcenniejszego. Bardzo mocno. Prawdę mówiąc, na tyle mocno, że musi teraz szukać pracy innego rodzaju.

Gemmel próbował zareagować uśmiechem, ale bezskutecznie. Wskazał na drzwi, a Gordik otworzył je i gestem zaprosił go do środka.

Naprzeciw dużego okna ulokowano bar wyposażony w trzy wysokie stołki. Na jednym z nich siedział Hawke zapatrzony w widoczną w oddali rzekę. Kiedy weszli, odwrócił

się, obrzucił Gemmela chłodnym spojrzeniem i znów utkwiał wzrok w oknie.

- Nadal nie widzą potrzeby dokonywania prezentacji - oznajmił Gordik, stając za barem. - O ile zebrane przez nas dane są prawdziwe, dla pana, panie Gemmel, szkocka z wodą sodową. - Zdjął z półki butelkę Chivas Regal i zabrał się do nalewania.

Gemmel przysiadł na jednym ze stołków.

- Cześć, Morton - rzucił.

Hawke, nie odrywając oczu od okna i nie odwracając głowy, wycedził:

- Taak, Pete, mam nadzieję, że przynajmniej dobrze się pieprzyła.

Gordik, obserwujący twarz Anglika, zorientował się, że oto puszczają wszelkie hamulce; uczynił jakiś ruch, próbując interweniować, ale już było za późno.

Prawa ręka Gemmela wystrzeliła do przodu dokładnie w chwili, gdy Hawke zaczął się ku niemu obracać. Trafiony w szczękę Amerykanin stracił przytomność, zanim jeszcze jego ciało wylądowało na dywanie.

- Już w porządku, proszę pana - zwrócił się do Gordika lekarz hotelowy. - Za kilka minut będzie na nogach.

Rosjanin odprowadził go do drzwi i wrócił za bar. Z wyrazem hamowanego rozbawienia na twarzy nalał Gemmelowi kolejną szklaneczkę whisky.

- Dla mnie, Rosjanina, to coś nowego - występować jako rozjemca między zachodnimi sojusznikami.

- Wygłupiłem się - odparł Gemmel. - Przepraszam. Podejrzewam, że nie zostało mi nic innego, jak wycofać się z tej sprawy.

- Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne. Wiele sobie obiecywałem po współpracy z panem; tak jak i z Hawke'em. Uważam, że stanowimy idealny zespół. Czy to coś pomoże, jeśli na chwilę zostawię was samych?

- Niewykluczone.

Gordik opróżnił szklanekę i wstał.

- Proszę mnie wezwać, kiedy skończycie. Będę w barze na dole. - Uśmiechnął się ironicznie. - W

amerykańskim barze.

Kiedy wyszedł, Gemmel nalał do szklanki Canadian Club na trzy palce, dodał kostkę lodu i odrobinę wody sodowej. Otworzyły się drzwi sypialni i wszedł Hawke. Lewą stronę twarzy miał spuchniętą, na szczęce zaczął się już formować ciemny siniak. Mimo to pewnie, niemal energicznie, podszedł do baru i usiadł na stołku. Gemmel przesunął ku niemu przygotowaną szklankę. Hawke przyjął ją, pociągnął solidny łyk i przez chwilę, zamyślony, obracał naczynie w palcach. Potem rzucił Gemmelowi przeciągłe spojrzenie i rzekł:

- Zdaje się, że ta historia z dziewczyną poruszała cię bardziej, niż mogłem przypuszczać.

- Istotnie. Popełniłem jednak niewybaczalny błąd. I drugi, kiedy cię uderzyłem.

Hawke westchnął.

- No dobrze. Nie będę cię przeproszał za to, co powiedziałem. Zasłużyłeś sobie na takie traktowanie.
- Potarł szczękę i uśmiechnął się krzywo. - Tyle że powinienem ci to powiedzieć, stojąc w drugim końcu pokoju.

Gemmel milczał. Czuł, że ogarnia go uczucie wdzięczności dla tego Amerykanina.

Był niemal przytłoczony jego wielkodusznością. Uznał, że powinien choć spróbować wyjaśnić mu, co się stało.

- Doprawdy, przykro mi, Morton. To skomplikowana sprawa. Wiem, że trudno ci się w rym połapać. Może to kiedyś zrozumiesz, ale nie sądzę, byś mnie wtedy bardziej polubił.

Rzecz w tym, że byłem bezbronny jak dziecko. Znasz mnie trochę. Nasza przyjaźń wiele dla mnie znaczyła. Zdobywanie przyjaciół nigdy nie było moją mocną stroną. Wiesz, jak to jest w naszym fachu: człowiek dostaje kręcka na punkcie tajności, stara się dzielić swoje życie na strefę prywatną i zawodową, męczy się świadomością przynależności do świata obcego większości ludzi; świadomością bycia odmieńcem.

Hawke słuchał zafascynowany, poruszony szczerością tego tak zwykle zamkniętego w sobie człowieka.

- Tobie jest trochę łatwiej - ciągnął Gemmel. - Masz wspaniałą rodzinę. Po pracy możesz wrócić do domu i żyć jak normalny człowiek. Wściekasz się na swoją żonę, bo przemeblowała ci mieszkanie, ale ja widziałem was razem i jestem pewien, że kochasz ją tak samo jak w dniu, kiedy się poznaliście. Wychowałeś świetnych synów, możesz być z nich dumny i cieszyć się ich sukcesami. Tak jak ja kiedyś: te same nadzieje i oczekiwania; taka sama prosta droga przede mną. A potem to się skończyło i w tym momencie dobiegła końca jakaś część mego życia. Fakt, jakby człowiekowi usunięto operacyjnie tę część mózgu, która pozwala mu czuć się szczęśliwym. Dlatego byłem bezbronny. Nagle poczułem, że znów mam przed sobą jakąś przyszłość. Znów widziałem przed sobą prostą drogę. W sensie emocjonalnym spędzałem życie w czymś w rodzaju celi; celi skazańców. I oto odroczone wykonanie wyroku i drzwi się otworzyły. Przez te wszystkie lata od śmierci żony,

siedziałem w celi i gapiłem się na te zamknięte drzwi i kiedy je otwarto, kiedy ujrzałem dobiegające spoza nich światło - byłem wstrząśnięty i przerażony. Bałem się wstać i wyjść. Bałem się przeciwstawić światu swoje uczucia. A z drugiej strony musiałem to zrobić. Musiałem podnieść się z pryczy i opuścić moją celę. Oczywiście sprawdziłem tę dziewczynę. I oczywiście miałem pewne podejrzenia, ale odepchnąłem je od siebie, próbowałem zignorować. - Gemmel przerwał i spojrzał na Hawke'a, nagle zażenowany, jak może być zażenowany tylko człowiek skryty, otwierając swą duszę, przed innym, choćby przyjacielem.

Hawke był wyraźnie wzruszony.

- Podjąłeś wielkie ryzyko - powiedział łagodnie. - Miałeś taką szansę, jaka niemal nigdy nie trafia się agentowi wywiadu. A ty zaryzykowałeś. Sądziłem, że wiem, co to znaczy miłość, ale może byłem w błędzie. Nie potrafię wyobrazić sobie siebie w tej sytuacji.

- Nie sądzę, byś się w niej kiedykolwiek znalazł. - W głosie Gemmela pojawiła się gorycz. - W każdym razie, dziękuję ci Morton, że przynajmniej próbowałeś mnie zrozumieć.

Pozostaje pytanie, czy chcesz, abym nadal uczestniczył w tej operacji. Masz pełne prawo zadzwonić do Perrymana i powiedzieć mu, że dopuściłem się wobec ciebie fizycznej napaści.

Stary mnie odwoła.

Hawke pokręcił głową.

- Możemy uznać, że nic się nie stało. Ale, Peter, sytuacja się zmieniła. Pamiętasz, jak skarżyłeś się w Waszyngtonie, że twoi niewiele skorzystają, nawet jeśli operacja MIRAŻ

zakończy się sukcesem. Chyba zdajesz sobie sprawę, że teraz musicie brać, co wam dają.

Przy pomocy Rosjan jesteśmy w stanie przeprowadzić to sami. Naszym ludziom w Dżuddzie przekazałem już polecenie przejęcia Hadżiego Mastana od Boyda. Rosjanie przyślą własną ekipę. Odtąd będziesz tylko obserwatorem z dostępem do podstawowych informacji. - Hawke urwał i zerknął na zegarek. - Gdzie ten Rusek? - rzucił rażno. - Musimy omówić kilka szczegółów.

- Pije w barze amerykańskim - odparł przez ramię Gemmel, sięgając po telefon.

Pięć minut później zjawił się Gordik. Badawczym spojrzeniem obrzucił dwóch mężczyzn przy barze i jego twarz wykrzywiła się w uśmiechu.

- I znów jesteśmy przyjaciółmi? - Nie czekając na odpowiedź, podszedł do półki z trunkami, przygotował sobie drinka i napełnił szklanki pozostałym. Przyjrzał się krytycznie siniakowi na szczęce Hawke'a i orzekł:

- Mogło być gorzej.

Hawke uśmiechnął się półgębkiem.

- Żeby zacytować Jacka Dempseya: "Zapomniałem zrobić unik". Ale mniejsza o to.

Może przejdziemy do interesów?

Rozmowa dotyczyła spraw organizacyjnych. Była dość dziwna, ale zarazem twórcza -

każdy z rozmówców zwlekał jak mógł z ujawnieniem swoich możliwości, zarazem gorliwie starając się dowieść umiejętności i kompetencji własnych organizacji.

Gordik wypytywał o Hadżiego Mastana i innych arabskich agentów terenowych.

Przypuszczał, że wszyscy byli zamaskowanymi chrześcijanami, a kiedy otrzymał

potwierdzenie, przyznał, iż agenci KGB na tym terenie mieli podobne pochodzenie.

- Naturalnie posługujecie się Koptami. Oni nienawidzą islamu. W Libanie nie macie kłopotów z rekrutacją. To samo w części Iranu i Iraku. My szczęśliwie mamy Arabów-chrześcijan u siebie.

- Jak wygląda wasza pozycja w Arabii Saudyjskiej? - spytał Hawke, a Gordik uśmiechnął się ze skrywanym zadowoleniem.

- Powiedzmy, że jest adekwatna do naszych potrzeb, panie Hawke. Podczas hadżdu będziemy mieli w Mekce dość swoich ludzi, żeby kontrolować sytuację.

Następnym tematem była organizacja centrum dowodzenia w Jordani, Przygotowano dużą, otoczoną murem willę na przedmieściach Ammanu. Gordik oświadczył, że przywiezie ze sobą Lwa Tudina i sekretarkę. No i oczywiście kilku ochroniarzy oraz specjalistów łączności.

- Mimo wszystko, Jordania nie leży w naszej strefie wpływów - rzekł z rozbrajającym uśmiechem.

Niemal od początku rozmowy Gemmel wyraźnie znalazł się poza głównym nurtem.

Zrozumiał teraz, co oznaczały słowa Hawke'a. Miał być tylko świadkiem, pozbawionym wpływu na rozwój wydarzeń.

Kiedy na koniec usunięto wszelkie sprzeczności, Gordik napełnił szklanki i wzniosł toast za pomyślną współpracę. A potem drugi, za powodzenie operacji MIRAŻ.

KSIĘGA CZWARTA

W meczecie Ibn Tulun w Kairze nigdy jeszcze nie było takich tłumów. W każdym razie nie za pamięci żyjących. Ale po mieście rozeszła się wiadomość, że przeprawiwszy się przez Morze Czerwone, przybył do Dżuddy Abu Kadir i w piątek weźmie udział w modłach wieczornych. Nawet najwięksi sceptycy ulegli więc ciekawości.

Pojawił się na godzinę przed zachodem słońca. Otaczało go kilkunastu uczniów, którzy pomogli mu przedostać się przez ciżbę. Szmer w świątyni stopniowo zamierał, kiedy on, wolnym, zdecydowanym krokiem podszedł do basenu z bieżącą wodą i obmył sobie dłonie i stopy. Był jakby nieświadom otaczającej go masy ludzkiej, a mimo to wielu tłoczyło się, chcąc dotknąć jego szaty lub choćby znaleźć się bliżej niego. Kiedy na koniec przemówił, był oszczędny w słowach i tylko stojący najbliżej mogli słyszeć jego głos. Niemniej podawane z ust do ust posłanie szybko obiegło cały meczet.

- "Ja jestem tylko ostrzegającym i zwiastunem dla ludzi, którzy wierzą!"

Tak zaczął, cytując siódmą surę Koranu. Sens jego kazania był prosty: nadchodzi czas wielkich zmian; niebawem wszystko się wyjaśni; znak przyjdzie z wysokości. On, Abu Kadir, uda się z pielgrzymką do Mekki i tam będzie go oczekiwał. Jego przyjaciele zbiorą się w Taif i razem przejdą pustynię, zmierzając do świętego miasta. W porze hadźdżu wszystko stanie się jasne.

Skończył, a tłum rozstąpił się, czyniąc mu przejście do bramy meczetu. Wśród zgromadzonych znaleźli się tacy, a było ich wielu, którzy poruszeni prostymi słowami przybysza z Dżuddy, ślubowali odbyć tę samą co on drogę przez morze i pustynię.

Abu Kadir spędził w Kairze jeszcze dwa dni, modląc się i przemawiając w wielu meczetach. Hadzi Mastan zawsze był u jego boku, wyjąwszy dwie godziny, kiedy oddalił się, by odwiedzić swego brata. Czekał tam na niego mężczyzna, który choć doskonale mówił po arabsku - Arabem nie był. Wręczył on Hadziemmu małe, metalowe pudełko, nie większe od paczki cygar, na jednej ze ścianek zaopatrzone w szereg wskaźników i przełączników.

Na pasie startowym numer trzynaście Ośrodka Lotów Kosmicznych Kennedy'ego wylądował potężny transportowiec C-5A "Galaxy" należący do sił powietrznych i wolno podkołował na stanowisko przeładunkowe. Obok wielkiego dźwigu stał tam prom kosmiczny

"Atlantis" z otwartym lukiem towarowym. C-5A zatrzymał się po drugiej stronie dźwigu i natychmiast cały teren otoczyła służba bezpieczeństwa Ośrodka.

Godzinę później Elliot Wisner i kilku naukowców z jego zespołu obserwowali, jak obła bryła satelity znika we wnętrzu promu. Ciągnik Kenworth zbliżył się do dziobu

"Atlantis" i po umocowaniu zaczepów potoczył się na swych dziewięćdziesięciu kołach, z promem na holu, w kierunku gigantycznych kratownic stanowiska startowego.

Z oczywistych powodów w Ammanie dowództwo przejął Hawke. Purpurowy siniak na szczęce bynajmniej nie odbierał mu autorytetu ani poczucia władzy. Wszędzie go było pełno. Niezmordowanie krążył po budynku, sprawdzając wszystko: od grubości materacy na dziesiątkach prowizorycznych miejsc do spania, po instalacje sprzętu telekomunikacyjnego.

Gordik natomiast zachowywał się jak facet, który nieproszony zjawia się na przyjęciu i wyśmienicie się bawi, nic sobie nie robiąc z oburzonych spojrzeń gospodarzy i legalnych gości.

Przybyli na pokładzie transportowego "Herculesa" USAF, rzekomo jako zespół amerykańskich doradców wojskowych. Nawet Rosjanie mieli na sobie uniformy sił powietrznych Stanów Zjednoczonych, ale po przybyciu do willi przebrali się w cywilne ubrania. Wszyscy, z wyjątkiem Gordika, który paradował w mundurze pułkownika, zdobnym w medale i baretki oznaczające liczbę odbytych kampanii.

Willa w Ammanie była rozległą, pełną zakamarków dwupiętrową budowlą.

Zamieszkiwało ją obecnie trzydziestu dwóch ludzi. Na parterze mieściła się wielka jadalnia i salon, nazywany przez Hawke'a "pomieszczeniem rekreacyjnym". Meade nadzorował

urządzenie pokoi i miał zadbać o odpowiednie zapasy alkoholu. O miejscowych przepisach zabraniających tego rodzaju napojów nie było mowy. Tuż obok "pomieszczenia rekreacyjnego" znajdował się ośrodek łączności, wyposażony w najbardziej wyszukany sprzęt radiowy i telekomunikacyjny. Rosjanie przywieźli nieco własnych urządzeń, ale nawet ich nie rozpakowali, ustaliwszy, że aparatura amerykańska spełnia wszelkie wymagane przez nich parametry. Wspólnymi siłami techników trzech wywiadów nawiązano niebawem roboczy kontakt z wyznaczonymi obiektami; tak więc willa posiadała teraz połączenie z Moskwą, Londynem, Waszyngtonem, Ośrodkiem Kennedy'ego na Florydzie, Ośrodkiem Johnsona w Houston i różnymi placówkami terenowymi, a nawet pojedynczymi agentami.

Grupa amerykańska zajęła resztą parteru i większą część pierwszego piętra. Rosjanie rozlokowali się na drugim piętrze, a Brytyjczykom przypadło kilka pomieszczeń należących kiedyś do służby.

Na pierwsze spotkanie wszyscy zebrali się w "pomieszczeniu rekreacyjnym". Leo Falk rządził za barem, wydając drinki i flirtując z Larysą, która była jedyną obecną tam kobietą. Ubrana w bluzkę od Lanvina i spódnicę Givenchy, przyciągała pożądliwie spojrzenia większości mężczyzn. Gordik i Meade siedzieli przy barze, zatopieni w ożywionej rozmowie.

Tudin w kącie sali rozgrywał partię szachów z którymś z Rosjan. Gemmel i Boyd usadowili się na uboczu, w niewielkiej wnęce.

- Chciałbym przynajmniej wiedzieć, co się dzieje - odezwał się Boyd ze skargą w głosie.

- Dowiesz się Alan. W odpowiednim czasie.

- Bardzo ładnie, ale na razie nic z tego nie rozumiem - ciągnął Boyd. - Wysyłasz mnie do Taif z

opieczętowaną instrukcją dla jakiegoś Makbula Saddikiego; na miejscu podają hasło i okazuje się, że to dwunastoletni chłopak. Jak Boga kocham, Peter, co tu się dzieje?

Gemmel mruknął coś uspokajająco, a od konieczności udzielenia bliższych wyjaśnień wybawiło go wejście Hawke'a. Amerykanin zaklaskał głośno i wszystkie rozmowy ucichły.

- Na początek sprawy porządkowe - podniesionym głosem zaczął Hawke. I już nieco ciszej kontynuował: - Teraz kiedy wszyscy są ulokowani, chciałbym ustalić kilka podstawowych zasad. Przedyskutowałem je z panem Gordikiem - skinął w stronę Rosjanina -

i doszliśmy do porozumienia. Mimo iż ten budynek jest całkowicie bezpieczny, a nasi ludzie na zewnątrz gwarantują nam całodobową ochronę, nadal musimy zachować ostrożność.

Miejscowe władze uważają nas za część amerykańskiej misji doradców wojskowych, toteż wyznaczona grupa będzie stale pracować z Jordańczykami, aby utwierdzać ich w tym przekonaniu. Niemniej nasza liczebność może wydać się komuś podejrzana, toteż ustaliliśmy, że do czasu zakończenia operacji za sześć dni, nikt nie będzie opuszczał terenu willi. Jedyne wyjątki, to dwa kursy dziennie do ambasad: amerykańskiej i rosyjskiej. - Hawke ponownie wskazał głową Gordika. - To oczywiste, że Rosjanie chcą utrzymywać tajny kontakt z Moskwą, a my z Waszyngtonem. Fakt, że używamy tu wspólnego systemu łączności, oznacza, iż w pewnym sensie czytamy nawzajem swoją korespondencję. - Uśmiechnął się ironicznie. - Nie, żebyśmy mieli przed sobą jakieś sekrety. Ty, Peter, nie będziesz chyba miał

nic przeciwko temu, by komunikować się z Londynem za pośrednictwem naszej ambasady.

Szczerze mówiąc, im mniejszy ruch między tym miejscem a ambasadami, tym lepiej.

- Nie ma problemu, Morton. - Gemmel nie protestował. - Nie sądzę, abyśmy prowadzili specjalnie ożywioną korespondencję.

- Świetnie. - Hawke energicznie zatarł ręce. - A teraz sprawy bardziej przyziemne.

Przed centrum łączności znajduje się tablica ogłoszeń, na której będzie wywieszane zawiadomienie o godzinach posiłków. Postarajmy się być punktualni. Dysponujemy amerykańskimi kucharzami wojskowymi, którzy zrobią, co będzie w ich mocy, aby urozmaicić jadłospis, uwzględniając przy tym gusty naszych rosyjskich przyjaciół. - Hawke uśmiechnął się. - Z tego, co wiem, towarzyszu kapral Brady potrafi gotować kiepski, bo kiepski, ale barszcz. Będę wdzięczny, jeśli poza uzasadnionymi wyjątkami, oczywiście z wyłączeniem służb łączności, wszyscy zechcą udawać się na spoczynek przed północą.

Ustalono także, iż alkohol będzie przechowywany i podawany wyłącznie w pokoju rekreacyjnym. Czy są jakieś pytania?

- Tylko jedno - odezwał się Gordik. - Czy przygotowania do startu promu kosmicznego przebiegają w sposób zadowalający?

- Absolutnie - z przekonaniem oświadczył Hawke. - Jak wiadomo, nie jest to dziś nic

nadzwyczajnego i nie przewidujemy żadnych trudności. Tak czy inaczej, będzie pan o wszystkim informowany na bieżąco.

- Jakie nowiny z Taif? - spytał Gemmel.

- Zebrała się tam już całkiem spora grupa zwolenników Abu Kadira. On sam i Hadzi Mastan przybyli wczoraj, jak zwykle, z niewielką gromadką uczniów, ale nasi agenci donoszą, że dziś rano na przedmieściach miasta zgromadziło się dwa do trzech tysięcy pielgrzymów. W najbliższych dniach ich liczba prawdopodobnie wzrośnie. Tak się składa, że właśnie odbywają się w Taif doroczne targi hodowców wielbłądów i wielu handlarzy zechce pewnie przyłączyć się do pielgrzymki Abu Kadira. Coś jeszcze? - Hawke obiegnął wzrokiem pokój, a ponieważ więcej pytających nie było, skłonił się i pomaszerował w kierunku ośrodka łączności.

- Cholera, czuję się jak uczeń - warknął Boyd.

Gemmel zaśmiał się.

- To tylko taka poza. O ile znam tego faceta, prawdopodobnie jest bardzo podekscytowany i usilnie stara się to ukryć. Jeśli ta sprawa wypali, zdobędzie wyjątkową i niepodważalną pozycję w Waszyngtonie.

- Czyli ma powody do zadowolenia - ironicznie zauważył Boyd. - Ale my zupełnie nie mamy się z czego cieszyć. Mam wrażenie, że jesteśmy tu ledwie tolerowani. To trochę nie w porządku, Peter. Było nie było, w początkowej fazie odwaliliśmy najwięcej roboty.

- To było nieuniknione - odparł Gemmel i klepnął asystenta po ramieniu. - Nie martw się, Alan, tak czy inaczej coś na tym skorzystamy.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - ponuro mruknął Boyd i spojrzął na zegarek. - A teraz idę łyknąć coś przed obiadem - oświadczył i odszedł w stronę baru.

Na stole leżały trzy przedmioty ułożone w trójkąt: pistolet, zakrzywiony sztylet w srebrnej pochwie i Koran. Pistoletem był rosyjski tokariew i mężczyzna siedzący u szczytu stołu zdobył go na agencie KGB, którego zabił dwa lata wcześniej w Damaszku. Mężczyzna ów nazywał się Sami Zahabi i był przywódcą miejscowej komórki Bractwa Muzułmańskiego, tajnego związku założonego w 1930 roku przez Hassana al-Bannę w Egipcie. Organizacja ta postawiła sobie za cel oczyszczenie struktur władzy w państwach islamskich z elementów świeckich i przeciwdziałanie odstępstwom od prawa koranicznego w praktyce politycznej.

Członkowie związku posuwali się nawet do mordowania czołowych polityków, jeśli ci nie przestrzegali zasad islamu. Pięciosobowa komórka Bractwa miała swoją siedzibę w dużym domu wznoszącym się na terenie ammańskiego suku. Należał on do bogatego kupca, członka związku od trzydziestu lat.

Zahabi był dziś w optymistycznym nastroju, co nie zdarzało mu się często. Przez ostatnie trzy lata działał w Syrii, organizując demonstracje i skrytobójstwa, które niemal doprowadziły do upadku

rządu. Dopiero krwawe represje pozwoliły władzom zapobiec wybuchowi powstania. Ponad tysiąc Braci zostało aresztowanych i uwięzionych w syryjskich więzieniach. Dwustu czterdziestu z nich skazano na karę śmierci. Schronienie i aktywną pomoc zaoferowała Bractwu Jordania, pozostająca w napiętych stosunkach z Syrią. Zahabi cudem uniknął aresztowania i przybył do Ammanu z zamiarem krótkiego odpoczynku. Zaczął

od przejęcia dowództwa miejscowej komórki, bo chociaż nie planował żadnych akcji wymierzonych w rząd jordański, nigdy nie ustawał w wypatrywaniu okazji do szkodenia Syryjczykom i wspierającym ich Rosjanom. Należał do ludzi, którzy nie znoszą bezczynności, toteż i teraz niecierpliwiła go kilkumiesięczna przerwa w działaniu.

Kilkakrotnie, przejeżdżając obok ambasady radzieckiej w dzielnicy Dżabal, widział przed jej wejściem dwóch ludzi, o których wiedział, iż są agentami KGB. Jeden z nich przez dwa lata służył w Damaszku i był głównym doradcą syryjskiej służby bezpieczeństwa, odpowiedzialnej za zdziesiątkowanie szeregów Bractwa.

Tak więc Zahabi opracował plan porwania agenta albo, w najgorszym razie, zabicia go. Rosjanin występował obecnie pod nazwiskiem Żuków i nominalnie był zastępcą attache wojskowego. Przez trzy miesiące ludzie Zahabiego obserwowali z ukrycia ambasadę rosyjską, toteż wiedział on, jakiego samochodu zwykle używa Żuków. Kiedy następnym razem opuści teren placówki - nastąpi atak. Dzisiejsze spotkanie miało zamknąć okres przygotowań do akcji.

Mając niewiele ponad trzydzieści lat, Zahabi był właściwie najmłodszym członkiem komórki, ale mężczyźni zgromadzeni wokół stołu podporządkowali mu się bez szemrania, jako że górował nad nimi zarówno intelektem, jak i bezwzględnością. Słuchali z szacunkiem, kiedy przedstawiał zarys planu i przydzielał im indywidualne zadania. Należało przede wszystkim zorganizować kradzież dwóch aut, które miały być ulokowane w pobliżu ambasady, przy trzeciej przecznicy - czy też trzeciej obwodnicy, bo taki układ dróg obowiązywał w Jordanii. Znalazłszy się w miejscu zasadzki, pojazd Żukowa zostanie wzięty w dwa ognie przez samochody napastników, a on sam uprowadzony. Istniały cztery możliwe drogi ucieczki z miejsca akcji. Rosjanina można przywieźć do tego domu na suku i podczas gdy Zahabi będzie wydobywał z niego potrzebne mu informacje, setka sympatyków i aktywistów Bractwa zamknie teren wokół kryjówki. Przychylni Zahabiemu funkcjonariusze jordańskiej służby bezpieczeństwa zadbają o to, by poszukiwania Rosjanina prowadzono bez zbytniego entuzjazmu. Celem operacji było przede wszystkim ustalenie, jakie są plany Syryjczyków wobec członków Bractwa pozostających w ich kraju. Niewykluczone, że Żuków był współautorem tych planów.

Zebranie dobiegło końca. Czwórka mężczyzn wyciągnęła ręce, kładąc dłonie na księdze Koranu.

- Taka jest wola Allacha - żarliwie zaintonował Zahabi.

- Taka jest wola Allacha - chórem odpowiedzieli pozostali.

Wokół płonącego przed namiotem ogniska rozsiadło się pięciu Beduinów. Na przedmieściach Taif wyrosło prawdziwe drugie miasto. Oprócz tradycyjnych namiotów, tworzyły je setki prowizorycznych bud, będących schronieniem ludzi z miasta przybyłych, aby dołączyć do Abu Kadira

w jego pielgrzymce do Mekki.

Beduini zarznęli i upiekli jagnię, a po posiłku, popijając z małych filiżanek słodką, czarną kawę, gawędzili i opowiadali sobie dowcipy.

Jeden z nich pochylił się właśnie, dorzucił suszonego wielbłądziejego łajna do ognia i odezwał się w te słowa:

- Kiedy A'isza, córka Talhy, została żoną Masaba, ten powiedział: "Na Boga, tej nocy zamorduję cię swoją namiętnością!". Wziął ją raz i zasnął, i spał aż do świtu, kiedy potrząsnęła nim i zawołała: "Obudź się, morderco!".

Wszyscy zatrzęśli się od śmiechu i następny z obecnych zaproponował swoją historyjkę.

- Pewien mężczyzna tak rzecze do pewnej kobiety: "Chciałbym cię pokosztować, aby dowiedzieć się, czy smakujesz lepiej od mojej żony". A ona mu na to: "Spytaj mojego męża, on kosztował nas obu".

Znów zabrzmiał śmiech, ale nagle ucichł, bo rozmawiający spostrzegli w kręgu światła bijącego od ogniska sylwetkę Abu Kadira z nieodłącznym Hadzim Mastanem u boku.

Z zawstydzonymi minami jęli gramolić się na nogi, ale Abu Kadir wyciągnął dłoń z palcami zwróconymi ku ziemi.

- Nie kłopotcie się, bracia.

Spojrzał na dzbanek z kawą stojący na kamieniu i wtedy jeden z Beduinów zapytał z wahaniem:

- Napijesz się z nami kawy, o Rasul?

Pozostali ciekawie obserwowali Abu Kadira, oczekując jego reakcji, Rasul oznacza bowiem - Apostoła, Wysłannik Boży. Hadzi Mastan rozejrzał się lękliwie. Wszyscy wiedzieli, że na terenie obozu znajdują się posterunki policji religijnej. Lecz Abu Kadir uśmiechnął się i skinął głową, toteż uczyniono im miejsce przy ogniu i napełniono dwie filiżanki kawą.

Abu Kadir wypił łyk i rzekł:

- Parzycie dobrą kawę, a słyszałem, że znacie też dobre kawały. Posłuchajcie tego:

"Pewien mężczyzna napisał do swej ukochanej: «Pragnę, aby twój obraz odwiedzał mnie w snach». Ona zaś odpisała: «Przyślij mi dziesięć dinarów, a odwiedzę cię osobiście»".

Beduini wybuchnęli śmiechem, a potem jeden z nich ośmielił się zapytać:

- Czy byłeś kiedyś żonaty, o Rasul?

Hadzi Mastan znów obejrzał się nerwowo w mrok za plecami. Abu Kadir pokręcił

głową.

- Nie, bracie, ale hadżdż jest blisko i to doprawdy odpowiednia pora, aby myśleć o tych sprawach.

- A i zobaczyć co nieco - rzucił któryś z mężczyzn, uśmiechając się szeroko. Była to aluzja do faktu, że kobietom, na co dzień zasłaniającym twarz, w porze hadżdżu nie wolno tego czynić. Tak więc jest to najlepsza pora do aranżowania małżeństw. To także dobry czas do robienia interesów, zarówno drobnych, jak i na skalę międzynarodową, toteż wiele kontraktów zostało podpisanych właśnie w Mekce, podczas tych pięciu dni. Beduini obecni przy ognisku byli handlarzami wielbłądów i przybyli do Taif na tradycyjny targ tych zwierząt, zanim wyruszą w podróż do Mekki.

Teraz zwrócił się do Abu Kadira najstarszy z nich.

- Czy to prawda, o Rasul, że rano wyruszysz do Mekki? Pieszko?

- To prawda.

- I nie będziesz podróżował tą wielką drogą, którą król - niech Allach błogosławi go i osłania - w swojej mądrości zbudował ku wygodzie niektórych pielgrzymów?

Obecni przywitali pytanie pomrukiem zaciekawienia. W słowach starego kryła się bowiem zrozumiała dla wszystkich ironia.

Abu Kadir spojrział w kierunku świąteł Taif. Dwa miliardy dolarów kosztowało wybudowanie dziesiątków pałaców na rezydencje głów państw muzułmańskich podczas ich trzydniowego pobytu w Taif na ostatnim spotkaniu Szczytu Islamskiego. Do tego wystawne centrum konferencyjne, cztery hotele i ta superautostrada do Mekki.

- Będę szedł obok wielkiej drogi - rzekł z prostotą Abu Kadir i jakby odpowiadając na nie zadane pytanie, dodał: - Wszyscy ludzie na świecie są dziećmi Allacha, ale Arabowie zajmują wyjątkowe miejsce w jego sercu. Dał im bowiem dwa dary. Przez swego proroka Mahometa - zawsze niech będzie błogosławiony - zesłał nam Koran. Dał nam także tę ziemię.

Nie wszyscy przyjęli ją z wdzięcznością, bo jest jałowa i nie nadaje się do uprawy, ale to ona stanowi dziedzictwo wszystkich Arabów.

Beduini słuchali w skupieniu, podobnie Hadzi Mastan, którego twarz wyrażała fascynację połączoną z niedowierzaniem.

- I to dziedzictwo - ciągnął Abu Kadir - nie powinno zostać roztrwonione ani służyć chwale żadnego człowieka. Allach miłosierny i pełen nieskończonej dobroci tak nas poucza w księdze Koranu: "O wy, którzy wierzycie! Nie zjadacie waszych dóbr między sobą nadaremnie".

Po tych słowach zapadło głębokie milczenie. Beduini wymieniali między sobą znaczące spojrzenia, a jeden z nich zapytał.

- Czy o tym będziesz mówił w Mekce, o Rasul?

Abu Kadir wyciągnął rękę i położył mu dłoń na ramieniu.

- Po święcie Ofiary, mój bracie, powiem o wielu rzeczach. - Zwrócił wzrok ku najstarszemu z Beduinów. Przyszedłem do ciebie, ponieważ słyszałem, że ty, Ibn Sahl, jesteś właścicielem wielu wielbłądów, podobnie jak twoi bracia.

- To prawda - odparł stary. - Czy uczynisz mi zaszczyt i zechcesz na jednym z mych wierzchowców pojechać do Mekki?

- Ja będę szedł, ale są między nami starzy i chorzy.

- To twoi uczniowie - uroczyście odrzekł Ibn Sahl - nasi bracia i siostry, o Rasul.

Pojadą za tobą na naszych wielbłądach. A chociaż moje kości są stare, pójdę z tobą do Mekki na własnych nogach.

- Niech Allah ma cię w swojej opiece, Ibn Sahl. Będziesz szedł przy mnie.

Abu Kadir wstał i dokładnie owinał się połami burnusa. Pozostali również podnieśli się z ziemi i zgromadziwszy się wokół niego z nabożnym szacunkiem dotykali jego szat. Po chwili odszedł w mrok z Hadzi Mastanem u boku.

O świcie zwinięto namioty i olbrzymia kolumna pielgrzymów zaczęła schodzić ze wzgórza na pustynną równinę. Na czele kroczył Abu Kadir, po lewej stronie mając Ibn Sahla, po prawej - Hadziego Mastana. W tyle kolumny znaleźli się starcy i chorzy, jadący na grzbietach stada wielbłądów. Wśród nich była drobna, ponad sześćdziesięcioletnia kobieta, która nawet gdy pomagano jej wgramolić się na kark wierzchowca, nie wypuściła z objęć ciężkiego worka ze swym dobytkiem. Jej dwunastoletni wnuk maszerował teraz obok wielbłąda.

Kolumna rozciągnęła się na prawie dwa kilometry, tuż obok czarnej nawierzchni sześciopasmowej autostrady. Śmigające nią mercedesy, lincolny i cadillaki zwalniały, aby podróżujący w ich klimatyzowanych wnętrzach pasażerowie mogli przyjrzeć się niecodziennemu widowisku.

Mirza Farruki, przejeżdżając range roverem saudyjskiej służby bezpieczeństwa, przypatrywał się przez lornetkę czołu kolumny, a zwłaszcza człowiekowi, który od pewnego czasu był przyczyną wielu jego nieprzespanych nocy.

- Pięćdziesiąt dziewięć sekund do startu.

Rufus Cabell, nadzorujący procedurę startu, nie ruszył się od pulpitu kontrolnego. Od czasu, gdy w Ośrodku dokonywano przeciętnie jednego wystrzelenia promu miesięcznie, stało się to operacją niemal rutynową. Ograniczył się więc do oglądania "Atlantisa" na monitorze.

Więcej ciekawości budził w nim natomiast ładunek promu. Po pierwsze dlatego, że znalazł się na pokładzie wbrew niesłuchanie sztywnemu programowi wykorzystania statku. A do tego od chwili przywiezienia go z Palmdale w Ośrodku pojawiła się większa niż zwykle liczba agentów bezpieczeństwa. Było ich dużo więcej niż przy zwykłym satelicie szpiegowskim, chociaż tak właśnie określono misję tajemniczego obiektu. Cabell wiedział, że ma być umieszczony na orbicie geostacjonarnej gdzieś nad Bliskim Wschodem, ale gdzie dokładnie - nie miał pojęcia. A to dlatego, że znów, wbrew ustalonej procedurze, natychmiast po odrzuceniu przez prom zewnętrznego zbiornika paliwa, kontrolę lotu miano przekazać do Johnson Space Center w Houston.

W Houston, w centrum kontroli lotu, Elliot Wisner z uwagą wpatrywał się w monitor.

Usłyszał słowa: trzydzieści sekund do startu i jego podniecenie wzrosło. Było ono spowodowane nie tylko samym startem "Atlantisa". Wisner zdał sobie niedawno sprawę, że był jednym z niewielu naukowców w historii, którym dane zostało zaprezentować wyniki swojej pracy w sposób tak widowiskowy i przed tak ogromną widownią, jaka teraz gromadziła się w Mekce.

- Dziesięć sekund do startu.

Nie odwracając oczu od ekranu, Wisner wyciągnął chusteczkę i wytarł spocone dłonie.

W myślach podświadomie powtarzał słowa modlitwy, błagając, by w ostatniej chwili nie zdarzyło się coś, co zagroziłoby całej operacji.

Jego modlitwy zostały wysłuchane. Uruchomiono silniki, odłączono przewody zasilania zewnętrznego i z charakterystycznym ociąganiem się, otoczony morzem żółtych płomieni, prom uniósł się w powietrze.

Wisner przyglądał się, jak po zakrzywionym torze wzbija się ku niebu. Wreszcie odetchnął z ulgą.

W Ammanie Hawke, Gordik i Gemmel, stojąc za plecami operatora dalekopisu, śledzili przebieg kolejnych faz startu. Kiedy na koniec pojawiły się słowa: "Zewn. zbiornik paliwa odłączony", Gordik grzmotnął Hawke'a w plecy, na co Amerykanin uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Cudo! - wykrzyknął. - Dwadzieścia ton sprzętu śmignęło w kosmos nim się ktokolwiek połapał. To się nazywa TD!

- Touch-down. W futbolu amerykańskim zdobywa się za to punkty - wyjaśnił Gemmel zdezorientowanemu Rosjaninowi.

Przeszli do "pomieszczenia rekreacyjnego", gdzie Hawke z dumą obwieścił

szczęśliwe wystrzelenie promu członkom połączonych zespołów. Następnie odbyło się coś w rodzaju krótkiej odprawy.

- Nasi agenci terenowi - powiedział Hawke - także rosyjscy i angielscy, donoszą, że w chwili obecnej za Abu Kadirem podąża w kierunku Mekki ponad dziesięć tysięcy pielgrzymów. Oceniają też, że w tym roku w Mekce zgromadzi się ponad trzy miliony pielgrzymów.

Szmer na sali wzmógł się.

- To o dwadzieścia pięć procent więcej niż w ubiegłym roku - odezwał się Falk. -

Normalnie roczne wahania tej liczby nie przekraczają dziesięciu procent.

- Przypisujecie to wyłącznie operacji MIRAZ? - zapytał Tudin.

- Nie, nie tylko - przyznał Hawke. - Islam wkracza w czternasty wiek istnienia i ta rocznica ma tu także znaczenie. Niemniej wielu z tych pielgrzymów trafiło do Mekki w wyniku prowadzonej przez nas akcji propagandowej. - Spojrzawszy na Gemmela, Hawke dorzucił: - Od początku Anglicy robili w tym zakresie dobrą robotę.

- Jakie nastroje panują w Mekce? - zadał kolejne pytanie Tudin.

- Nastrój wielkiego oczekiwania. Otrzymujemy sygnały, że służba bezpieczeństwa i policja religijna widoczne są na każdym kroku. I reagują bardzo nerwowo.

Po raz pierwszy zabrał głos Gordik.

- Ufam, iż Abu Kadir nie będzie nieostrożny. Bo wystarczy, że szepnie słowo

"Mahdi", a saudyjska policja skoczy nań szybciej niż głodny kot na tłustą mysz.

- Nie ma obawy. - Hawke pokręcił głową. - Do godziny szesnastej w czwartek Abu Kadir nie powie ani słowa. Znajduje się pod całkowitym wpływem Hadżiego Mastana.

Hawke wrócił do pokoju łączności. W świetlicy podjęto przerwane jego wyjściem rozmowy. Gemmel podszedł do baru i przyjął zaproszenie Falka na wspólnego drinka. Gordik i Meade pogрузyli się w dyskusji, która dotyczyła trudności w nawiązaniu trwałego porozumienia między aktualnymi sojusznikami.

Larysa przez chwilę obserwowała Gemmela ukradkiem, aż wreszcie odezwała się po rosyjsku.

- Bardzo dobrze, że mu pan przyłożył.

Odwrócił ku niej twarz i uśmiechnął się nieznacznie.

- Nie powinienem. To była zdecydowanie nieprofesjonalna reakcja. A poza tym, on na to nie zasłużył.

- Ach, co tam - odparła z dwuznacznym uśmiechem - nie ma nic bardziej nudnego, niż idealny profesjonalista. - Dopija zawartość swojego kieliszka i zsunęła się z wysokiego stołka. - Dobranoc, panie Gemmel. - Zerknęła na Gordika i opuściła pokój, odprowadzana tęsknym spojrzeniem Falka. Świetlica powoli pustoszała. W końcu zostali tylko Gemmel, Gordik i Meade - i niedokończona butelka szkockiej na barze. Kiedy wychodził Gemmel, dwaj ostatni rozmawiali właśnie o "obszarach współpracy" i całkowitej nieskuteczności prowadzenia agentów w oparciu o ambasadę.

Hawke leżał w łóżku i, mimo przemęczenia intensywną pracą umysłową, nie mógł

zasnąć. Myślał o Abu Kadirze wiodącym swoich uczniów przez pustynię do Mekki. Wśród nich byli jego agenci, a także Rosjan i Anglików. Do willi w Ammanie napływało coraz więcej raportów z terenu. Tymczasem w górze, w przestrzeni okołoziemskiej czekał gotowy do akcji satelita, niosący na pokładzie najdoskonalszą aparaturę laserową, jaką stworzył

człowiek. Na chwilę uświadomił sobie, jaki jest moralny sens jego działania, i musiał

przyznać, że kierował przedsięwzięciem mającym na celu dokonanie może największego oszustwa w dziejach ludzkości. Nie miał wyrzutów sumienia, bo na szczęście nie był ani przesadnie wrażliwy, ani sentymentalny i jego umysł pochłaniały przede wszystkim praktyczne aspekty wykonywanego zawodu. Jeśli puszczał wodze wyobraźni, by zastanowić się nad skutkami planowanego oszustwa, to szukał raczej płynących z niego korzyści. Jako szczerzy patriota wierzył bez zastrzeżeń, że to, co robi, jest dobre dla jego kraju. Uważał, że polityka zasobnych w ropę naftową państw Bliskiego Wschodu była od początku do końca skierowana na chronienie własnych interesów. Nie mógł zrozumieć, że chodziło wyłącznie o obronę narodowej tożsamości i własnych aspiracji Arabów. Hawke uważał, że zarówno on, jak i cała operacja MIRAŻ służą postępowi cywilizacji. Pragmatyczny do szpiku kości, gotów był w razie potrzeby bez wahania zaakceptować jezuicką zasadę, że "cel uświęca środki".

Raz jeszcze wrócił myślą do początku łańcucha wydarzeń, których kulminacja miała nastąpić w dolinie Mina w najbliższy czwartek. I znów pamięć przywiodła go do malajskiej dżungli, wywołując obraz siwowłosego szpiega, którego płodny umysł uruchomił cały ten historyczny mechanizm. Zastanawiając się, co mogłoby mu stanąć na drodze do ostatecznego sukcesu, Hawke czerpał pociechę ze świadomości, że jak dotąd operacja przebiegała bez zarzutu. Pogodził się nawet z udziałem Rosjan. Perryman miał rację - istniały olbrzymie obszary możliwej współpracy. Mahdi, ustawiony i kontrolowany wspólnie przez CIA i KGB

stawał się czynnikiem jednoczącym. Reszta to tylko kwestia dobicia targu, czego skutkiem będzie stabilizacja sytuacji na Bliskim Wschodzie, długoterminowe zamrożenie cen ropy naftowej i spadek napięcia w rejonie, który od dawna stanowił zarzewie potencjalnych konfliktów na wielką skalę. A on sam miał szansę wznieść się na szczyty hierarchii CIA.

Ostatecznie dyrektorzy byli mianowani według klucza politycznego. Przychodzili i odchodzili z każdą zmianą administracji. W niedalekiej przyszłości on, Morton Hawke, stanie się najważniejszą osobą w agencji. Było to marzeniem każdego pracownika wywiadu.

Ukołyszany tymi snami na jawie, Hawke przekręcił się na bok, wtulił twarz w poduszkę i zasnął.

Pozornie nic nie znaczące drobiazgi mogą odegrać decydującą rolę w wydarzeniach o najważniejszej randze historycznej. W tym wypadku miał to być termostat. Operacja MIRAŻ

kosztowała jak dotąd kilkaset milionów dolarów. Termostat, o którym mowa, wart był pięć, może sześć dolarów. Zainstalowano go w reprezentacyjnej wóldze ambasady rosyjskiej w Ammanie. Szofer wiozący Lwa Tudina przez ostatnie dwa kilometry niemal nie spuszczał

wzroku ze wskaźnika temperatury. Samochód przegrzewał się od ładnych kilku miesięcy, ale biurokratyczny mechanizm radzieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych działał tak opieszale, że dawno zamówiony nowy termostat wciąż nie nadchodził. Kiedy więc zajechali na dziedziniec poselstwa i Tudin ruszył po schodach w stronę wejścia do budynku, szofer podniósł maskę wołgi i przez grubą szmatę, ostrożnie, odkręcił korek chłodnicy. Buchnęła para.

Tudin codziennie odbywał kurs między willą a ambasadą. Wysyłał raporty Gordika do centrali w Moskwie, osobiście nadzorując ich kodowanie, a potem czekał około godziny, by być obecnym przy rozkodowywaniu ewentualnych odpowiedzi. Dla pracowników ambasady stanowił coś w rodzaju zagadki, było bowiem rzeczą niezwykłą, aby Rosjanin poruszał się swobodnie po Ammanie. Nawet ambasador nie miał pojęcia, czego dotyczy jego misja. Od najwyższych zwierzchników otrzymał jedynie informację, że w grę wchodzi pewna operacja o najwyższym znaczeniu dla interesów państwa, i że będzie ona nadzorowana z Ammanu.

Polecono mu także, aby udzielił wszelkiej pomocy Gordikowi.

Najwyższy stopniem funkcjonariusz KGB w ambasadzie, pułkownik Żuków, dowiedział się niewiele więcej. Co prawda sam podjął pewne kroki, aby ustalić miejsce pobytu Gordika i jego zespołu, i był bardzo zdziwiony odkrywwszy, że ukrywa się on w pewnej willi razem z wysokimi urzędnikami wywiadu amerykańskiego i angielskiego. Prywatnymi kanałami skontaktował się z szefem KGB w Moskwie, informując o zaistniałej sytuacji i prosząc o instrukcje. Odpowiedź była krótka i dosadna: pilnować swoich interesów.

Zbiegiem okoliczności Żuków wychodził z budynku ambasady razem z Tudinem.

Znali się z jakiegoś przypadkowego spotkania w Moskwie i teraz, schodząc po schodach na dziedziniec, wymienili kilka grzeczności. Pożegnali się, życząc sobie powodzenia i Żuków już miał wsiąść do swojego samochodu, kiedy spostrzegł, że kierowca z ambasady gorączkowo naradza się nad czymś z Tudinem. Zatrzasnął drzwiczki i podszedł bliżej.

- To termostat - wyjaśnił kierowca. - Chyba w końcu nawalił na amen. Wątpię, czy uda mi się odwieźć towarzysza Tudina. Mogę zatrzeć silnik.

- Żaden problem - oświadczył Żuków zdecydowanie. - Jadę do domu i mogę najpierw podrzucić towarzysza Tudina. - Zauważył wahanie na twarzy wzmiankowanego i uśmiechnął

się w duchu z zadowoleniem.

- Nie ma powodu do obaw, towarzyszu - rzekł. - Nie znam celu waszej misji, ale to naturalne, że jako szef miejscowej placówki wiem, gdzie stacjonujecie. To niedaleko dzielnicy dla cudzoziemców. - i zapraszającym gestem wskazał swój wóz.

Tudin wzruszył ramionami i zajął wolne miejsce z przodu samochodu. Ruszyli i mijając wartowników przy bramie wyjechali na główną ulicę. Arab, tkwiący z lornetką przy oczach w oknie domu naprzeciwko, opuścił szkła, uniósł do ust mały radiotelefon i wcisnął guzik.

- Wyjeżdża - powiedział. - Ma ze sobą pasażera.

Sami Habay, siedzący w samochodzie zaparkowanym trzysta metrów dalej, przy jednej z ulic przecinających trzecią obwodnicę, odebrał wiadomość i pomiędzy siedzeń starego mercedesa wyciągnął pistolet maszynowy "Uzi".

- Wyjechał - rzekł do "brata" zajmującego miejsce przy kierownicy. Spojrzał na zegarek. - Jest szósta. Skończył na dzisiaj i jedzie do domu. Wiezie ze sobą jakiegoś pasażera.

- Lewą ręką sięgnął po nadajnik i przekazał instrukcje czwórce "braci" czekających w starym fordzie w uliczce po drugiej stronie obwodnicy.

Żuków opowiadał Tudinowi o trudach służby na Bliskim Wschodzie, zarazem próbując wy badać, jaki jest powód jego obecności w tajemniczej willi. Cała ta sprawa niesłychanie go intrygowała. Gordik był jego bezpośrednim przełożonym i Żukowowi nie mieściło się w głowie, że można było podjąć jakieś działania w Ammanie, nic mu o tym nie mówiąc. Niestety, Tudin okazał się bardzo niekomunikatywny, co zirytowało Żukowa i może dlatego zapomniał nieco o ostrożności i mniej uważnie niż zwykle obserwował otoczenie.

Znaleźli się właśnie na kolejnym skrzyżowaniu i Żuków już miał zapytać Tudina, jak długo zamierza pozostać w Ammanie, kiedy uświadomił sobie, że tuż za nim jedzie czarny mercedes. W lusterku zobaczył na przednim siedzeniu dwóch Arabów w tradycyjnych szatach i z zasłoniętymi twarzami. W głowie Rosjanina rozdzwoniły się naraz wszystkie dzwonki alarmowe. Próbował przyśpieszyć, ale w tym momencie z bocznej uliczki wyskoczył

niebieski ford, tarasując drogę. Żuków zahamował gwałtownie; samochód wpadł w poślizg, zarzuciło nim w prawo, a potem uderzył bokiem w blokujący pojazd. Z przeraźliwym zgrzytem dartych blach oba wozy znieruchomiały, zwrócone przodem ku centrum skrzyżowania. Żuków widział, jak z forda wyskakuje czterech mężczyzn. Sięgnął pod marynarkę po pistolet, próbując jednocześnie ostrzec Tudina.

Było już jednak za późno. Z powodu wilgoci i upału okna w samochodach zostawiono opuszczone i, zanim Żuków zdążył unieść pistolet, przed oczami miał już lufę automatu. Przy oknie ze strony Tudina znalazło się dwóch innych mężczyzn, grożąc mu w ten sam sposób.

Akcja odbyła się gładko i sprawnie. Rosjanie zostali wywleczeni z samochodu i zapakowani do

mercedesa w ciągu dwudziestu sekund. Ponieważ uszkodzony ford nie nadawał się do użytku, jego pasażerowie stoczyli się na tylnym siedzeniu mercedesa z Tudinem i Żukowem pod nogami. Na skrzyżowaniu przystanęło kilka wozów, których kierowcy obserwowali całe widowisko, ale nim ktokolwiek zdążył zareagować, czarny mercedes ruszył gwałtownie i odjechał.

Siedemnaście minut później Gordik odebrał telefoniczną wiadomość z ambasady i natychmiast w willi zapanowała napięta, ciężka atmosfera. Gordik nie mógł się pogodzić z własną bezradnością. Czym prędzej zawiadomił o wszystkim Hawke'a i Gemmela.

Utworzono sztab kryzysowy. Dopiero po godzinie znano pełny obraz wydarzeń. Hawke szalał. On i Gemmel niezwłocznie skontaktowali się ze swoimi placówkami w Ammanie.

Zdziwieni szefowie miejscowych ekspozytur CIA i MI-6 stanęli nagle wobec faktu, że wysocy funkcjonariusze ich urzędów przebywają w mieście i co więcej, zamieszani są w jakąś operację, prowadzoną wspólnie z KGB. Dowiedzieli się, że porwano dwójkę rosyjskich agentów i otrzymali polecenie jak najszybszego zidentyfikowania porwawczy. Czekać na pierwsze raporty, Gordik, Hawke i Gemmel próbowali zanalizować sytuację. W normalnych warunkach w pierwszej kolejności podejrzewaliby siebie nawzajem. Teraz taka możliwość nie wchodziła w rachubę. Również nieprawdopodobny wydawał się udział jordańskich służb specjalnych. W stosunkach między Jordanią a Związkiem Radzieckim nie wyczuwało się miłości, ale nikt nie wyobrażał sobie, by Jordańczycy mogli w biały dzień uprowadzić samochód ambasady. Ostatecznie to Gemmel znalazł prawidłowe rozwiązanie, a John Masterson, miejscowy rezydent MI-6 je potwierdził.

- To Bractwo Muzułmańskie - rzekł Gemmel, odkładając słuchawkę telefonu. - Mamy pewne osiągnięcia w infiltracji Bractwa. Nasi agenci ustalili, że to oni dokonali porwania.

Rzecz w tym, Wasilij, że nie wiemy, czy chodziło im o Tudina, czy o tego drugiego człowieka. Kim on jest i czego mogli od niego chcieć? - W głosie Gemmela zabrzmiała pewna natarczywość. Twardym wzrokiem wpatrzył się w Rosjanina.

Gordik zastanawiał się gorączkowo. Już wiedział, że kierowcą samochodu był Żuków.

Znał zasługi pułkownika w rozgromieniu Bractwa na terenie Syrii. W sumie była to wiadomość i zła, i dobra. Tudin znalazł się w samochodzie Żukowa zupełnie przypadkowo, a to prawdopodobnie znaczyło, że Bractwo nic nie wie o operacji, w której bierze udział. Ich celem był Żuków. Tudina wzięli niejako z rozpędu.

Zdecydował się na szczerość. Niczego nie ukrywając, przedstawił Hawke'owi i Gemmelowi wszystkie znane sobie fakty. Hawke wstał od stołu i jął krążyć po pokoju, a z jego ust popłynął potok przekleństw.

- Że też ten pieprzony samochód musiał się akurat popsuć. Jeden zasrany termostat i teraz cała operacja wisi na włosku. - Pokręcił głową wyraźnie przygnębiony. - I nie kto inny, tylko to cholerne Bractwo Muzułmańskie. - Obrzucił Gordika wściekłym spojrzeniem. -

Wiesz coś o nich? O co im chodzi?

Gordik posepnie pokiwał głową.

- Aż za dobrze. Przeprowadziłem przeciw nim niejedną akcję.

- Wspaniale - parsknął Hawke. - Więc wiesz, że to faceci bez skrupułów. A teraz powiedz mi, czy Tudin jest w stanie wytrzymać ich przesłuchanie? Jak wygląda jego doświadczenie? Czy działał kiedyś w terenie i jakie przeszedł szkolenie? - Spojrzał na kalendarz swojego roleksa. - Potrzebujemy nie więcej niż siedemdziesięciu dwóch godzin.

Mniej więcej w tej chwili Abu Kadir wkracza do Mekki. Czy Tudin tyle wytrzyma?

- Nic z tego - ponuro stwierdził Gordik. - Jego doświadczenie, jeśli chodzi o akcje terenowe, jest żadne. To analityk, nie żołnierz. - Znacząco wzruszył ramionami. - A co do wytrzymałości, to owszem, przeszedł rutynowe szkolenie, ale wątpię, czy cokolwiek mogłoby człowieka przygotować na to, co ludzie z Bractwa Muzułmańskiego będą z nim wyprawiać.

- Jasny gwint! - zaklął Hawke i podjął wędrowkę po pokoju. Gemmel wyciągnął nogę i przysunął krzesło Amerykanina bliżej stołu.

- Siadaj, Morton - powiedział ostro. - Pora na spokojne zastanowienie. Chodzi o godziny - nie dni. Musimy wyciągnąć Tudina, i to szybko.

Hawke zatrzymał się i spojrzał na Anglika z mieszaniną przygnębienia i złości.

Wreszcie podszedł do stołu, usiadł i wlepił wzrok w Gordika.

- Mamy jeszcze pewne szansę - pojednawczo zaczął Gemmel. - Jak mówiłem, udało nam się przeniknąć w szeregi Bractwa. Coś o nich wiemy. Nie ma w tym nic dziwnego, bo to my natknęliśmy się na nich pierwsi, w latach trzydziestych, w Egipcie. Powiem wam nawet, że po cichu wspieraliśmy ich, kiedy w 1955 roku próbowali zamordować Nasera.

Gordik i Hawke z rosnącą uwagą słuchali wywodu Gemmela.

- To prawda - ciągnął - że w ciągu ostatnich dziesięciu lat nasza pozycja na Bliskim Wschodzie zmieniła się radykalnie, ale zawsze staramy się utrzymywać starych agentów.

Masterson jest dobry. Jako rezydent MI-6 spędził tu ponad cztery lata i wie, co w trawie piszczy. Postara się dowiedzieć, gdzie przetrzymują Tudina. A my możemy teraz tylko czekać. Jeśli dostaniemy tę wiadomość, będziemy mogli zacząć planować, co dalej.

Ustalenie, gdzie Bractwo Muzułmańskie przetrzymuje Żukowa i Tudina, zajęło Mastersonowi półtorej godziny. Przybył do willi z planem Ammanu pod pacha; wyglądał na zmartwionego. Natychmiast zwołano naradę. Uczestniczyli w niej Gordik, Hawke, Gemmel, Falk, Masterson, szef miejscowej placówki CIA i zastępca naczelnika podobnej placówki KGB. Amerykanin, nazwiskiem Johnson, był poważnym czterdziestoletnim mężczyzną w okularach. Rosjanin - młodszy, muskularny, krępy, nazywał się Kalinin.

Plan miasta powieszono na ścianie i Masterson przystąpił do referowania zdobytych informacji. Wysoki, wyprostowany, mimo z górą sześćdziesięciu lat zachował wojskową postawę. Chodząc podpierał się laską, ponieważ w czasie drugiej wojny światowej, w której brał udział jako dowódca czołgu, podczas walk na pustyni został poważnie ranny w prawą nogę. Był nieco zdenerwowany, występując przed tak wysoko postawioną widownią, zwłaszcza że na twarzach Gordika i Hawke'a widniało nieskrywane zniecierpliwienie.

- W tym miejscu znajduje się dom kupca Salah Chalafa - zaczął, wskazując laską punkt na planie. - Jest on znanym sympatykiem, a niewykluczone, że i członkiem Bractwa Muzułmańskiego. To duży dom, otoczony podwórzem. Dowiedziałem się, że jest tam obszerna piwnica i przypuszczalnie w niej trzymani są Rosjanie.

Gordik spojrzał na zegarek. Humor wyraźnie mu się poprawił.

- Świetnie. Wspaniała robota. W ambasadzie mamy pod bronią oddział specjalny.

Natychmiast ich tam wysyłam.

Masterson poszukał wzrokiem Gemmela, który uniósł rękę, hamując Rosjanina.

- Zaczekaj, Wasilij, pozwól mu skończyć

- To nie jest takie proste, sir - Masterson zwrócił się bezpośrednio do Gordika. Trochę dziwnie zabrzmiało to "sir" w stosunku do Rosjanina, ale wygląd i pozycja tego człowieka w jakiś sposób czyniły ten zwrot naturalnym.

- Pozwólcie, że wyjaśnię - ciągnął. - Dom, o którym mowa, usytuowany jest niemal w środku suku. To bardzo gęsto zaludniony obszar, uliczki są niesłychanie wąskie i, proszę mi wierzyć, w domu i wokół niego będzie mnóstwo Braci. Pański oddział musiałby atakować pieszo i nie ma mowy o podejściu bliżej niż dwieście metrów od celu bez wywołania alarmu.

Cały ten teren to istna królikarnia. Mogą w ciągu kilku minut wyprowadzić porwanych i ukryć ich w jakimkolwiek innym miejscu.

Gordika najwidoczniej opuścił entuzjazm.

- Musimy jednak zaryzykować - rzucił. - Nie możemy siedzieć beczynn timer.

- Jakie jest stanowisko władz jordańskich? - wtrącił się Hawke.

Odpowiedzi udzielił mu Gemmel.

- Nie ma co na nich liczyć. Na pewno już wiedzą o porwaniu i oczywiście czekają, aż skontaktuje się z nimi ambasada rosyjska. Ale gdy to nastąpi, nie podejmą żadnych działań. -

Spojrzał na Gordika. - Znasz ich niechęć do Rosjan i wiesz, że zawsze po cichu sprzyjali Bractwu. Może minąć wiele dni, zanim się ruszą, a i wtedy nie należy się spodziewać żadnych energicznych

kroków z ich strony.

- A więc co robimy? - niecierpliwie zapytał Gordik.

- Jestem pewien, że Masterson ma jakieś pomysły.

Oczy wszystkich zwróciły się na zdenerwowanego Anglika.

- Widzę tylko jeden sposób - powiedział z wahaniem. Ponownie uniósł laskę do planu.

- Można przyjąć, że uda nam się dotrzeć do tych miejsc - wskazał trzy punkty tworzące trójkąt wokół suku. - Dalej musiałyby ruszyć mała grupa uderzeniowa. Przebrani za Arabów, mieliby za zadanie przedostać się przez suk i wdrzeć do domu. - Głos Mastersona ożywił się; był to teraz głos żołnierza planującego akcję. - Kiedy w budynku rozpocznie się strzelanina, reszta oddziału uderzy równocześnie z trzech stron. Będą musieli wystrzelać sobie drogę przez suk; ci zaś, którzy znajdą się w domu, muszą utrzymać się przy życiu - oni i uwolnieni Rosjanie - do chwili przybycia sił głównych. Na koniec ponownie trzeba przebić się do pozycji wyjściowych. - Wskazał jeszcze raz trzy punkty na mapie. - Tu będą czekać nasze środki transportu.

Skończył, opuścił laskę i pytająco spojrzał na Gordika. Ten westchnął.

- A więc wszystko zależy od skutecznego przedostania się przez obstawę, zanim zacznie się właściwa bitwa - rzekł.

- Właśnie tak.

- Co o tym sądzisz, Morton?

Hawke wzruszył ramionami.

- Tak czy inaczej, to będą jatki. Ale musimy spróbować - rzekł. I dodał, twardo patrząc w twarz Rosjanina. - A jeśli grupa czołowa po wdarciu się do środka będzie miała trudności z wydostaniem Tudina, muszą go zabić.

Gordik skinął głową.

- Zgadzam się.

- Kto będzie w tej grupie? - głos zabrał Johnson.

- A mamy w czym wybierać? - zapytał Hawke.

Johnson wzruszył ramionami. Był również zdenerwowany tym nagłym wezwaniem do akcji, i to akcji tego rodzaju.

- Mam dwóch czy trzech dobrych ludzi, ale szczerze mówiąc, panie Hawke, to zadanie dla samobójców. Wolałbym nie wydawać im takich rozkazów.

- Zrobisz to, co ci się każe - warknął Hawke i Johnson usiadł zmieszany. Gordik rzucił

kilka słów po rosyjsku pod adresem Kalinina, który odpowiedział równie lakonicznie. Po angielsku Gordik powiedział:

- My też mamy kilku dobrych ludzi. Odpowiadamy za powstanie tej sytuacji i nie będziemy mieli skrupułów, jeśli chodzi o wydanie odpowiednich rozkazów. - Jeszcze raz spojrzął na zegarek. - Im szybciej zaczniemy, tym lepiej. Musicie pomóc nam zorganizować oddziały wspierające. - Spojrzął na Mastersona. - Jak pan sądzi, ilu ludzi będziemy potrzebowali?

- Co najmniej trzydziestu. W pełni wyszkolonych i dobrze uzbrojonych.

Hawke chciał coś powiedzieć, ale Gemmel uciszył go ruchem ręki, wstał, podszedł do planu i uważnie wpatrywał się weń przez chwilę. Odwrócił się i pytająco spojrzął na Boyda.

- Co powiesz na trochę gimnastyki, Alan?

- Tylko ty i ja?

Gemmel skinął głową.

- Czemu nie? - Boyd uśmiechnął się nieznacznie.

- W porządku. - Gemmel zwrócił się teraz do Gordika. - Zaczniemy od początku, ale już na poważnie. Nikt nie zdoła przejść przez suk i zbliżyć się do domu Chalafa, jeśli nie będzie ubrany jak Arab. Tak się składa, że jest tu tylko dwóch ludzi, którzy potrafią to zrobić.

Alan Boyd i ja. My przynajmniej mamy jakąś szansę, aczkolwiek niewielką.

Zapanowała cisza, kiedy zebrani rozważali słowa Gemmela. - To nasza sprawa, nie wasza - odezwał się wreszcie Gordik. - My popełniliśmy błąd.

- Nieważne, kto popełnił błąd - odparł Gemmel. - W tej chwili zagrożona jest cała operacja. Nie po to zaszliśmy tak daleko, żeby teraz wszystko stracić. Musimy zrobić, co w naszej mocy. Zwróćcie uwagę, że i Boyd, i ja mówimy płynnie po arabsku, obaj mamy ciemne włosy i cerę i obaj już wcześniej podawaliśmy się za Arabów. A poza tym pracowaliśmy razem. Mamy większe szansę, niż banda dezorientowanych żołnierzy, płaczących się po suku. - Gemmel spojrzął na Hawke'a, oczekując wsparcia, i nie zawiódł się.

- Chyba masz rację, Peter. My z kolei musimy się postarać, żebyście w możliwie najkrótszym czasie otrzymali wsparcie. - Teraz on wstał od stołu i podszedł do planu.

Przesunął palcem od miejsca, gdzie znajdował się dom Chalafa, do trzech punktów zaznaczonych przez Mastersona. - Moim zdaniem - trzy, do czterech minut. Jak pan sądzi? -

zwrócił się do Mastersona.

- To chyba wykonalne - zgodził się Anglik. - Jeśli uderzymy jednocześnie z trzech stron, przynajmniej jedna grupa powinna dotrzeć do budynku w wyznaczonym czasie. O ile to możliwe, proponuję dziesięciu ludzi w każdej grupie. Co najmniej po dwóch musi czekać przy pojazdach, a więc razem potrzebujemy trzydziestu sześciu. - Masterson przerwał i zastanawiał się przez chwilę. - Mogę dostarczyć nie więcej niż sześciu, wliczając w to siebie.

Gordik znowu wymienił kilka zdań z zastępcą szefa placówki KGB.

- Możemy dołożyć dwudziestu. - Uśmiechnął się niewesoło. - Oczywiście oznacza to wystawienie wam wszystkich naszych agentów.

Hawke zaśmiał się.

- Prawdopodobnie i tak znamy połowę z nich, a poza tym to będzie coś za coś.

Dajemy pozostałych czternastu. Bierzmy się za szczegóły.

Gemmel raz jeszcze mitygująco podniósł rękę.

- Za godzinę zrobi się ciemno. Większość Arabów wkrótce potem siada do posiłku.

Otóż sądzę, że jeśli ma to być operacja typu wojskowego, nie wolno nam zapomnieć, że w zespole znajdują się Rosjanie, Brytyjczycy i Amerykanie. Musimy mieć jednego dowódcę.

Masterson mówi po rosyjsku i po arabsku. Ma doświadczenie wojskowe i najlepiej zna teren.

Proponuję, żeby to on sformułował plan akcji i objął dowództwo. Ponadto proponuję, aby Wasilij i Morton zostali tutaj.

Obaj wymienieni zaczęli protestować, ale argumentacja Gemmela okazała się nie do odparcia. Przypomniał, że operacja MIRAŻ wkracza w decydującą fazę. Ktoś musi nadzorować przygotowania i utrzymywać kontakt z agentami terenowymi. Poza tym obecność tych dwóch w zespole niewiele wnosi, a może doprowadzić do sporów kompetencyjnych. On i Boyd będą ryzykować życie i czuliby się pewniej, gdyby dowódcą całości został Masterson.

Ostatecznie Hawke i Gordik ulegli, ale wtedy odezwał się Leo Falk.

- O czymś zapomniałeś, Peter - rzekł. Jego twarz wyrażała napięcie. - Ja też władam arabskim. Chciałbym pójść z tobą i Alanem.

Gemmel pokręcił głową.

- Dzięki, Leo, ale odpowiedź brzmi: nie. Owszem, doskonale mówisz po arabsku, ale z wyraźnym akcentem. Do tego jesteś blondynem o rumianej cerze i niebieskich oczach. Z

bliska każdy pozna w tobie cudzoziemca.

- Ma rację, Leo - rzucił Hawke. - Ale przyjmij i moje podziękowanie.

- W takim razie - odparł Falk - zabieram się z jednym z oddziałów drugiego rzutu.

- To możesz zrobić. Jeśli ja i Gordik mamy tu zostać, będą cię potrzebować.

Masterson spojrział na zegarek.

- W porządku - rzekł rażno. Po jego zdenerwowaniu nie zostało już ani śladu. - Jeśli mam być dowódcą, uważam, że trzeba zaczynać natychmiast. Do opracowania szczegółów potrzebni mi będą tylko Johnson i Kalinin.

Zaszurały krzesła i wszyscy zaczęli wstawać z miejsc.

Lew Tudin przebył daleką drogę - przez wszystkie stadia strachu do punktu, w którym był w stanie jakby z zewnątrz spojrzeć na siebie samego. Najpierw była tylko wszechogarniająca panika wywołana samym porwaniem, a potem ból razów, gdy wyciągnięto go z samochodu i wleczono uliczkami suku do piwnicy. Nie zaznał dotąd fizycznej przemocy i jego umysł nie umiał sprostać cierpieniu. Ze związanymi rękami i nogami leżał na betonowej podłodze kopany, gdzie popadnie, przez trzech mężczyzn. Zdawało mu się wtedy, że nic nie da się porównać z tym bólem, uczuciem upokorzenia i bezradności.

Nie minęły jednak dwie godziny, a uświadomił sobie, jak bardzo się mylił. Był

bowiem świadkiem przesłuchania Żukowa. To bicie na początku okazało się jedynie wstępem mającym zmiękczyć więźniów; preludium do tego, co nastąpiło później. Oczywiście głównym przedmiotem zainteresowania Zahabiego stał się Żuków. Tudina przywiązano do krzesła, Żukowa zaś odarto z ubrania i zaczęły się tortury. Piwnicę tworzyło jedno rozległe pomieszczenie. Ciężkie drewniane drzwi prowadziły do schodów wiodących na podwórze.

Szpary między drzwiami a framugą, dla wytłumienia dźwięków, zatkano kocami. Było to konieczne, bo Żuków nie cierpiał w milczeniu.

Tudin pamiętał cytat z Hemingwaya, mówiący, że jeśli torturowany nie krzyczy, znaczy to, że nie odczuwa bólu. Żuków czuł ból. Całe morze bólu. Zahabi zaopatrzył się w prymitywny, lecz skuteczny przyrząd. Od gniazdka na ścianie biegł przewód do drewnianej skrzynki ustawionej u stóp Rosjanina. Znajdował się w niej regulator napięcia - reostat.

Przewody wychodzące ze skrzynki kończyły się zaciskami umocowanymi do końca penisa i dolnej wargi torturowanego. Sporo czasu minęło, nim Żuków ostatecznie załamał się. Przez ponad dwie godziny Zahabi i jego dwaj pomocnicy stopniowo zwiększali napięcie prądu płynącego przez ciało Rosjanina, aż ten nie był w stanie znieść dłużej bólu. Co jakiś czas oblewano go wiadrem wody - aby oprzytomniał, a jednocześnie, żeby ułatwić przepływ prądu. Dwukrotnie Zahabi zmieniał metodę. Zdejmowano zaciski i najbardziej prymitywnymi środkami atakowano ciało przesłuchiwanego. Za pierwszym razem, przy użyciu lampy lutowniczej, spalono mu do kości lewą rękę i lewą nogę. Później obcięto po kolei palce prawej ręki; kikuty zalano gorącą smołą z kociołka. Tudin nie wierzył,

że człowiek może mieć tyle siły, że może z takim stoicyzmem znosić najpotworniejsze męczarnie. Lecz tortury prądem elektrycznym na koniec złamały Żukowa. Przez ostatnie pięć minut odpowiadał na pytania oprawców.

Zahabiemu torturowanie nie sprawiało żadnej przyjemności. Jak większość Braci Muzułmańskich uważał, że prowadzi świętą wojnę - dżihad. Rosjanin był jego wrogiem. Setki Braci torturowali w syryjskich więzieniach agenci bezpieczeństwa szkoleni przez tego człowieka. I chociaż Zahabi nie czuł przyjemności, nie czuł też żalu. Teraz w jego oczach pojawił się błysk triumfu, bo oto Żuków zaczął mamrotać odpowiedzi na pytania, podawać nazwiska i miejsca. Jeden z pomocników zapisywał to wszystko w notesie.

Zahabi spojrział wreszcie na Tudina i spytał:

- A ten człowiek? Kim jest i co robi?

Żuków milczał chwilę, zwróciwszy zamglone bólem oczy na Tudina. Pokręcił głową.

- Nie wiem. Ambasador polecił mi zabrać go do siebie na obiad. To wszystko, co wiem.

Spojrzenie Tudina pobiegło od Żukowa ku Zahabiemu. Miał wrażenie, że serce rośnie mu w piersi; w całym ciele czuł jego pulsowanie. Arab wolno pokręci głową, a potem wyciągnął rękę ku drewnianej skrzynce i szarpnął rączką regulatora napięcia. Żuków wygiął

się, szarpiąc krępujące go wiązy, a jego krzyk ponownie rozniósł się po piwnicy.

Ale tym razem Zahabi przeliczył się. Ciało sponiewieranego, złamanego człowieka nie było już w stanie wytrzymać takiego bólu i coś - serce lub mózg - odmówiło posłuszeństwa.

Zahabi wyłączył prąd, a jeden z jego pomocników podszedł do Żukowa, pomacał puls i ze złością potrząsnął głową.

- Nie szkodzi - powiedział Zahabi. - Wiemy już dość, żeby poczęstować Syryjczyków ich własnym lekarstwem. - Odwrócił się do Tudina i przeszedł na angielski. - A więc sam będziesz musiał opowiedzieć nam o sobie.

Tudin próbował udawać, że nie zna tego języka, ale w jego oczach musiał pojawić się strach, bo Zahabi uśmiechnął się. - Wątpię w to, że jesteś zwykłym gościem ambasadora.

Zwłoki Żukowa odcięto od krzesła, a jeden z Arabów zbliżył się do Tudina. Ten skulił się w krześle, całe jego ciało drżało, a umysł już krzyczał z przerażenia.

Osiemdziesiąt metrów od piwnicy w domu Chalafa Gemmel i Boyd popijali mocną, czarną kawę z małych filiżanek. Wieczór był zimny, toteż siedząc przy stoliku w niewielkiej kawiarni, mogli osłonić głowy kapturami swoich burnusów. Ze wszystkich stron dobiegały wołania ulicznych sprzedawców zachwalających swoje towary. Po przeciwnej stronie uliczki w drzwiach swojego sklepiku pracował złotnik. Anglicy od dziesięciu minut przebywali w kawiarni i rozmawiając po

arabsku obserwowali strażników, pozornie niedbale przechadzających się przed drzwiami domu znajdującego się na końcu uliczki. Kolejni dwaj podpierali ścianę nie dalej niż dziesięć metrów od kawiarni.

Dotarli do tego miejsca okrężną drogą, zatrzymując się raz, by na ulicznym straganie kupić sztukę płótna. Leżała teraz między nimi na stoliku. Pod burnusami obaj mieli szerokie skórzane pasy, a przy nich po sześć granatów obezwładniających i po dwa pistolety: colty M

1911 i maszynowe skorpiony. Amerykanie dostarczyli granaty i colty, Rosjanie broń maszynową. Była to idealna broń do walki z bliska. Ze złożoną kolbą pistolet miał tylko dwadzieścia siedem centymetrów długości, a jego teoretyczna szybkostrzelność sięgała ośmiuset strzałów na minutę. Jeszcze w willi, szykując się do wymarszu, Gemmel zważył

skorpiona w dłoni i słuchając Rosjanina wyjaśniającego proste zasady jego działania, poczuł

przyływ pewności siebie. Jeśli uda im się przedostać przez zewnętrzną obstawę i wedrzeć do domu - nie będą bez szans. Mieli także dodatkową przewagę. Zanim opuścili willę, dosłownie w ostatniej chwili, Masterson odebrał wiadomość, że aktualne hasło Braci brzmi "sztylet na Koranie". Nie było jednak pewności, czy to wystarczy, aby zmylić strażników i otworzyć drogę do budynku. Równie dobrze mogły istnieć inne hasła, wymyślane specjalnie na dzisiaj.

Gemmel wysączył resztę kawy z filiżanki, spojrzął na zegarek i po arabsku odezwał

się do Boyda.

- Jeszcze dwie minuty i tamci znajdą się na stanowiskach.

- Próbujemy zbyć tych dwóch hasłem? - spytał Boyd, nieznacznym ruchem głowy wskazując Arabów opartych o ścianę.

- Tak, a jeśli to nie podziała, poczęstujesz ich serią ze skorpiona, a ja walę prosto do drzwi.

Czekali, niemal fizycznie czując upływ sekund. Gemmel zerknął na Boyda i raz jeszcze doznał wrażenia, że musi im się udać. Szeroka, otwarta twarz jego partnera wyrażała zupełny spokój, palce obejmujące filiżankę nawet nie drgnęły. Gemmel nie znał innego człowieka na świecie, na którego chciałby teraz zamienić Boyda. W głębi duszy czuł się nawet trochę winny, że Alan miał za chwilę ryzykować życie, nie wiedząc do końca, o jaką stawkę idzie gra. Odpędził od siebie tę myśl, spojrzął na zegarek i skinął głową. Już czas.

Wstali, Gemmel zarzucił na ramię zwój płótna. Boyd niedbałym ruchem wetknął rękę między fałdy burnusa. Ledwie uczynili kilka kroków w głąb uliczki, dwaj wartownicy oderwali się od ściany i zagrodzili im drogę. Patrząc jednemu z nich prosto w oczy, Gemmel rzucił

rozkazującym tonem:

- "Sztylet na Koranie".

- Czego chcecie? - zapytał Arab.

- Idziemy spotkać się z Chalafem.

- Tu go nie ma.

- Więc zaczekamy na niego - Gemmel podniósł głos, udając zniecierpliwienie.

- Nie zaczekacie - odparł szorstko Arab. - Nie przejdziecie tędy, jeśli nie znacie słów, które powinniście znać.

Gemmel zmartwiał. Zrozumiał, że musiało istnieć inne hasło.

- Czego tu chcecie? - powtórzył Arab. Gemmel zauważył, że jego dłoń wsuwa się pod burnus.

Boyd nie czekał dłużej. Kątem oka Gemmel dostrzegł, że obraca się nieznacznie i chwilę później zabrzmiało stacatto serii ze Skorpiona. Wokół zapanował chaos. Dwaj strażnicy, odrzuceni strumieniem pocisków, zginęli, zanim ich ciała opadły na bruk. Po ulicy niosły się wrzaski sklepikarzy i przechodniów pośpiesznie kryjących się w zakamarkach bazaru. Gemmel i Boyd pędzili przed siebie; rolka płótna poleciała na bok, nie kryli już dobotych spod płaszczy pistoletów. Boyd był oburęczny. W lewej dłoni trzymał pistolet maszynowy, w prawej odpięty od pasa granat. Przeskakując ciało jednego ze strażników, wyrwał zawleczkę granatu - zabręczała padając na bruk. Przed sobą mieli drewniane, rzeźbione drzwi do budynku, przed którymi ustawiła się właśnie piątka wartowników. W ich rękach pojawiła się broń. Boyd cisnął granat i obaj, on i Gemmel, przypadli do bruku, osłaniając głowy rękami. Boyd, jak przystało na sportowca, spisał się świetnie. Rzucony przez niego granat uderzył we framugę nad drzwiami, upadł na chodnik pomiędzy strażników, podskoczył raz i eksplodował. Gemmel pierwszy zerwał się na nogi. Biegł

skulony, nie zwalniając kroku, niespełna dwusekundową serią ściał jednego wartownika, który wciąż trzymał się na nogach po wybuchu granatu. Drzwi do budynku, nie chronione, były tuż przednim. Zaopatrzone je w ciężki, stalowy zamek i kiedy Gemmel oglądał go, Boyd zajął pozycję za nim, twarzą do pustej ulicy. Tuż obok leżał na ziemi jeden z wartowników, jęczał, trzymając się za brzuch.

- Cofnij się! - krzyknął Gemmel i odsunawszy Boyda na bok wycelował Skorpiona i posłał resztę zawartości magazynka w zamek. Sięgnął pod burnus, wydobył świeży magazynek i wsunął go w gniazdo. Cofnął się o krok i prawą stopą uderzył w drzwi.

Rozwarły się, odsłaniając rozległy dziedziniec i biegnących przezeń dwóch mężczyzn. Znowu seria ze skorpiona i Gemmel z Boydem znaleźli się na dziedzińcu, pośpiesznie rozglądając się dokoła. W ostatniej chwili Boyd spostrzegł człowieka na dachu. Gwałtownym pchnięciem w plecy posłał Gemmela na ziemię, a sekundę później o płyty dziedzińca trzasnęła seria z pistoletu maszynowego. To pchnięcie w plecy ocaliło Gemmelowi życie. Przeturlał się na bok, przysiadł i posłał długą serię ponad krawędzią dachu. Odpowiedzią był urwany krzyk, a potem cisza. Gemmel obejrzał się. Boyd leżał na ziemi twarzą do dołu.

- Alan, ranili cię? - Gemmel podczołgał się do partnera.

- Obie nogi - rozległ się przytłumiony bólem głos Boyda. - Mam chyba strzaskane kości.

Gemmel rzucił się, aby podwinąć płaszcz rannego, próbując dotrzeć do uszkodzonych kończyn.

- Zostaw - warknął Boyd. - Pilnuję wejścia. Idź, poszukaj Tudina.

Z trudem uniósł się na łokciu, wyciągnął spod siebie cztery granaty i ułożył je w zasięgu ręki.

- Ruszaj, Peter. Będę cię osłaniał.

Gemmel odwrócił się i obiegł wzrokiem dziedziniec. Zauważył w rogu ciężkie drzwi typu garażowego, dokładnie w chwili, gdy zaczęły się podnosić. W szparze pojawiła się dłoń z pistoletem, huknął pojedynczy strzał i Gemmel zwinął się, czując palące smagnięcie kuli na lewym ramieniu. Odpowiedział ogniem i drzwi opadły.

- To ta piwnica - usłyszał głos Boyda za sobą. - Tam ich trzymają. Idź, Peter!

Gemmel odczepił od pasa granat, wyrwał zawleczkę i przytrzymując kciukiem dźwignię, ostrożnie zbliżył się do drzwi. Był już blisko, kiedy za plecami posłyszał jazgot automatu, a potem huk granatu. Obejrzał się i zobaczył Boyda ze skorpionem skierowanym ku wejściu na dziedziniec. W uliczce przed drzwiami przybyły dwa nieruchome ciała.

Gemmel odwrócił się do drzwi, ujął ciężki żelazny pierścień u ich krawędzi, podniósł je na kilka centymetrów i wrzucił granat do środka.

W piwnicy Zahabi ze swoim tokariewem w dłoni ustawił się naprzeciwko uszczelnionego kocami wejścia. Zwłoki Żukowa odciągnięto i ciśnięto w kąt. Tudin, rozebrany do naga, blady jak ściana, siedział przywiązany do krzesła z przewodami elektrycznymi umocowanymi do penisa i wargi. Tuż za nim stali pomocnicy Zahabiego, przestraszeni, wpatrzeni w swojego przywódcę. Eksplozja granatu wyrwała drzwi, a znajdujący się za nimi Brat stoczył się na ich strzaskane deski, martwy; twarz i tors miał

poszarpane wybuchem.

Zahabi rzucił rozkaz i przykucnął, celując z pistoletu w stronę odkrytych teraz schodów. Jego pomocnicy ostrożnie wysunęli się zza krzesła i zaczęli skradać się do wejścia.

Jeden z nich obejrzał się, ale rzucone syczącym szeptem słowo Zahabiego przywołało go do porządku. Z okrzykiem In sza Allah rzucili się ku schodom. Skoszeni serią ze skorpiona, zginęli zanim pokonali pierwszy stopień.

Tudin nie czuł już bólu ani strachu. Został tylko dojmujący, przesłaniający wszystko wstyd. Dwie minuty wcześniej, tuż przed pierwszymi odgłosami strzelaniny, opowiedział

bowiem słuchającemu z niedowierzaniem Zahabiemu o willi i operacji MIRAŻ. Wystarczyło dziesięć minut, by się załamał i teraz mógł myśleć jedynie o martwym Żukowie w kącie piwnicy. O Żukowie, który wytrzymał pełne dwie godziny. W obolałej głowie Tudina tłukła się tylko jedna myśl.

Że dla Żukowa pomoc przyszła za późno.

Zahabi podniósł się ze swojego kąta i zaczął się cofać, tak aby Tudin znalazł się między nim a wejściem. Umysł Rosjanina nagle obudził się z letargu. Gwałtownym ruchem, nie zważając na tnące skórę więzy, okręcił się w krzesle, oderwał je od ziemi i razem z nim rzucił się na Araba, przewracając go. Zahabi zaklął, a lufa jego pistoletu przesunęła się w kierunku więźnia. Tudin zrozumiał, że to koniec. W tym momencie w piwnicy pojawił się Gemmel. Padł na podłogę i odturlał się w bok. Zahabi zawahał się, z bronią w pół drogi między jednym celem a drugim. Gemmel wypalił. Siła pocisków rzuciła Araba w przeciwległy kąt pomieszczenia, gdzie jego ciało wylądowało obok nieruchomych, nagich zwłok Żukowa.

Gemmel nie mógł zasnąć. Chwilami zapadał w krótką drzemkę, ale natychmiast budził się znowu. Minęły już cztery godziny od szczęśliwego uwolnienia Tudina. Dziwnym zrzędzeniem losu to Leo Falk pierwszy dotarł do piwnicy. Został tam zwłoki czterech ludzi i Tudina ocierającego zlaną potem twarz. Gemmel odcinał go od krzesła. Leo spojrzał na zegarek i wysapał z satysfakcją.

- Dwie minuty, pięćdziesiąt sekund. Powiedział im coś?

Gemmel przeciął ostatni kawałek liny i pomógł Tudinowi stanąć na nogi.

- Powiedział. Ale to bez znaczenia. - Wskazał na zwłoki Zahabiego i pozostałych Arabów. - Wszyscy nie żyją.

Na dziedzińcu natknęli się na dwójkę Rosjan, układających Boyda na noszach.

Wszędzie kręcili się uzbrojeni mężczyźni, a spoza muru dochodziły sporadyczne odgłosy ognia z broni automatycznej. Dziesięć minut później rozpoczęli odwrót, zabitych i rannych zabierając ze sobą. Dojście do samochodów zajęło im osiem minut. Czterech żołnierzy zostało zabitych, a dwu rannych w drodze do domu Chalafa. Kolejnych trzech padło podczas odwrotu. Straty mniej więcej równo dotknęły Rosjan i Amerykanów. Ranni, łącznie z Boydem, zostali odwiezieni do ambasady rosyjskiej. Gemmel chciał jechać z nimi, ale Masterson, w którym ozwał się duch starego żołnierza, zdecydowanie zażądał, by natychmiast wracał do bazy złożyć sprawozdanie. Obejrzał ranę Gemmela i stwierdził, że to nic poważnego.

Wracających witali Gordik i Hawke. Trudno byłoby nie dostrzec ulgi malującej się na ich twarzach. Prześcigali się w gratulacjach. Hawke zrobił Gemmelowi mocnego drinka, gdy tymczasem Gordik badał jego ramię i udzielał Larysie wskazówek co do sposobu opatrzenia rany. Po telefonie z ambasady Gordik oznajmił, że stan Boyda, aczkolwiek poważny, nie budzi obaw. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin, razem z innymi rannymi, bezpośrednim samolotem odleci do Moskwy. Będzie miał tam zapewnioną doskonałą opiekę lekarską do chwili powrotu do Londynu.

W tym samym czasie ambasadorowie Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Związku Radzieckiego wychodzili ze skóry, aby ułagodzić wściekłość władz jordańskich.

- Od tego przecież są ambasadorowie - skomentował to obojętnie Gordik. Na koniec wypity alkohol i zmęczenie akcją zmożyły Gemmela. Poszedł do łóżka. Hawke i Gordik wrócili do centrum łączności.

- Wszystko idzie jak z płatka. - Hawke był pełen entuzjazmu. - Abu Kadir jest w Mekce, a tłumy podążają za nim krok w krok. Nic już nie może nam przeszkodzić. Jeszcze trochę i będzie po wszystkim.

Tak więc Gemmel leżał w łóżku w swoim pokoju na tyłach willi, na próżno czekając nadejścia kojącego snu.

Usłyszał pukanie do drzwi; zaskrzypiały zawiasy i w progu ukazała się Larysa z tacą w dłoniach.

- Niczego pan nie jadł - powiedziała. - Pomyślałam, że do tej pory pewnie pan zgłodniał.

Gemmel usiadł. Zranione ramię zareagowało na ruch falą bólu. Larysa postawiła tacę obok łóżka i podłożyła mu pod plecy poduszkę. Na tacy stał duży, parujący talerz.

- Barszcz - powiedziała z uśmiechem. - Osobiście dopilnowałam, żeby kapral Brady przyrządził go jak należy.

Gemmel poczuł, że istotnie jest głodny. Larysa postawiła mu tacę na kolanach i przyglądała się jak je.

- Chciałam panu podziękować. Bardzo lubię Tudina. Tak naprawdę nie nadaje się do tego typu roboty. Jest raczej od myślenia. Ale to dobry człowiek i byłoby mi go brak. Nam wszystkim.

- Sporo przeszedł - odrzekł Gemmel. - Mam nadzieję, że to nim za bardzo nie wstrząsnęło.

- Jakoś się pozbiera. Wewnętrznie jest całkiem silny.

Jadł w milczeniu; po chwili ona łagodnym głosem odezwała się znowu.

- A pan? Pan też się pozbiera? Podniósł na nią wzrok.

- Dla mnie to nic nowego.

- Myślałam o czymś innym. O Mai.

Milczał przez dłuższą chwilę, a gdy odpowiedział, w jego głosie pojawiła się jakaś gwałtowność.

- To też była tylko jedna z wielu operacji. Z waszego punktu widzenia bardzo udana.

Jak pani wie, w tej branży cierpienie ludzkie nie jest w cenie.

- To prawda. - Wstała. - Ale to nie znaczy, że musimy się wyzbyć wszelkich uczuć.

Nie odpowiedział. Przez chwilę przyglądała mu się, stojąc w drzwiach.

- Chyba rozumiem, co przydarzyło się Mai w Londynie. Dlaczego to zrobiła.

Nadal nie odpowiadał, więc wyszła i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Mekkę i okoliczne wzgórza ogarnęło morze bieli. Ponad trzy miliony pielgrzymów z całego świata, zrzuciwszy codzienne ubrania, po dokonaniu przepisowych ablucji wdziało proste, białe szaty pielgrzymów. Od tej chwili wszyscy stawali się równi - zarówno wobec siebie, jak i w obliczu Boga. Książęta i żebracy, mężczyźni i kobiety, czarni, biali i żółci -

wszyscy byli braćmi i siostrami.

Ludzi przepelniało uczucie szczęścia i radości. Od trzech dni uczestniczyli w tradycyjnych rytuałach hadżdżu. Wokół świątyni Ka'aba sunęła procesja wiernych, powtarzających słowa "Labbaik, Allahuma labbaik - otom jest, Panie, otom jest".

Po ucałowaniu czarnego kamienia wmurowanego w ścianę meczetu, pielgrzymi dostępowali rytualnej konsekracji. Wieczorami atmosfera przypominała karnawał; świętowano, cieszą się. W jednym miejscu zebrali się oto przedstawiciele najróżniejszych narodowości: niepiśmienni wieśniacy z gór Pakistanu; rybacy znad Pacyfiku, z wysp położonych na wschód od Indonezji; wysocy, zgrabni Nigeryjczycy z plemienia Ibo -

ogromna część rasy ludzkiej zjednoczona w najbardziej podniosłej, ponadnarodowej ceremonii religijnej na ziemi.

A jednak mimo zamieszania i pozornego chaosu, ta masa ludzka obracała się wokół

jednego punktu, a stało się tak z chwilą, gdy przez bramę Mi'la wkroczył do Mekki Abu Kadir ze swoimi uczniami. Na nim skupiła się uwaga tłumu.

Także uwaga Mirzy Farrakiego i jego agentów bezpieczeństwa. I jeszcze sześciu innych agentów, nie mających z Farrukiem nic wspólnego. Trzej z nich nosili małe radionadajniki wyprodukowane w trzech różnych krajach. Małe, ale o wystarczającej mocy, by ich sygnały mogła odbierać nowoczesna stacja przekaźnikowa w Dżuddzie i przesyłać do jeszcze nowocześniejszych i bardziej wyrafinowanych odbiorników zainstalowanych w centrum łączności, znajdującym się w pewnej ammańskiej willi.

I w ten sposób, w drodze wyjątku, niewierni w osobach Hawke'a, Gordika i Gemmela mogli bezpośrednio śledzić przebieg hadżdżu, który zbliżał się właśnie do święta Ofiar.

Mirza Farruki przesłał już do Rijadu raport, w którym donosił o niezwyklej atmosferze oczekiwania wyczuwalnej w rejonie Mekki. Pielgrzymi otwarcie rozmawiali o nadejściu Mahdiego, a ostatnio pojawiły się nawet pogłoski, że zostanie on wskazany w dniu Święta Ofiar. Farruki zdołał umieścić kilku agentów wśród uczniów Abu Kadira i ustalił, że chociaż niektórzy z nich mówią o nim Rasul, to sam Abu Kadir i jego najbliżsi zachowują się zwyczajnie, skromnie i pobożnie i nie robią nic sprzecznego z religijnym prawem czy obyczajami.

Mirza Farruki zakończył swój raport stwierdzeniem, że tak czy inaczej sprawy potoczą się w sposób

łatwy do przewidzenia. Jeśli w dniu Święta Ofiar oczekiwania pielgrzymów zgromadzonych w dolinie Mina nie zostaną zaspokojone, i to zaspokojone w sposób jednoznaczny, gadanina o przybyciu Mahdiego ustanie. Niewykluczone, iż rozczarowany i gniewny tłum zwróci się wtedy przeciw Abu Kadirowi i jego zwolennikom.

Nastał wreszcie ten długo oczekiwany dzień. Przez cały ranek potok pielgrzymów wylewał się z Mekki, zmierzając ku dolinie Mina niczym spienione fale przyływu.

Niektórzy nieśli jagnięta, kozy i owce, inni prowadzili wielbłądy. Większość małych zwierząt była już martwa; zarżnięto je podczas rytualnego ceremoniału przed wejściem do Wielkiego Meczetu. Pozostałe beczwały, jakby przeczuwając swój los.

Mimo ścisku Abu Kadir szedł swobodnie. Uczniowie utworzyli wokół niego ruchomy krąg. Przy nim Hadzi Mastan niósł zabite jagnię, a Ibn Sahl prowadził młodą, cenną wielbłądnicę, którą sam zamierzał złożyć w ofierze. Podróż z Taif w towarzystwie Abu Kadira była dla starego Beduina wielkim przeżyciem.

Minęło południe i dolinę, aż po zbocza okolicznych wzgórz, wypełniły tłumy pątników. Odbyto rytualny obrządek kamienowania szatana, następnie wszystkie twarze zwróciły się w kierunku skały Arafatu i rozpoczęły się modły. Mirza Farruki zajął stanowisko blisko kręgu uczniów otaczających Abu Kadira, Hadżiego Mastana i Ibn Sahla. Jak na dłoni widział wszystkich trzech, klęczących, pogrążonych w modlitwie. Byli oni obiektem zainteresowania także innych oczu. Do ukrytych mikrofonów płynął nieprzerwany potok wypowiedzianych półgłosem informacji.

W willi w Ammanie Hawke, Gordik i Gemmel z najwyższą uwagą wsłuchiwali się w napływające raporty. Panowała atmosfera napięcia. Drżące podnieceniem głosy agentów przydawały dramatyzmu opisom sytuacji w dolinie Mina. Ich relację przerywał co parę minut operator teleksu, beznamiętnie odczytujący depesze z Houston.

Hawke spojrzał na wiszący na ścianie zegar cyfrowy.

- Za mniej więcej trzy minuty - rzekł - Hadzi Mastan wsunie palec w nacięcie na brzuchu jagnięcia i włączy układ naprowadzający. Satelita odbierze sygnał i dokładnie pięć minut później zadziała laser. Trzy miliony ludzi posrają się ze szczęścia.

Chwilę później rozległ się nerwowy okrzyk operatora teleksu.

- Panie Hawke! Awaria! Mamy awarię.

- Ma pan trzy minuty, jasne? Trzy minuty! - Elliot Wisner dosłownie wydzierał się na kierownika programu.

Centrum kontrolne ośrodka w Houston wrzało gorączkową pracą dziesiątków techników siedzących przed rzędami komputerów i urządzeń telemetrycznych. Pośpiesznie uruchamiano programy awaryjne, poszukując miejsca awarii.

Kierownik programu oderwał na chwilę wzrok od ekranów ustawionej przed nim kolumny

monitorów i spojrzął na olbrzymi zegar na ścianie.

- Coś takiego nigdy się nie zdarzyło - wymamrotał pod adresem Wisnera. - Nie odbieramy żadnych, dosłownie żadnych, sygnałów urządzenia naprowadzającego.

Rzucił okiem na kartkę podaną mu przez asystenta i wręczył ją Wisnerowi. Ten odczytał wiadomość i warknął:

- Wiem! Wiem! Powiedz im, że robimy, co w naszej mocy.

Minutę później Gordik pochylony nad klekoczącym bezustannie teleksem prychnął szyderczo i spojrzął na Hawke'a.

- I to wszystko? Czy to ma być ta osławiona amerykańska technika, panie Hawke?

Czy to może jakaś sztuczka?

Hawke nie odpowiedział. Nasłuchiwał głosów agentów nadających z doliny Mina.

Modlitwy dobiegły końca. Nadeszła pora składania ofiar, ale w dolinie panowała cisza, a oczy wszystkich skierowane były na olbrzymi, pusty krąg z trójką mężczyzn pośrodku. Ibn Sahl, wiodąc swojego wielbłąda, pierwszy postąpił naprzód, ale Abu Kadir powstrzymał go ruchem dłoni. Hadzi Mastan dźwignął martwe jagnię i z dłonią ukrytą pod jego brzuchem wolno przeniósł je na środek pustego kręgu. Przez tłum przebiegł szmer oczekiwania, a tymczasem Ibn Sahl zwrócił się do Abu Kadira, mówiąc głośno:

- To nie przystoi, o Rasul, abyś składał tak nędzną ofiarę. - Pociągnął sznur przywiązany do szyi wielbłądzicy. - Uczyń mi zaszczyt, o Rasul, i ofiaruj to zwierzę, które jest dumą mojego stada.

Ale Abu Kadir pokręcił głową i czystym, donośnym głosem rzekł:

- Bracie, to nie wartość ofiary jest najważniejsza, lecz wiara i pokora ofiarnika. Bo czyż Allach nie potrafi wejrzeć w serce każdego z nas i dostrzec prawdę, nie dbając o naszą próżność?

Obiegł wzrokiem krąg ludzi, napierających na łańcuch splecionych ramionami uczniów. Następnie podszedł do leżącego na ziemi jagnięcia, podniósł je i zawołał:

- Nawet to jagnię, tak tłuste i dorodne, jest symbolem próżności.

Wolnym krokiem podszedł do skraju koła, a jego wzrok padł na starą kobietę z małym chłopcem i chude, żałosne truchło kozy przyniesione przez nich na ofiarę. Uczniowie rozstąpili się, a on złożył jagnię u stóp kobiety i rzekł łagodnie:

- Matko, zechciej przyjąć ode mnie to zwierzę, a w zamian pozwól, że wezmę twą ofiarę, aby Allach w swojej dobroci pobłogosławił nas oboje.

I podniósł chude, kościste padło kozy. Hadzi Mastan, z twarzą wykrzywioną panicznym strachem jął szeptać mu coś do ucha, chwycił nawet za ramię, ale Abu Kadir odepchnął go na bok i zdecydowanym krokiem wystąpił na środek koła, położył kozę na piasku, cofnął się o kilka metrów i podniósł wzrok ku niebu.

Morton Hawke, który w centrum łączności w Ammanie słuchał rozgorączkowanych głosów agentów relacjonujących tę scenę, osunął się na krzesło. Zdawał się nie słyszeć operatora teleksu, kiedy ten meldował, że Houston nadal nie zdołało przywrócić łączności z laserem.

Wzrok Gordika biegł od Hawke'a do Gemmela, jakby Rosjanin siedział na widowni meczu tenisowego.

- Co się dzieje? - spytał.

- Jeżeli laser działa - wyjaśnił Gemmel - a jest to wielkie "jeżeli" nastąpi to w ciągu najbliższych sześćdziesięciu sekund. Promień trafi jagnię u stóp starej kobiety, które spłonie w chmurze zielonego dymu, prawdopodobnie razem z kobietą.

Gordik uśmiechnął się ponuro.

- Trudno to będzie uznać za wyraz łaski Allacha miłosiernego.

Abu Kadir powolnym ruchem uniosł ręce nad głowę, a z jego ust popłynęły słowa:

- Panie! Wezwałeś mnie poprzez swego anioła Gabriela i otom jest!

Tłum zaszemrał, coraz mocniej napierając na kordon uczniów. Mirza Farruki jął

energicznie przepychać się w kierunku kręgu, wzywając gestami swoich agentów. Nareszcie mógł zacząć działać.

- Pozwól Panie ujrzeć wiernym twój znak.

Głos Abu Kadira niósł się echem ponad doliną. Tłum czekał: napięty, zjednoczony żądzą cudu.

- Brak kontaktu - drżącym głosem zameldował operator teleksu. - Houston informuje, że nie mają kontaktu z satelitą.

Hawke skulił się w krześle i ukrył twarz w dłoniach. Gordik przyglądał mu się wstrząśnięty, instynktownie czując, że Amerykanin nie gra, że nie chodzi tu o żaden podstęp.

Gemmel spojrział na zegar.

- Czas minął - powiedział cicho. - Już po wszystkim. A więc Allah oszczędził starą kobietę; jest miłosierny. - Ale nie oszczędzi Abu Kadira - chmurnie zauważył Gordik. -

Amerykańska technika i niekompetentni agenci doprowadzili do tego, że za chwilę tłum rozedrze

waszego Mahdiego na strzępy.

Nadszedł moment, kiedy nadzieje i pragnienia oczekującego tłumu musiały zostać zaspokojone. Żądał tego głos trzech milionów serc płynący ku wyprostowanej sylwetce mężczyzny stojącego nad ofiarnym zwierzęciem.

Abu Kadir osunął się na kolana, raz jeszcze wznosił ramiona. Błagalne spojrzenie utkwiał w przestrzeni nieba i wielkim głosem zawołał:

- Znak, o Panie! Daj swemu Mahdiemu znak!

Trzy miliony par oczu wpatrywały się w czysty błękit wieczornego nieba i oto nad doliną pojawiła się migotliwa kolumna zielonego światła, a jej blask ogarnął całą okolicę.

Promień padł na wychudzone, martwe koźle, oświetlając je na ułamek sekundy. Potem zwierzę zniknęło, a z ziemi wzbijała się chmura zielonego dymu, który rozpląnął się powoli nad sztywną sylwetką Abu Kadira.

Wszystko zamarło w absolutnym bezruchu. Nie drgnęło ani ziarnko piasku, kamień czy najmniejsze w dolinie źdźbło trawy; ani jeden mięsień żadnego z trzech milionów pielgrzymów.

Mirza Farruki zdążył dotrzeć do łańcucha uczniów, ale teraz i on, i jego agenci przypominali kamienne posągi. Podobnie obcy agenci wmieszani w zmartwiały tłum.

Zdjęty paniką Hadzi Mastan przedzierał się przez zbitą ciżbę, ale wyraz twarzy ludzi przed nim zmusił go do obejrzenia się i tak zastygł, z głową obróconą do tyłu i wyciągniętymi rękami.

Abu Kadir poruszył się pierwszy. Zielony dym rozwiął się, odsłaniając płytką, czarną jamę w pustynnym pyle. Wyciągnął przed siebie ręce i wsparty na dłoniach powoli upadł na twarz.

Niczym łan zboża gnący się w podmuchach wiatru, pielgrzymi idąc za jego przykładem osuwali się w piach, aż całą dolinę Mina pokrył dywan biało odzianych postaci, leżących na ziemi twarzami do centrum kręgu.

Ku widocznej w nim, klęczącej sylwetce, popłynęło z trzech milionów ściśniętych gardeł jedno słowo:

- Mahdi.

EPILOG

Z cienia wynurzył się malajski służący, niosąc drugą butelkę Chateau Margaux i ponownie napełnił kieliszki.

- Zadziwiające, jak dobrze znosi podróż - zauważył Perryman, delektując się bukietem wina.

- Ba! Podróżuje w klimatyzowanej ładowni jumbo jęta - gderliwie zamruczał

Pritchard. - To jedna z niewielu korzyści, jakie niesie ze sobą nowoczesna technika. - I zwracając się do drugiego odzianego w smoking gościa: - Opowiedz mi to jeszcze raz, Peter.

Żałuję, że nie mogłem widzieć twarzy Gordika i Hawke'a.

Gemmel poprawił się w krześle i rzuciwszy kwaśne spojrzenie Perrymanowi, powiedział:

- To był koniec świata. Kompletny stupor. Na podłodze walały się kilometry wydruków z teleksu, a Hawke deptał po nich i co chwilę mamrotał do siebie: "Jak, u diabła... ?", a Gordik sterczał przy radiu i konferował z Moskwą.

Pritchard przymknął oczy, jakby próbował wyobrazić sobie tę scenę.

- A kiedy Hadzi Mastan wrócił do Dżuddy z urządzeniem naprowadzającym?

Gemmel uśmiechnął się.

- Kolejna zawierucha. Zwłaszcza kiedy oświadczył, że przechodzi na islam. Że Mahdi przebaczył mu jego dwulicowość, obiecał zbawienie i wieczny żywot w raju.

- Co na to Gordik? Jak to przyjął?

Gemmel wzruszył ramionami.

- Miał w Dżuddzie swoich ludzi. Przepytali Hadziego Mastana i doszli do wniosku, że jest szczerzy, istotnie się nawrócił. Razem z Amerykanami badali urządzenie naprowadzające i musieli przyznać, że jest autentyczne i sprawne.

Pritchard westchnął błogo. Odezwał się Perryman:

- Satelita i laser uległy oczywiście samozniszczeniu. Prom był wówczas jeszcze na orbicie i przelatując w tym miejscu dwadzieścia minut później nie natrafił nawet na ich szczątki.

- Tak więc nikt nie wie, co się stało - uśmiechnął się Pritchard.

- W tej chwili nikt - zgodził się Perryman. - Ale Amerykanie szybko odkrywają, że projekt układu telemetrycznego umożliwiał wygłuszenie jednych sygnałów i zastąpienie ich innymi. Powiążą to z

Rance'em i jego śmiercią i dojdą do wniosku, że ponieważ projektował

też urządzenie naprowadzające, mógł to zrobić w dwóch egzemplarzach. Natychmiast poczują smród i to nie było jakie.

- Ale niczego nie mogą udowodnić - z zadowoleniem stwierdził Pritchard. - I nie mogą nic zrobić, jeśli nie chcą, by ich udział wyszedł na jaw. Podobnie jak Rosjanie. - Wypił

łyk wina i nie zmieniając tonu, dodał: - Mistrzowska operacja. Zważcie na jej rezultaty. Tym jednym ruchem przywróciliśmy Brytanii rolę pierwszoplanowego mocarstwa. Jasne, że Amerykanie odkryją, jak to zrobiliśmy, to samo Rosjanie. Ale nie mogą już zmienić sytuacji.

Przybycie Mahdiego zostało ogłoszone, a on sam uznawany jest przez cały świat islamski; zwłaszcza przez mieszkańców rejonu Zatoki Perskiej. A to miejsce stanowi klucz do władzy nad światem. Mahdi jest nasz, ta kwestia nie podlega dyskusji. Rosjanie i Amerykanie będą musieli przyjść do nas z czapkami w garści. Będą oczywiście prosić o obniżenie cen ropy naftowej, a tymczasem one gwałtownie wzrosną, przynajmniej do czasu gdy wyczerpiemy swoje zasoby. A potem, równie szybko, spadną. Do tej pory, dysponując dochodami z własnej ropy, Brytania stanie się na powrót potęgą przemysłową. Ani Rosjanie, ani Amerykanie, nie odważą się zgładzić Mahdiego. Wyobraźcie sobie, jaką wywołałoby to wrzawę. Muszą pogodzić się z tą sytuacją. Kiedy poczujemy się silni, może i dostaną jakąś jałmużnę, o ile będzie to leżało w naszym interesie. Znow, jak kiedyś, będziemy zasiadać na honorowym miejscu we wszystkich międzynarodowych gremiach. Przed drugą wojną światową dominowaliśmy w rejonie Zatoki, ale przez ostatnie trzydzieści lat traciliśmy swoje wpływy, by na koniec przestać się liczyć zupełnie. Teraz znowu będziemy pociągać za sznurki, a oni zatańczą, jak im zagramy. I nic na to nie będą mogli poradzić.

Pełen entuzjazmu Pritchard wpatrywał się w twarze swych gości.

- Od początku, od umieszczenia tam Abu Kadira przed piętnastu laty, aż do dzisiejszego rozwiązania, była to podręcznikowa operacja. I nie mająca sobie równych w historii. Drobiazgowo planowanie plus nieskończona cierpliwość; wynik jest idealny, po prostu idealny.

- Nie obyło się bez ofiar - odezwał się Gemmel jakimś szczególnym tonem, na co pozostali nie omieszkali zwrócić uwagi.

- Peter, zawsze są ofiary - łagodnie odrzekł Perryman.

- To oczywiste - poparł go Pritchard. - Ale w tej operacji były minimalne. Jeden specjalista od telemetrii i inżynier dźwięku. A swoją drogą, ten mały pierwszy cud musiał być czymś wartym zobaczenia.

- Owszem - przyznał Gemmel. - Abu Kadir zasłużył na Oscara. Ale były jeszcze inne ofiary.

- Ach tak, masz na myśli tę tancerkę. - Pritchard pokręcił głową. - Oczywiście, szkoda, że tak się stało. Ale musieliśmy wciągnąć w to Rosjan; musieli się zaangażować, żeby na koniec nie mieć żadnych wątpliwości. Wiesz, jacy oni są, Peter. Trzeba ich było przekonać, że siłą zmusili nas do

przyjęcia swoich warunków, że narzucili nam swój udział, a nie zostali zaproszeni. Na zaproszenia zwykle reagują podejrzliwością. - Uważniej przyjrzał się twarzy Gemmela. - Czyżbyś się do niej przywiązał?

Gemmel nie odpowiedział; zachmurzył się jednak.

- Agent wywiadu - rzekł Pritchard afektowanym tonem - nie może sobie pozwolić na to, by rozpraszały go emocje tego rodzaju. Gdy w grę wchodzi wyższe racje, należy stłumić własne uczucia.

Gemmel westchnął.

- Oczywiście, panie Pritchard. Pan jest najlepszym wzorem takiej postawy. W końcu nie widział pan Abu Kadira od piętnastu lat i prawdopodobnie nigdy go pan nie zobaczy.

- To prawda - z powagą przytaknął Pritchard - ale dałem mu największy dar, jaki ojciec może dać synowi. Uwielbienie i cześć miliarda ludzi.

Odwrócił się i skinął dłonią w mrok za plecami.

Chwilę później nad ciemnymi wodami rzeki popłynęły pierwsze dźwięki Wagnerowskiego "Zmierzchu bogów".